

Fascynująca i zabawna powieść,
od której nie można się oderwać!

OLGA RUDNICKA

Zbyt piękne



Prószyński i S-ka

OLGA
RUDNICKA
Zbyt piękne

Prószyński i S-ka

Jeśli coś jest zbyt piękne, by było prawdziwe, to zwykle jest tylko piękne. Ta stara prawda życiowa, choć w trochę innym brzmieniu, kołatała się po głowie Zuzy w rytm stukotu kół pociągu. Ona jednak wolała tę wersję. To brzmiało znacznie lepiej niż...

Idiotka.

Kretynka.

Naiwniaczka.

Znalazłoby się jeszcze kilka określeń tego typu, ale Zuza nie miała w genach tendencji do uzalania się nad sobą. Dręczenie samej siebie, by pogłębić już istniejący kryzys emocjonalny, również nie było w jej stylu. Ten, który aktualnie przeżywała, wystarczał jej w zupełności. Dość wielki, by mieć chandrę, ale nie aż tak, by rozważać samobójstwo.

Zabójstwo, i owszem, przyszło jej do głowy.

I to kilka razy.

Na kilka różnych sposobów.

Inwencji twórczej jej nie brakowało, ale skoro nie udało się wymyślić zbrodni doskonałej, uznała, że nie warto zaprzętać sobie nią głowy. Miała dopiero dwadzieścia osiem lat i nie zamierzała reszty życia spędzić za kratkami z powodu karalucha.

Karaluch w rzeczywistości nazywał się Czesiek i dokładnie sześćdziesiąt dwa dni temu uznał, że propozycja pracy poza granicami naszego pięknego kraju jest spełnieniem jego pragnień. Zuza nawet zaczęła rozważać opcję wyjazdu, ale nim dokonała poważniejszych przemyśleń – gdyż nadal walczyła z zaskoczeniem, którego doznała na wieść, że Czesiek podpisał kontrakt na trzy lata – okazało się, że prawie narzeczony zapomniał uwzględnić ją w swoich dalekosiężnych planach życiowych. O swojej decyzji poinformował ją godzinę przed wyjazdem na lotnisko.

– Kochanie, to moja życiowa szansa. Teraz muszę się skoncentrować na sobie. Nie chcę, żeby coś mnie rozpraszało. Spadam. Taksówka już czeka – powiedział, całując ją na pożegnanie.

W czoło.

– Cholera, chociaż kwiatek by kupił! – wymamrotała do siebie ze złością, którą nadal odczuwała na myśl o padalcach i innych płazach. A może gadach. Biologia nigdy nie była jej mocną stroną. Jedyne, czego była pewna, to wyglądu pajaków, bo panicznie się ich bała.

– Słucham? Pani coś mówiła? – Siedzący naprzeciw niej mężczyzna wyjął słuchawkę z ucha.

– Owszem, ale nie do pana – oświadczyła z ledwo skrywaną niechęcią.

Osobnicy płci męskiej obecnie nie zajmowali wysokiego miejsca na jej liście rzeczy istotnych. Znajdowali się właściwie gdzieś daleko za pajakami, które otrzymały pierwsze miejsce wśród najgorszych ohydztw, potem były żaby, jaszczurki i wszystko, co się wije, potem sporo rozmaitości, długo, długo nic i wreszcie ONI.

– Nikogo innego tu nie ma – zauważył z lekkim zdziwieniem jej towarzysz podróży.

– Ja jestem – odparła stanowczo, spoglądając na niego wojowniczo, jakby był przyczyną jej wszystkich nieszczęść.

– Tak, ale...

– Przeszkadza mi pan – przerwała mu bezceremonialnie Zuzanna.

– W czym? – zdziwił się jeszcze bardziej. Zmarszczka na czole sprawiła, że krzaczaste brwi połączyły się w jedną linię.

– W myśleniu.

– A o czym pani tak myśli?

– Że gdyby nie sperma i konieczność kopania rowów, mężczyźni byliby gatunkiem wymarłym.

– Wariatka! – mruknął, na powrót wciskając słuchawkę do ucha, oparł się o zagłówek i zamknął oczy.

– Palant – mruknęła, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt wyraźnie.

Bądź co bądź, siedzieli tu tylko we dwójkę. Mężczyzna był wysoki i postawny, w sile wieku, a łapska miał jak bochny chleba. Skręciłby jej kark jak zapałkę i nawet by nie poczuł. W dodatku teraz otworzył jedno oko i gapił się na nią przez jakieś trzy sekundy, po czym na szczęście je zamknął.

Na szczęście dla niego, rzecz jasna. Język potrafi być bronią. I to ostrą. Ma tylko jedną słabą stronę: zbyt łatwo go wyrwać.

– Witaj, nowe życie – wyszeptała Zuza, starając się nie zwracać na siebie uwagi sąsiada z przedziału.

Zaaferowany przyglądał się kartonom, które kurier wypakowywał z czeluści białej półciężarówki. Coś było nie tak. Wyglądało na to, że wszystkiego jest znacznie więcej, niż wysłał. Część z nich oznaczona była krzyżykami w kilku kolorach: czerwonym, niebieskim, zielonym i żółtym. Miał trzydzieści dwa lata i zaniki pamięci, które w przeszłości czasami mu się zdarzały, raczej były spowodowane kacem po różnorodnych imprezkach niż demencją. Miał głębokie przekonanie, graniczące z pewnością, że to nie on dokonał owych artystycznych oznaczeń.

– Pewnie matka – uznał.

Facet może mieć i pięćdziesiąt lat, a i tak będzie ukochanym syneczkiem mamusi, która wszystko wie lepiej i zawsze chętnie pomoże, zwłaszcza wtedy, gdy nikt jej nie prosi. Przynajmniej tak zachowywała się jego matka. Na szczęście nie był jedyńkiem, więc mama teraz mogła zagłaskać na śmierć jego starszego brata, który przeniósł się do rodzinnego domu po trudnym rozstaniu z żoną. Rozstanie okazało się trudniejsze niż zwykle, bo Wiola już dwa razy wyrzuciła go z domu. Tym razem jednak mówiło się o rozwodzie. Dla Waldiego rozpieszczanie przez matkę mogło być miłą odmianą po wiecznej wściekłości żony, od której talerzem to mógł najwyżej dostać w nos. Ale cóż, sam sobie zgotował ten los. Jak się wkłada obrączkę na palec, to rozporek trzyma się zapięty, przynajmniej poza domem.

– Panie, ile pan jeszcze tego masz? – zawołał do kuriera, który maszerował z kolejnym kartonem w kierunku wejścia.

- Ten jest ostatni! – odparł zaczerwieniony chłopak, stawiając pakunek u jego stóp.
- Proszę podpisać. – Podsunął mu pod nos elektroniczny czytnik.
 - Tymek złożył parafkę w odpowiednim miejscu.
 - I jeszcze tutaj. – Chłopak ponownie podsunął mu czytnik.
 - Ile tych podpisów?
 - Duża przesyłka, dużo podpisów – zażartował kurier, odwrócił się na pięcie i zbiegł po schodach.

Tymoteusz popatrzył z niechęcią na piętrzące się w pustym pokoju na parterze kartony, które chłopak ustawił pod ścianą jedne na drugich. Na ogół jego dobytek mieścił się w jednej – za to sporych rozmiarów – walizce. Zarabiał na życie, kupując mieszkania do remontu, a potem remontował je i sprzedawał po wyższej cenie. Tym razem inwestycja miała znacznie większe rozmiary. Tymoteusz kupił dom. Czekał go ten sam los, co mieszkania.

Gdyby nie nagła potrzeba zmiany, nigdy nie wywędrowałby ponad trzysta kilometrów od rodzinnego miasta, ale musiał odpocząć.

Od niedojrzałej siostry, wypłakującej mu się w ramię po kolejnych nieudanych romansach.

Prawdopodobnie byłej narzeczonej, która postanowiła przemyśleć ich stabilny, ale nudny związek, gdyż nie była pewna, czy chce od życia bezpieczeństwa, czy woli gwałtowne porywy serca.

Matki, wieszającej psy na okrutnej synowej, która wykopała z domu jej synka, oraz ojca, który wpadał do Tymka na piwo, starając się jak najszybciej wpaść w alkoholizm, bo uznał, że emerytura pod jednym dachem z żoną jednak nie jest tym, czego pragnął od życia.

Zazwyczaj mieszkał w remontowanych lokalach, gdy dojazd miał zajmować więcej niż pół godziny. Na ogół tylko od czasu do czasu wpadał do siebie, by zrobić pranie i odpocząć, a potem wracał do miejsca pracy. Problem polegał na tym, że jego rodzina była zmotoryzowana i pokonanie kilkunastu kilometrów, by zatruwać mu życie, nie stanowiło problemu, ale trzystu – już niekoniecznie. Stąd też decyzja o tak sporej inwestycji.

Obecny remont zajmie mu przynajmniej pół roku. W tym czasie ojciec wyląduje na odwyku, brat ucieknie z domu na koniec świata, siostra zatruje życie jego matce, a telefonu od tej ostatniej nie zamierzał odbierać. Jak któreś umrze, niech mu wyślą telegram, pomyślał złośliwie.

Zuza spojrzała z niechęcią na zaciśnięte na rączce walizki łapsko.

- To moja walizka, koleś – wysyczała rozżłoszczona.
 - Chciałem tylko pomóc. – Mężczyzna z przedziału zerknął nad jej ramieniem.
- Kilkoro pasażerów przyglądało im się ze zniecierpliwieniem.

– A wyglądam jak ktoś, kto potrzebuje pomocy? – zapytała uprzejmie, czując zarazem, jak na jej twarzy pojawia się zjadliwy uśmiech, zapowiadający nadejście wiedzniej mocy, która wypełniała powoli całe jej jestestwo. Do niedawna nie miała pojęcia, że w ogóle ją posiada, ale w końcu była kobietą. Każda z nas nosi w sobie zefirek, a ten w odpowiedniej sytuacji potrafi się zamienić w nieokiełznany tajfun, zmiatający

wszystko, co spotka na swej drodze.

Mężczyzna z przedziału chyba nie znał się na kobietach, gdyż – najwyraźniej uspokojony jej uśmiechem – odparł z ulgą:

– Taka mała kobietka. I taka duża walizka. Pomogę.

– Wywód całkiem logiczny, koleś – przyznała Zuza. – Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Wyglądam jak ktoś, kto potrzebuje pomocy? Albo jak niemota, co to nie potrafi poprosić o pomoc, kiedy jej potrzebuje?

– Nie jestem pewien... – zaczął skonfundowany.

– O, tego to ja akurat jestem pewna – syknęła jadowicie. – Wy jesteście pewni tylko własnego egoizmu. Myślisz, że chcesz mi pomóc, bo jestem mała, słaba i nieporadna? Powiem ci, koleś, dlaczego chcesz mi pomóc. Czekasz, że powiem, jaka jestem ci wdzięczna, poflirtujemy chwilę, potem zaprosisz mnie na kawę i będziesz liczył, że wylądujemy w łóżku. Ale wiesz, koleś, ty w ogóle nie jesteś w moim typie. I nigdy w życiu – już rozeźlona na całego dźgnęła go palcem wskazującym w potężną pierś – nie pójde z tobą do łóżka!

– Rany boskie! – jęknął. – Ja tylko chciałem pomóc...

– A teraz puszczaj moją walizkę, bo zacznę krzyczeć!!! – Ostatnie słowa były doskonale słyszalne dla wszystkich, którzy stali za nimi, pomrukując z irytacji, jako że walizka, sama Zuza i jej rozmówca tarasowali wyjście z pociągu.

– Wariatka! – skwitował krótko – powtórnie – i puścił rączkę walizki.

Obrzucił Zuze jeszcze niechętnym spojrzeniem, po czym odwrócił się i otworzył drzwi na peron.

– Buc! – prychnęła do szerokich jak u drwała pleców.

Nigdy nie widziała drwała na oczy, ale od machania siekierą powinni mieć barczyste plecy i ogromne ręce. Ze stęknieniem dźwignęła walizę i postawiła ją pionowo. Nie potrzebuje niczyjej pomocy, bo walizka ma kółka. Jediną przeszkodą były schodki, ale skoro dała radę w górę, to da radę i w dół. Pokrzepiona tą myślą pchnęła walizkę przed siebie, by ustawić ją w dogodnej pozycji, zapominając ustawić się przed nią, a nie z tyłu. Gdy próbowała przenieść ją na pierwszy stopień, straciła równowagę i puściła uchwyt. Efekt mógł być tylko jeden. Ostrzegawczy okrzyk Zuzanny zabrzmiał zbyt późno. Właściwie to złał się z krzykiem zaskoczenia mężczyzny i hukiem upadającej na beton walizki. Zuza zamknęła oczy i czekała na śmierć. W duchu widziała, jak domniemany drwał sięga po swoje narzędzie pracy i zadaje jej cios prosto między oczy.

– Idzie pani czy nie? – Głos za nią należał do kobiety, a sądząc po tonie, wiedźmowość Zuzy miała się nijak do jędzowatości babska, które dźgało ją w plecy turystyczną torbą.

– Tak, tak, już – wymamrotała zawstydzona. Wbiła wzrok w walizkę leżącą u stóp w ogromnych męskich buciorach i niechętnie zeszła na peron.

– Nic panu nie jest? – zapytała, nie podnosząc wzroku powyżej kolan mężczyzny.

Jeżeli miał siekierę, wołała tego nie widzieć. Cios spadnie nieoczekiwanie i ona nic nie poczuje.

Chyba.

– Mówiłem, że pomogę – wypomniał jej z wyraźną irytacją.

– Czyli nic panu nie jest – uznała Zuza, podnosząc wzrok wyżej. Na poziomie jej oczu znajdowała się szeroka klatka piersiowa. Niechętnie zadarła głowę. Mężczyzna był naprawdę bardzo wysoki i potężnie zbudowany. Jeśli nie jest drwalem, musi być drzewem.

– To się okaże. Mogłem doznać kompresyjnego złamania kręgosłupa.

– Czego? – zdziwiła się.

– Kompresyjnego złamania kręgosłupa. To...

– Wiem, co to – przerwała mu niegrzecznie. – Nie rozumiem tylko, dlaczego chce mi pan wcisnąć taki kit. Walizka jest nieporęczna, a nie ciężka. Próbuje pan ode mnie wyciągnąć kasę? Jeśli tak, uprzedzam, że mam kredyt hipoteczny, a moje konto ciągnie ostatkiem sił.

– Nic od pani nie chcę! – Teraz to już się zdenerwował. – Ja tylko próbowałem pomóc!

– Tak? To dlaczego straszy mnie pan sądem?!

– Ja?! Na litość boską... Pani jest... Pani jest... Powinna mnie pani przeprosić!

– Tak? A niby za co?! – zacietrzewiła się Zuza.

– Uderzyła mnie pani walizką!

– Sama spadła!

– Ale to pani walizka, więc pani za nią odpowiada!

– Ale to pan sprowokował jej upadek!

– Niby jak?!

– Szarpał ją pan i oto skutek!

– Dwa metry od przejścia!

– A co to ma do rzeczy?

– Zaraz pani powie, że modliłem się o cios w plecy i dobry Bóg się zlitował i rzucił we mnie pani walizką?!

– Do Boga nic nie mam, ale może On ma coś do pana.

Ta teoria trafiła jej do gustu. Istota najwyższa potrafi interweniować w nieoczekiwanych momentach i w przewrotny sposób. Człowiek nie zna dnia ani godziny, gdy dosięgnie go sprawiedliwość.

– Dobra. Mam tego dość. Z wariatami się nie dyskutuje, bo i tak zawsze mają rację. Spadam stąd! – Rozłożył szeroko ręce, unosząc je zarazem na wysokość głowy, jakby chciał zasygnalizować otoczeniu, że nic w nich nie trzyma, i jeśli ta wariatka padnie trupem porażona boskim gniewem, to on nie miał z tym nic wspólnego.

– No i dobrze – burknęła do oddalających się pleców.

Pewnie powinnam przeprosić, pomyślała w nagłym przypływie wyrzutów sumienia. Ostatecznie to moja walizka. Z drugiej strony... Przecież nie zrzuciłam jej specjalnie, sama spadła. Spojrzała z niezadowoleniem na przedmiot sporu spoczywający niewinnie na peronie. Ludzie obchodzili walizkę szerokim łukiem. Nikt nie kwapił się do pomocy. Pewnie część z nich słyszała wymianę zdań i wołała nie narażać się na kontakt z właścicielką.

– Kiedyś byłam nieśmiała, brakowało mi asertywności i źle na tym wyszłam – powiedziała, z wyższością pociągając nosem.

Ale miałaś przyjaciół, szepnęło sumienie.

– Tak? To gdzie teraz są? – zapytała ze złością.

To ona zawsze zabiegała o kontakt. To ona była na każde zawołanie. To ona pilnowała dzieci przyjaciółek i opiekowała się ich psami podczas urlopów. Kiedy zaś sama potrzebowała ramienia, na którym mogłaby się wyplakać, została jej tylko starsza siostra, która poklepała ją po głowie jak psiaka i powiedziała: „Czego ryczysz? Czesiek to żadna strata. Lepiej, że cię rzucił, niż miałby zmarnować życie. Tobie, rzecz jasna” – dodała jeszcze szybko, co wzbudziło pewną podejrzliwość Zuzki co do intencji pocieszającej ją siostry.

Może to i lepiej, pomyślała, w końcu podnosząc walizkę, ale tu nie chodziło o lepiej, tylko o zranione serce, które wymagało wsparcia, a nie kopniaka w dupę.

Podczas spotkania z poprzednim właścicielem Tymoteusz dokładnie obejrzał dom. Wymagał sporo nakładów i małej przebudowy wewnątrz, ale nie było to nic takiego, z czym by sobie nie poradził. Układ pomieszczeń był raczej niespotykany – jakby dwa domy jednorodzinne połączono w jeden, po prostu przebijając się przez ścianę i zamurując jedne drzwi. I właśnie to wymagało pogłótkowania, żeby całość miała ręce i nogi. Dziś nie zamierzał się tym przejmować. Przede wszystkim musi zagospodarować jakiś kąt na swoje rzeczy.

Na szczęście w domu znajdowało się trochę mebli. Jedynie kuchnia była w całości urządzona, ale wydawała się starsza od niego, podobnie jak lodówka, z pewnością pamiętająca poprzedni ustrój. Rzęziła i trzęsła się, ale działała. W pokojach stały pojedyncze komody, dwie stare kanapy, kilka foteli i odrapany stolik pod telewizor. Na parterze znajdowała się ogromna szafa wnękowa z wieszakami i szufladami, a także szafka na buty. Na strychu zobaczył kilka regałów na książki, które potem zniesie do jednego z pokoi, umyje i wykorzysta jako półki na rzeczy. Nie miał ochoty co chwila biegać na dół po bokserki czy też koszulkę, wolał mieć wszystko pod ręką.

Jego wzrok spoczął na kartonach zgromadzonych pod ścianą. Teraz, gdy wszystkie znajdowały się w jednym miejscu, teoria o matce, dorzucającej do jego rzeczy małe co nieco, jakoś przybladła. Tymoteusz przysięgłby, że jest ich przynajmniej o połowę za dużo w stosunku do jego stanu posiadania. Mama musiałaby zedrzeć tapety i panele z jego mieszkania, żeby zapełnić wszystkie pudła. I do tego okraść sąsiada.

Chyba że sama się wprowadza. Zaniepokojony tą myślą podszedł do pudeł i sprawdził nalepki z adresami.

– Zuzanna Cieplik – przeczytał głośno. – To nie moja matka. Kim, u diabła, jest Zuzanna Cieplik? – zapytał ze zdumieniem, ale nie doczekał się odpowiedzi. Zaczął nerwowo przeglądać kartony i przestawiać na bok te, na których widniało nazwisko inne niż „Magnus”.

– Jasna cholera! – zaklął ze złością dziesięć minut później.

Zuzanna Cieplik była właścicielką wszystkich pudeł oznaczonych kolorowymi pisakami.

– Ten cholerny kurier nie potrafi czytać?! Kogo oni zatrudniają? Analfabetów?! Jasny gwint!!!

Nie przestając kląć pod nosem, choć zdawał sobie sprawę, że jest monotematyczny,

a asortyment przekleństw ma zatrważająco ubogi jak na swój wiek, wybrał numer telefonu z nalepki na jednym z kartonów należących do Zuzanny Cieplik.

– Dzień dobry! – rzucił podniesionym głosem. – Kogo wy tam, u licha, zatrudniacie?

– ...

– Jak to gdzie?! W tej cholерnej firmie!

– ...

– Będę mówił, jak mi się podoba!

– ...

– Nie mam odwagi?! Tymoteusz Magnus mówi!

– ...

– Nie dość, że doręczacie paczki na chybił trafił, to jeszcze reklamacji nie potraficie przyjąć! Od kogoś na pani stanowisku wymaga się uprzejmości, kompetencji i... i – zająknął się zdumiony, gdy w telefonie usłyszał głuchy sygnał. Kobieta po prostu bezczelnie się rozłączyła.

– O żeż ty! – Ponownie zadzwonił pod ten sam numer, ale usłyszał tylko automat poczty głosowej, informujący, że może zostawić wiadomość.

– No nie! Nie ze mną takie numery! – Tymek z natury był cholerykiem, toteż nie panując nad sobą, wcisnął telefon w tylną kieszeń spodni i nie zastanawiając się nad tym, co robi, otworzył na oścież drzwi wyjściowe, złapał najbliższy stojący karton i zbiegł wraz z nim po schodach.

Zuzanna ostatkiem sił wciągnęła walizkę po schodach. Z trudem łapała powietrze, w duchu żałując własnej zapalczywości. Najpierw musiała znieść walizkę z peronu do podziemnego przejścia, a następnie wytargać ją z podziemi na światło dzienne. Gdzieś tak w połowie schodów prowadzących w dół zaczęła żałować swoich ostrych słów wobec drwała, a w połowie schodów w górę gotowa była zafundować mu seks życia, gdyby tylko stanął tu przed nią i zaoferował pomoc. Niestety, jak zawsze musiała radzić sobie sama. Mimo frustracji, stojąc na górze, nie żałowała, że udało jej się pozostać wierną swoim zasadom i nie przespać się z nikim z wyrachowania.

– Chociaż byłabym pewnie mniej spocona – powiedziała do siebie, stawiając walizkę na kółkach.

Poszukała wzrokiem wyjścia z dworca, które ku jej ogromnej uldze znajdowało się kilkanaście metrów przed nią. Tuż za przeszklonymi drzwiami dostrzegła logo taksówki. Jej radość zakłócił dźwięk telefonu.

– Tak, słucham? – rzuciła do aparatu, ciągnąc za sobą terkoczącą walizkę.

– Dzień dobry! Kogo wy tam, u licha, zatrudniacie?

– Że niby gdzie? – zdumiała się Zuza.

– Jak to gdzie?! W tej cholерnej firmie!

– Niech pan nie przeklina, jak pan do mnie mówi!

– Będę mówił, jak mi się podoba!

– O, proszę, jaki bohater! A przedstawić się to pan nie ma odwagi! – odparła hardo, nie mając zielonego pojęcia, o co właściwie chodzi i czego ten człowiek chce.

– Nie mam odwagi?! Tymoteusz Magnus mówi!

– To gratuluje, ale mam ważniejsze sprawy na głowie!
– Nie dość, że dostarczacie paczki na chybił trafił, to jeszcze reklamacji nie potraficie przyjąć! Od kogoś na pani stanowisku wymaga się uprzejmości, kompetencji i...

Zuza nie była ciekawa, czego jeszcze ten facet się od niej domaga. Nie zamierzała być uprzejma wobec gburą, a jej kompetencje nie były mu do niczego potrzebne. Rozłączyła się bezceremonialnie i korzystając z funkcji, którą odkryła w swoim telefonie niedługo po rozstaniu z Cześkiem, zablokowała numer niejakiego Magnusa Tymoteusza czy też Tymoteusza Magnusa. W końcu gość się domyśli, że się pomylił, i zadzwoni, gdzie trzeba, ale prędzej jej kaktus na głowie wyrośnie, niż pomoże jakiemukolwiek mężczyźnie. Niech ta banda egoistów radzi sobie sama ze swoimi problemami. Ona nie musi tego wysłuchiwać, znosić ani się angażować. Wprawdzie kobiety też są egoistkami, tylko lepiej to ukrywają pod płaszczykiem żon i matek, poświęcających się dla rodziny, dlatego mogą całą resztę społeczeństwa rozdeptać, pomyślała, czując, jak znów wpada w spiralę uzalania się nad sobą. To, że sama została tak potraktowana przez przyjaciółki, nie oznacza, że wszystkie kobiety „tak mają”, ale w tej właśnie chwili czuła się wykluczona z żeńskiej społeczności jako ta, która nie stanęła na wysokości zadania i dotąd się nie rozmnożyła.

– Nawet bakteria się rozmnaża! – burknęła wściekle do siebie. – Też mi osiągnięcie! Pomoże mi pan z tą walizką czy nie?! – warknęła na Bogu ducha winnego taksówkarza, który zamarł zaskoczony nagłą napaścią, zarówno fizyczną, jak i słowną, gdyż pasażerka niemal wyrwała mu z zawiasów drzwi od samochodu i do tego jeszcze pluła jadem w jego kierunku.

– Oczywiście, już, już. Proszę poczekać. – Wysiadł szybko z auta i pośpiesznie odebrał z rąk malutkiej kobietki ogromną walizkę.

Zuza nie była taka mała, jak wszystkim się zdawało. Miała sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, czyli jeszcze siedem i mogłaby być modelką. Problemem była jej drobna budowa i garbienie się. Nosiła rozmiar trzydzieści cztery i chodziła skulona. Jeśli dodać do tego ciemne niesforne loki i ogromne brązowe oczy, zbyt bladą cerę i malutki nosek, sprawiała wrażenie małej, nieporadnej kobietki, co to bez męskiego ramienia sobie nie poradzi.

Większość spotykanych mężczyzn na jej widok ogarniało jakieś przedziwne pragnienie opiekania się nią, które teraz wkurzało ją bardziej niż kiedykolwiek. O ile jeszcze kilka miesięcy temu doceniłaby pomocną dłoń sąsiada, pomagającego jej sprawdzić poziom oleju w samochodzie, którego nie miała, bo przecież sama na pewno sobie nie poradzi, o tyle teraz miała tego serdecznie dość. Miała wszakże też dość rozsądku, by sobie uzmysłwić, że jak jeszcze raz coś zupełnie niepotrzebnie skomentuje, to czeka ją wraz z walizką kilkukilometrowy marsz albo konieczność skorzystania z komunikacji miejskiej. Przywołała zatem na twarz uśmiech numer jeden, czyli „Bez pana nigdy bym sobie nie poradziła”.

Game uśmiechów miała sporą, ale więcej ich nie zamierzała prezentować panu kierowcy. Jeśli nie będzie się wychylała podczas jazdy, czyli, krótko mówiąc, zamknie buzię na kłódkę i nie obrazi taksówkarza, uśmiech numer jeden powinien jeszcze działać

podczas wyciągania walizki z bagażnika.

– Adres? – zapytał mężczyzna, gdy oboje znaleźli się już w aucie.

– Ulica Spokojna piętnaście.

Tymek wyniósł za drzwi ostatni karton. Najchętniej wystawiłby wszystko za furtkę, ale posłuchał głosu rozsądku i zostawił pudła Zuzanny Cieplik na swojej posesji. Miał dziwne przeczucie, że to jednak nie koniec perypetii z cudzym dobytkiem. Właścicielka z pewnością będzie sobie życzyła odzyskać swoje rzeczy i lepiej, żeby nic nie zginęło, bo jeszcze zrobiłaby z niego złodzieja.

– Jasna cholera! – zaklął ponownie, tym razem bardzo głośno.

Właśnie do niego dotarło, że podpisał kurierowi odbiór cudzej przesyłki, zatem ponosi za nią odpowiedzialność. Jeśli szlag trafi zawartość pudeł, nim firma kurierska je odbierze, będzie na niego. Diabli wiedzą, co w nich jest.

Wyjął z kieszeni telefon i próbował się połączyć z ostatnio wybieranym numerem. Bezskutecznie. Co rusz zgłaszała się poczta głosowa. Zastanawiał się chwilę, czy nie nagrać wiadomości, ale znając jego szczęście, nikt by nie odsłuchał.

Ponownie spojrzął na paczki, szukając nazwy firmy kurierskiej. Znajdzie w Internecie ich inny numer.

– Zaraz, zaraz – zdziwił się. Dopiero teraz przeczytał adres na pudłach: „Zuzanna Cieplik, Spokojna 15”. Jakim cudem?!

Czuł się jak na lekkim rauszu, a przecież nie tknął alkoholu. Kurier nie był idiotą. To on był idiotą. Zadzwoił nie pod ten numer. Zadzwoił do nadawcy. Nic dziwnego, że ta kobieta wysłała go na drzewo. Przynajmniej tak mówiła młodzież w jego czasach. Obecnie używają bardziej dosadnego słownictwa.

Spoglądał z niepokojem na piętrzące się na brukowanej ścieżce przed domem kartony. Dlaczego nadano je na ten adres? Może to sąsiadka? – pomyślał. Błąd w adresie i proszę, zamiast na przykład pod czternastkę czy szesnastkę, paczki dostarczono do niego. Z trudem powstrzymał odruch, by podrapać się po głowie. Zamiast tego zamaszystym krokiem wymaszerował ze swojej posesji z zamiarem zapoznania się z sąsiadami. Paczki jeszcze dziś muszą stąd zniknąć.

Zuza z uśmiechem numer jeden na twarzy – po co sięgać po kolejny, skoro ten działa – podała dwadzieścia złotych i czekała, aż taksówkarz wyjmie walizkę z bagażnika i postawi ją na kółeczkach. Wreszcie będzie mogła przekroczyć próg swojego nowego domu. Miała już w głowie gotowy plan działania. Dół wynajmie, na górze zamieszka i dom będzie na siebie zarabiał. A wzięty na jego kupno kredyt hipoteczny, którym obciążyla mieszkanie odziedziczone po chrzestnej, będzie się spłacał sam, dzięki pieniądзом od lokatorów.

A ona powoli stworzy dla siebie wymarzone gniazdko. Adoptuje dwa koty i psa. Na parapetach postawi doniczki z ziołami. I będzie szczęśliwa zupełnie sama. Faceci są przereklamowani. A seks? No cóż, od czego są sex shopy?

– A to co?! – zdenerwowała się dwie sekundy po przekroczeniu furtki. Cały jej dobytek leżał rozrzucony na brukowanej ścieżce! – Żeby diabli wzięli tych kurierów! Kogo oni tam zatrudniają?! I dlaczego dostarczyli to dzisiaj?! Przecież wysłałam im wiadomość, żeby dostarczyli paczki jutro! Już ja im nagadam! Jak coś będzie uszkodzone,

to puszczyć ich z torbami! – Nie zważając, czy ktoś jej słucha, perorowała głośno do siebie: – Pójdę do adwokata i podam ich do sądu! Może przy okazji poznam jakiegoś przystojnego prawnika... Co ja gadam?! Zachowuję się jak własna matka! O mojej wartości jako kobiety nie świadczy mężczyzna, którego zdobyłam, tylko to, kim sama jestem! Do kobiety pójdę! Żadnych mężczyzn! Jeszcze tego brakowało, żebym się użerała z własnym mecenasem! A dzieci adoptuję! I to same dziewczynki! O! – zakończyła ze złością, tupiąc nogą, po czym zadumała się na chwilę. Czy w tym kraju osoby samotne mogą adoptować dzieci? Może nie mogą? Więc co? Powinna wyjść za mąż, adoptować dzieci i się rozwieść? Zawsze to jakieś rozwiązanie... Może ten prawnik doradzi...

– Zuza, ty się weź w garść – wyszeptwała ze zgrozą. – Dlaczego myślisz o takich sprawach, stojąc nad stertą swoich rzeczy? Przecież wcale nie chciałaś mieć dzieci. Przynajmniej nie przed trzydziestką. Teraz zaczynasz nowe życie. Zanim je poskładasz do kupy, stuknie ci czterdziestka. Ty lepiej bądź dobrą ciotką. I kup sobie psa, i te cholerne koty. I nie zachowuj się jak wariatka, bo pierwszego dnia wywalą cię z pracy, a udało ci się być całkiem miłą dla tego obleśnego kadrowego.

Zuza wprawdzie zaczynała pracę dopiero w przyszłym tygodniu, ale z doświadczenia wiedziała, że czas przeleci jak z bicia strzelił i nadal będzie walczyła z rozpakowywaniem rzeczy i meblami, gdy przyjdzie jej wcześniej wstać i gnać do pracy, bo pieniążki nie spadają z nieba. Jedyne, co jej nieoczekiwanie spadło, to mieszkanie po mamie chrzestnej, która nie miała własnych dzieci i matkowała właśnie jej. Na ogół wbrew woli swojej siostry, czyli matki Zuzy, która próbowała wychować córkę tradycyjnie, jak na koniec dziewiętnastego wieku przystało, i nigdy nie mogła się nadziwić, że dziewczynka skończyła studia nie po to, by złapać dobrego męża, tylko by znaleźć dobrą pracę.

Liczyła, że z wiekiem jej to przejdzie.

Ciotka zesła z tego świata dość nieoczekiwanie i Zuza została właścicielką niezadłużonego własnościowego sześćdziesięciometrowego mieszkania w dwupiętrowym bloku, które najpierw zamierzała dzielić z męską gnidą, a potem jeszcze z ich dziećmi. Decyzja o wyprowadzce i kupnie domu była nagłą, nieprzemyślana i podjęta pod wpływem chwili, emocji, a także korzystnej oferty cenowej. Oszczędności, które zgromadziła wcześniej, zamierzała przeznaczyć na remont i wyposażenie parteru, a gdy ten zacznie na siebie zarabiać – jak zaplanowała – wówczas powoli stworzy dom swoich marzeń.

Porozrzucany przed domem dobytek zepsuł jej wizję przekroczenia progu tego domostwa po raz pierwszy -jako właścicielka. Miała wejść do środka, rzucić walizkę, otworzyć okna, głęboko nabrać tchu – jak już się trochę przewietrzy – by poczuć, że ta przestrzeń należy do niej. Zamiast tego z wściekłością tupiała nogą i rozglądała się, co by tu jeszcze kopnąć, żeby nie połamać palców, a trochę sobie ulżyć.

– Pani do kogo?

Męski głos za jej plecami doprowadził ją do furii. Wścibski sąsiad był kroplą, która przelała czarę.

– Do siebie! A co?! – warknęła, obracając się na pięcie i wbijając wściekłe spojrzenie w mężczyznę w podartych dzinsach i powyciąganym podkoszulku, stojącego

pod furtką.

– Jak to do siebie? – Tymek po raz pierwszy w życiu poczuł, co oznacza zbaranieć.

Kiedy narzeczona zaproponowała, by zrobili sobie przerwę i spotykali się oboje z innymi osobami, poczuł zdumienie, potem zażenowanie, że nie zauważył oznak kryzysu, a na końcu niesmak, bo pomysł zdrady tylko na chwilę jakoś mu nie przypadł do gustu. Ale zbaraniał po raz pierwszy w życiu. I to do tego stopnia, że zrobił krok w tył, by się upewnić, że na furtce figuruje piętnastka, a nie jakiś inny numer.

– Straż sąsiedzka to fajna sprawa, ale zainteresuję się tematem innym razem, OK?

– powiedziała Zuza, siłąc się na uprzejmość. Dotarło do niej, że skoro ma tu mieszkać, nie może już na samym początku zrazić do siebie sąsiadów, choćby mieli nieszczęście urodzić się mężczyznami.

– Straż? – zdziwił się nieznajomy.

– Słuchaj, koleś, staram się być miła, OK? Wścibstwa nie znoszę, więc użyłam innego słowa, ale jak nie łapiesz, w czym rzecz, to nie mój problem.

Postanowienie poprawy nigdy nie było mocną stroną Zuzy. Takie pomysły zdarzały jej się, i to często, ale ich realizacja nastęrczała sporo problemów. Jak wówczas, gdy postanowiła być grzeczna dla Świętego Mikołaja, chociaż wiedziała, że tak naprawdę to nie jest Święty Mikołaj. Niestety, zamiast czegoś miłego powiedziała: „O w mordę! Wuj Franek znów jest narąbany!”. To, że miała wtedy sześć lat, nie pomogło. Do dziś nie rozumiała, dlaczego została wówczas ukarana za kilka słów prawdy.

– Słuchaj, laleczko! – zdenerwował się. Ostatnimi czasy kobiety nie zajmowały wysokiej pozycji na jego liście, ale żadna chuda żółta nie będzie go obrażać. Zwłaszcza na jego podwórku.

– Nie mam pojęcia, co ci się uroiło w tej pokręconej główce, ale jesteś na cudzej posesji, więc radzę zmienić ton, bo wezwę policję!

– Policję! – Zuza poczuła, że braknie jej tchu. – Ty... Ty... Ty...

– Tymoteusz! – dokończył złośliwie i nawet z pewną dozą rozbawienia. Dziewczyna wyglądała tak zabawnie z tą zacietrzewioną miną, że nie mógł się powstrzymać.

– Pajacu! – zawołała. – Pajac! – krzyknęła jeszcze raz i nie dając mu szansy na odpowiedź, błyskawicznie pokonała kilka stopni do wejścia. Kluczem, który wyjęła z kieszeni, szybko otworzyła drzwi i zanim Tymek ochłonął z wrażenia, widząc, jak nieznajoma znika w jego domu, zatrzasnęła je za sobą.

– Co u diabła... – wymamrotał zaskoczony.

Zaczynał rozumieć, dlaczego eksnarzeczona nazwała go baranem. Jego mina w tej chwili – choć nie widział swojej twarzy – prawdopodobnie upodabniała go do tego zwierzaka, a jeśli nie – wreszcie zrozumiał, jaki poziom emocji kryje się za określeniem „zbaranieć”. Na szczęście zaskoczenie szybko minęło i Tymek zamaszystym krokiem wszedł na własne podwórko.

Zuza wyrzła przez wizjer. Nieznajomy właśnie wszedł przez furtkę i wymachując rękami jak wiosłami, zmierzał w stronę drzwi wejściowych. Gniew wywołany istnieniem gatunku męskiego nie uchronił jej przed nagłym napływem paniki. Szybko przekręciła górny zamek w drzwiach i zaczęła się rozglądać za jakimś przedmiotem do obrony.

W przedpokoju stało tylko sporo kartonów spiętrzonych pod jedną ze ścian. Jakoś nie widziała siebie w roli siłaczki rzucającej pudłami w napastnika. Pobiegnęła do kuchni. Właściciel obiecał, że zostawi całe wyposażenie, zatem powinna coś tam znaleźć. Tłuczek do mięsa, nóż, patelnię, cokolwiek, na wypadek gdyby napastnik wtargnął do środka, nim przyjedzie policja.

– Policja! – wyszeptała ze zgrozą.

Jak mogą przyjechać, skoro nie mają pojęcia, że ona lada moment zostanie napadnięta, zgwałcona i zamordowana, jeśli taka kolejność odpowiada mężczyźnie, który właśnie uderzył pięścią w drzwi domu. Może najpierw ją zamorduje, a potem zgwałci? I to w biały dzień?!

– Halo! – zawołała, gdy tylko zgłosił się operator. – Kłopotów! Spokojna piętnaście! Ktoś próbuje włamać się do mojego domu! Błagam! Niech mi ktoś pomoże!

W tym momencie usłyszała, jak drzwi uderzają o ścianę. Z przerażenia upuściła telefon i złapała to, co stało na szafce. Butelkę piwa. Wymachując nią jak pałką – bo mężczyzna wtargnął już do kuchni – krzyknęła:

– Policja już tu jedzie! Spróbuj tylko podejść, a rozwalę ci łeb!

– Moim piwem? – zdziwił się Tymoteusz.

Sytuacja była zaskakująca. Nieznajoma kobieta stała w jego kuchni i groziła mu jego ulubionym gatunkiem piwa. Po sześć złotych butelka. Nie był to majątek, ale Tymek kupił ostatnie butelki w osiedlowym sklepiku. Puszkowe mu nie odpowiadało. Oparł się o futrynę i starał uruchomić szare komórki. Czuł, że są mu w tej chwili bardziej potrzebne niż te wszystkie emocje, które każą mu odebrać jej butelkę, najlepiej w stanie nienaruszonym, a ją samą przełożyć sobie przez ramię, wynieść z domu, a potem wystawić za płot. Albo przetrzucić. Tak, przetrzucenie sprawiłoby mu pewną przyjemność. Niemal porównywalną z wypiciem piwa.

– Co?

Zuza dopiero teraz spojrzała na przedmiot, którym wymachiwała oddzielona od włamywacza stołem. Zmarszczyła brwi. Coś tu nie pasowało. Dopiero teraz sobie uzmysłowiła, że nikt nie wylał drzwi. Przysięgłaby, że słyszała odgłos otwieranego zamka. Wytrych?

– Jak pan się tu dostał? – zapytała podejrzliwie.

– A tak! – Pomachał jej przed oczami pękiem kluczy.

– Aha... – Lewą ręką sięgnęła do kieszeni, gdzie wcisnęła swój komplet kluczy. Dwa z nich wyglądały dokładnie tak samo jak te, które trzymał w ręku mężczyzna. Uniosła je w górę i pomachała w ten sam sposób.

– Co u diabła? – ponownie zdziwił się Tymoteusz, obawiając się, że ta mina zostanie mu już na zawsze.

– Nie wierzę – wyszeptała ze zgrozą nieznajoma. – Kupiłam dom z włamywaczem!

– Pani kupiła? To mój dom! I nie jestem żadnym włamywaczem! Tylko właścicielem!

– Nie może pan być właścicielem, bo ja nim jestem! – wykrzyknęła ze łzami w oczach.

Strach, że ten mężczyzna ją napadnie, zgwałci i zamorduje, minął. Teraz była

przeżona, że została oszukana! A może to on jest oszustem? Może tylko odwraca jej uwagę, by zniemacka zaatakować? A tak naprawdę jest sprytnym włamywaczem?

– Jeśli pan go kupił, niech pan to udowodni! – zażądała.

– Mam akt notarialny – oświadczył ze złością. Jakie jeszcze niespodzianki przyniesie mu ten dzień? Kupił dom z wariatką na stanie?!

– Ja też!

– Jasna cholera! – zaklął, drapiąc się po głowie.

– Proszę pokazać! – zażądała wojowniczym tonem.

– Co mam pokazać?

– Akt notarialny!

Tymek skrzywił się z irytacją. Dokumenty były na piętrze. Przecież nie odwróci się do niej plecami. Nie miał pojęcia, jak postępować z wariatami, ale chyba powinno się ich uspokajać, a nie rozdrażniać.

– A może zostawił go pan w innej marynarce? – zadrwiła, gdy mężczyzna tylko stał i się na nią gapił.

– Nie noszę marynarek, a gdybym je nosił, z pewnością nie zapychałbym kieszeni dokumentami. Zaraz przyniosę. Mam wszystko na piętrze. A pani niech znajdzie swój – poleciał gniewnie.

To, że miał na sobie powyciągany podkoszulek, nie dawało jej prawa do obrażania go, ale teraz istotniejsze było ustalenie, co się stało. Wysunął się tyłem z kuchni, by kobieta nie zaatakowała go zniemacka. Wolał wersję, że to wariatka, bo druga myśl, która przyszła mu do głowy, była nieprawdopodobna i podobała mu się jeszcze mniej niż użeranie z wariatką. No bo tak na prosty rozum... Skąd wariatka miałaby klucze do jego domu?!

Zuza patrzyła, jak mężczyzna wychodzi z kuchni. Gdy usłyszała oddalające się kroki, wyjrzała ostrożnie z pomieszczenia, by się upewnić, że facet naprawdę poszedł na górę, po czym wybiegła na zewnątrz, zabrawszy tylko porzuconą obok drzwi wyjściowych torebkę. Wcisnęła do niej butelkę piwa (może jeszcze jej się przydać) i szybko zamknęła za sobą drzwi, zostawiając klucz w zamku, by napastnikowi nie udało się ich otworzyć od wewnątrz.

Wątpliwości, co robić dalej, rozwiął patrol policji, który na sygnale podjechał pod posesję. Z ulgą i oczami pełnymi łez pobiegła w ich stronę, niemal rzucając się w ramiona pierwszemu funkcjonariuszowi, gdy ten wysiadł z auta i wszedł za furtkę.

– Jest w środku! Zamknęłam go! – wysapała. – Niech mnie pan ratuje! – Ze zdumieniem poczuła, jak łzy spływają jej z oczu gęstym strumieniem, a nos zapełnia się błyskawicznie tym, co sprawia, że płacząca kobieta nie wygląda ładnie, gdy ciągnie nosem lub trąbi w chusteczkę.

– To pani zgłosiła włamanie? – zapytał policjant, odsuwając ją od siebie.

Jeśli włamywacz jest uzbrojony, będą mu potrzebne obie ręce, a głupio byłoby użyć płaczącej kobiety jako tarczy. Albo jeszcze gorzej – będzie musiał osłonić ją własnym ciałem, a przecież na co dzień nie nosi kamizelki kuloodpornej. Jest tylko z prewencji, na litość boską, a nie z brygady antyterrorystycznej!

Zuza gorączkowo pokiwała głową.

– Jest uzbrojony?

– Nie wiem. Nie widziałam. Ale chyba nie... – przyznała z nagłym zakłopotaniem.

Jak na przestępcę mężczyzna był dziwnie ubrany. Nie miał broni ani rękawiczek. I włamanie w biały dzień? Może jednak mówił prawdę, przemknęło jej przez głowę, ale nie zdążyła podzielić się swoimi przemyśleniami z policjantami.

– Proszę tu zostać – polecił jej drugi z funkcjonariuszy, który właśnie skończył rozmawiać przez krótkofalówkę, ani na moment nie spuszczać z oka domu.

– Wchodzimy – polecił młodszemu koledze, w którego ramionach nadal tkwiła Zuza, chociaż nie wisiała mu już na szyi. – Proszę tu zostać. – Kiwnął głową w stronę radiowozu, po czym pierwszy ruszył wybrukowaną ścieżką ku drzwiom.

Tymek z niedowierzaniem szarpnął za klamkę. Ta wariatka zamknęła go w jego własnym domu! Spróbował włożyć klucz do zamka, ale wszedł tylko do połowy. Z irytacją pokręcił głową. Każda kobieta pojawiająca się w jego życiu to chodzący kłopot, który pozostawia po sobie emocjonalne zgliszcza i niesmak do samego siebie. Ta będzie stanowiła największy z jego problemów, jeśli się okaże, że ma prawo do domu, który kupił. Do tego nie należała do najbystrzejszych. Zamknęła go w domu, w którym są dwa wyjścia. I właśnie do drugich drzwi się skierował, a potem wyszedł przez nie do ogrodu. Okrążył dom i stanął oko w oko z dwoma zbliżającymi się policjantami.

– Stać! Policja! – krzyknął pierwszy z nich, mierząc do niego z pistoletu.

– No wiecie co... – jęknął z niedowierzaniem, zatrzymał się i na wszelki wypadek podniósł ręce do góry. – Nazywam się Tymoteusz Magnus i jestem właścicielem tego domu! – krzyknął głośno, nie ruszając się z miejsca, by nie sprowokować sytuacji, w której zostanie zastrzelony na własnym podwórku, a nieznajoma kobieta będzie się panoszyć w jego domu. – Kupiłem go dwa tygodnie temu!

– To nieprawda! – wrzasnęła Zuza. – To ja kupiłam ten dom!

– Mam w ręku akt notarialny – powiedział szybko Tymek, widząc, że policjanci wymieniają między sobą spojrzenia.

– Niech pan się nie rusza – polecił mu starszy funkcjonariusz. – Odbierz od niego dokument – zwrócił się do partnera, który schował broń do kabury i ostrożnie podszedł do zatrzymanego mężczyzny.

Tymek liczył sobie w duchu do dziesięciu. Już trzeci raz. Na ogół pomagało to powściągnąć pewne niekontrolowane reakcje jego ciała, ale tym razem z trudem przychodziło mu zachowanie spokoju, gdy słyszał wykrzykiwane pod swoim adresem epitety, a właściwie jeden podstawowy:

– Oszust!

– Nie jestem żadnym oszustem – poinformował stróżów prawa w nadziei, że dokumenty i jego uczciwa twarz wystarczą do wyjaśnienia sprawy.

– Mówi prawdę – potwierdził młodszy z funkcjonariuszy, przewertowawszy akt notarialny. – Dwa tygodnie temu kupił ten dom.

– Ma pan przy sobie dowód osobisty? – zapytał drugi.

– Tak, w portfelu. Jest w kieszeni. Mogę sięgnąć?

Gdy obaj skinęli głowami, Tymek powoli włożył rękę do tylnej kieszeni spodni. Z portfela wyjął dowód osobisty i prawo jazdy – na wszelki wypadek, gdyby nie był zbyt

podobny do siebie na zdjęciu w dowodzie – i podał oba dokumenty stojącemu najbliżej niego policjantowi.

– Zgadza się. Tymoteusz Magnus – powiedział głośno aspirant Azurek, odczytując dane. Młodszy kolega, szeregowy Nowaczyk, który dopiero co rozpoczął służbę, świeżo po szkółce, spojrzał nieufnie na młodą kobietę. Już zaczynał rozumieć, o co chodzi z tym obiektywizmem. Ładna buzia nie powinna mydlić mu oczu.

– A co z nią? – zapytał kolegę.

– Zaraz wylegitymujemy i panią – zdecydował Azurek, kierując się w jej stronę.

– Zdaje się, że mamy fałszywe zawiadomienie o przestępstwie – powiedział surowo, gdy wszyscy trzej podeszli do Zuzy, w napięciu obserwującej rozwój wydarzeń.

– Co takiego? – zawołała z niedowierzaniem. – Ten człowiek...

– Ten człowiek jest właścicielem domu i ma pełne prawo w nim przebywać.

Pytanie, kim pani jest i co tu robi?! – zażądał odpowiedzi Azurek.

– Nazywam się Zuzanna Cieplik i to ja jestem właścicielką tego domu! Kupiłam go dwa tygodnie temu!

– Dowód osobisty proszę i zakładam, że ma pani dowód zakupu tego domu?

– Oczywiście, że tak! Za kogo mnie pan uważa! – oburzyła się. – Akt notarialny mam w walizce wraz z innymi dokumentami!

– A walizka?

– Jest w domu. W moim domu!

– Zaraz, Zuzanna Cieplik? – zareagował z opóźnieniem Tymek. – To do pani należą te wszystkie paczki? – Wskazał palcem na leżące nieopodal kartony.

– To nie są żadne paczki, tylko moje rzeczy, panie Magnus! Zaraz, powiedział pan, że nazywa się Magnus? To tak samo jak ten facet, co do mnie dzwonił z pretensjami...

– Czyli dodzwoniłem się do pani! – Tymek miał ochotę skłąć samego siebie za nieuwagę. Oczywiście, że numer telefonu pod nazwiskiem należał do nadawcy, a nie do firmy kurierskiej.

– To państwo jednak się znają? – wtrącił niepewnie szeregowy Nowaczyk.

– Ależ skąd! – zaprzeczyli zgodnie.

– Chwila! – przerwał im Azurek. – Najpierw pani okaże swoje dokumenty, a potem będziemy dochodzić, co tu się właściwie wydarzyło! Proszę państwa do środka, jeśli pan pozwoli, panie Magnus – zwrócił się do właściciela domu.

Na chwilę obecną to on nim był, a kobieta tylko twierdziła, że jest. Poza tym na jego oko to sprawa nie dla prewencji, tylko wydziału kryminalnego, jeśli doszło do oszustwa, a podejrzewał, że z tym właśnie ma do czynienia. Które z nich je popełniło, nie jego działka.

– No i dobrze – skomentowała kwaśno Zuza, postanawiając nie wychylać się z uwagami typu solidarność plemników albo dyskryminowania jej ze względu na płeć. Nie da się wyrzucić z własnego domu! Co to, to nie! – Chodźmy.

Ruszyła szybkim krokiem przed siebie.

Kilka minut później aspirant Azurek starannie oglądał obydwie akty notarialne. Na obu figurowała ta sama data. Inne kancelarie. Inne miasta. Ten sam właściciel. Były właściciel.

– Hieronim Sroka – prychnął wzgardliwie, podnosząc wzrok na młodszego kolegę.
– To od niego kupiłam dom – pospieszyła z wyjaśnieniem Zuza.
– Ja też! – ponuro dodał Tymek, opierając się ciężko o blat szafki kuchennej. Czuł, że zaczyna go boleć głowa.

– Jak to możliwe? – zdumiała się Zuzanna.

– Jak widać, możliwe. Pytanie raczej brzmi: które z państwa jest prawowitym właścicielem domu – oświadczył Ażurek. – I czy nie ma ich więcej.

– Jak to, więcej? – pisnęła Zuza.

– Co to znaczy, które z nas?! – Tymek był bliski wybuchu. Nie stać go na utratę tego domu.

– Hieronim Sroka niedawno opuścił zakład karny. Został skazany za wyłudzenia.

– To ten oszust matrymonialny? – Nowaczyk dopiero teraz skojarzył nazwisko. – Naciągnął kilkanaście babek...

– Tak, to on – przerwał mu kolega. – Zdaje się, że prysnął, a przedtem postanowił oskubać kilka ptaszków. Nauczył się w pierdlu paru nowych sztuczek.

– Jakich sztuczek? O czym pan mówi? – pytał zdenerwowany Tymoteusz.

– Właśnie o tym. – Ażurek popukał palcem w blat stołu, na którym leżały oba akty notarialne. – Szanowni państwo, zapraszam na komisariat, gdzie złożą państwo zawiadomienie o przestępstwie. Zajmie się tym nasza dochodzeniówka.

– Chwila! A co mam robić do tej pory?! – zawołała Zuza.

– Mieszkać.

– Ale gdzie?!

– Na moje oko, chyba tutaj... – Z przepaszającym uśmiechem wzruszył ramionami. – Radziłbym zasięgnąć porady adwokata. Takie sprawy ciągną się latami.

– To znaczy jakie? – Tymek już widział, jak machina sprawiedliwości obraca się powoli, a on kolejno traci w tym domu najlepsze lata swojego życia, włosy, zęby i co tam jeszcze człowiekowi wypada na starość.

– Właśnie takie. Ten Sroka sprzedał dom wam obojgu. Nie mam pojęcia, które z was jest właścicielem...

– Może osoba, która pierwsza go nabyła – zasugerował ostrożnie Nowaczyk. On też nie wiedział i nie chciał nikogo wprowadzać w błąd, ale to wydawało się logiczne.

– Na obu aktach jest ta sama data. Pewnie sprzedał dom w odstępie kilku godzin. Nie nasza głowa, szeregowy Nowaczyk – zganił partnera Ażurek. – Proszę państwa, naprawdę bardzo państwu współczuję, ale kolega i ja nie możemy pomóc. Proszę zgłosić się na komisariat i, jak mówiłem, koniecznie zasięgnąć porady prawnika. To będzie twardy orzech do zgryzienia. Żegnam. – Skinął pospiesznie na Nowaczyka, by czym prędzej opuścili dom. Za chwilę rozegrają się tu dantejskie sceny. Kobieta będzie histeryzować, facet się wścieknie, a oni za kwadrans kończą służbę. Niech kolejna zmiana się martwi, jeśli dojdzie do rękoczynów.

Siedzieli przy kuchennym stole, raz po raz zerkając na siebie z nieufnością. Zuza nie była pewna, czy jest bardziej wściekła czy zrozpaczona, ale gdy dotarło do niej, że ten mężczyzna nie jest żadnym bandytą, tylko być może – na razie być może – ma większe prawa do domu niż ona, negatywne emocje wobec Tymoteusza Magnusa opadły,

natomiast pojawiły się zupełnie nowe pod adresem tego szczura, Hieronima Sroki.

On? Oszust matrymonialny? Ten wypierdek mamuta? Koślawy kurdupel o wylupiastych oczkach? Z zakolami po sam kark? I nachodzącymi na siebie zębami? Niemożliwe! Wyglądał tak nieszkodliwie, tak pospolicie i niepozornie, że kupiła od niego dom.

Tymoteusz po raz trzeci czytał akt notarialny, w świetle którego Zuzanna Cieplik była właścicielką jego własności. A ona chyba zajmowała się dokładnie tym samym, studiowała jego dokumenty.

Westchnął ciężko, bo litery wciąż tkwiły w tych samych miejscach, składając się na te same słowa. Wszystko się zgadzało. Adres, numer działki, numer w księdze wieczystej. Kupili ten sam dom! Jedno z nich ma przerąbane. Albo oboje, jeśli znajdą się jeszcze inni właściciele. A może każdy dostanie po kawałku nieruchomości? Nie, niemożliwe. Na jego oko legalnie kupił ten, kto był pierwszy, a reszta nabyła dom, który należał do kogoś innego. Czyż nie? Przemyślenia przerwał mu głos niechcianej współlokatorki.

– Nie mogę stracić tego domu – szepnęła ze łzami w oczach. – Zaciągnęłam kredyt hipoteczny na mieszkanie po mojej ciotce. Będę musiała spłacać kredyt za dom, którego nie mam!

– Spokojnie...

– Tylko niech pan nie mówi, że wszystko będzie dobrze, bo oboje wiemy, że to nieprawda!

Nie zamierzał jej tego mówić, gdyż sam wiedział, że nie będzie. Była za duża, by wierzyć w bajki. On też.

– Odzyskamy pieniądze – starał się, by zabrzmiało to pewnie, ale sam słyszał drżenie we własnym głosie.

Nie stać go na stratę takiej sumy. Do niedawna pomagała mu rodzina i znajomi, by rozkręcił interes. Tutaj wreszcie pierwszy raz samodzielnie dysponował pełną kwotą na kupno, a także remont i nie zamierzał wracać do systemu zrzutkowego, kiedy każdy uważał, że ma coś do powiedzenia, bo był udziałowcem w jego interesie.

Teraz włożył w ten dom niemal wszystkie oszczędności. Zostały mu tylko pieniądze na życie i remont. Nie była to mała kwota, ale nie wystarczy na zakup innej nieruchomości, choćby kawalerki, by mógł od nowa ruszyć z firmą. Nie może stracić tego domu.

– Niby jak je odzyskamy? Facet już pewnie prysnął z nimi do Tajlandii albo Ekwadoru, nie wiem, gdzieś, gdzie nie ma ekstradycji, ale na pewno właśnie tam jest!

– Zrobimy tak, jak nam poradził ten policjant. Z samego rana pójdziemy na komisariat, a potem do adwokata. Ktoś musi nam wyjaśnić, na czym właściwie stoimy, a potem będziemy się martwić, dobra? – Czuł idiotyczną potrzebę pocieszenia tej dziewczyny.

Rozmowa telefoniczna, którą przez przypadek odbyli, odeszła w niepamięć. Teraz nie miał do czynienia z wrednym, niekompetentnym babskiem, lecz z taką samą ofiarą oszusta jak on.

– Dlaczego dopiero jutro? Załatwmy to od razu!

– Jest po osiemnastej. – Popukał palcem w zegarek na rękę.

Zuza spoglądała na niego nieufnie przez łyzy. Ten facet wyglądał równie żałośnie jak ona. Wyprany z energii, szara twarz, zmarszczki na czole, zgarbiona sylwetka. Wcale nie wyglądał groźnie. Oboje byli tak samo zmęczeni i przygnębieni.

– Mogę odzyskać piwo? – zapytał niepewnie.

Nie miał pomysłu, co zrobić i powiedzieć w tej sytuacji. Oby jutro coś się wyjaśniło.

– Skąd mam... Aha! Przepraszam – mruknęła, sięgając po torebkę. Wyjęła z niej butelkę. – Ja... No wie pan... Ta sytuacja... Proszę. – Lekko zarumieniona postawiła na stole butelkę piwa. – Wystraszył mnie pan... No i tak jakoś wyszło...

– Nie wyglądała pani na wystraszoną – wyznał z uśmiechem Tymoteusz.

– Naprawdę? – Pewność siebie, nad którą pracowała po odejściu Czeška, chyba zaczęła być widoczna, pomyślała z satysfakcją Zuza. Nie zauważył, że była kompletnie przerażona!

– Raczej zabawnie – dodał.

– Słucham? – zirytowała się. – Zabawnie?!

– No wie pani... Takie małe chuchro, a postawa jak u rasowego zabijaki. To było zabawne.

– Byłam przerażona! Nie było w tym nic zabawnego! – odparła ze złością.

– Wówczas nie, bo wtedy byłem wściekły. Teraz wydaje mi się to zabawne.

– Pan... pan... jest... jest... – jąkała się Zuza.

– Napije się pani? – zaproponował, wskazując na butelkę.

– Tego? – Wzdrygnęła się ze wstrętem.

– Nic lepszego nie mam.

– Nie mam zwyczaju upijać się, gdy dopadają mnie problemy!

– Butelka piwa na dwoje? Pięciolatek by się nie upił.

– Powinnam wiedzieć – powiedziała, kryjąc twarz w dłoniach.

– Że pięciolatek by się nie upił? – zapytał niepewnie.

– Nie. Że jeśli coś jest zbyt piękne, by było prawdziwe, to jest tylko piękne. Znowu to samo... Czy ja się nigdy nie nauczę?

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi – przyznał z zakłopotaniem Tymoteusz.

Nie miał też pojęcia, jak sobie radzić z babskimi łzami. Jeśli chodzi o eksnarzeczoną, po prostu zgadzał się na wszystko albo na wszelki wypadek przeproszał, rzadko jednak rozumiał, o co właściwie chodzi. Tutaj żadna z tych metod nie wchodziła w grę. Zgoda oznaczała oddanie domu, który może jednak należał do niego, a przeproszać nie zamierzał, bo nie było za co. W swoim niedawnym związku na ogół też nie wiedział, za co przeproszał, ale tam przynajmniej miał powód, by to robić. Święty spokój.

– Przykro mi – dodał na wszelki wypadek, by wyrazić jakiegokolwiek uczucia.

– Mnie też – przyznała z westchnieniem Zuza. – Jeśli okaże się, że ten dom nie jest mój, nie mam gdzie wrócić. Chyba że do matki, ale wolałabym popełnić samobójstwo. Kocham ją, tylko nie mogę z nią mieszkać – powiedziała szybko, nie chcąc, by Tymoteusz źle ją zrozumiał. – Za bardzo się różnimy – wyjaśniła. – Właściwie do niej też nie mogę wrócić – uzmysłowiła sobie. – Nie mam samochodu, a przecież nie będę codziennie

dojeżdżać do pracy stu kilometrów! O Boże, jeśli wrócę, nie będę też miała pracy! – Złapała się za głowę i zacisnęła palce na potarganych włosach tak mocno, aż zaboląo.

– No cóż... Mnie także nie stać na stratę tego domu. Włożyłem w niego prawie wszystkie oszczędności. Mam tyle, żeby wystarczyło na remont. Zamierzałem go sprzedać po wyższej cenie – wyznał Tymoteusz.

– A ja chciałam wynająć dół, po tym, jak go odremontuję, a sama miałam mieszkać na piętrze. Mieć dwa koty i psa. I kwiatki na parapetach. To miał być mój dom. Na zawsze...

– Hm...

Tymek współczuł nieznanym, chociaż zamierzał walczyć o dom do ostatniej kropli krwi. Ale oboje tkwili w tym bagnie, więc może wspólny front nie byłby złym pomysłem? Wyglądała tak żałośnie i nieporadnie, że aż zrobiło mu się jej żal.

– Wie pani, na razie... Gdyby się okazało, że dom należy do mnie, może tu pani zostać. Remont zajmie mi z pół roku... Ale potem... No cóż... Nie mogę sprzedać domu z dzikim lokatorem w pakiecie.

Zuza spojrzała na niego na poły z wdzięcznością, na poły z niechęcią. Zawsze to jakieś wyjście, przynajmniej na kilka miesięcy, ale proszę, proszę, typowy samiec! Jak to już rozporządza być może jej własnością!

– Gdyby się okazało, że dom należy do pani... No cóż... – Wzruszył ramionami. – Nie będę robił pani żadnych trudności... – bąknął, gdy dziewczyna nie złożyła mu żadnej propozycji.

– Aha... To... to miło z pana strony. Chyba... – zająknęła się, ale uznała, że powinna zrewanżować się podobną propozycją, na wypadek gdyby to jednak on był właścicielem. – Chyba mógłby pan tu zostać przez jakiś czas. Dopóki się pan nie ogarnie czy coś... I... Właściwie nie wiem, co dalej... Pewnie musimy dotrzeć do jutra, a potem... Potem się zobaczy i... – Zuza przerwała i wbiła wzrok w piwo. Jedna butelka na dwoje to rzeczywiście dość żałosa ilość, zwłaszcza że ona nie cierpiała piwa.

– Wina pan nie ma? – zapytała żałośnie.

– Niestety, nie – powiedział ze szczerym żalem.

Gdyby miał wino, nie musiałby się dzielić piwem. Zdumiało go, że w obecnej sytuacji bardziej zależy mu na piwie niż na domu, ale na to pierwsze jeszcze miał wpływ, a na drugie – żadnego.

– To może jutro? – zaproponował.

– Jutro? – Nie zrozumiała.

– Jutro też tu będziemy, czyż nie? – zapytał z goryczą. – Dopóki sprawa się nie wyjaśni, żadne z nas nie odpuści, prawda?

– Tak, to prawda – odrzekła powoli, po raz pierwszy dokładnie przyglądając się mężczyźnie, z którym przyjdzie jej dzielić dom przez jakiś czas. Chyba że z samego rana znajdzie się bardziej uprawniony właściciel niż oni i wywali oboje na zbity pysk. Diabli wiedzą, czy ów Sroka w ogóle miał prawo sprzedać ten dom. – Jutro też tu będziemy.

Uznała, że nie ma co dzielić się wszystkimi przemyśleniami z nowym współlokatorem. Wyglądał na całkiem miłego i był budowlańcem. Prowadzi własną firmę, nie przeklina, wyraża się całkiem ładnie, jest czysty i ma tylko jedną butelkę piwa,

zatem nie nadużywa alkoholu. Wydaje się całkiem rozsądny i uczynny. Ostatecznie zaproponował jej jakieś rozwiązanie lokalowe, gdyby to on okazał się właścicielem domu. Jako współnik w nieszczęściu nie prezentował się źle. Mogła trafić znacznie gorzej. Na przykład na jakiegoś despotycznego mizoginistę. Taki Czesiek na przykład nawet by się nie patyczkował. Obwiniłby ją o wszystkie nieszczęścia, groził sądem, prawnikami i przemocą usunąłby ją stąd, a potem niechby ktoś spróbował mu odebrać dom. Musieliby go wywieźć na taczce. Po tym, jak ktoś pozbawiłby go przytomności, rzecz jasna. Tymoteusz Magnus nie wydawał się najgorszym współnikiem w nieszczęściu, ale zaufać obcemu? I do tego mężczyźnie? Nigdy w życiu!

– Mamy jakieś łóżko? – zapytała.

Tymek zakrztusił się śliną. Ona chyba nie proponowała... Nie, niemożliwe! A może? Nie miał pojęcia o kobietach. Od lat spotykał się z jedną i tą samą, nie biegał za innymi, więc skąd miał wiedzieć? Jasna cholera, i co na to odpowiedzieć?!

– Ten cały Sroka mówił, że zostawi część mebli. Chyba mamy gdzie spać? – Zuza, nieświadoma jego myśli, z całej siły walnęła krztuszącego się Tymoteusza otwartą dłonią między łopatki i kontynuowała: – Miał zabrać tylko jakieś zabytkowe po babci, ale powinny być dwie sofy i podwójne łóżko w sypialni. Jestem mniejsza, to mogę spać na sofie – zaproponowała uczynnie, podnosząc rękę, by uderzyć Tymka jeszcze raz, ale odsunął się i powiedział szybko:

– Dziękuję, już mi przeszło. Nie ma sofy ani łóżka. Są dwie stare sprężynowe kanapy, ale chyba da się na nich spać. Kilka foteli, stolik pod telewizor. Regały. Szafa jest tylko jedna, i to w przedpokoju.

– Rany – jęknęła. – Miało być tego więcej...

– Ale nie ma.

– Zawsze to lepsze niż podłoga – zauważyła smętnie.

– Miejmy nadzieję. – Spojrzał żałośnie na piwo i z ledwo słyszalnym jękiem włożył je do lodówki. Może jutro się przyda.

W niemym porozumieniu Tymek pomógł wnieść do domu kartony, które wcześniej sam powynosił, ale o tym wolał głośno nie wspominać. Zamiast tego wysłuchiwał utyskiwań pod adresem niekompetentnego, leniwego kuriera, którego powinni wywalić z roboty na zbity pysk i jeszcze kopnąć w tyłek. Zuzanna Cieplik była dziwną osobką. Sprawiała wrażenie tak kruchej, jakby byle wiatr miał ją zdmuchnąć, ale nosiła swój dobytek z zaciśniętymi zębami i kroplami potu na czole. Umieścili wszystko w jednym z pokoi na parterze, żeby nie zagracać całego przedpokoju. Tam nadal znajdowały się rzeczy Tymoteusza. Zuza posegregowała kartony według kolorowych oznaczeń, które sama na nich umieściła, a Tymoteusz podejrzewał o to swoją matkę, gdy jeszcze myślał, że wszystko należy do niego.

– No dobrze, nie ma sensu wnosić wszystkiego na górę, zwłaszcza że i tak nie mam gdzie tego pochować. Wezmę tylko niezbędne rzeczy – zdecydowała Zuza.

– Zająłem pierwszy pokój po prawej na piętrze – poinformował ją Tymek. Widząc zmarszczkę na czole dziewczyny, dodał szybko: – Byłem tu pierwszy i zacząłem się już rozpakowywać.

– Jasne, zastanawiam się tylko, czy nie lepiej zostać na parterze. Moje rzeczy już

tu są, a...

– Ale kanapy są na piętrze, a łatwiej wnieść twoje rzeczy na górę, niż znieść kanapę na dół – przerwał jej szybko.

Miał przecucie, że to on musiałby dźwigać ciężki mebel. Chyba że taki miała plan. Zrzucić go ze schodów razem z kanapą. Tylko że nic by jej to nie dało. Gdyby dom należał do niego, miał rodzinę, która by go odziedziczyła. A jeśli Zuzanna o tym nie wie? Może powinien jej wspomnieć?

– Mam brata i siostrę. I rodziców. A ty?

– Też – powiedziała zdziwiona. Jakim cudem od kanapy przeszli do jego rodziny? Oni także nie mają gdzie mieszkać i chce ją wziąć na litość, gdyby dom jednak należał do niej?

– Brata i siostrę?

– Nie, rodzeństwo. To znaczy tylko siostrę. I rodziców. Aha, i dwoje siostrzeńców. Mam też dużo kuzynostwa, ale czy to nas teraz obchodzi?

– Właściwie to nie. Pomyślałem tylko, że... Skoro mamy razem mieszkać, to może powinniśmy się lepiej poznać i...

Jasne, że też wcześniej na to nie wpadła! Cwaniak!

– Słuchaj, koleś – dźgnęła go palcem w pierś – po pierwsze, i dobrze to sobie zapamiętaj, my nie będziemy mieszkać razem. Będziemy mieszkać w tym samym domu, a to nie to samo. Po drugie, nie musimy się lepiej poznawać, bo nie jest nam to do niczego potrzebne. Więc cokolwiek tam sobie uroiłeś, lepiej to sobie wybij z tej samczej główki!

– Zaraz, zaraz, przecież nic złego nie miałem na myśli!

– Z pewnością. – Na jej twarzy pojawił się uśmiech numer dwa – połączenie politowania z rozbawieniem, czyli bujać to my, a nie nas.

– Wiesz co?! – zirytował się. – Jesteś taka sama jak wszystkie kobiety! Nieracjonalna!

– O, pan logiczny, solidny i odpowiedzialny się odezwał! – zadrwiła. – Chwila! Co ja wygaduję! Wymieniłam aż trzy zalety, a stoi przede mną tylko jeden facet, który nie ma żadnej z nich!

– Sama sobie noś te swoje graty!

– A prosił ktoś o coś kogoś?! Nie potrzebuję żadnej pomocy!

Tymek otworzył usta, by powiedzieć coś zupełnie nieprzemyślanego, prawdopodobnie obraźliwego, i z wszelką pewnością coś, za co wyleciałby na bruk. Resztki instynktu samozachowawczego wzięły jednak górę, więc po prostu odwrócił się na pięcie i odszedł z godnością.

– Phi! – Zuza prychnęła wzgardliwie.

Wystarczy tupnąć nogą i zwiewają z podkulonym ogonem. Nic dziwnego, że w końcu kobiety wstąpiły do armii. Ktoś musi tam nosić spodnie, pomyślała. Wygrana potyczka nie oznacza wygranej wojny, ale od czegoś trzeba zacząć.

– Hm... – spieszyła się po chwili.

Potyczkę może i wygrała, rzecz w tym, że ten cały Magnus nie był jej wrogiem. Wróg był tylko jeden i to być może wspólny. Hieronim Sroka. Nie powinna napadać na swojego współlokatora tylko dlatego, że jest mężczyzną. To nie jego wina, że urodził się

z tymi wszystkimi hormonami, które robią z niego dupka. Jak na faceta właściwie nie był taki zły...

– Oj, Zuza, znowu narozrabiałaś... – powiedziała do siebie szeptem. – Nie możesz wybić całego rodzaju męskiego. Musisz z nim żyć.

Podrapała się po głowie i z wielką niechęcią poszła na górę. Przeprosiny nigdy nie przychodziły jej łatwo, no i sam zaczął z tymi damsko-męskimi podchodami, ale lekko przesadziła z reakcją. Wystarczyło po prostu odmówić. Temperament zawsze był jej słabą stroną.

Zapukała w futrynę pierwszego pokoju po prawej, bo drzwi nie było.

– Tak? – Tymek słyszał jej kroki na schodach, ale sądził, że dziewczyna pójdzie do siebie, gdziekolwiek to było. Najlepiej na strych, straszyć nietoperze i myszy.

– To ja – powiedziała, z godnością pociągając nosem, jeśli w ogóle można to zrobić w sposób godny.

– No... – A któż inny miałby to być, pomyślał zgryźliwie, ale uznał, że nie warto pogarszać sytuacji.

– Mogłam odrobinę przesadzić z reakcją – poinformowała go sztywno, sznurując usta.

– Owszem – przyznał, krzyżując ręce na klatce piersiowej. Stał w lekkim rozkroku i z ironicznym uśmiechem czekał na ciąg dalszy przeprosin.

– Ale powinien pan zrozumieć, że nasza sytuacja nie sprzyja zażyłym relacjom i powinniśmy zachować pewien dystans.

– Aha... – Teraz to już nie bardzo rozumiał, w czym rzecz. Mogła po prostu powiedzieć „przepraszam” albo postawić piwo. W kobiecych głowach dzieją się rzeczy, których on, mężczyzna, zdecydowanie nie ogarnia.

– Nie chodzi o to, że nie jest pan atrakcyjny, bo niewykluczone, że pan jest atrakcyjny, i z pewnością są kobiety, którym podoba się pański typ urody, ale ja do nich nie należę.

– Co u...

– Rzecz w tym, że nawet gdybym należała do kobiet, które jednak gustują w umięśnionych facetach w powyciąganych koszulkach i z butelką piwa w lodówce, to, tak jak powiedziałam, zaistniała sytuacja wyklucza jakiegokolwiek bliższe związki między nami. Oczekuję, że jako dorosły mężczyzna rozumie pan moje stanowisko. – Zuza rzuciła mu pełen sympatii i wyrozumiałości uśmiech numer trzy – a teraz chłopak ma być grzeczny i nie będzie walić innych dzieci łopatką po głowach – i wyszła.

– ...diabła – dokończył Tymoteusz.

Ale nie miał kogo zapytać, o co chodzi, bo nikogo już w pokoju nie było. Poza nim samym. A on nie miał pojęcia, o co chodzi, chyba że chodziło o to, że ona myśli, że on... Nie, niemożliwe! Skąd jej to przyszło do głowy? W takiej sytuacji myśleć o seksie? Co ona sobie właściwie wyobraża?! Uważa się za boginię seksu i sądzi, że mężczyźni padają przed nią na kolana? A on jest jakimś śliniącym się idiotą, co to prawie na pewno został bankrutem i jedyne, o czym marzy, to zaliczenie chuderlawej współlokatorki?

Odetchnął głęboko, policzył do dziesięciu – dwukrotnie, po czym zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju gotów na konfrontację. Na korytarzu wpadł na niechcianą

współlokatorkę, która sapiąc głośno, dźwigała karton oznaczony na czerwono.

– O! Przyszedł pan mi pomóc! Super! – Ucieszyła się, nie bacząc na wcześniejsze deklaracje, że nie potrzebuje pomocy i świetnie sobie radzi. Nie była specjalistą do spraw logistyki, ale jeśli kobieta ma pokonać dwadzieścia dwa stopnie zakręconych schodów, z kartonem o wymiarach pięćdziesiąt na pięćdziesiąt w ramionach, nieważne, czy masz tam trochę ciuchów czy kamieni, to darmowy ochotnik do spraw dźwigania jest mile widziany.

– Chciałbym...

– Zdecydowałam, że ten pokój na samym końcu będzie w sam raz. Ma zarąbiste światło – mówiła, wciskając mu karton w rękę. – Przyniosę następny, a ten proszę postawić na podłodze pod ścianą.

Nim Tymoteusz zdołał powtórnie otworzyć usta, by dokończyć to, co zamierzał powiedzieć, chuchro zniknęło mu z oczu. Miał do wyboru albo rzucić karton na podłogę i uciec do siebie, albo posłać go kopniakiem ze schodów i zniknąć w swoim pokoju, ale... ALE to mógł być jej dom!

I właśnie to ALE zmusiło jego nogi, by podążyły we wskazanym kierunku. Potrzebował trochę czasu, by ogarnąć się w sytuacji. I nie miał drzwi. Nic nie powstrzymałoby tej kobiety przed wparowaniem do pokoju i ciosaniem mu kołków na głowie.

– No super! Ja się chyba zapierdolę! – jęknął, gdy wszedł do pokoju Zuzanny Cieplik.

Na pierwszym piętrze były cztery pomieszczenia. W dwóch z nich stały kanapy. On zajął jeden, ona zatem miała do wyboru trzy, z czego w jednym znajdowała się kanapa. I co? Ta kobieta wybrała pokój bez kanapy. A dlaczego? Światło! Światło okazało się ważniejsze niż kanapa! Tymoteusz nie musiał zgadywać, kto ją będzie dźwigał!

– Jeśli to mój dom, to panienska znika do wieczora! – wymamrotał.

– Co takiego? – Zasapana Zuza weszła do pokoju z kolejnym kartonem w objęciach.

– Życzę pięknego zachodu słońca – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– O! Dziękuję bardzo! – odrzekła rozpromieniona. – To mój pokój. Widok na różaneczniki będzie wspaniały.

– Na co?

– To takie jakby róże w formie krzewów lub drzewek.

– Nic takiego tam nie rośnie...

– Ale będzie!

A widząc sceptyczny wyraz twarzy Tymoteusza, dodała szybko:

– To znaczy, jeśli dom okaże się mój, to będę chciała mieć różanecznik. Grunt to pozytywne myślenie, prawda?

Nie odpowiedział. Nie mógł. Tylko patrzył na nią w niemym zdumieniu. Ta kobieta to wariatka. A przynajmniej jest niezrównowazona. Takiej huśtawki nastrojów nie widział nawet u swojej narzeczonej przed okresem. To może być to! – olśniło go. Niektóre kobiety są wówczas bardziej... niestabilne.

– Czytałam kiedyś, że pozytywne nastawienie to połowa sukcesu. Należy też wizualizować swoje pragnienia, by nasza motywacja osiągnęła...

Dalej nie słuchał. Właśnie wizualizował swoje pragnienie o świecie, w którym Zuzanna Cieplik nie istnieje, a Hieronim Sroka jest praworządnym obywatelem i wyprowadzając się, nie zabrał ze sobą wszystkich drzwi.

– Więc jak?

– Co jak? – zapytał zmieszany. Współlokatorka spoglądała na niego wyczekująco.

– Pomoże mi pan?

– Już pomagam... – zauważył zdziwiony. Nie miał pojęcia, co znowu wymyśliła. Ma przekopać jej ogródek pod te jakby róże?

– Tak, oczywiście. Ale teraz trzeba pomóc tak jakby bardziej. – Zuza starała się mówić miłym głosem. Głuchy czy jak?

– A w czym?

– Jak to w czym? – Irytacja jednak wzięła górę. – W przeniesieniu kanapy, rzecz jasna! Przecież nie będę spała na podłodze!

Chuchro do przenoszenia kanapy kompletnie się nie nadawało, więc Tymek musiał uporać się z tym sam. Zaciągnął ją po prostu do jej pokoju, podkładając pod przesuwane po podłodze fragmenty mebla koc, pod którym sam miał spać.

Po tym, jak zaniósł jej do pokoju jeszcze dwa regały (podzielili się uczciwie – ona dwa, on jeden, bo jej zdaniem mężczyźni potrzebują mniej rzeczy), usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Był w tak głębokiej dupie, że prawie widział prześwit przetyku.

Przez kilka minut, gdy mógł się zająć swoimi sprawami, nim dopadła go Zuza Cieplik i używała przez godzinę w charakterze tragarza, posurfował po necie. W ten sposób dowiedział się, że legalnym właścicielem domu nie jest ten, kto pierwszy go kupił, lecz ten, kto miał bardziej obowiązkowego notariusza. Krótko mówiąc, ten z nabywców, którego wniosek o dokonanie stosownych zmian w księdze wieczystej wpłynął pierwszy do sądu, jest prawowitym posiadaczem. A ten drugi? No cóż. Istnieje w tym kraju prawo, w myśl którego latami będzie tkwił w sądzie, by najpierw uzyskać wyrok nakazujący Sroce oddać pieniądze, potem zaś musi sterczeć u komornika w nadziei, że Sroka posiada jakikolwiek majątek, który można zająć, a to wszystko pod warunkiem, że policja znajdzie tego żalostnego oszusta, zanim jego roszczenia się przedawnią albo tamten umrze ze starości.

– Obawiam się, że mamy kolejny problem – obwieściła Zuza grobowym tonem, materializując się w pokoju Magnusa.

– Mogłaby pani jakoś obwieszczać swoje nadejście? – zapytał z rezygnacją Tymoteusz.

– Pukałam, ale pan nie odpowiadał – powiedziała z urazą.

– Więc po prostu pani weszła?

– Mógł pan mieć zawał albo coś. W takiej sytuacji chyba nie chciałby pan, żebym czekała na zaproszenie?

– Mam trzydzieści dwa lata!

– O, a nie wygląda pan! Ale wracajmy do tematu!

– Jakiego tematu?

– Jak to jakiego? Nie słyszał pan, jak mówiłam, że mamy problem?

– Owszem. Z własnością domu.

– Ten jest oczywisty, ale mamy jeszcze inny problem. W tym domu nie ma drzwi!

– Oczywiście, że nie ma, dopiero teraz to do pani dotarło?

– Nie ma żadnych drzwi poza wejściowymi i do ogrodu.

– Zgadza się. Nie ma. Obiecuję, że będę zawsze pukał i czekał, aż mnie pani zaprosi. – W przeciwieństwie do niektórych, dodał w myślach, licząc, że jego twarz wyraża to, co niedopowiedziane.

– Mówiąc, że nie ma żadnych drzwi, miałam na myśli, że nie mamy żadnych drzwi do żadnego pomieszczenia! – Zuza lekko podniosła głos. A nie wyglądał na głupiego, pomyślała. Jak to kobieta może się pomylić w ocenie mężczyzny.

– Rozumiem. Nie jestem idiotą! – Tymek również podniósł głos.

– Nie mamy drzwi do łazienki! – wrzasnęła.

– Wiem, że nie mamy drzwi do łazienki! – Również krzyknął, po czym nagle do niego dotarło, co miała na myśli. – Aha, nie mamy drzwi do łazienki...

– Wreszcie! – Wyrzuciła ramiona w górę. – Dzięki ci, siło najwyższa, za to oświecenie!

– Siło najwyższa? Nie, nie chcę wiedzieć – powiedział szybko, nim zaczęła mu wyjaśniać ideę tego, w co wierzyła, cokolwiek to było. – Powiesimy jakiś koc. Może ten. – Pokazał na leżący na ziemi koc, który został wykorzystany do przeciągnięcia kanapy po zakurzonej podłodze, zatem do pierwotnego użytku się nie nadawał, przynajmniej do czasu prania.

– Teraz? – zaproponowała.

– Dobrze, teraz. Poszukam tylko młotka i gwoździ.

– Ale chce mi się siusiu!

– To proszę iść, a ja zaczekam, aż...

– Tutaj?!

– Dobrze, zostanę w pokoju.

– Mówiąc „tutaj”, miałam na myśli, że nie tutaj!

– A więc gdzie mam czekać?

– Nie wiem... Może na zewnątrz?

– Zewnątrz czego?

– Domu?

Żartowała. Na pewno żartowała. Prawda?

– Żartuje pani? – upewnił się, bo na jej twarzy nie było śladu uśmiechu. Najmniejszego. Niektórzy ludzie tak potrafią. Żartować z pokerową twarzą.

– A wyglądam, jakbym żartowała?

– Nie mam pojęcia, jak pani wygląda, kiedy pani żartuje.

– Na pewno nie tak! – Wskazała na swoją twarz. – Mam wtedy rozbawiony błysk w oku i rozluźnione rysy. Czy teraz mam błysk w oku i rozluźnione rysy?!

Tak po prawdzie jej oczy miały pioruny, a zaciśnięte gniewnie szczęki wskazywały raczej na spore napięcie.

– Nie wydaje mi się! – sama sobie odpowiedziała na pytanie. – Nie mogę siusiać,

wiedząc, że jest pan kilka metrów dalej!

– Obiecuję, że nie będę zaglądał!

– Ale będzie pan słyszał. Nie mogę siusiać w takich warunkach!

– Na pewno nie wyjdę z domu – zdenerwował się Tymek. – Mogę zejść do kuchni!

– No dobra, niech będzie kuchnia, ale wejdzie pan na górę, dopiero jak krzyknę, że można, OK?

Nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Po prostu wyszedł z pokoju. Lepsze to niż uduszenie żmii.

– Co za gbur... – syknęła zirytowana Zuza.

Wyjął piwo z lodówki. Przynajmniej nie musi się dzielić. Boże, spraw, żeby ten dom należał do mnie, a będziesz mnie widywał w kościele co niedzielę i obiecuję dawać na tacę dziesięć, a niech tam, dwadzieścia złotych za każdym razem.

Łyk zimnego piwa podziałął kojąco na skołatane nerwy Tymoteusza. Wywalę Ciepłik na zbity pysk i zapomnę o jej istnieniu, myślał. Nawet pomogę jej wynieść rzeczy za płot. A co tam, niech zna chamskie serce.

Piwo zniknęło szybciej, niżby sobie życzył. No cóż, to tylko półlitrowa butelka. Co druga niedziela też będzie dobrze, nie ma co przesadzać z tą pobożnością. Skoro Bóg jest wszędzie i wszystko wie, i tak nie da się zamydlić mu oczu owym nagłym nawróceniem.

– Dobra. Już. Ma pan gwoździe? – Zuza wparowała do kuchni i spojrzała na niego wyczekująco.

– Jeszcze nie poszedłem do samochodu po skrzynkę z narzędziami...

– Jasne... – mruknęła, rzucając wzgardliwe spojrzenie na opróżnioną butelkę piwa.

Boże, ostro się targujesz, ale przekonałeś mnie. Będę na mszy co niedzielę i we wszystkie kościelne święta, uroczyste przysięgł w myślach Tymoteusz Magnus.

Wszzechwiedzący Internet prawo własności do domu uzależniał od tego, jak szybko jej notariusz złożył dokumentację w tej sprawie. Hm, przeniosła wzrok znad telefonu na ogród. Umowę podpisywała dokładnie dwadzieścia pięć po ósmej rano. Spotkanie w kancelarii było umówione na godzinę ósmą, ale notariuszowi chwilę zajęło sprawdzenie ich dowodów osobistych, odczytanie aktu notarialnego i upewnienie się, że obie strony rozumiały, co podpisują. Zuza wolałaby opcję, że kto pierwszy podpisał umowę, ten wygrał, ale Internet upierał się przy tamtej wersji. Jej życie zatem zależało od kancelarii notarialnej. Wniosek o wpis do księgi wieczystej już dawno został złożony, przynajmniej notariusz zapewniał, że zrobi to tego samego dnia. Pytanie tylko, czy zrobił to, co obiecywał, i czy notariusz Magnusa to też taki Szybki Bill.

– Najwyższa istoto. Przysięgam, że zacznę się modlić, jeśli sprawisz, iż ten dom będzie należał do mnie. Albo chociaż daj mi wygrać w Dużego Lotka. Szóstkę. Bez kumulacji, nie jestem chciwa. Amen – zakończyła standardowo, nie wiedząc, jak ma zakończyć swoją pseudomodlitwę.

– Najwyższa istoto, jeśli jesteś mężczyzną – Zuza na wszelki wypadek postanowiła dodać małe uzupełnienie – obiecuję, że zacznę się odnosić do waszego gatunku z większym szacunkiem. – Uzmysłowiwszy sobie, że najwyższa istota może ją znać lepiej, niżby ona, Zuza, sobie tego życzyła, uściśliła: – Tak często, jak to tylko będzie możliwe. Amen.

Większość jej rzeczy znajdowała się w otwartych kartonach pod ścianą. Dokumenty przełożyła do zamykanej na szyfr walizki, gdzie schowała też laptop. Na regałach poukładała równo ręczniki, dzinsy, trochę bluzek i swetrów. Coś, co jej się przyda na kwietniową pogodę. Pomiedzy dwoma regałami, na sznurku, który znalazła w kuchni, umieściła wieszaki z marynarkami i garsonkami. Całość nie wyglądała dobrze, lecz na razie takie zagospodarowanie przestrzeni musi wystarczyć. Pościel ułożyła starannie na łóżku i przykryła kolorową narzutą. Zabrała kosmetyczkę i rzeczy na zmianę i ruszyła do łazienki z zamiarem wzięcia prysznic. Ale najpierw musiała zapukać do Magnusa i poprosić go o zejście na parter.

Zuza wyganiała go na parter za każdym razem, gdy chciała skorzystać z łazienki. Żałował, że nie miał materaca, który mógłby znieść na dół, by spać w kuchni. Zaoszczędziłby sobie nerwów i biegania po schodach. Wstyd się przyznać, ale jego kondycja pozostawiała wiele do życzenia, choć miał dopiero trzydzieści dwa lata. Za młody jest na zadyszkę. Teraz sam chciał poprosić Zuzannę o wyjście z domu.

Zdarzyło mu się kiedyś, jeden jedyny raz w życiu, że czuł się zawstydzony z powodu swoich potrzeb fizjologicznych. Było to wtedy, gdy matka przyłapała go na masturbacji. Miał wówczas piętnaście lat i modlił się o śmierć. Tym razem stało się coś gorszego. Znienacka dopadły go perturbacje jelitowe. Prawdopodobnie na tle nerwowym, bo przecież nie zjadł niczego, co mogło mu zaszkodzić. Pizza, którą wczoraj zamówili, nie powinna wywołać takich skutków ubocznych.

Smród unosił się w powietrzu i Tymek modlił się, by wstrętna woń nie wydostała się przez osłonę z koca. W panice rozglądał się po łazience. Może Zuzanna Cieplik zostawiła jakieś perfumy? Dezodorant? Odświeżacz powietrza?

Niestety, poza poźółkłą umywalką i odrapaną kabiną prysznicową niczego więcej nie było. Swoje kosmetyki zostawił w pokoju.

– Halo? – Usłyszał głos Zuzy. – Śpi pan tam?

– Rany boskie! Ja się zabiję! – W panice dopadł do okna i zaczął szarpać za zacinającą się klamkę.

– Przypominam, że idziemy do komisariatu!

– Kąpię się! – wrzasnął i szybko odkręcił kurki z wodą.

– W umywalce?! – Damski głos dolatywał spod łazienki.

– Najpierw golenie, potem kąpiel! Czy nie mam prawa do odrobiny prywatności?!

– Znów szarpał za klamkę okna, które w końcu z głuchym jękiem ustąpiło.

– Dobrze, dobrze, idę sobie! Tylko jest już szósta, a ja też muszę wziąć prysznic, umyć i wysuszyć głowę, zjeść śniadanie, wypić kawę, a o ósmej mamy być w komisariacie! Pospiesz się pan?!

– Im dłużej będzie pani tu stała, tym dłużej to będzie trwało!

– No dobra, ale... – Zuza pociągnęła nosem.

– Ale co?!

– Czuje pan?!

– Co takiego? – Gorąco zalało mu twarz i ramiona. Ze wstydu prawie zapadł się pod kafelki na podłodze.

– Jakby coś zdechło! Myśli pan, że tu mogą być szczury?! – Wzdrygnęła się

z odrazą.

– O Boże, niech mnie ktoś... – Przeciągnął palcem po szyi w odwiecznym geście oznaczającym podrzywanie gardła. – Nie! Nic nie czuję! – skłamał.

– Jeśli nam coś zdechło w ścianie, to ja się chyba...

– Jasna cholera! Czy mógłbym się spokojnie umyć?! – wrzasnął zdruzgotany Tymek.

– Dzikus! – odkrzyknęła Zuza, ale zgodnie z umową wycofała się na schody. – No proszę, wystarczy z kimś zamieszkać, a od razu wszystko wyjdzie. Teraz przynajmniej wiem, gdzie popełniłam błąd, jeśli chodzi o Cześka. Trzeba było z nim zamieszkać, ale nie! Wspólne mieszkanie dopiero po ślubie. Po co kupować krowę, jak ma się mleko za darmo – przedrzeźniała upomnienia rodzicielki. – Dzięki, mam, za moje stracone lata!

Tymek z ulgą słuchał jej oddalającego się głosu. Zuzanna coś tam jeszcze pomstowała, ale teraz liczyło się tylko jedno – jak najszybciej wywietrzyć łazienkę i... Wyjrzał zza koca. Nie było jej. Na paluszkach pognął do swojego pokoju i z dezodorantem w ręce wrócił do łazienki. Spryskał pomieszczenie wzdłuż, wszerz, a nawet w poprzek. Pociągnął nosem.

– No – odetchnął. Teraz dało się bezpiecznie wejść.

Spojrzał w lustro. Kiepska noc, kiepska twarz. Zmoczył włosy, umył zęby i zwolnił łazienkę. Prysznic brał wieczorem, więc rano postanowił go sobie darować. Do tego burczało mu w brzuchu z głodu. Umysł domagał się kofeiny, ale Tymek wolał nie ryzykować z kawą. Najlepiej, jak zje coś lekkiego, może jajecznicę? Nie, jajecznica chyba nie należy do lekkich dań. Wysilił pamięć. Ewelina często jadła jakiś kleik z płatków owsianych. Mówiła, że dobrze robi na jelita.

– Łazienka wolna – powiadomił siedzącą przy kuchennym stole dziewczynę.

Musiał przyznać, że wywiązywała się z umowy jak należy. On sam udawał, że schodzi, a jak się upewnił, że współlokatorka jest już w łazience, po cichutku wracał do siebie. Ani go grzało, ani ziębiło, co ona tam porabia. W chudzielcach nigdy nie gustował i nie zamierzał teraz zaczynać. A w ogóle miał dość kłopotów i bez tego.

– Dzięki. Szybko poszło. – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Spieszyło się pani.

– Fakt. To chyba... dzięki? – powiedziała.

– Ależ proszę bardzo – odparł uprzejmie.

Zdobył się nawet na lekki uśmiech, gdy go mijała w przejściu.

Wbiegła po schodach jak sarenka, a gdy tylko zbliżyła się do piętra, wciągnęła w nozdrza powietrze. Nic nie wyczuła.

– Hm... Może to było z dworu... – mruknęła i odsunęła koc na bok. – O matko! – jęknęła, zaciskając nos palcami. W czym on się kąpał?! W perfumach?! Szarpała za klamkę okna, które jak na złość się zacięło, na szczęście po dłuższej chwili ustąpiło ze zgrzytem.

– No nie – jęknęła, stanąwszy przed umywalką. Nie dość, że nachlapał jak przysłowiowe prosię, to jeszcze na lustrze była mapa białych kropek z pasty do zębów. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego wszyscy, myjąc zęby, niemalże wciskają nos w lustro, jakby nie wiedzieli, gdzie się znajduje szczeka.

Ciotka miała rację. Facet na przychodne – tak. Mężczyzna jako zwierzątko domowe – nigdy!

Z uznaniem przyglądała się współlokatorowi. W jasno-niebieskiej koszuli w drobną kratkę i dzinsach wyglądał całkiem porządnie. Ciemne, trochę przydługie włosy -zaczesał do tyłu, włożył okulary. Ciemny zarost pokrywał podbródek i policzki. Przysięgłaby, że mówił coś o goleniu. Jeśli nie miał na myśli twarzy, to co sobie ogolił?

– Moja siostra spotykała się kiedyś z facetem, który golił owłosienie na genitaliach – wystrzeżiła ni stąd, ni zowąd.

Zaskoczony Tymek puścił sprzęgło i silnik zgasł.

– Zawodowo?!

– Jak to, zawodowo? – zdziwiła się. – Własne owłosienie golił.

– Na... tego... no... na swoim... – Patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Przecież mówię. Golił sobie genitalia. Ze względów higienicznych. I żeby nic nie wystawało spod kąpielówek. Dużo pływał – wyjaśniła – a włos miał gęsty i gruby.

– Kobiety rozmawiają ze sobą o takich rzeczach?!

– No jasne. A mężczyźni nie?

– Nie znam nikogo, kto by golił swojego... no wie pani... – Na twarz wypłynął mu rumieniec. Zaczynał rozumieć swojego dziadka, który opowiadał o kobietach z czasów swojej młodości. Potrafiły się czerwienić. I nie rozmawiały o takich sprawach. Przynajmniej nie publicznie.

– Poza tym mężczyźni nie rozmawiają o swoich... genitaliach!

– Czyżby? – Wyraźnie mu nie dowierzała. – Chłopcy często porównują...

– Nie jestem chłopcem – przerwał jej szybko. – Lepiej porozmawiajmy o tym, co powiemy na komisariacie.

– Jak to co? Prawdę. Że kupiliśmy dom razem, ale osobno, aczkolwiek w tym samym czasie i nie wiedząc o swoim istnieniu. Coś pominęłam?

– Owszem. Że padliśmy ofiarą oszustwa!

– Jedno z nas na pewno – przyznała mu rację Zuza.

Spojrzał na nią badawczo. Co ona chciała przez to powiedzieć? Dlaczego tylko jedno z nich? Zostali oszukani oboje. Jeśli Internet mówi prawdę, to kwestię, które jest pokrzywdzone, rozstrzygnął już dawno jeden z notariuszy, sam o tym nie wiedząc. Ale Sroka chciał oszukać ich oboje, a nie tylko jedno z nich.

– Jedziemy czy czekamy, aż policyjny jasnowidz przyśle do nas detektywa? – spytała kąśliwie Zuza, gdyż Tymoteusz wyglądał, jakby się zawiesił w czasie i przestrzeni.

– W polskiej policji nie ma detektywów – stwierdził Tymoteusz, po czym ponownie uruchomił silnik i ruszył z miejsca.

– Tak? A kogo tam mamy?

– Nie wiem. Nie interesowałem się. Inspektorów? Komisarzy?

– A który jest wyższy stopniem?

– Co za różnica?!

– Dla mnie żadna, ale jak kiedyś z przyzwyczajenia powiedziałam do mojego poprzedniego szefa „panie kierowniku”, bo wyleciało mi z głowy, że go awansowali na

zastępcę dyrektora, to omal mnie nie wylał. Mężczyźni są strasznie przeczulenii na punkcie swojego ego. Na uczelni natomiast...

– Proszę, czy możemy posłuchać radia?

– Och... – spieszyła się. Chyba go uraziła. – No wie pan, nie wszyscy muszą kończyć studia. To żaden wstyd...

– Błagam. Cisza. Choć przez kilka minut!

– Jak pan sobie chce, ale właśnie to miałam na myśli. Mężczyźni są przewrażliwieni! – Odwróciła się w stronę okna i zaczęła oglądać miasto, które odtąd miało być jej domem.

Tymek spoglądał z ukosa na przechodzących korytarzem policjantów. Poza tymi w dyżurce nie zauważył żadnego umundurowanego funkcjonariusza. Mijający go stróże prawa nosili codzienne ubrania – dżinsy, marynarki, swetry – a u niektórych w kaburach dostrzegł broń, wszyscy zaś mieli odznaki przypięte w widocznych miejscach lub zawieszane na szyi. Tymoteusz i Zuzanna siedzieli już kwadrans pod drzwiami numer dwanaście, gdzie ich zaprowadzono i kazano czekać.

Komisariat nie był duży, zaledwie piętrowy. Nie należało się sugerować wielkością, ale Tymek obawiał się, że wydział kryminalny składa się z półtorej osoby i połowy komputera. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z policją – nie licząc kontroli drogowych – i kierował się powszechnymi opiniami, narzekaniami i stereotypami, ale przecież więzienia są pełne ludzi, a jeszcze więcej czeka latami w kolejce na własne miejsce w celi, więc – logicznie rzecz biorąc – ci skazani muszą się tam skądś brać. Krótko mówiąc – policja działa.

I tego będę się trzymał, postanowił.

– Chyba za wcześnie przyjechaliśmy – szepnęła Zuza.

– Dlaczego za wcześnie? – nie rozumiał. Popatrzył na nią pytająco.

– Jeszcze nie zjedli śniadania i...

– Dziękuję, śniadania jadam w domu – zabrzmiał nad nimi tubalny głos.

Tymek podskoczył nerwowo, Zuza skrzywiła się i zamknęła oczy. Oczywiście, zawsze musi z czymś wyskoczyć nie w porę.

– Kawy z rana nie piję, bo szkodzi mi na żołądek, a herbaty chyba mi pani nie pożałuje? – Podkomisarz Wojciech Rurzycki przez u otwarte i rz uśmiechał się kpiąco.

– Pani Ciepik nie zamierzała nikogo urazić – pospieszył z zapewnieniem Tymek.

– To nerwy.

– Nie jestem histeryczką! – zaprotestowała Zuza. Otworzyła oczy i wbiła pełen nienawiści wzrok w swojego niechcianego obrońcę. – Mam prawo okazywać emocje!

– Oczywiście, że tak...

– A my to się chyba znamy? – Rurzycki przerwał rozpoczynając się kłótnię.

– Jasne, ciekawe skąd?! – Odwróciła się na pięcie i wreszcie spojrzała na stojącego za nią policjanta.

– O istoto najwyższa! – jęknęła z rozpaczą. – Drwal!

– Drwal? – zdziwił się. – Nie, podkomisarz Rurzycki. Rzuciła pani we mnie walizką.

– Zaatakowała pani policjanta?! – zawołał z niedowierzaniem Tymek.

– Nikogo nie zaatakowałam! Walizka sama spadła!
– Na moje plecy.
– Jakby pan jej nie szarpał, toby na pana nie spadła! To nie była moja wina!
– Jak to możliwe? – zdumiał się Tymek. – Szarpał pani walizkę od tyłu?
– Co takiego? – Nie rozumiała. – Dlaczego od tyłu?
– Bo jakim cudem mogła spaść komuś na plecy, skoro ręce są z przodu?
– No widzi pan! – ucieszył się Rurzycki. – Też tak uważam, ale ta pani sądzi, że Bóg mnie pokarał za pomocą jej walizki.

Zuza zasznurowała usta. Była w mniejszości. Do tego – znając jej szczęście – to on będzie się zajmował jej sprawą. Instykt samozachowawczy wyświetlił wielki neonowy napis: PRZEPROŚ PRZEPROŚ PRZEPROŚ!!!

– Jestem skłonna uznać, że doszło do niezawinionego wypadku – wydukała po chwili, przywołując na twarz uśmiech numer cztery – jestem tylko małą dziewczynką, chyba pan się nie gniewa.

– Nie może pani po prostu przeprosić? – syknął Tymek.

– Chyba właśnie to zrobiłam – stwierdziła z irytacją, posyłając mu połowiczny uśmiech numer dwa, zawierający wyłącznie politowanie.

– Jestem skłonny uznać przeprosiny – wtrącił rozbawiony Rurzycki. – A teraz zapraszam państwa do biura. – Otworzył drzwi pokoju numer dwanaście i gestem zaprosił oboje do środka.

Wskazał na krzesła pod ścianą, a sam usiadł przy biurku. Zuza rozejrzała się ciekawie. Pierwszy raz z tak bliska widziała komisariat. Ściany były pomalowane jasnożółtą farbą, w pokoju stały drewniane szafki na dokumenty oraz dwa biurka, połączone w jedno, a na nich dwa monitory zwrócone tyłem do siebie. Do tego dwa obrotowe fotele i dwa krzesła nieobrotowe, na których zasiedli z Magnusem, a także szeroki parapet służący jako aneks kuchenny, wnioskując z ustawionego tam czajnika elektrycznego i kubków.

Chyba czas przestać narzekać na kąciki socjalne w biurach, pomyślała. My mamy przynajmniej pokój, lodówkę, stolik i kilka krzeseł, a nie tylko marny parapet. Właściwie to pomieszczenie socjalne w jej poprzednim miejscu pracy było większe niż to biuro. Ciekawe, co ją czeka w nowym miejscu.

– Zaczynajmy. – Rurzycki przestał się uśmiechać. – Dowody osobiste poproszę. Zuzanna Cieplik i Tymoteusz Magnus – przeczytał i porównał twarze widoczne na zdjęciach z twarzami osób siedzących w jego biurze. Wszystko się zgadzało. Westchnął ciężko i siląc się na współczucie, zapytał: – Hieronim Sroka sprzedał państwu dom, zgadza się?

– Tak – potwierdził Tymoteusz.

– Nie – zaprzeczyła szybko Zuza.

– Jak to nie? – zdziwił się jej towarzysz.

– Nie sprzedał nam obojgu, tylko każdemu z nas z osobna. Nie mieliśmy pojęcia o swoim istnieniu do chwili spotkania się w nowo nabytym domu – uściśliła.

– Właśnie to powiedziałem – zauważył Rurzycki.

– Może pan tak pomyślał, ale sposób, w jaki pan to powiedział, zawierał sugestię,

że nabyliśmy dom wspólnie, a to nieprawda. Każde z nas kupiło dom w przekonaniu, że transakcja jest uczciwa. A nie była. Przynajmniej nie dla jednego z nas.

– Właściwie, jak tak to ująć, to pani Cieplik ma rację. Jedno z nas jest pokrzywdzone w tej sprawie. – Tymek po chwili wahania przyznał rację Zuzie. Była upierdliwa, tym razem jednak ta jej cecha mogła się przydać.

– Czyli państwo nie wiecie, które z was jest właścicielem, a które nie? – uściślił podkomisarz.

– Nie. – Tym razem odpowiedzieli zgodnie.

– Proszę się udać do adwokata. Policja w tej sprawie nie pomoże. Będziemy prowadzić sprawę przeciwko Hieronimowi Sroce o oszustwo. Kwestię własności domu rozstrzygnie...

– Wpis w księdze wieczystej – dopowiedziała Zuza.

– Internet – wyjaśniła, gdy Tymoteusz spojrział na nią pytająco.

– I tak radzę się udać do prawnika – wtrącił się Rurzycki. – Bez dobrego specjalisty się nie obejdzie. A teraz, wracając do sprawy karnej. Nie mogę przesłuchać państwa jednocześnie, zatem pana poproszę na korytarz. Zaraz przyjdzie kolega i przesłucha pana odrębnie.

– Przecież my jesteśmy w tej samej sprawie – zdumiał się Magnus.

– Przepisy. – Komisarz Rurzycki nie zamierzał się wdawać w wyjaśnienia.

– To może ja zaczekam na korytarzu? – zaproponowała nieśmiało Zuza.

– Dlaczego? – Policjant ukrył uśmiech rozbawienia i wbił spojrzenie bladoniebieskich oczu we współpasażerkę z przedziału. Widać było wyraźnie, że wolałaby być wszędzie, byle nie tu.

– Chyba nie powinno się prowadzić spraw osób, które się zna? – zasugerowała z bladym uśmiechem numer cztery.

Chwył „na małą dziewczynkę” nie zadziałał. Komisarz Rurzycki zapytał z powagą:

– Naprawdę uważa pani, że przelotne spotkanie w pociągu można nazwać znajomością?

– Nie użyłabym określenia „znajomość”, ale okoliczności naszego poznania się były dość niefortunne i...

– Uważa pani, że nie będę obiektywny, bo rzuciła pani we mnie walizką?

– Tego nie powiedziałam! I niczym nie rzuciłam! Wszystko to jest jednym wielkim nieporozumieniem i... Właściwie nie mam żadnych obiekcji. Chce pan prowadzić sprawę, proszę bardzo – poddała się w końcu.

Seria syknień dochodzących od strony Tymoteusza uzmysłowiła dziewczynie, że wdawanie się w utarczki słowne z policjantem, którego nietykalność cielesną się naruszyło, a od którego może zależeć jej, Zuzanny, stan majątkowy, nie jest rozsądne.

– O, komendant się ucieszy, że nie ma pani nic przeciwko rozdzielaniu spraw między jego podwładnych – obwieścił z powagą Rurzycki.

Tymek przysięgłby, że policjant dobrze się bawi. Trudno go było za to winić. Zuzanna musiała dać mu się we znaki, ale są sprawy ważne i ważniejsze. Ta należała do tych drugich.

– Zaczekam na korytarzu – powiedział stanowczo. – Dziękuję panu za poświęcony

mi czas. Do widzenia. – Rzuciwszy swej towarzysce jeszcze jedno miazdzące spojrzenie, wyszedł.

Zuza spoglądała za nim oczami zranionej sarny. Tak po prostu zostawił ją na pastwę drwała?!

– Możemy zacząć? – zapytał Rurzycki bardziej przyjaznym tonem.

Pani Ciepłik wyglądała na tak nieszczęśliwą, że nie miał serca jej dokładać, mimo że sama go prowokowała do utarczek słownych. Ogromne dłonie spoczęły na klawiaturze, a dziewczyna przeniosła na nie wzrok.

– Trafia pan we właściwe klawisze? – wyrwało jej się nagle.

– Jeśli pyta pani, czy potrafię pisać, to tak.

– Och, nie... – Spłoszyła się. – Nie to miałam na myśli. Ma pan tak ogromne ręce, a klawisze są tak małe, że... Chyba będzie lepiej, jak przestanę mówić...

– Pani Ciepłik, my tu nie bijemy ludzi.

– Nie...? Oczywiście, że nie!

– I nie zastraszamy.

– Oczywiście, że nie... A właściwie dlaczego nie? – spytała nieoczekiwanie.

– Dlaczego nie zastraszamy ludzi?! – zdumiał się Rurzycki.

– No właśnie. Jak wydobywacie zeznania z tych wszystkich kryminalistów? Przecież nie zgłaszają się sami dręczeni wyrzutami sumienia, czyż nie? Taki Sroka na przykład. Powinien przynieść moje pieniądze w zębach i pomachać ogonem!

– Pani Ciepłik, ja zbieram dowody i mam w głębokim poważaniu, czy delikwent mi się przyzna czy też nie. Zeznania zawsze może zmienić, a dla sądu liczą się przede wszystkim fakty. My tu pracujemy, pani Ciepłik. Rozumiemy się?

Gorliwie pokiwała głową.

– Dobrze. Więc zacznijmy od początku. Imię i nazwisko?

No nie, to chyba jakiś kiepski żart! Omal nie wybuchła, ale z zaciśniętymi zębami wycedziła:

– Zuzanna Ciepłik.

– Urodzona?

Nie, znaleziona w kapuście! Oczywiście, że urodzona!

– Pani data urodzenia, pani Ciepłik – ponaglił ją podkomisarz.

Godzinę później podpisała protokół, który Rurzycki najpierw głośno jej odczytał w wersji elektronicznej, a potem kazał jeszcze sprawdzić papierową.

– I tak uważam, że powinien pan napisać, że to zapchlona menda, kanalia i mamuci wypierdek – powiedziała, odkładając na bok długopis.

– Pani Ciepłik, może sobie pani kłąć na Srokę, ile wlezie, jak nikt nie słyszy. Nachodzi się pani po sądach, żeby odzyskać swoje pieniądze, na co pani jeszcze jakaś sprawa o naruszenie dóbr osobistych czy jak to tam nazywają adwokaci – doradził.

– Dobra osobiste to ja mu naruszę, jak go dorwiecie – zagroziła gniewnie. – I dlaczego napisał pan, że jestem świadkiem, a nie pokrzywdzoną?! Czuję się pokrzywdzona jak jasna cholera!

Rurzycki z rozbawieniem pokręcił głową. Nie zazdrościł kobiecie kłopotów finansowych, w które wpadła, i zamierzał zrobić wszystko, co możliwe, by dopaść

oszusta, nim ten wyda wyłudzone pieniądze. Niemniej momentami trudno było traktować ją z powagą.

– Ponieważ w chwili obecnej nie mam pojęcia, kto z was legalnie kupił nieruchomość. Niewykluczone, że właśnie pani. Jeśli tak, nie będzie pani osobą pokrzywdzoną w tym postępowaniu, lecz świadkiem. Rozumie pani?

– Oczywiście, że rozumiem, ale i tak czuję się pokrzywdzona samym faktem, że zostałam wplątana w coś takiego.

– Jeśli zaś pani nie jest właścicielką, pani status ze świadka zmieni się na osobę pokrzywdzoną, czego osobiście pani nie życzę.

– Dziękuję. – Pociągnęła nosem.

Wyjęła chusteczkę z kieszeni i przytknęła ją do nosa. Spanie przy otwartym oknie nie było dobrym pomysłem. Teraz ciekło jej z nosa.

– Panie komisarzu, ten policjant, co przyjechał, jak dzwoniłam, że zostałam napadnięta przez włamywacza...

– Tak? – Zacisnął zęby, żeby nie parsknąć. Dziś na odprawie wszyscy płakali ze śmiechu, gdy Azurek opowiadał o interwencji. Zuzanna Cieplik zamknęła Magnusa w jego własnym domu, do którego były dwa wejścia. Niby nic śmiesznego, ale jeśli opowiedzieć to w odpowiedni sposób...

– Powiedział, że Sroka to oszust matrymonialny. Siedział za to, że się nie ożenił, chociaż obiecał, czyż nie?

Rurzycki wzdrygnął się lekko. Na szczęście nikt nie wpadł na to, by uczynić taką rzecz karalną. Jeszcze by tego brakowało. Sam byłby wówczas przestępcą. Ale nie jego wina. Pijany był, jak się oświadczał, a i jego wybranka nie była zbyt trzeźwa. Na szczęście rano nic nie pamiętała, on zaś się nie wychylał.

– Wyłudził od kilkunastu kobiet pieniądze i zniknął – powiedział z niechęcią, zastanawiając się, czy przypadkiem nie narusza teraz przepisów o ochronie danych osobowych albo jakichś innych.

– Jak mu się to udało? – zdumiała się dziewczyna.

– Wcisnął im bajeczkę o chorej matce, babce, kuzynce i...

– Nie, nie. Nie o to mi chodzi. W dziesięciostopniowej skali męskiej urody dałabym mu z pięć na minusie!

– No i jak mam pani odpowiedzieć na to pytanie? Niektóre kobiety są tak...

– Naiwne?

Nie umknął mu cień zgryźliwości w głosie znajomej z pociągu.

– Samotne – dokończył ze spokojem. – Są tak samotne, że chcą wierzyć nawet wówczas, gdy czują, że coś nie gra.

– Wierzyć w co?

– W drugiego człowieka.

Powiedział to tak poważnie i współczująco, że się poddała. Nie powinna komentować głośno postępowania innych ofiar, bo sama jest jedną z nich. Tylko na tle finansowym.

– Co teraz będzie? – zapytała.

– Będziemy w kontakcie – rzucił zdawkową formułkę.

– Ale mam prawo się dowiadywać, co się dzieje w mojej sprawie? – zapytała zdenerwowana. Drwał ją zbywał. Doskonale знаła formułkę „Proszę nie dzwonić, my zadzwonimy do pani”.

– Nie, ponieważ nie jest pani pokrzywdzoną w sprawie, tylko świadkiem. – Wiedział, że zaraz nastąpi eksplozja, ale nie miał zwyczaju okłamywać ludzi. No, przynajmniej tych uczciwych. Wprowadzanie przestępcy w błąd, by uzyskać dowody, nie jest kłamstwem, tylko metodą śledczą.

Zuza przełknęła całą litanię protestów, którą już miała na ustach. Instynkt samozachowawczy, choć z opóźnieniem, ale zaczął działać. Szkoda, że siedział cicho, jak kupowałam ten dom, pomyślała zgryźliwie.

– Rozumiem. Jak awansuję na pokrzywdzoną, będę miała prawo do informacji, a jak pozostanę świadkiem, to informacje nie będą mi do niczego potrzebne.

Phi, też mi logika, pomyślała z odrazą. Wszyscy naginają przepisy, jak się da, ale gdy jesteś nie z tej strony prawa, co byś chciał, to figa!

– Zgadza się. – Z trudem ukrył westchnienie ulgi.

Mała kobietka potrafiła być kłopotliwa, gdy tego chciała. Sądząc po buntowniczym błysku w jej oku – bardzo chciała, lecz na szczęście dla nich obojga zdołała się opanować.

Właściwie nie jest taka niska, pomyślał, gdy Zuzanna wstała. To przy nim wszyscy są mali. Miał sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i wbrew powszechnemu stereotypowi nie potrafił grać w koszykówkę ani w siatkówkę. Komendant musiał zadzierać głowę, gdy zamierzał go opieprzyć, co już na starcie niweczyło każdy plan zrównania podwładnego z ziemią. I nie był też drwalem, chociaż to skojarzenie uznał za ciekawsze niż pospolite kpiny kolegów, że okazał się za niski do NBI.

– A z mojego punktu widzenia lepiej być świadkiem niż pokrzywdzoną.

– O niebo lepiej – potwierdził, uśmiechając się z sympatią. Ta Cieplik była zabawna...

– I tak się wszystkiego dowiem! – syknęła.

...gdy go nie wkurzała.

Niezadowolony Tymoteusz czekał na Zuzannę w poczekalni na parterze. Przesłuchanie trwało prawie godzinę i teraz czuł się niemal jak przestępca, który sam siebie oszukał, by zakpić z organów ścigania, chociaż te mają ważniejsze rzeczy do roboty niż łapanie pospolitych przestępców.

– Jest pani wreszcie – powiedział z ulgą, gdy Zuzanna pojawiła się w drzwiach.

– Jak to, wreszcie? Myśli pan, że co robiłam? Popijałam kawkę z uprzejmym policjantem?

– Raczej obawiałem się, że została pani aresztowana za zawracanie im głowy błahostkami. – Tymek nie dał się wyprowadzić z równowagi.

Powoli zaczął przywykać do obcowania z osobą zaburzoną emocjonalnie. Nawet trochę się sobie dziwił, że wcześniej go to irytowało. Może wariactwo jest zaraźliwe?

– Więc pana też tak potraktowali? – zapytała ze współczuciem.

Cała złość momentalnie z niej wyparowała. A przynajmniej zmieniła kierunek.

– Byle jak?

Pokiwała głową.

– Właściwie tak – przyznał. – Spadamy stąd? – Wzdrygnął się lekko, gdy po kręgosłupie przeszedł mu nieprzyjemny dreszcz. – To miejsce działa mi na nerwy.

– A mnie drwale działają na nerwy. – Zuza zmarszczyła nos, jakby poczuła nieprzyjemny zapach.

– Nie najlepiej pani zaczęła znajomość z tym policjantem – zauważył w drodze do auta.

– No wiem, chociaż potem się poprawiłam. Ten Rurzycki nawet starał się być miły, ale dał mi do zrozumienia, że spraw mają na pęczki, a nasza nie jest najistotniejsza.

– Mój policjant potraktował mnie tak, jakby się dziwił, że sam nie dokonałem na sobie zatrzymania obywatelskiego.

– Niby za co?!

– Za głupotę.

– Tak powiedział?!

– Głośno nie, ale tak się czułem. Jak ostatni idiota. – Magnus uruchomił silnik i wyjechał z parkingu.

– W takim razie drwal nie był taki zły – uznała Zuzanna.

– Dlaczego nazywa go pani drwalem?

– A nie wygląda? Zaraz, zaraz, dokąd pan jedzie? Przyjechaliśmy z tamtej strony!

– Do adwokata. Ktoś musi nam powiedzieć, na czym stoimy.

– Skąd pan wie, gdzie jest adwokat? – zapytała nieufnie.

– Czekalem na panią prawie kwadrans. Sprawdziłem w Internecie – wyjaśnił.

– Aha, no tak... Umówił się pan?

– Nie, liczymy na szczęście.

– Czy nie powinnam mieć własnego adwokata? – zastanawiała się głośno Zuza.

– Chce mnie pani podać do sądu?

– Pana? – zdziwiła się. – Nie.

– Więc wystarczy nam jeden. Chodzi tylko o poradę prawną – stwierdził stanowczo Tymoteusz.

Jego towarzyszka tylko skinęła kudłatą głową. Tymek zerknął na nią szybko. Poznali się zaledwie wczoraj. W okolicznościach, które powinny zrobić z nich wrogów na całe życie. Zuzanna potrafiła dać w kość, a jej nastroje były tak zmienne, jak kolory u kameleona. Dziś czuł, że stanowią drużynę. Razem siedzą w bagnie, w które wpakował ich Sroka.

– Pani Zuzanno... – zaczął z wahaniem.

– Tak?

– Nasza umowa jest aktualna?

– Umowa?

– O zamieszkiwanie. Nieważne, do kogo należy dom, to drugie będzie mogło jakiś czas z niego korzystać. Krótki czas, rzecz jasna. Nie będę się narzucał, jeśli o mnie chodzi. Po prostu... – Odetchnął głęboko. – Po prostu potrzebuję czasu na pomyślniek.

– Rozumiem – odpowiedziała powoli, dziwiąc się własnym uczuciom.

Nic nie zbliża ludzi bardziej niż wspólne nieszczęście. Albo dzieli. Taki Czesiek na przykład od razu zrzuciłby winę na nią, a gdyby byli małżeństwem, natychmiast by się

rozwiódł.

– Oczywiście, że tak. Umowa obowiązuje. Ja też zapewniam, że nie będę się narzucać dłużej niż to konieczne.

Tymek wyciągnął rękę, a Zuza bez wahania ją uściśniła. Umowa została zawarta.

Kancelaria mieściła się w odnowionej kamienicy na rynku. Drewniane schody skrzypiały, gdy wchodzili na pierwsze piętro. Obok dwuskrzydłowych drzwi zamieszczona była tablica informacyjna – Kancelaria Adwokacka Bartłomiej Szyszkowski.

– To tutaj – oznajmił Magnus, jakby sama nie potrafiła czytać.

– Czyżby? – W tym jednym słowie zawierała się miazdząca ironia. Tylko mężczyźni mogą informować o rzeczach oczywistych.

Zuzanna nacisnęła klamkę i weszła pierwsza. Znaleźli się w sekretariacie. Za biurkiem siedziała kobieta około czterdziestki, elegancko ubrana. Właśnie rozmawiała przez telefon. Zaprosiła ich ruchem ręki, by usiedli na fotelach pod ścianą. Zuza bez słowa zajęła wskazane jej miejsce, Tymek trochę się ociągał.

– Na co pan czeka? – syknęła, klepiąc miejsce obok siebie.

– Jak postoję, to może szybciej skończy – odszepnął.

– Przecież to rozmowa służbowa. Czasy, gdy sekretarki w pracy piłowały paznokcie i plotkowały przez telefon, dawno minęły. No już, niech pan siada! – poleciła. Magnus z niechęcią usiadł obok niej. – Gdybyśmy byli na ty, nazwałabym pana seksistowskim bucem. – Nie mogła się powstrzymać, by mu nie dociąć.

– Czemu pani tak jej broni?

– Bo kiedyś też pracowałam jako sekretarka czy też sekretarko-asystentka i dobrze wiem, ile ma się roboty i o ilu rzeczach trzeba pamiętać. Zapewniam, że paznokcie piłowałam w domu.

– To wszystko przez te filmy – usprawiedliwiał się zawstydzony Tymoteusz.

– Wybaczam. Ja też podejrzewałam pana o alkoholizm, branie udziału w zawodach plucia na odległość i łacinę podwórkową jako język ojczysty – szepnęła. – No co? – Uśmiechnęła się zawadiacko, gdy spojrzał na nią z oburzeniem. – Stereotyp potrafi przesłonić człowiekowi obiektywizm.

– Widzę, że humor pani dopisuje – burknął zgryźliwie, odwracając zażenowany wzrok od sekretarki, która w tym momencie wbiła weń surowe spojrzenie, jakby właśnie przyłapała go na popijaniu, pluciu i przeklinaniu.

– Reakcja obronna organizmu – wyjaśniła spokojnie Zuza. – W pracy włącza mi się autyzm. Nic mnie nie rusza. Nawet jak przyłapałam szefową z facetem w biurze – a nie był to jej mąż – powiedziałam tylko: „Dokumenty, o które pani prosiła, zostawiłam w sekretariacie. Życzę miłego weekendu”. I wyszłam.

– Nie pili kawy?

– Nie, nie pili – zachichotała. – Wyszłam z biura jak automat. Dopiero w tramwaju dostałam takiego ataku śmiechu, że przejechałam dwa przystanki.

Tymek nie mógł powstrzymać chichotu.

– No a w poniedziałek przenieśli mnie do innego działu – dokończyła z humorem.

– Wywalila panią? – Zmarszczył gniewnie brwi.

Jego ojciec kochał westerny, w których samotny rewolwerowiec przyjeżdża do miasteczka i ratuje wszystkie damy z opresji, nawet te z domu publicznego, więc jako dziecko Tymoteusz zamiast Smerfów oglądał Johna Wayne'a, efekt był taki, że stanowił relikwiarz dawnych czasów, gdy podnosiło się leżące, a nie jeszcze dokładało mu kopniaka w tyłek.

– Nie, awansowała. Jej mąż był właścicielem firmy. – Spojrzała na niego znacząco.

– Aha... – Podrapał się po głowie. Nic dziwnego, że ten Sroka przerobił go jak pierwszorocznika.

– Babsko cwane jak wszyscy diabli, a ja jestem naiwna jak dziecko – powiedziała Zuza, wzdychając ciężko. – Żeby ten Sroka tak mnie nabrał. Za bardzo wierzę ludziom.

– Ja chyba też... – przyznał z niechęcią. – Zacząłem kupować mieszkania, żeby je remontować, po tym jak kilka razy musiałem sędownie domagać się wypłaty wynagrodzenia za prace remontowe. Uznałem w końcu, że wolę remontować dla siebie, bo sam się nie oszukam, a potem sprzedawać.

– No tak... Mój pomysł na życiową zmianę skończył się w kancelarii adwokackiej i z długami... To najgorszy pomysł od czasu...

– Państwo w jakiej sprawie? – Kobieta zakończyła rozmowę i podeszła do nich z uśmiechem.

– Potrzebujemy porady prawnej – powiedziała Zuzanna.

– Nie jesteśmy umówieni, ale może pan mecenas Szyszkowski znajdzie dla nas chwilę? – zapytał Tymoteusz.

– Mecenas Szyszkowski jest teraz w sądzie. Ale chętnie państwu pomogę. Zapraszam do gabinetu.

– Proszę wybaczyć, ale potrzebujemy porady prawnika – stanowczo oświadczył Tymeck.

– Och, nie przedstawiłam się, Joanna Malicka, adwokat. Nasza sekretarka jest na chorobowym i mamy urwanie głowy. – Podała im obojgu rękę i dodała z szerokim uśmiechem: – Oczywiście, jeśli wolą państwo rozmawiać z mecenasem Szyszkowskim, to zaraz sprawdzę jego terminarz i...

– Nie ma takiej potrzeby – przerwała jej Zuza. – Nie jesteśmy klientami pana Szyszkowskiego. Po prostu potrzebujemy porady prawnej i jedno z nas z pewnością będzie potrzebować adwokata, ale...

– Przepraszam, że przerywam, bo jeśli państwo w sprawie rozwodu, to nie możecie korzystać z usług tego samego adwokata. To byłby...

– Skąd! – zaprotestował ze wzburzeniem Magnus. – Poznaliśmy się dopiero wczoraj. Nie zdążylibyśmy się pobrać, a co dopiero mówić o rozwodzie.

– Rozumiem... – odrzekła mecenas Malicka profesjonalnym tonem, ale wyglądała na zaintrygowaną.

– Nikogo nie zabiliśmy ani nie popełniliśmy przestępstwa. – Zuza nie mogła powstrzymać uśmiechu. Widać było, że tego typu myśli krąży po głowie pani mecenas. – Nazywam się Zuzanna Cieplik. To Tymoteusz Magnus. Oboje kupiliśmy ten sam dom, nie mając pojęcia o swoim istnieniu. Już zgłosiliśmy sprawę na policji, ale nie wiemy, które z nas jest właścicielem.

– W takim razie zapraszam do mnie. Mają państwo przy sobie jakieś dokumenty? Akty notarialne? – pytała Malicka, gdy szli do gabinetu.

Tymoteusz zerknął szybko na drzwi. Figurowała na nich tabliczka z imieniem i nazwiskiem prawniczki. Nie był seksistą, ale po ostatnich przejściach dźwięczały mu w uszach stwierdzenia typu solidarność jajników i tym podobne. Dosyć. Jest dorosły i musi myśleć jak dorosły. Nie może kierować się emocjami, bo to się źle kończy. Emocje dla mężczyzny zawsze są niebezpieczne, zwłaszcza te związane z kobietami. Dlatego niektórzy faceci piją, a przynajmniej tak mówił jego ojciec. On sam uważał, że dla pijaka każdy powód dobry.

– Hej? – Zuza trąciła go łokciem, gdy Malicka po raz drugi poprosiła o akt notarialny, a ten siedział ze wzrokiem tępo skierowanym w przestrzeń przed sobą.

– Przepraszam, o co pani pytała?

– O pański akt notarialny – z irytacją odpowiedziała zamiast niej Zuza. – A niby po co tu przyszliśmy?

– Rozumiem, że to dla państwa trudne, ale proszę o zachowanie spokoju.

– Sprawdzaliśmy w Internecie, czy ktoś miał do czynienia z podobną sytuacją. Podobno liczy się nie data podpisania aktu, lecz szybszy notariusz – powiedział Tymek, podając jej dokumenty.

– To nie Dzik Zachód, a nasi notariusze to nie rewolwerowcy, ale – potocznie rzecz ujmując – tak, liczy się najszybszy notariusz. Czyj akt notarialny został złożony w sądzie pierwszy, tego wpis znajdzie się w księdze wieczystej.

– Czy można pozwać notariusza, który złożył wniosek później? – zapytał z nadzieją Tymek.

Przecucie mu mówiło, że w razie potrzeby komornik będzie miał co zająć notariuszowi, a Sroce – niekoniecznie. No i najpierw trzeba go znaleźć, notariusz zaś jest na miejscu.

– Rozumiem państwa nastawienie, ale nie. Zakładam, że notariusz działał w dobrej wierze, złożył wniosek w określonym przepisami terminie, zatem winowajca jest tylko jeden i jest to pan... – Zerknęła w dokumenty. – Hieronim Sroka.

– Więc które z nas jest właścicielem? – zapytała Zuza.

– Nie potrafię państwu odpowiedzieć. Musimy złożyć do sądu wniosek o wypis z księgi wieczystej. Wtedy dopiero uzyskamy pewność.

– No jasne – jęknął Tymek. Powinien sam na to wpaść, a teraz będzie trzeba jej zapłacić za powiedzenie rzeczy oczywistej. – No tak... – Ludzie zawsze szukają wydumanych rozwiązań, a one często sobie leżą i czekają, aż ktoś się o nie potknie.

– Drugie z państwa może dochodzić zwrotu pieniędzy w drodze postępowania cywilnego. Nie widzę przeszkód, by nasza kancelaria zajęła się tą sprawą.

– Jasne...

– Naturalnie...

– Jeszcze dziś złożę wniosek i... – zapewniła ich Malicka.

– Jak długo... – zaczęli oboje, ale prawniczka, nie podnosząc głosu, po prostu dokończyła swoją myśl: – I poproszę o wgląd do księgi wieczystej. Jutro z samego rana będziemy znali odpowiedź, jednak na wypis będą musieli państwo kilka dni poczekać.

– Dlaczego... – znów zaczęli oboje, lecz kobieta zdawała się czytać w ich myślach, gdyż znowu odpowiedziała, nim skończyli pytanie: – Za pół godziny mam rozprawę, tak więc, niestety, będę mogła zajrzeć do książek dopiero jutro. Ale zrobię to z samego rana i natychmiast do państwa zadzwonię. Jeśli państwo się zgadzają na takie rozwiązanie, wydrukuję pełnomocnictwa i poproszę o podpisy.

– I co dalej? – zapytał Tymoteusz, gdy oboje zajęli miejsca w jego samochodzie.

– Muszę się rozpakować, kupić jakieś meble, na początek używane, a potem rozejrzeć za firmą budowlaną, która robi mi remont. W poniedziałek idę do nowej pracy, ale najpierw zakupy spożywcze, bo muszę coś jeść – odpowiedziała jego towarzyszka.

– Kpisz sobie ze mnie?

– Raczej z siebie. Teraz jedyne, co zostało z mojego planu, to nowa praca i zakupy spożywcze, bo muszę coś jeść. Ale zaraz, zaraz... Od kiedy to jesteśmy na ty? – ziry-towała się Zuza.

– Samo wyszło, ale co w tym złego? Tymek. – Wyciągnął do niej dłoń, na którą Zuza spojrziała z takim obrzydzeniem, jakby nie mył rąk po wyjściu z toalety.

– Nie zamierzam się spoufalać – oświadczyła i z godnością pociągnęła nosem, jeśli coś takiego w ogóle jest możliwe. Sama nie wiedziała, skąd ma ten szkaradny obyczaj, ale nie mogła się go pozbyć już od dzieciństwa. To pociąganie nosem zostanie jej do późnej starości.

– Spoufalać? – Patrzył na nią, jakby właśnie wyszła z latającego spodka, a jej uszy, zakryte lokami, miały zielony kolor.

– Właśnie tak. Spoufalać – przytaknęła. – Ostatnie znajomości wychodzą mi bokiem, a i z panem mam złe skojarzenia. Lepiej zachowajmy dystans.

– Złe skojarzenia? – powtórzył.

– Musi pan przyznać, że poznaliśmy się w najczarniejszej godzinie mojego życia.

– Przecież to nie moja wina!

– Oczywiście, że nie, ale w tej chwili jesteśmy jedynymi osobami na świecie, które wiedzą o swoim nieszczęściu, i próbujemy być dla siebie wsparciem. Jeśli nie zachowamy dystansu, nadmiar emocji – również negatywnych – może doprowadzić do zacieśnienia tej znajomości, co jest gotową receptą na katastrofę.

– Czyżby? – Ręka zaczęła mu w końcu drętwieć, więc położył ją na kierownicy. Czuł, że za chwilę usłyszy wykład, którego nie zapomni do końca życia. Nie wiedział tylko, czy będzie go wspominał ze śmiechem czy też z płaczem.

– Oczywiście. Jutro tylko jedno z nas będzie poszkodowane. To jedno z pewnością będzie miało pretensje do całego świata, a na miejscu pozostanie tylko to drugie, na którym spocznie nasz wzrok. Będzie pan myśleć: „To powinienem być ja!”

– Nieprawda...

– Ja na pewno tak pomyślę. Na poziomie logicznym jest oczywiste, że to nie pańska wina, ale na poziomie emocjonalnym tylko pan będzie pod ręką. I już mamy gotowe nieporozumienie, bo będziemy patrzeć na to drugie przez pryzmat własnego nieszczęścia.

– No może, ale...

– Do tego jedno z nas przez jakiś czas będzie mieszkało u tego drugiego, mając poczucie, że to powinienem być MÓJ dom.

– Jesteśmy dorośli i...

– Sytuacja tak czy siak będzie napięta i możemy znaleźć sposób rozładowania emocji, które będzie chwilowym pocieszeniem, ale przedłuży nasz wspólny pobyt, a potem dojdzie zastanawianie się, czy to, które jest właścicielem, trzyma nas u siebie z poczucia winy, z litości czy też po prostu nie wie, jak powiedzieć, że to koniec.

– A wszystko tylko dlatego, że zaczniemy mówić sobie po imieniu? – Tymek nie krył rozdrażnienia.

– To właśnie stanowi początek, który zniweluje dystans między nami. A potem to już tylko...

– Gdybym sypiał z każdą kobietą, z którą jestem po imieniu, miałbym harem! Poza tym pani nie jest w moim typie!

– Może i nie – zgodziła się. – Nie zmienia to faktu, że nie powinniśmy podejmować zbędnego ryzyka.

– Może i nie? Na pewno nie! Chyba sam wiem lepiej, jakie kobiety mi się podobają!

– To znaczy, że jestem brzydka?! – zaperzyła się Zuza.

– Tego nie powiedziałem! Chodzi o to, że... – Złapał się za głowę. – Jakim cudem prowadzimy tę rozmowę?!

– Zaczęłam wyjaśniać, dlaczego nie powinniśmy dopuścić do zażyłości między nami, a wtedy pan stwierdził, że jestem nieatrakcyjna. Typowe dla mężczyzny. Jak tylko czuje się odrzucony, zaraz twierdzi, że kobieta mu się nie podoba albo jest lesbijką, bo przecież normalna, atrakcyjna kobieta nie powinna mówić NIE!

– Na litość boską... Pani jest gorsza niż moja matka! Do tej pory myślałem, że tylko ona tak potrafi odwrócić kota ogonem, że człowiek nie wie, jak się nazywa!

– I do tego wyglądam staro?! Jest pan mizoginistycznym bucem! Wsiadam! Nie zamierzam spędzić z panem ani chwili dłużej! – Szarpnęła klamkę auta.

Tymoteusz z otwartymi ustami przyglądał się, jak Zuza wysiada z samochodu. Drgnął, gdy trzasnęła drzwiami z taką siłą, że przysiągłby, iż słyszy, jak brzęczą szyby, chociaż nie było to możliwe. Zamknął usta, dopiero gdy zniknęła za rogiem budynku.

– Wybij to sobie z głowy! – Nawet pod wpływem zdenerwowania Zuza nigdy wcześniej nie odezwała się tak do siostry. Jej odmowy zaczynały się zwykle od „Przykro mi, ale...”. Tym razem jednak była zbyt wściekła, by owijać w bawełnę. – Sama śpię na podłodze, a ty zamierzasz zwalić mi się na głowę z dziećmi na cały weekend?! Jak chcesz spędzić weekend na wsi, to kup sobie szalas! W poniedziałek idę do pracy i do tej pory muszę się ogarnąć, a nie zajmować twoimi dziećmi! Cześć! – Rozłączyła się bezceremonialnie.

– Jeszcze tego mi brakowało – burczała zła jak osa. – Dopiero co przyjechałam, a już próbują wleźć mi na głowę. Teraz pewnie zadzwoni mama i opieprzy mnie za Magdę!

Ostatnie słowa wypowiedziała w złą godzinę. W tej właśnie chwili zadzwonił telefon.

– O najwyższa istoto, musisz mnie naprawdę nienawidzić – jęknęła. – Tak, mam? – zapytała, doskonale wiedząc, że w ciągu sześćdziesięciu sekund, które minęły od

rozłączenia się z siostrą, ta zdążyła już zadzwonić do matki, poskarżyć się i utworzyć wspólny front przeciwko niej, Zuzie.

– Jak to co? Przed chwilą dzwoniła Magda. Podobno powiedziałaś, że jej stopa nie postanie w twoim domu! Jak tak możesz?!

– I jeszcze bezczelnie kłamie! – zawołała ze złością Zuza. – Chciała przyjechać na weekend z dziećmi, a ja sama śpię na podłodze – skłamała. – Co miałabym niby z nimi zrobić? Nie mam ogrzewania, a noce są jeszcze zimne. Wodę do mycia muszę grzać w garnku! Chyba jest niepoważna, żeby narażać dzieci na takie warunki! Dajcie mi trochę się ogarnąć!

– Nie musisz krzyczeć – oświadczyła z urazą matka. – Słuch mam doskonały, a rozsądne argumenty potrafię przyjąć do wiadomości. To oczywiste, że nie może narażać dzieci na takie warunki.

– Dzięki, mamo.

– W tych okolicznościach muszę porozmawiać z twoim ojcem.

– Po co?

– Sama widzisz, że sobie nie radzisz. Przyjedziemy i ci pomożemy.

– Mamo, mam dwadzieścia osiem lat! Jestem tutaj dopiero od wczoraj! Nie możesz oczekiwać, że w ciągu jednego dnia kupię meble, załatwię wszystkie podłączenia i może jeszcze ogród wypielę!

– Magda na twoim miejscu...

– Załamałaby ręce i kazała zrobić wszystko mężowi!

– To oczywiste, że w takich sytuacjach mężczyzna jest wręcz nieodzowny!

– Mamo, kończę tę rozmowę. Daj mi się zająć moimi sprawami!

Rozłączyła się i szybko wybrała numer ojca.

– Cześć, tato, cokolwiek powie ci mama, nie przyjeżdżajcie! – oświadczyła zdecydowanie, gdy odebrał połączenie.

– Dlaczego mielibyśmy przyjeżdżać? – zdziwił się.

– Bo mama uważa, że sobie nie radzę, i chce mi pomóc w urządzaniu domu.

– A niby kiedy miałaś się zająć domem, skoro dopiero wczoraj się do niego wprowadziłaś? – spytał logicznie ojciec.

– Dzięki, tato, wiedziałam, że mogę liczyć na twój rozsądek.

– Na mój zawsze możesz, ale mam trzy minuty, żeby uciec na ryby. Słyszę już kroki twojej matki na schodach. Wybacz, dziecko, jak będziesz czegoś potrzebowała, to dzwoń.

– Dzięki ci, najwyższa istota – jęknęła z ulgą.

– Nie wiem, jak pani dotarła tu przede mną, ale jeśli pani powie, że przyleciała na miotle, to uwierzę. – Przysłuchujący się od kilku minut rozmowom Zuzy Tymoteusz – ukryty za futryną – nie mógł się powstrzymać od złośliwego komentarza.

– Podśłuchiwał pan?! – Przestraszona Zuza upuściła korkociąg.

– Słysząc panią już od progu. Musiałbym być głuchy, żeby nie słyszeć – skomentował cierpko.

– Rodzina – burknęła, schylając się pod stół, gdzie potoczył się korkociąg.

– Mogła im pani powiedzieć... – Dalszą część wypowiedzi przerwał mu sygnał

telefonu. – Przepraszam, brat.

Wyszedł z kuchni i idąc po schodach, odebrał połączenie.

– Człowieku, nie zamierzam rozwiązywać twoich problemów! – rozległ się jego podniesiony głos.

Nie mogąc powstrzymać ciekawości, a i odrobinę w rewanzu, Zuza pobiegła za współlokatorem.

– Oczywiście, że nie możesz przyjechać. Ja tu pracuję!

– ...

– I co z tego, że to mój dom! Trzeba było trzymać rozporek zapięty, to mieszkałbyś z żoną, a nie z matką!

– ...

– Waldi, jesteś dorosły, sam sobie nawarzyłeś piwa, więc sam będziesz je pił!

Rozzłoszczony Tymoteusz rzucił komórkę na łóżko.

– Co mogłam im powiedzieć? – zapytała rozbawiona Zuza. – Prawdę?

– Podśluchiwała pani?!

– Pan też.

– Przynajmniej nie rzucałem się w oczy!

– Ja też. To nie moja wina, że stał pan odwrócony tyłem.

– Ja... – jęknął. – Nie mam na to wszystko siły. Nie wiem, co jest gorsze, moja rodzina czy pani.

– Mnie pan jakoś nie wyrzuca z domu... – zauważyła z przekąsem Zuza.

– Tylko dlatego, że to może być pani dom.

– No tak, to jest argument. Ja też za panem nie przepadam, ale mogło być gorzej. Mogłam kupić ten dom razem z pańskim bratem.

– Albo ja z pani siostrą – odciął się natychmiast.

Zuzanna parsknęła głośnym śmiechem.

– Powiedziałem coś zabawnego? – Zamierzał być złośliwy, a nie śmieszny.

– Tak, ale tylko dlatego, że nie zna pan mojej siostry. Oddałby jej pan ten dom z pocałowaniem ręki tylko po to, żeby przestała dziamgać. Przypuszczam, że mój szwagier jest głuchy. To jedyne wyjaśnienie, dlaczego dotąd jej nie zabił.

– Może ją kocha...

– O chorobę umysłową go nie podejrzewałam – przyznała Zuza.

– Miłość nie jest chorobą umysłową – zaprotestował.

– Ja muszę kochać siostrę, bo należy do mojej rodziny, ale on? Tak sam z siebie? To musi być choroba!

– Jakim cudem, u licha, rozmawiamy... Nie, koniec. Wracam po swoje zakupy. Zamierzam się upić! I jeśli to pani przeszkadza, to pani problem, nie mój!

– Ja też – powiedziała Zuza.

– Co pani też? – Nie zrozumiał.

– Zamierzam się upić.

– Moim piwem? – zdumiał się.

– Nie, mam własne. To znaczy, nie piwo, tylko wino. Mam własne. A myśli pan, że na co mi korkociąg? – Pomachała nim przed oczami zdumionego mężczyzny. –

Do puszki piwa?

– Dochodzi trzynasta...

– A co to ma do rzeczy?

– Trochę za wcześnie na picie.

– Pan też zamierzał się upić.

– Ale... – Podrapał się po głowie. – O czym my właściwie rozmawiamy?

– Będzie pan pił sam?

– Chyba za panią nie nadażam. Co ja mówię! Chyba? Na pewno nie nadażam! Czy was jest tu dwie? Dobra i zła bliźniaczka?

– Już pan pił? – zapytała podejrzliwie Zuzanna.

– Nie, po prostu zastanawiam się... Nieważne, nic nie powiedziałem. Doceniam propozycję, ale będę pił sam, bo zamierzam się uzalać nad swoim żalonym życiem. I wolę robić to bez świadków.

– Aha... – Zuza pokiwała głową ze zrozumieniem. – Nigdy się nie upijałam w pojedynkę.

– To tak samo jak z kimś, tylko szybciej.

– Hm... – Spojrzała na niego sceptycznie. – Przypominam tylko, że jutro jedziemy do adwokatki, więc jedno z nas musi być w stanie prowadzić pańskie auto, a ja nie mam prawa jazdy.

– Moje auto prowadzę sam. – Sama myśl o tym, że miałby je przekazać w ręce tej wariatki, sprawiła, że odechciało mu się pić.

– Czyli załatwione – ucieszyła się Zuza.

– Co jest załatwione?

– Ja się upijam dziś, a pan jutro! – Kiwnęła głową z zadowoleniem i wyszła z pokoju.

– Niech mnie ktoś zabije – jęknął Tymek. – Zachowuje się jak żona, której nie mam, a przecież nawet jej nie przeleciałem...

Samobójstwa nie rozważała nigdy, zabójstwo owszem. I to nawet całkiem niedawno. Przy okazji Cześka. Jednak więzienia są pełne kobiet, które zabiły facetów, zatem morderstwo doskonałe nie istnieje. Zawsze cię złapią. Oszustów też sporo siedzi, więc zasadniczo policja działa całkiem skutecznie. A może nie? Może statystyki przemawiają na jej niekorzyść? Może więcej przestępców chodzi po ulicach, niż siedzi w więzieniach? Może na jednego skazanego przypada dziewięciu, o których nikt nie wie? A ilu adwokaci wyciągnęli z aresztu, wykorzystując kruczki prawne?

Tak, pomyślała, pociągając łyk wina. Statystyki niekoniecznie muszą być po jej stronie. Nikt nie mówi głośno, ile ofiar oszustw odzyskało swoje pieniądze. Zawsze opowiadają, jak to sprawiedliwości stało się zadość, bo gość odsiedział rok czy dwa i spłacił dług społeczeństwu. Ale ona, Zuzanna Cieplik, nie jest społeczeństwem, tylko ofiarą przestępstwa, i chce odzyskać swoje pieniądze! Ta sprawiedliwość nie spłaci jej kredytu! Nie spełni marzeń!

I nie uchroni przed alkoholizmem, pomyślała smętnie, spoglądając na opróżnioną do połowy butelkę wina. Samotne picie to smutne picie. Jakim cudem ludzie popadają w alkoholizm, skoro alkohol nie pomaga na smutki? A może to jak z bieganiem? Podobno

biegacze po zakończonym treningu osiągają stan euforii za sprawą wydzielającej się do krwiobiegu endorfiny. Jej tam nic się nie wydzielało. Próbowwała biegać, wracała zziębiona jak pies i padała bez życia na kanapę. Może robiła coś nie tak... Albo biegła za krótko, by osiągnąć błogostan. Z alkoholem może być podobnie. Przy regularnym zalewaniu się w trupa zapewne osiągnie w końcu taki stan, że zapomni o swoich problemach.

Problem jednak w tym, że limit Zuzanny wynosił dwa kieliszki wina i teraz szumiało jej w głowie, a podłoga zaczynała pływać. Trudno zalać się w trupa przy takim braku odporności na alkohol. A może wręcz przeciwnie? Nie chodzi o ilość, tylko o stan, do jakiego ta ilość doprowadza? Czy ja rozumiem, co myślę? – zadumała się Zuza.

O czym to ja właściwie myślałam na początku? A tak, już wiem, o samobójstwie, przypomniała sobie. Czy w mojej sytuacji nie powinnam zacząć tego rozważać? I dlaczego właściwie nie biorę pod uwagę takiego wyjścia? Podrapała się po głowie. Ludzie masowo popełniali samobójstwa przytłoczeni długami, problemami osobistymi, a ona ma skórę jak nosorożec. Może siostra miała rację, gdy nazwała ją niewrażliwą na problemy innych ludzi suką? Ten człowiek z problemami to Magda, która wymiotowała za każdym razem, gdy poczuła zapach kawy, ale, na istotę najwyższą, wymiotować na widok cukierków kawowych?! Czy to nie przesada? I o to właśnie ją zapytała, gdy siostra była w piątym miesiącu ciąży. Zapytała też, czy nie powinna przestać wymiotować w okolicach trzeciego miesiąca i czy to normalne. No, może i nie wykazała się wrażliwością, ale tamta miała jej za nie obie i nie była to wrażliwość, tylko drażliwość.

Stracę dom. Zostanę z ogromnym kredytem. Nie będę miała gdzie mieszkać. Moja rodzina się dowie. Hm... Moje życie osobiste legło w gruzach? Czekala na destrukcyjne pomysły. Jakaś wizja stryczka na szyi? Domestos w szklance? Nic? Hm... Może powinnam kogoś zapytać? – zastanawiała się Zuza.

Kilka minut później stanęła w pokoju Tymoteusza. Oparła się o futrynę, by nie upaść.

– Czy rozważał pan samobójstwo?

– Co takiego?! – Ledwo udało mu się otrząsnąć ze zdumienia, a Zuza wprowadzała go w ów stan od nowa.

– No wie pan, straci pan dom, pieniądze, firmę. Powiesi się pan? – dociekała.

– Nie! – zaprotestował z oburzeniem.

– Dlaczego nie?

– Dlaczego nie? Jest pani pijana?!

– Nie powinnam, ale zdaje się, że tak. – Podniosła do góry na wpół opróżnioną butelkę. – Wypiłam tylko tyle, ale ja tak mam. Zawsze szumi mi wtedy w głowie.

– Po dwóch kieliszkach? – Nie dowierzał.

– Moja odporność na alkohol jest znikoma, ale na samo-bójstwo wręcz przeciwnie. Ja też nie chcę popełnić samobójstwa. Czy to nie dziwne?

– Nie, myślę, że to zdrowe.

– Czy ja wiem... Moje życie finansowe i prywatne legło w gruzach, a ja nic... – Rozłożyła szeroko ręce, przez co omal nie wypadła na korytarz. Tymek w ostatniej chwili chwycił ją za rękę.

– Co mówiłam o zachowaniu dystansu? – zganiała go Zuzanna. – Dobrze, że nie

przeszliśmy na ty. Dopiero by było!

– Na pewno.

Teraz widział, że była w sztok pijana. Jakim cudem doprowadziła się do tego stanu w dwie godziny? Nałykała się czegoś?

– Brała pani jakieś tabletki?

– Nie, a powinnam?

– Zdecydowanie nie!

– No to nie brałam. Upiłam się na trzeźwo – zapewniła go uroczyście.

– Powinna się pani położyć.

– Nie mogę. Nie biorę tabletek antykoncepcyjnych. I nie podoba mi się pan jako mężczyzna – wyznała. – Przynajmniej nie za bardzo.

– Rany boskie, nie miałem na myśli nic poza położeniem pani do łóżka!

– No dobrze, niech panu będzie. Zuza jestem. – Usiłowała podać mu rękę, za którą ją trzymał, przez co znów straciła równowagę. Tymek objął ją ramieniem i delikatnie skierował w stronę korytarza.

– Tymek – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Miło mi. – Uśmiechnęła się szeroko, wymachując drugą ręką, w której trzymała butelkę wina. – Prezerwatywy masz?

– Nie, nie mam – powiedział, prowadząc ją powoli w stronę jej pokoju.

– O, to niedobrze! – Zatrzymała się. – Bez prezerwatywy to ja się nie zgadzam!

– Pójdę do apteki i kupię – zapewnił ją.

– Słowo?

– Słowo – przyrzekł.

– Ale silikonowe, dobrze? Nie znoszę zapachu lateksu.

– OK, mogą być silikonowe.

– Są delikatniejsze – zapewniła Zuza.

– Super.

– Nigdy ich nie używałaś?

– Nie.

– Ale wiesz, jak się je zakłada?

– Tak samo jak te lateksowe?

– Właśnie! Lubię inteligentnych facetów – oświadczyła, klepiąc go po pośladkach.

– A ty jakie kobiety lubisz?

– Milczące.

– O, to my się nie polubimy – zmartwiła się. – Tylko wiesz co?

– No co?

– Chyba nie będzie nam to potrzebne.

– Co? Prezerwatywy?

– Lubienie się!

– Aha... – Tymek zupełnie nie nadążał za tokiem rozumowania swojej współlokatorki, ale było mu to obojętne. Jeszcze dwa kroki i dotrą do jej łóżka.

– Musisz mi tylko coś obiecać!

– Mam się z tobą ożenić?

– Nie! – zawołała z taką odrazą, że aż spróbował powąchać sam siebie, by sprawdzić, czy nie cuchnie czymś odrażającym. – Jutro o wszystkim zapomnimy i będziemy udawać, że nic się nie wydarzyło.

– Nie ma sprawy – zapewnił ją.

– Jesteś cudowny – zapewniła go z taką powagą w głosie, że pewnie by się wzruszył, gdyby właśnie nie wyobrażał sobie wspólnego śniadania, podczas którego powtórzy jej słowo w słowo to wszystko, co wygadywała. – Gdybyś jeszcze znalazł mi drugą butelkę wina, byłbyś...

– Cudowny?

– Tak! – potwierdziła rozpromieniona.

Tymek opuścił ją na łóżko.

– Jesteś ululana już po połowie pierwszej. Na co ci druga?

– Po nic, ale nie mogę jej znaleźć. Pomożesz mi szukać?

– Sam ją znajdę, a ty się stąd nie ruszaj, dobrze?

Zuza gorliwie pokiwała głową.

– Pójdę po prezerwatywy, po drodze poszukam wina, a potem wrócę do ciebie, dobrze?

– To ja się rozbiorę! – Zuza uśmiechnęła się radośnie.

– Nie! – wrzasnął przerażony.

– Nie? – zdziwiła się.

– Sam to zrobię, jak wrócę.

– Aha... No dobrze. To ja mam tak sobie leżeć i czekać?

– Właśnie – przytaknął. – Jak dziewczica w noc poślubną.

– Nie jestem dziewczicą.

– Więc wyobraź sobie, że jesteś – powiedział, przykrywając ją wydzierganą ręcznicą kąpielową, która leżała na łóżku.

– Musiałabym się najpierw upić – oznajmiła Zuza, poprawiając rozczochrane włosy.

– To już masz za sobą – odparł ze śmiechem. – Nie ruszaj się, a ja zaraz wracam.

– No dobrze. – Otuliła się kąpielową, pociągnęła nosem i... zasnęła.

– Dzięki ci, istoto najwyższa – szepnął Tymek i na palcach wyszedł z pokoju.

Pierwsze, co zobaczyła zaraz po przebudzeniu, to na wpół opróżniona butelka wina na parapecie. Ziewnęła szeroko i spojrzała na zegarek na ręku. Dochodziła siódma. Siódma rano czy wieczorem? – zastanawiała się, spoglądając w okno. Zaczęła popijać wódkę około... Hm, która to mogła być? Zrobiła zakupy, pokłóciła się z Magnusem, ugotowała sobie obiad, a jej współlokator zamówił jakąś śmierdzącą zdechłymi rybami pizzę. Rozlokowała trochę rzeczy, posprzątała łazienkę i kuchnię... Tak, to mogło być koło czwartej po południu. Zanim wypila dwa kieliszki wina, no, może trzy... Zajęło jej to ze dwie, trzy godziny, bo nigdy nie piła szybko. Zatem musiała spać do rana.

– I dobrze. – Ziewnęła powtórnie i pociągając nosem, usiadła na łóżku. Dopiero teraz się zorientowała, że spała w ubraniu i w butach.

Nic dziwnego, że nie pamiętam kolacji i prysznic, skrzywiła się. To wino musiało być wyjątkowo mocne. Dwa kieliszki to był jej limit, ale żeby urwał jej się film? Nigdy

w życiu!

Może mi czegoś dosypał? – zastanawiała się przez chwilę. Nie, to niemożliwe. Przecież piła sama. Tymoteusz zabunkrował się w swoim pokoju ze śmierdzącą pizzą i jakąś książką, którą musiał kupić w księgarni, jadąc do domu, gdy już porzucił ją, Zużę, na parkingu przed kancelarią. No, porzucił to niewłaściwe słowo. Sama sobie poszła. Powinien poczekać, aż złość jej przejdzie i wróci, ale w końcu nie był jej facetem, więc skąd miał wiedzieć? Można mu to wybaczyć, że tak po prostu sobie odjechał. Teraz już wiadomo, że w razie nieszczęścia nie ma co na niego liczyć. W końcu to facet, więc czego się spodziewała?

– Dobra, Zuza, wstawaj. Umyj się, zrób porządek z tym sianem na głowie i zjedz porządne śniadanie – poleciła samej sobie.

Tymoteusz usłyszał jakieś poruszenie na górze. Szum prysznic, kroki, warkot suszarki do włosów. Z ironicznym uśmiechem zaparzył kawę i czekał, aż dziewczyna zejdzie na dół, a raczej spełźnie. Wściekła jak osa, zawstydzona jak średniowieczna dziewczyna. Ale będzie ubaw!

– Dzień dobry. – Zuza różnym krokiem wkroczyła do kuchni. – Och, co to za ładny zapach? Kawa?

– Z cynamonem – uściślił lekko zaskoczony bijącą od niej pozytywną energią. – Dobrze pani spała?

– Owszem. Trochę długo, ale potrzebowałam wypoczynku – powiedziała, stawiając żeliwny czajnik na kuchence.

Uśmiechnął się ironicznie i już zamierzał coś powiedzieć, gdy Zuza go ubiegła.

– Wcześniej było sporo zamieszania, do tego te ostatnie dni... – Wzdrygnęła się. – Koszmar. Dziś wszystko się rozstrzygnie, więc nie ukrywam, że trochę mnie roznosi – ciągnęła. – Kawa z cynamonem... Hm, nigdy nie piłam, ładnie pachnie, ale nie jestem pewna, czy mam ochotę próbować. Może po południu? Do jakiegoś ciastka. Tak, zdecydowanie to będzie lepsze połączenie. Mam ochotę na naleśniki. Zje pan ze mną?

– Naleśnika?

– Zawsze robię za dużo ciasta i wylewam, bo nie lubię zimnych ani odgrzewanych naleśników. To jak? Będzie pan jadł czy nie? Proszę się szybko decydować, bo...

– Bardzo chętnie. – Tymek już siedział za stołem, chociaż Zuza dopiero wyjmowała z lodówki jajka i mleko.

Nie rozumiał, co się dzieje. Nie miała kaca. Ani żadnych wyrzutów sumienia z powodu wczorajszych wydarzeń. Nie ma ubawu. Ale będą naleśniki.

Obserwował, jak Zuzanna sprawnie rozbija jajka i roztrzepuje je widelcem.

– Na ogół używam miksera albo trzepaczki, żeby były pulchniejsze, ale jak nie mam ani tego, ani tego, to musi wystarczyć widelec – wyjaśniła, widząc, że Tymoteusz uważnie obserwuje jej poczynania.

– Nie będę wybrzydzał. Uwielbiam naleśniki – zapewnił ją.

– To dobrze, bo muszę czymś zająć myśli. Adwokatka powinna niedługo zadzwonić, prawda?

– Zaczyna pracę od ósmej. Może koło dziewiątej?

Też się niecierpliwił. Liczył na to, że zabije czas kpinami, ale Zuzanna

zachowywała się tak, jakby nie miała pojęcia, co się wydarzyło wczoraj. Czy też raczej nie wydarzyło, bo ona zasnęła, a on nie zamierzał kupować żadnych prezerwatyw. Przynajmniej nie dla niej. To byłby bardzo zły pomysł. Bardzo, bardzo zły!

– No to zdążymy zjeść. O rany, ostatni raz miałam takie motyle w brzuchu, jak... Nieważne – zreflektowała się szybko. Akurat tym przeżyciem nie musiała się dzielić ze swoim współlokatorem. Nie był jej najlepszą przyjaciółką, by opowiadać mu o wrażeniach z randki. – Chyba matura była takim stresującym przeżyciem. Później zdawałam tyle egzaminów, że na nerwy nie miałam już czasu. Nie widział pan mojego wina?

Zmiana tematu zaskoczyła Tymka.

– Kupiłam dwie butelki wina. Myślałam, że schowałam jedno do lodówki, ale nie widziałam go, jak wyciągałam jajka i mleko. A pan?

– Nie, nie rzuciło mi się w oczy... – powiedział wolno, ale coś zaczynało mu świtać.

Już wczoraj szukała tego wina, a nikt nie doprowadza się do takiego stanu dwoma lampkami. Chyba że doleje do kieliszka spirytusu, ale tego by się po niej nie spodziewał.

– Dziwna sprawa. – Zerknęła na niego podejrzliwie, stawiając patelnię na palnik, z którego zdjęła czajnik z gotującą się wodą. Zalała nią rozpuszczalną kawę, bo innej nie piła, dodała mleka, natłuściła patelnię odrobiną oleju.

– Ja nie piję wina. Piwo owszem, wódkę okazjonalnie, ale żadne wina, likiery czy kolorowe wódki mnie nie kręcą. Nie dość, że mam wtedy kaca, to jeszcze problemy... Innego rodzaju – dokończył. Ostatecznie nie będzie opowiadał kobiecie o swojej perystaltyce jelit.

– Przecież sobie nie poszła...

– A gdzie ją pani widziała po raz ostatni? – Z nutką rozbawienia przypomniał sobie, że właściwie od wczoraj są na ty.

– W kuchni. Zaczęłam pić w kuchni, czytałam e-book na czytniku, a potem wzięłam ją na górę... Zaraz, zaraz, to, co wzięłam na górę, stoi na parapecie. Zatem... Druga butelka musi być w kuchni... – Wylała na rozgrzaną patelnię pierwszą partię ciasta.

Tymek zerwał się z miejsca i szybko naszykował dwa talerze i sztućce.

– Nie mamy dżemu – stwierdził tonem pełnym zawodu.

– Mamy maliny i jogurt. Odnoszę wrażenie, że umyka mi sporo rzeczy z wczorajszego wieczora – stwierdziła z niezadowoleniem, sprawnie przewracając naleśnik na drugą stronę.

– Na pewno. – Uśmiechnął się półgębkiem.

– Co takiego?

– Nie, nic, zastanawiam się nad tym winem. – Dopóki nie dostanie naleśnika, nie będzie się wychylać.

– Taaaa...

Zrzuciła naleśnik z patelni prosto na jego talerz i naląła kolejną porcję ciasta. Tym razem dla siebie. Otworzyła szafkę pod zlewozmywakiem, by wyrzucić do niej skorupki od jajek i pusty karton po mleku. Schyliła się do kosza i zamarła.

– Coś się stało? – zapytał z pełnymi ustami. Rzeczywiście, maliny z jogurtem były

równie dobre jak dżem, pod warunkiem że dodało się cukru. Naleśnik też okazał się niczego sobie.

– Hm... – Zakłopotana Zuzanna wyjęła z kosza pustą butelkę po winie. Odwróciła się niepewnie i podrapała po głowie ręką, w której trzymała drewnianą łopatkę.

– O matko... To by wiele wyjaśniało. – Tymek zachichotał jak złośliwy troll, przeżuwając ciasto.

– A właściwie co by wyjaśniało? – zapytała niepewnie.

– Zaginioną butelkę wina – odpowiedział szybko, przełykając kolejną porcję. – Nie wypila pani pół butelki wina, tylko półtorej butelki wina. I wszystko jasne.

– A tak dokładnie to co?

– Naleśnik się pali! – zawołał, wskazując widelcem na kuchenkę. Zuza błyskawicznie złapała patelnię i zrzuciła naleśnik na talerz.

– Nie lubię przypalonych – burknęła z niezadowoleniem.

– Nie szkodzi. Ja lubię. – Podsunął opróżniony talerz bliżej i zsunął sobie jej naleśnik.

Zuzanna bez słowa obserwowała, jak nakładał maliny, a potem jogurt i gęsto posypał całość cukrem. Nalała odrobinę oleju na patelnię, potem ciasto.

– Czy ja wczoraj coś powiedziałam? – zapytała.

– A tak dokładnie to co? – odpowiedział pytaniem na pytanie, naśladowując jej wcześniejszy ton.

– Coś, czego nie powinnam powiedzieć? – brnęła z coraz większym trudem.

– Hm... Zastanówmy się...

Zuza gniewnie zmrużyła oczy. Może i schlała się jak przysłowiowa świnia, ale nie pozwoli z siebie kpić. Już otwierała usta, by powiedzieć coś, czego zdecydowanie nie powinna mówić, gdy Magnus przełknął kawałek naleśnika i powiedział stanowczo:

– Tak właściwie to od chwili, gdy zrała pani za moją śmierdzącą pizzę, to nie widzieliśmy się aż do dzisiejszego ranka.

Kłamstwo było jak najbardziej usprawiedliwione. Dochodziła ósma trzydzieści. Lada moment zadzwoni prawniczka. Lada moment dowiedzą się, kto jest właścicielem domu. I to może być ona. Nie ma sensu drażnić lwa, gdy nie zamierza się go upolować. Czy może zamierza się upolować? Jak to właściwie szło? Nieważne, od kiedy to słucha złotych myśli pijanego ojca?

– Cudownie! Mogłam w tym stanie spaść ze schodów, a pan by się nawet nie zorientował!

– Zapewniam, że zauważyłbym pani ciało, jak tylko zszedłbym na dół na śniadanie – zapewnił ją z powagą.

– Phi – prychnęła gniewnie, siadając do stołu z nowym naleśnikiem. Na szczęście się nie przypalił, bo inaczej ten dowcipniś zjadłby jej wszystkie maliny.

Super, Tymek, nie ma jak ciągnąć rozdrażnionego lwa za ogon. Trzeba było jednak słuchać ojca. Nie zdążył załagodzić sytuacji, gdyż właśnie w tym momencie zadzwonił jej telefon.

– O istoto najwyższa – jęknęła Zuza, widząc na wyświetlaczu numer kancelarii. Z wrażenia zakrztusiła się naleśnikiem.

Tymek ruszył z pomocą, ale dziewczyna uderzyła go w rękę, palcem wskazując telefon.

– Mam odebrać?

Łzy leciały jej ciurkiem, charczała, ale gwałtownie kiwała głową.

– Tymoteusz Magnus – przedstawił się. Serce waliło mu jak szalone. Chyba właśnie zrozumiał, o co chodziło z tymi motylami w brzuchu.

– Tak, oczywiście. Zaraz będziemy – odpowiedział po chwili.

Uderzył Zuzę mocno między łopatkami, żeby w końcu przestała się krztusić. Jej śmierć niczego by nie rozwiązała. Wręcz przeciwnie. Gdyby to ona była właścicielką domu, straciłby wiarygodnego świadka, który mógłby wskazać oszusta palcem i powiedzieć: „Tak, to on sprzedał mi dom”.

– Gotowa? – zapytał.

Nie była gotowa. Była głodna, gardło ją bolało od kaszlu, a teraz jeszcze rozboleła ją głowa. Pewnie ze zdenerwowania, bo kaca ma się od razu. Mimo to pokiwała głową. Raz kozie śmierć.

Są w życiu chwile, o których chciałoby się zapomnieć ułamek sekundy po tym, jak nastąpiły. Zuza marzyła, by mogła doznać amnezji, sprowadzającej ją do poziomu noworodka. Najlepiej takiego dopiero narodzonego, ale już wykapanego i najedzonego, który śpi i nie ma zielonego pojęcia o bożym świecie. Niestety, istota najwyższa miała co do niej inne plany. Najwyraźniej postanowiła powołać ją do siebie.

Tylko dlaczego nakłania ją do samobójstwa?! Nie może jej po prostu zesłać jakiegoś wypadku ze skutkiem śmiertelnym? Porażenia prądem, przejechania walcem, omyłkowego wypicia płynu z akumulatora lub czegoś równie bolesnego? Po co szarpać

jej nerwy i doprowadzać ją do załamania? Czyżby istota najwyższa była jednak mężczyzną?

– Czy ktoś zna jakiś system wierzeń, gdzie bóg jest kobietą? – zapytała.

Dwa zdania adwokatki wprawiły Tymoteusza w niebotyczne zdumienie, a słowa Zuzy spotęgowały to odczucie. Zdumienie do potęgi drugiej daje co? Osłupienie? Zbaraniecie? Zidiocenie? Skrajny debilizm?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie swojej towarzyszki niedoli, Tymeek zwrócił się do mecenas Malickiej:

– Proszę wybaczyć, ale czy pani sprawdziła właściwą księgę wieczystą?

– Rozumiem państwa zaskoczenie, ale zapewniam, że tak. Nie ma omyłki.

– Jest czy nie jest? – Zuza z uporem domagała się odpowiedzi.

– Jakie to ma znaczenie?! – Jej głupie pytanie przerwało zwielokrotnione zdumienie Tymoteusza i doprowadziło go do szewskiej pasji. – Możesz się modlić nawet do własnych butów!

– Modliłabym się choćby i do twoich, gdyby to coś dało! – wrzasnęła Zuza, którą podniesiony ton Magnusa od razu sprowadził na ziemię. Nie dość, że istota najwyższa jest mężczyzną, to jeszcze tego brakowało, żeby jakiś samiec się na nią wydzierał. – Kim, do cholery, jest Dagmara Adamczyk?!

– Rozumiem państwa wzburzenie, ale...

– Jak będę potrzebowała zrozumienia, pójdę do psychologa. Teraz domagam się odpowiedzi na swoje pytanie!

Zuza nie panowała nad emocjami. Skłonności samobójczych nadal u siebie nie odkryła. Odczuwała natomiast przeszywające na wskroś pragnienie, by kogoś zamordować. I to nie byle kogo, ale kogoś odpowiedzialnego za zniszczenie jej życia. Hieronima Srokę, Dagmarę Adamczyk. Z braku tamtych – mecenas Malicką. Nie od dziś wiadomo, że posłańców, przekazujących złe wieści, na ogół spotykał zły los.

– Bardzo panią proszę o zachowanie spokoju. – Mecenas Malicka nie podniosła głosu, ale jej ton ze współczującego zmienił się w twardy jak stal. – Dla jasności sytuacji powtórzę raz jeszcze. Żadne z państwa nie jest właścicielem nieruchomości położonej w Kłopotowie przy ulicy Spokojnej piętnaście. Aktualnym właścicielem jest Dagmara Adamczyk. Hieronim Sroka sprzedał dom nie tylko państwu. Wniosek pani Adamczyk dotyczący wpisu zmiany w księdze wieczystej wpłynął do sądu pierwszy. Państwu pozostaje tylko zgłoszenie oszustwa, co już uczyniliście, i wszczęcie postępowania cywilnego przeciwko panu Sroce, by odzyskać pieniądze. Czy państwo rozumieją swoją sytuację?

– Oczywiście – odpowiedział sucho Tymeek.

– Tak – burknęła Zuza ze złością. – Lepiej niech nam pani powie, co mamy dalej robić.

– Sugerowałabym opuszczenie nieruchomości, żeby nie narażać się na konflikt prawny z prawowitą właścicielką. I jak najszybsze wszczęcie postępowania przeciwko panu Sroce.

– Czy najpierw nie trzeba go znaleźć? – zapytał Tymoteusz.

– Owszem, ale tym zajmuje się już policja, czyż nie?

– Ile to nas będzie kosztowało? – zapytała Zuzanna.

– Wynagrodzenie kancelarii muszę skonsultować ze współnikiem. Oczywiście konieczne będzie uiszczenie opłaty za wypis z księgi wieczystej.

– Niech zgadnę. To na pewno jakiś procent od kwoty, której zwrotu się domagamy? A jak wygramy sprawę, bo wygramy – jest dość oczywista – to jeszcze Sroka musi mieć majątek, żeby komornik mógł coś zająć. Jeśli okaże się, że nic nie ma, nic nie dostaniemy, a pójdziemy w koszty, czyż nie? – zapytał zgryźliwie Tymek.

Nie był prawnikiem, nie znał przepisów, ale padł ofiarą niewypłacalnej firmy. Zapłacił kancelarii, zapłacił sądowi – nie chodziło o łapówkę, rzecz jasna, a potem jeszcze zaliczkę komornikowi, a ile odzyskał? Gównu odzyskał, jak by powiedział jego ojciec.

– Rozumiem pański punkt widzenia, ale musi pan...

– Nic nie muszę – przerwał jej bezceremonialnie Magnus. – Jak otrzyma pani wypis z księgi, proszę zadzwonić, a my w tym czasie zastanowimy się, co dalej.

– Oczywiście, mają państwo prawo...

– Do widzenia – pożegnał się krótko.

Złapał Zuzę za rękę i wyciągnął za sobą z gabinetu. Zdumiona dziewczyna podążała za nim jak owca prowadzona na rzeź. Ocknęła się, dopiero gdy wepchnął ją do swojego samochodu i zatrzasnął drzwi.

– Zachował się pan jak ostatni cham! – powiedziała, gdy Tymoteusz zajął miejsce obok niej.

– A pani jak wariatka! – odciął się błyskawicznie.

Zmarszczyła gniewnie brwi, by poczęstować go jakimś obraźliwym epitetem, ale nagle poczuła się tak zmęczona, że zamiast tego osunęła się na siedzenie i patrząc tępo przed siebie, jęknęła:

– Co teraz zrobimy?

My? – chciał zapytać Tymek, ale i jego opuściła cała energia. Siedział dłuższą chwilę w milczeniu, obserwując ludzi na ulicy, po czym odrzekł bezradnie:

– Nie mam pojęcia.

– Musimy się wyprowadzić, prawda?

– Tak. – Ledwo miał siłę, by to powiedzieć.

– Wracasz do... Skąd właściwie jesteś?

– Z Wrocławia. Nie wiem.

– To jesteś czy nie jesteś?

– Jestem i nie wiem, czy wracam. Wynająłem swoje mieszkanie. Nie mogę kogoś wyrzucić z dnia na dzień. Mamy uzgodniony trzymiesięczny termin wypowiedzenia.

– Aha... – bąknęła. – Ja też.

– Co ty też? – Dopiero teraz się zorientował, że znów są na ty.

– Też wynajęłam swoje mieszkanie i też mam trzymiesięczny termin, ale nie mogę tam wrócić, bo od poniedziałku zaczynam tu pracę. Jeśli wrócę, to nie mam gdzie mieszkać i nie mam pracy.

– Skąd jesteś?

– Z Poznania.

– Mogłabyś dojeżdżać.

– Nie mam auta ani prawa jazdy. Gdybym wróciła, to do rodziców, bo siostra na pewno nie zechce mnie widzieć na oczy. Wtedy matka w ciągu kwartału wyda mnie za męża.

– Za kogo? – zdziwił się. Zuza dotąd nie wspominała o żadnym poważnym absztyfikancie.

– Obojętne. Zgodzi się choćby na seryjnego mordercę, byle mówił do niej „mamo”.

– Zanim ją zabije.

– Nie kuś. – Uśmiechnęła się.

– Chyba dystans nam nawalił.

– Co takiego?

– Dystans. Zwracasz się do mnie na ty.

– To ty zaczęłaś.

– Nie, to ty zapytałaś: „Skąd jesteś”. Jesteś. A nie: „Skąd pan jest”.

– Dobra – wyrzuciła ręce w górę – co za różnica? Ty czy nie ty, i tak zaraz się rozstaniemy! Muszę znaleźć jakieś lokum w Kłopotowie, i to najlepiej dziś! Przeprowadzę się w weekend, a w poniedziałek idę do pracy. Pomożesz mi?

– Wynająć mieszkanie?

– Nie, przeprowadzić się.

– Dokąd?

– Do nowego mieszkania.

– Gdzie?

– O istoto najwyższa, cóż takiego zrobiłam, by sobie na to zasłużyć?! – Wzniósła oczy na tapicerkę w górze, ale nikt jej nie odpowiedział. – Nie wiem gdzie, bo jeszcze nic nie wynajęłam! Halo! Skup się, człowieku!

– Zachowywałaś się mniej roszczeniowo, gdy byliśmy na stopie oficjalnej – stwierdził Tymoteusz. – Dlaczego właściwie zajmujemy się bzdetami, skoro oboje jesteśmy zrujnowani?

– Bo na razie nic na to nie poradzimy, więc zajmujemy się sprawami bieżącymi. Co będziemy jeść. Gdzie zamieszkamy. I żadne z nas nie jest do końca zrujnowane. Mój kredyt przez najbliższe dwadzieścia pięć lat będzie sam się spłacał pieniędzmi za wynajęte mieszkanie, a żyć mam z czego, najwyżej będę się tułać po cudzych kątach. Ty może nie kupisz kolejnego mieszkania do remontu, ale na pewno miałeś odłożone pieniądze na remont domu, więc z głodu nie umrzesz. Masz firmę, odkujesz się.

Zuza sama była zaskoczona tak jasnym przedstawieniem sprawy. Jest jeszcze młoda, spłaci kredyt, nie spełni swoich marzeń przez ćwierć wieku, ale większość ludzi tego nie robi, bo nawet nie marzy, tylko urabia sobie ręce po łokcie, żeby wyżywić rodziny, więc nie ma tragedii. Nie jest dobrze, ale mogło być gorzej. Mogła nie odziedziczyć mieszkania po ciotce, które teraz zarabia na raty kredytu. Ale wtedy nie byłoby kredytu, gdyż bank nie miałby na czym ustanowić hipoteki.

Czyli to wina ciotki Janki, bo umarła i zostawiła mi mieszkanie. Jestem idiotką, zadumała się Zuza.

– Wolę, żebyśmy odzyskali nasze pieniądze. – Tymek był zupełnie nieświadomy absurdu tego toku jej rozumowania.

– Jak słusznie zauważyłeś, najpierw trzeba znaleźć Srokę, a tym zajmuje się policja. My nic tu nie zdziałamy.

– Czy ja wiem... – zaczął się zastanawiać. – Facet sprzedał dom trzem osobom. Skasował siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Nie wyda ich w jeden dzień. Na koncie ich raczej nie trzyma, bo jak go namierzą, zablokują mu forszę.

– Myślisz, że nosi ze sobą gotówkę?

– To możliwe – rozważał sytuację.

– Dlaczego powiedziałeś tej prawniczce, że musimy się zastanowić? Przecież musimy odzyskać pieniądze zgodnie z prawem. Nie wytrąśniesz ich ze Sroki, a on dobrowolnie nic nie odda.

Wizja Zuzy bardzo mu się spodobała. Nie miał nigdy skłonności do przemocy, ale dla tego wykoślawionego gnojka zrobiłby wyjątek. Tłukłby drania tak długo, aż wytlukłby z niego ostatni grosz.

– Bo Sroka będzie miał sprawę karną, a sąd zasądzi na rzecz pokrzywdzonych, czyli nas, naprawę szkody, zatem i tak będzie wyrok, z którym pójdziemy do komornika, żeby ogołocił tego oszusta do cna, a koszt sprawy będzie problemem skarbu państwa, a nie naszym.

– Dlaczego Malicka nam tego nie powiedziała?

– Bo wtedy by nie zarobiła.

– Hm... A nie lepiej prowadzić sprawę dwutorowo? Przecież wygramy i sąd zasądzi nam zwrot kosztów, prawda?

– Tak, ale jak Sroka pozbędzie się wszystkiego, a komornik nie będzie miał co zająć, pójdziemy w koszty, a nic nie zyskamy. I logicznie rzecz ujmując... Dwa wyroki nie sprawią, że dwa razy odda nam pieniądze.

– Niby racja... – Zuza rozważała jego słowa. To, co mówił, brzmiało rozsądnie, i niewątpliwie miał rację.

– Nie wiem, co ty zrobisz, ale ja właśnie to. Jak tylko policja otrzyma wypis z księgi wieczystej, zyskam status pokrzywdzonego, więc będzie mi przysługiwało prawo wglądu w akta i...

– Skąd to wszystko wiesz? – przerwała mu podejrzliwie.

– Mój brat swego czasu miał trochę kłopotów – wyznał niechętnie Tymeck.

– Wyszedł na prostą, ale cała rodzina dowiedziała się o postępowaniu karnym więcej, niżby chciała.

– Był oszustem?

– Raczej idiotą. Wziął kredyt dla kolegi, który miał wyjechać za granicę do pracy. Tak naprawdę facet nigdzie nie wyjechał. Kredyt był wzięty na sfałszowane zaświadczenie o dochodach. Nikt go nie spłacał, bo Waldi myślał, że kumpel płaci raty, więc jeleń, czy nie jeleń, ale wyszło na to, że pieniądze z banku wyłudził.

– Zamknęli go?

– Nie, dostał wyrok w zawieszeniu, musiał jednak naprawić szkodę na rzecz banku, czyli oddać pieniądze, chociaż ich nie wziął, zapłacić koszty sądowe i jeszcze kilka tysięcy grzywny. I stąd teraz wiem co nieco, jak te sprawy się toczą.

– Odzyskał pieniądze od tego swojego kumpla?

– Pewnie, spłacił go razem z odsetkami.

– Naprawdę?

– Skąd!

– Aha... – bąknęła. Jednak jest naiwna. Zawsze źle wychodziła na tym swoim zaufaniu do ludzi. Zawsze.

Tymek ze złością uderzył zaciśniętą pięścią w kierownicę.

– A już wyszedłem na swoje! Teraz znów będę musiał pracować dla kogoś!

– Przynajmniej nie masz długów – zauważyła. – Jeśli jesteś dobry w swoim fachu, szybko się odbijesz.

– To ma mnie pocieszyć?

– Mogło być gorzej – stwierdziła. – Mógłbyś mieć żonę, dzieci, kredyt na karku i nie mieć dokąd wrócić.

– Co ty wygadujesz? Zaraz powiesz, że powinienem się cieszyć, że jestem zdrowy, młody, silny i...

– Użalasz się nad sobą, a są ludzie w gorszej sytuacji, jak choćby ja! Wzięłam kredyt, który będę spłacać przez dwadzieścia pięć lat! Co bym wniosła do swojego małżeństwa? Długi? Obciążać nimi drugiego człowieka, a nawet własne dzieci?!

Tymoteusz spojrział na nią ze zdumieniem. Jaki mąż? Jakie dzieci? Co ta kobieta, u licha, wygaduje?!

– No co? Może kiedyś będę chciała wyjść za mąż, założyć rodzinę... I jak mam to zrobić? Nie stać mnie teraz nawet na psa!

– Jak cię słucham, to faktycznie zdaję sobie sprawę, ile mam szczęścia w życiu.

– No widzisz!

– Że jestem zdrow nie tylko na ciele, ale i na umyśle – dokończył.

Zuza bez zastanowienia uderzyła go zaciśniętą pięścią w ramię. Tymoteusz nawet nie drgnął. Równie dobrze mogłaby go pogłaskać. Za to spytał zdziwiony:

– Uderzyłaś mnie?

– Tak, wiesz, my, chorzy na umyśle, tak mamy. Bijemy ludzi.

– Masz cios jak pięciolatka z anemią.

– Ty... ty... ty... – jąkała się ze złości, coraz bardziej czerwieniejąc na twarzy.

Gdy mocno się zdenerwowała, powracało jąkanie, z którym walczyła jako nastolatka. Bardzo chuda nastolatka, bez piersi, ud, bioder, za to z gniazdem na głowie. Nadal była chuda jak patyk, ale przynajmniej zyskała piersi miseczka B, a po dwudziestce pojawił się nawet zarys bioder.

– Bucu? – podpowiedział uprzejmie. – Pajacu? Palancie? Dupku? Idioto? Kretynie? Debilu? Pominąłem coś?

– Wystarczy to pierwsze. Reszta nie była potrzebna – burknęła, ku swej uldze bez zająknienia. – Nie mam w zwyczaju obrażać ludzi.

– No dobra, zasłużyłem sobie, masz rację. Nie widzę powodów, by czuć się szczęśliwym, ale nie jestem w tragicznej sytuacji. – Niechętnie zgodził się z tokiem rozumowania towarzyszkę w nieszczęściu.

– Może zamiast się kłócić na parkingu, jedźmy do domu i liczymy na to, że właściciel nie pojawi się przez kilka dni. Muszę jak najszybciej znaleźć mieszkanie –

powiedziała Zuzanna, wzdychając ciężko.

Nerwy nic tu nie pomogą, a pozbawią chwilowego oparcia, jakie miała w Tymoteuszu. Przynajmniej nie jest sama.

Na płacz będzie czas później.

Na przykład teraz.

Tego widoku Zuza miała nie zapomnieć do końca swojego bardzo krótkiego życia, bo przecież za chwilę jej serce stanie i już nigdy nie ruszy z powrotem. Hm... Może udar? Skrzep. Niedotlenienie mózgu... Też nic... Piorun prosto z nieba? Jednej chmurki nie ma...

– Zabij mnie – poprosiła Tymoteusza, który w milczeniu parkował samochód.

Właściwie to milczeli oboje przez całą drogę powrotną do nie swojego domu, więc słowa takiego kalibru od razu wyprowadziły go z równowagi.

– Kwadrans temu sama mnie przekonywałaś, że nie może być gorzej, a teraz histeria? Dziękuję, na to się nie pisałem.

– Pamiętasz, jak mówiłam, że mogło być gorzej? Jest gorzej! – jęknęła z płaczem.

Złapała go za rękaw koszuli i zaczęła szarpać, jakby to mogło pobudzić jego mordercze instynkty, których jako żywo nie posiadał. Nie łowił nawet ryb, bo żadnej z nich by nie zabił, nie wypatroszył i na pewno nie wydłubałby jej oczu. Nawet martwej.

– A cóż się zmieniło w ciągu kwadransa? – zapytał z ironią, wyłączając silnik.

– To! – Drżący palec Zuzy był wycelowany w samochód marki Opel, w którym siedziały dwie osoby. Wzrok Tymoteusza automatycznie skierował się na rejestrację. Poznańska.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że to twoja rodzina? – Ciśnienie skoczyło mu gwałtownie. Obawiał się, że jego głowa zaraz eksploduje i rozpadnie się na tysiąc kawałków.

– Nie chcę.

– Więc o co chodzi?!

– To moi rodzice!

– Przecież powiedziałaś, że to nie jest twoja rodzina! – Nic z tego nie rozumiał.

– Powiedziałam, że nie chcę powiedzieć, że to moja rodzina, ale to są moi rodzice!

– Aha... – No cóż, sam też nie wiedział, jak by się zachował, gdyby rodzina zrobiła mu nalot, nie wiedząc, że padł ofiarą oszusta i nowo nabyty dom nie należy do niego.

Z pewnością nie siedziałby w aucie, czekając, aż jego bliscy sami znikną.

– Musimy wysiąść – powiedział stanowczo, wyszarpując z palców Zuzy rękaw, który bezlitośnie mu wymiętosila. – To twoi rodzice. Nie możesz ich zostawić pod domem i zwać.

– Nie zamierzałam – oburzyła się. – Po prostu potrzebowałam chwili, żeby się ogarnąć. Mężczyźni! – prychnęła. – Wszystko im tłumacz, bo inaczej nic nie rozumieją. A kawały są o blondynkach... Cóż za nieporozumienie... – Z ubolewaniem kręciła głową, otwierając drzwi, by opuścić bezpieczne schronienie i stawić czoło smokowi.

– I bądź tu, człowieku, miły. – Nic dziwnego, że niektórzy ludzie więcej czasu spędzają, moczając kije w wodzie, niż w domu. Zimno, mokro, ale cicho. I nie trzeba chodzić na palcach, żeby nie nadepnąć tygrysy na ogon.

Słabsza płeć, też coś – prychnął do siebie ze wzdargą.

Ojciec pierwszy wysiadł z opla, gdy tylko zobaczył idącą w ich stronę Zużę.

– Wybacz, dziecko, ale za zimne noce, żeby rozbijać szafas nad rzeką – powiedział, biorąc ją w ramiona.

– Spokojnie, tato, mówisz tak, jakbym nie znała mamy. Gdybyś nie wrócił, wytropiłaby cię i podpałiła twój szafas, choćby noc była deszczowa – pocieszyła go.

– To prawda – przyznał, odsuwając się, by zrobić miejsce żonie.

– Moja mała córeczka! Nic nie powiedziałaś! – zawołała matka, mocno tuląc ją do siebie.

– Ależ, mamu, to było tak niespodziewane... – Jak ona się dowiedziała? Spojrzała z rozpaczą na ojca, który przyglądał się czemuś, co zobaczył za jej plecami.

– Niespodziewane czy nie, powinnaś mi natychmiast powiedzieć! Jestem twoją matką! – Nadal usiłowała połamać córce żebra.

– Mamu, dusisz mnie – jęknęła Zuza. Od policji? – zastanawiała się gorączkowo. Dlaczego policja do-niosła o wszystkim mojej matce?! Jestem dorosła, u licha!

– Tak się cieszę! – mówiła ze łzami w oczach jej rodzicielka. – Tak się cieszę!

Zuza odsunęła ją stanowczo. Mama zwariowała, stwierdziła. Stało się. W jej wieku takie sytuacje nie mogą przejść bez śladu. Ale żeby aż tak?! To ja zostałam oszukana i to ja powinnam oszaleć! Z rozpaczy!

– Mamu... – zaczęła delikatnie, ale ta zdecydowanie odsunęła ją na bok i wyciągając ręce przed siebie, ruszyła naprzód.

Zdumiona Zuza spojrzała w ślad za matką i zobaczyła, jak ta dwoma susami dopada do Tymoteusza i rzuca mu się w objęcia z okrzykiem:

– Synu!

– Co jest z nim nie tak, że dotąd nam go nie pokazałaś? – zapytał szeptem ojciec, mrugając żartobliwie.

– Poza tym, że to nie jest mój facet? Zupełnie nic! – odparła z ironią Zuzanna.

Oczywiście, że matka nic nie wie. Po prostu rzuca się na pierwszego lepszego faceta na ulicy tylko dlatego, że szedł za jej córką!

– Powinienem przestać wypuszczać ją z domu – skomentował cierpko ojciec, z westchnieniem przyglądając się żonie, która obściskowała młodszego od niej o co najmniej dwie dekady mężczyznę. – Przynajmniej nie kryje się z tym po kątach – dodał z rezygnacją.

Zuza uśmiechnęła się słabo. Może i było to zabawne, zwłaszcza że Tymek stał z wyciągniętymi przed siebie rękami, pokazując wszem wobec, że on nic nie robi i nie zna tej kobiety. Oczami błagał Zużę o pomoc. No cóż, uprzedzała go. Najwyraźniej nie wierzył.

– Mamu, przestań dusić tego nieszczęśnika. Znam go zaledwie od dwóch dni! – zawołała.

Stefania Cieplik odsunęła się od Tymoteusza tylko na chwilę, by jeszcze raz rzucić na niego okiem, po czym zalkała:

– Czyli to miłość od pierwszego wejrzenia! Zupełnie jak ja i twój ojciec! Tak się cieszę! – I ponownie rzuciła się na młodego mężczyznę.

– Właśnie tak zaciągnęła mnie do ołtarza – powiedział z westchnieniem ojciec. – Zanim się zorientowałem, co jest grane, Magda już raczkowała, a ty byłaś w drodze.

– To teraz będzie miała twardszy orzech do zgryzienia. Żadne z nas nie powie „tak”. Mamo, daj mu spokój. To tylko znajomy! – krzyknęła.

– Mów mi mamo albo nie, po prostu Stefania albo Stefa. Jak ci wygodnie, synku kochany! – trajkotała.

– Mamo, Tymoteusz jest tylko znajomym, a nie narzeczonym! Powinien zwracać się do ciebie „proszę pani”! – Zuzanna straciła cierpliwość. Zdecydowanie złapała matkę za łokieć i odciągnęła ją od Tymka.

– Dzięki – wyartykułował szeptem. Bał się głębiej odetchnąć. Nie był pewien, czy ta kobieta nie połamała mu żeber.

– Proszę pani? – Matka nie kryła zawodu. – Jesteś pewna?

– Tak, jest pewna – szybko odpowiedział Tymek.

Zuzanna spojrzała na niego krzywo. Co on sobie właściwie wyobrażał? Że jej się spodobał i zaraz przedstawi go matce, a potem razem na siłę zaciągną go do ołtarza, ojciec zaś będzie stał z dubeltówką w drzwiach kościoła, żeby pan młody nie zwał? I wspólnie będą o pół miliona w plecy, a nie dwieście pięćdziesiąt tysięcy na łebka?

– Nawet bardzo pewna. To nie jest mężczyzna dla mnie – poinformowała sucho matkę.

– Ach, tak. – Stefania nie kryła zawodu.

– Moja droga, pozwól temu młodemu człowiekowi pójść swoją drogą. – Szymon Cieplik surowo skarcił żonę. – I przeproś go za swoje zachowanie.

– Za co? Że uznałam go za godnego mojej córki? To zaszczyt! – broniła się jego małżonka.

– Stefa... – zniecierpliwził się. – Nie odwracaj kota ogonem. Dobrze wiesz, o co mi chodzi!

– No dobrze, przepraszam za swoją pomyłkę – wyrecytowała posłusznie, ale spojrzenie, które rzuciła mężowi, mówiło wyraźnie, że ten zapłaci za wszystko, gdy tylko zostaną sami. Jakby to była jego wina, że publicznie napastowała obcego mężczyznę.

– To może ja już pójde do siebie. Miło było państwa poznać. – Tymek skorzystał z okazji i zniknął za furką w tempie sprintera.

Teraz się zacznie, pomyślała Zuza. Musi im o wszystkim powiedzieć. Rodzice Zuzy ze zdumieniem spojrzeli na siebie.

– Córku – zaczął niepewnie ojciec – czy ty kupiłaś dom z lokatorem?

– Nie, tato, niestety, nie. To byłby zdecydowanie mniejszy problem – odrzekła ze smutkiem. – Wejdźmy do środka.

– Były właściciel? – dociekał ojciec, idąc za nią. – Zabiera swoje rzeczy?

– Nie, tato, Tymek nie jest właścicielem domu. – Przepuściła ich w progu, by weszli do środka.

– Kochanie, to kim jest ten przystojny młody człowiek? Robotnikiem budowlanym? To dlatego go nie chcesz? Nie ma nic złego w pracy fizycznej. Twój ojciec też tak pracował, zanim uznałam, że powinien iść na studia, żeby nam zapewnić lepszy byt – mówiła mama. – Teraz zawody rzemieślnicze są w cenie.

– Mamo, błagam cię, przestań mnie swatać z każdym facetem, którego zobaczysz na ulicy. To żenujące – powiedziała Zuza, wprowadzając ich do kuchni. – Siadajcie, tylko tutaj mam krzesła. Zaraz zrobię wam herbatę i spokojnie porozmawiamy.

– Wolałbym kawę – wtrącił ojciec.

– Lepiej nie. Jak usłyszycie, co się stało, ciśnienie tak wam podskoczy, że nie będziecie potrzebowali kawy przynajmniej do końca tej dekady. – Wyraźnie zrzędlą jej mina.

– Jesteś w ciąży i nie wiesz z kim? – Stefania zbladła, ale dzielnie dokończyła: – Nic się nie martw, kochanie, damy sobie radę. Mężczyźni wcale nie są tak niezbędni, jak im się to zdaje.

– Dzięki, ukochana żono.

– Gdybym miała prawo jazdy, nawet twój ojciec nie byłby mi potrzebny – uroczyście zapewniła córkę.

– Teraz powinienem podziękować wszystkim instruktorom, którzy nie zdołali cię nauczyć odróżniać pedału hamulca od gazu.

– Ja tu o ważnych rzeczach, a ty mi trujesz o hamulcach i innych pedałach. Oczywiście, że je odróżniałam, tylko czasami mi się myliły!

– Tak samo jak czwórka ze wstecznym.

– Skrzynia biegów była do niczego. I kto to wymyślił, żeby w dzisiejszych czasach uczyć jazdy na tych staromodnych samochodach bez automatycznej skrzyni biegów! Nie po to ją wymyślono, żeby jej nie używać!

– Po co ja się w ogóle odzywałem? – Ojciec złapał się za głowę. – Czy ja się nigdy nie nauczę?

– Nasze dziecko zostanie samotną matką, a ty mi tu zawracasz głowę swoimi wydumanymi problemami!

– Mamo! Nie jestem w ciąży!

– Słyszysz? I do tego wszystkiego nie jest w ciąży! I jak mam w takich okolicznościach zadbać o wnuka? Zaraz, zaraz, powiedziałaś, że nie jesteś w ciąży? – zreflektowała się.

– Nie jestem w ciąży! – oświadczyła wolno i wyraźnie Zuzanna.

– O, to nawet lepiej! Dziecko nie powinno się wychowywać bez ojca – powiedziała surowo Stefania.

– Przed chwilą twierdziłaś coś innego – wtrącił ponownie ojciec Zuzy.

– Przecież musiałam ją jakoś pocieszyć! Myślałam, że będzie samotną matką! Miałam jej ciosać kolki na głowie?! Co z ciebie za ojciec?

– I znów to zrobiłem! – jęknął Szymon. – Odezwałem się. Dlaczego? Po co to zrobiłem? A mogłem być na rybach!

– Ja nie wiem, o co ci chodzi z tymi rybami. Żebyś choć raz jakąś przyniósł do domu!

– Przecież uprzedzałaś, że jak nie złapię czegoś w panierce, to nie chcesz tego oglądać na oczy!

– To było dwadzieścia pięć lat temu!

– To czemu nie powiedziałaś, że zmieniłaś zdanie?! Wiesz, jakiego szczupaka

złapałem ostatnio?

– Nie wyobrażaj sobie, że będę patroszyć i skrobać to obrzydlistwo! – Stefania pogroziła mu palcem. – Czy ty wiesz, jak śmierdzi martwa ryba? – zwróciła się do córki. – Zupełnie jak twój ojciec, gdy wraca znad stawu!

Tymek, bezczelnie podsłuchujący na schodach, zakrył usta dłońmi, by nie wybuchnąć śmiechem. Teraz już wiedział, po kim Zuza to ma. To nie szaleństwo. To geny.

Zuza zamknęła oczy i nawet chciała pomodlić się o cierpliwość, zmiłowanie, piorun z nieba, cokolwiek, co by jej pomogło, ale istota najwyższa, kimkolwiek była, jak dotąd pozostawała głucha na jej prośby, toteż dziewczyna nie liczyła na nagłą zmianę w tej właśnie chwili. Może powinna przemyśleć swoją postawę religijną, ale poprzednie też jej nie pomagały, zatem najrozsądniej byłoby darować sobie modlitwy, wziąć się w garść i mieć nadzieję, że żadne z rodziców nie dostanie zawału. Zwłaszcza ojciec, bo matka najwyżej dostanie ataku hysterii.

– Drodzy rodzice – zaczęła z namaszczeniem, przerywając toczącą się między nimi wymianę zdań – sytuacja wygląda tak. Po przyjeździe do mojego wymarzonego domu spotkałam Tymoteusza.

– A jednak! – pisała radośnie matka.

– Który kupił ten dom tego samego dnia co ja.

– Jak to możliwe? – zdziwił się ojciec.

– Oboje zostaliśmy oszukani. Zgłosiliśmy sprawę policji, poszliśmy do adwokata i okazało się, że żadne z nas nie ma prawa do tego domu, ponieważ była jeszcze trzecia osoba kupująca, która okazała się pierwsza, zatem to ona legalnie nabyła dom, a my dwoje zostaliśmy nabici w butelkę – dokończyła z trudem.

W kuchni zapadła cisza tak głęboka, że Zuza słyszała tykanie zegara, o którego istnieniu nie miała pojęcia. Ze zdumieniem rozejrzała się po ścianach i dopiero po chwili dotarło do niej, że to nie zegar, tylko krew tętniąca jej w skroniach.

– Nic nie rozumiem! – zawołała ze zdziwieniem mama. – Więc kupiliście ten dom, nie znając się? Chcecie tu razem mieszkać?

– Kochanie, to nie jest ich własność – zaczął łagodnie tłumaczyć żonie Szymon, chociaż sam był jeszcze w szoku. – Zostali oszukani. Właściciel sprzedał ten dom kilku osobom.

– Właśnie tak – potwierdziła z westchnieniem Zuzanna. – Nie możemy nawet tu przebywać, ale skoro i tak nie mamy gdzie się podziać, to na razie zostaniemy. Musimy szybko coś wynająć, zanim prawdziwy właściciel zorientuje się, że ma dzikich lokatorów, i wywali nas na zbity pysk.

– Więc jednak będziecie razem mieszkać? – obstawała przy najmniej istotnej informacji Stefania, jakby jej umysł bronił się przed tragiczną prawdą.

– Nie, mamo, mówiąc „my”, mam na myśli to, że żadne z nas nie może tu zostać i każde musi na własną rękę znaleźć sobie miejsce do zamieszkania. Mówiąc „my”, po prostu używam liczby mnogiej.

– Więc nie jesteście parą i nie będzie z tego wnuków?

– Kochanie, pozwól, że ci wytłumaczę jeszcze raz. – Ojciec Zuzy jako jedyny w tej

rodzinie miał nerwy ze stali, ale i stal ma swoją wytrzymałość.

– Szymek, ja wszystko rozumiem, tylko nie dopuszczam tego do świadomości. Pozwól mi rozpaczać nad najmniej istotną w tej chwili kwestią, bo inaczej się rozkleję. A jak się rozkleję, to już się nie pozbieram. Czy ty to rozumiesz, Szymek? Czy po trzydziestu latach małżeństwa rozumiesz swoją żonę? – dopytywała się drżącym głosem.

– A nie wystarczy, że tata cię kocha, mamó? – wtrąciła się szybko Zuza, czując, że jej ruina finansowa za chwilę zejdzie na odległy plan, a między rodzicami wybuchnie kłótnia. Matka zacznie płakać i krzyczeć, a ojciec będzie siedział w milczeniu, ze spłoszoną miną, i zastanawiał się, o co chodzi i czy to się naprawdę dzieje.

Od wysłuchania dalszej części rodzinnej sagi Cieplików wybawił Tymka dzwonek do drzwi. Wahał się nawet, czy otwierać, zdradzając tym swoją obecność na schodach, ale problem rozwiązał się sam, gdy Zuza zmaterializowała się tuż przy drzwiach wejściowych. Albo tak wolno myślę, albo ona jest taka szybka, pomyślał zaskoczony Tymoteusz. Zdawało mu się, że od chwili, gdy usłyszał dzwonek, nie upłynęły trzy sekundy.

– To pan! – zawołała na widok nieoczekiwanego gościa. – Złapaliście go!

– Niestety, nie. Dzień dobry, pani Cieplik.

– Wiecie, gdzie jest? – zapytał z nadzieją Tymoteusz, który sam nie wiedząc jak ani kiedy, znalazł się tuż za Zuzą, gdy tylko usłyszał ten tubalny głos.

– Niestety, nie. Witam, panie Magnus. Pozwolą państwo, że wejdę? – Rurzycki nie był zaskoczony gorącym przyjęciem. Niestety, nie miał dobrych wieści.

– Oczywiście. Proszę.

Zuza cofnęła się, robiąc miejsce ogromnemu mężczyźnie. Przy okazji nadepnęła na stopę Tymka, który nie zdążył w porę usunąć się z drogi. Syknęła coś, co zabrzmiało jak: „Niedorajda” – po czym powiedziała głośniejszym głosem:

– Zapraszam do kuchni. Są tam moi rodzice, ale to jedyne miejsce, gdzie można usiąść.

– Rodzice mi nie przeszkadzają. Duży jestem – próbował nieudolnie zażartować policjant.

Miał naprawdę kiepskie wiadomości, a próba rozładowania napięcia, głównie swojego, zawiodła. Nie był najlepszy w przekazywaniu złych wieści, ale ciągnęli słomki z kolegą, który również zajmował się tą sprawą, i Rurzycki przegrał.

Zuza przywołała na twarz uśmiech numer trzy – oznaczający sympatię, z którą dorośli zwracają się do dzieci. „Tak, tak, skarbie, ładny obrazek, a teraz namaluj coś dla tatusia, bo mamusia nie ma czasu. Paznokcie musi jeszcze pomalować”. Twarz Tymka nie wyrażała zupełnie nic. Za to skóra mu ścierpła. Poważna mina policjanta nie wróżyła dobrze.

– Sroka nie żyje – powiedział złowieszczym tonem.

– Nic mi o tym nie wiadomo. A panu? – zapytał podejrzliwie Rurzycki.

– Też nie, ale ma pan minę, jakby ktoś umarł, a nie fatygowałby się pan tutaj, gdyby sprawa nie dotyczyła nas, a jedyne, co nas łączy, to Sroka i... Chyba zbyt dużo czasu spędzam z panią Cieplik – zreflektował się Tymoteusz.

– A mnie tam go nie żal. Jak umarł, to dobrze mu tak – oświadczyła Zuza z dziką

satysfakcją, nie bacząc, że wszyscy troje weszli już do kuchni.

– Nie, nie umarł. Ja w innej sprawie.

– Kto miałby umrzeć? – Podenerwowana matka wbiła oczy pełne łez w ogromnego mężczyznę, który zdawał się wypełniać sobą całą przestrzeń.

– Nikt, mam. Pan prowadzi śledztwo w sprawie tego oszusta, żeby odzyskać nasze pieniądze – wyjaśniła Zuza.

– O! To cudownie! – rozpromieniła się Stefa. – I jak panu idzie?

– Mam, dopiero wczoraj zgłosiliśmy sprawę. Wcale mu nie idzie – oświadczyła Zuza, po czym, uzmysłowivszy sobie, co powiedziała i jak mogło to zostać zrozumiane, dodała szybko: – Co nie jest niczyją winą, bo z próżnego i Salomon nie należy.

Słyszając jęk Tymka i ciężkie westchnienie ojca, zreflektowała się odrobinę i wyjaśniła cierpko:

– Mam na myśli, że w ciągu tych parunastu godzin sam Sherlock Holmes nie zdołałby zdobyć wystarczających informacji, by rozwiązać tę sprawę. Dajmy policji czas na działanie.

– Dziękuję. To bardzo uprzejme z pani strony – skomentował ironicznie Rurzycki.

– Więc co pana do nas sprowadza? – zapytał Tymek, nim Zuza znów zdążyła powiedzieć coś niewłaściwego, a nawet potencjalnie obraźliwego.

– Mam informacje dotyczące prawowitego właściciela domu. To...

– Dagmara Adamczyk – weszła mu w słowo Zuza. – Jeśli tylko po to się pan do nas fatygował, to doprawdy tracił pan swój cenny czas, który powinien pan poświęcić szukaniu tego szubrawca.

– Zuzka! – zawołała wzburzona matka. – Jak ty się odzywasz do pana... – zawiesiła znacząco głos, uśmiechając się do policjanta.

– Podkomisarz Wojciech Rurzycki, proszę pani. – Niemal stuknął obcasami.

– O, pan komisarz. – Mrugnęła znacząco do córki. – Nie ma obrączki – szepnęła.

– Mam! – jęknęła dziewczyna. – Mam kredyt w banku długi jak wypasiony tasieniec, a ty mi głowę bzdurami zawracasz?

– Koniec. – Zdecydowany głos ojca Zuzy zmusił je obie do zamilknięcia. Tymek żałował, że nie słyszał go wcześniej. Mógłby na przykład nagrać Szymona Cieplika albo nauczyć się, jak on to robi. Umiejętność zmuszania Zuzy do milczenia była na wagę złota.

– Jesteśmy rodzicami Zuzanny. – Szymon zwrócił się do policjanta. – Przed chwilą córka poinformowała nas o zaistniałej sytuacji. To szok.

– Oczywiście, rozumiem. Przykro mi, że nie mam dobrych wieści, ale na miejscu państwa pokrzywdzonych wolałbym wiedzieć, na czym stoję. Jak najszybciej. – Rurzycki nie krył skłębienia. Miał nadzieję, że przekaże informacje szybko i umknie jeszcze szybciej, tymczasem zdecydowanie coś mu nie szło.

– Stoję w cudzej kuchni na cudzej podłodze. Hura – skomentowała kwaśno Zuza.

– Byliśmy w kancelarii prawnej, jak nam pan doradził. – Tymek postanowił ratować sytuację. – Prawniczka właśnie dziś poinformowała nas o treści wpisu w księdze wieczystej. Dotąd się nie otrząsnęliśmy.

– Ach, tak, rozumiem. Niepotrzebnie zawracałem państwu głowę.

– Proszę zawracać nam głowę jak najczęściej.

Słyszając słowa Stefanii, ojciec i córka jednocześnie przewrócili oczami.

– Mamo, zejdź, proszę, na ziemię – poprosiła zmęczonym głosem Zuza. Rodzice byli od kwadransa, a już czuła się wyczerpana jak po całym dniu pracy w kopalnianym szybie.

– Panie komisarzu, co moja córka ma począć w tej sytuacji? – zapytał Szymon, który jako jedyny starał się w sposób racjonalny rozeznaczyć w sytuacji.

– Chłopiec czy dziewczynka, wszystko mi jedno – uśmiechnęła się szeroko Stefania.

– Mamo, tata chciał wiedzieć, co robić w tej sytuacji. Nie mówił o wnukach! Czy ty nie możesz się cieszyć tym, co masz? Magda ma dwójkę dzieci! Jesteś już babcią!

– Oj, tam, jestem czy nie jestem, ale to dzieci Magdy, a ja czekam na twoje! Poza tym są już za duże, żeby je rozpieszczać, i za dużo gadają.

– To kup sobie psa!

– Cisza! – Ojciec podniósł głos. – Nikt nie będzie miał psa i nikt nikomu nie będzie podsuwał takich pomysłów, bo jestem uczulony na sierść! I do tematu proszę!

Tymek zerknął z ukosa na Zuzę. Jej plan dotyczący stada futrzaków wysłał ojca na tamten świat, a będąc na jej miejscu, starałby się raczej pozbyć matki.

– Sytuacja wygląda tak, proszę pana, że nie mogę o niej mówić z osobami trzecimi. Bardzo mi przykro.

– Sytuacja wygląda tak, tato, że muszę jak najszybciej się stąd wyprowadzić, nadal spłacać kredyt, a pan komisarz będzie szukał tego oszusta tak długo, aż go znajdzie, sąd go skáže, a komornik wycisnie z niego moje pieniądze.

– Nasze pieniądze – poprawił ją stanowczo Tymek.

– Tak, nasze pieniądze – zgodziła się z nim Zuza. – Ale, mammo moja kochana, nasze w liczbie mnogiej, a nie w liczbie wspólnej, rozumiemy się?

– Nie ma czegoś takiego jak liczba wspólna. Przynajmniej nie w gramatyce. Za matematykę nie dam głowy – oświadczyła urażona Stefania.

– A jak komornik nic nie znajdzie, bo ten Sroka pozbędzie się wszystkiego? – dopytywał się Cieplik.

– Wtedy wyjdę bogato za męża i pozwolę, żeby mąż mnie utrzymywał. Ale zanim to nastąpi, zamierzam utrzymywać się sama i spłacać ten cholerny kredyt! I każdego dnia będę się modlić o powolną i bolesną śmierć dla tego padalca!

– Jak umrze, to nigdy nie odzyskamy pieniędzy, więc ja mu życzę, żeby żył długo i zdrowo – powiedział Tymoteusz w duchu życzący oszustowi wszelkich mąk piekielnych.

– A ja wolałbym go znaleźć, zanim straci państwa pieniądze – odezwał się Rurzycki.

– Czy oszukał kogoś poza nami? – zainteresował się Tymoteusz.

– W sensie ogólnym?

– Nie, w sensie tego domu.

– Do sądu wpłynęły trzy wnioski, zatem nie. Sprzedał dom tylko waszej trójce. Pewnie nie znalazł więcej kupców w tak krótkim czasie. Pan Sroka ma spore długi. Podejrzewam, że upłynnił dom, nim komornik wszedł na hipotekę – powiedział komisarz.

– Teraz proszę wybaczyć, ale muszę wracać do komisariatu.

– Dziękujemy za pański czas, panie komisarzu – pożegnał się z nim Szymon, zmartwiony i zdenerwowany jak pozostali, ale nadal pamiętający o formach towarzyskich.

– On nie ma obrączki – szepnęła ponownie Stefania do córki, gdy mężczyźni wyszli z kuchni, żeby odprowadzić policjanta do drzwi.

Zuza nie wiedziała, dlaczego cała plemnikowa drużyna jednocześnie wymaszerowała z pomieszczenia, ale nie miała szans, by ruszyć za nimi, gdyż matka złapała ją za rękę.

– Kochanie, wiem, że jesteś w trudnej sytuacji, ale czas nie działa na twoją korzyść. Niedługo skończysz trzydzieści lat i co lepsi kandydaci będą już zajęci, a choćby i nie, to mężczyzna koło czterdziestki zaczyna się rozglądać za coraz młodszymi panienkami i wypadniesz z obiegu. Masz tu dwóch przystojnych kawalerów, jeden ze stabilną pracą, a drugi... Czym zajmuje się ten cały Tymoteusz?

– Ma swoją firmę. Kupuje domy i mieszkania do remontu, a potem sprzedaje po wyższej cenie, ale jakie to ma znaczenie, skoro moje życie wali się w gruzy?

– Naprawdę? Własna firma? – ekscytowała się Stefania. – Ma kredyty? Długi? – zapytała z nagłą podejrziwością.

– Nie, kupił ten dom za gotówkę, ale jest zły, bo stracił dużo pieniędzy i nie może sobie pozwolić na zakup innego. Pewnie będzie musiał brać zwykłe zlecenia na remonty, ale jakie to ma znaczenie? Po co ja ci to wszystko mówię? – zirytowała się Zuzanna.

– Jest młody i ma perspektywy. Trzymaj się go – poradziła jej matka.

– Mamo! Błagam cię! O czym ty mówisz?

Na szczęście Stefania nie miała możliwości jej odpowiedzieć, bo Tymek i jego przyszło-niedoszły teść wrócili do kuchni.

– Dlaczego od razu nam nie powiedziałaś? – spytał z wyrzutem ojciec. – Pomogliśmy ci.

– Niby jak, tato? Zajrzałbyś w kryształową kulę i podał nam miejsce pobytu tego oszusta? – odparła z goryczą Zuzanna.

– Ten sarkazm niczego nie rozwiązuje – zganiał ją Szymon.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się Zuza. – Ale dzięki niemu jest mi lepiej i nie zalewam się łzami. Nie powiedziałam wam od razu, bo do dzisiejszego ranka sądziliśmy, że właścicielem jest jedno z nas. – Odwróciła się w kierunku Tymoteusza, który mruknięciem potwierdził jej słowa. – Gdyby się okazało, że to ja, nie byłoby o czym mówić. W przeciwnym wypadku... No cóż... W końcu musiałabym wam powiedzieć – przyznała niechętnie.

– Mogłabyś korzystnie wyjść za mąż – powiedziała głośno Stefa, niby przypadkiem zerkając na Tymoteusza, który aż się wzdrygnął.

– Daj spokój, Stefciu. Chłopak ma alergię na teściowe. – Tata Cieplik starał się rozładować napięcie równie umiejętnie jak rzeźnik przeprowadzający operację na otwartym sercu.

Bez znieczulenia.

– Ten ogromny policjant też wydaje się bardzo miły. – Stefania nie miała

w zwyczajach się poddawać.

– Mamo, błagam cię. Nie zawstydzaj mnie przed obcymi ludźmi!

– Jaki tam obcy! – zachnęła się. – Przecież mieszkacie razem!

– W jednym domu! Nie razem!

– Oj, Zuzka, ale ty się czepiasz – zniecierpliwiła się matka. – Ludzie poznają się najlepiej, mieszkając wspólnie. Myślisz, że ja znałam twojego ojca przed ślubem? Owszem, latał z kwiatkami jak kot ze sraczką...

Szymon Ciepłik zrobił zdziwioną minę. Podobnie jak Tymoteusz. Wymienili ze sobą – w niemym porozumieniu – bezrozumne spojrzenia.

– Zabierał mnie na spacer i na tańce, ale dopiero po ślubie, gdy zamieszkaliśmy razem, wyszło szydło z worka. A to tubka do pasty niedokręcona, a to śmierdzące skarpety rzucone byle jak pod łóżko... Ty wiesz, że ja na kolanach wąchałam podłogę, bo myślałam, że coś nam zdechło, nim odkryłam, że to jego skarpety?

– Stefciu, kochanie, jeśli nie chcesz osierocić naszego dziecka, zamilcz. – Jej mąż złapał się za serce, więc tak do końca nie było wiadome, czy to on padnie trupem, czy też ona.

Za jego sprawą.

– Kochani rodzice – Zuza uznała, że czas zabrać głos i pozbyć się obojga ze swojego pogmatwanego życia chociaż na tydzień – kawa, ciastko i wracacie do domu. Nie możecie tu zostać, bo to nie jest mój dom. Ja też nie mogę tu zostać, bo to nie mój dom. Jeszcze dziś chciałabym posprawdzać ogłoszenia o mieszkaniach do wynajęcia. Muszę jak najszybciej się stąd wynieść, a w poniedziałek zaczynam nową pracę. Proszę o zrozumienie i milczenie na ten nieprzyjemny dla mnie temat. Możemy porozmawiać o pogodzie, planach reprodukcyjnych Magdy, bo dwójka dzieci jej nie wystarcza, jakby mnie było stać na więcej siostrzenic i siostrzeńców, ewentualnie o zrobieniu przeze mnie prawa jazdy, bo chyba mi się przyda – mam złe skojarzenia z jazdą pociągami – czy też problemach gospodarczych świata. Ale nie rozmawiamy o mnie i moich kłopotach. Czy wyraziłam się jasno?

Tymek nie krył podziwu. Jemu tak dobrze nie szło z rodzicami. Matka zawsze potrafiła sprawić, że czuł się jak nastolatek przyłapany na masturbacji, a ojciec... No cóż... Jak potrzebował kumpla do kielicha, to ten zawsze był na miejscu. Brat... Westchnął ciężko. Waldi był starszy od niego o kilka lat, a Tymek czuł się przy nim jak własny pradziadek. Ada z kolei świetnie sobie radziła zawodowo, ale prywatnie... Do jej „narzeczonych” zawsze mówił „koleś”, by nie pomylić imienia. Oczywiście mógł zwracać się do nich jak siostra, ale któremuś mogłoby się nie spodobać, gdyby Tymek nazwał go misiakiem.

– I nie, nie możecie mi pomóc – ubiegła ojca, który najwyraźniej chciał coś powiedzieć. – Jak nie odzyskam pieniędzy, na kredyt będzie zarabiał mieszkanie po cioci Jance, a ja do końca mojego krótkiego, żalnego, spędzonego w staropanieństwie życia będę się tulać po cudzych kątach.

Stefania zacisnęła usta, w pełnym godności milczeniu przyjmując przytyk córki. W zaistniałej sytuacji postanowiła wykazać się wyrozumiałością. W końcu Zuzka miała to po niej. Była tak emocjonalna, delikatna i wrażliwa, że tym bardziej potrzebowała

męskiego ramienia. Musi koniecznie porozmawiać z Madzią. Jest starsza od siostry, z pewnością ona sama lub jej mąż mają znajomych w odpowiednim wieku dla Zuzki.

I z odpowiednio zasobnym portfelem. Sytuacja młodszej córki wołała o pomstę do nieba. Właściwy mąż rozwiązałby ten problem.

Zuza z ulgą pożegnała rodziców. Na szczęście uszanowali jej prośbę i nie poruszali już drażliwych tematów. Rozmowa jednak się nie kleiła, bo mama tylko mrugała znacząco bądź chrząkała, rzucając ukradkowe spojrzenia na Tymoteusza, ojciec natomiast pogrążył się w ponurym milczeniu i co kilka minut wyłamywał stawy w dłoniach, trzaskając nimi tak, że Zuze ciarki przechodziły po plecach.

Kawa została wypita w niemalże zupełnej ciszy, bo jedynie Tymek starał się prowadzić jakąś uprzejmą konwersację, głównie dlatego, że Zuzanna błagalnym spojrzeniem zmusiła go do pozostania w kuchni.

Wreszcie rodzice wyszli, a po chwili opel znikł za rogiem ulicy.

– Pojechali – ogłosiła Zuza, sięgając do lodówki po pozostałość wczorajszej jednoosobowej libacji alkoholowej.

– Co robisz? – wystraszył się Tymek.

– Mam zamiar napić się wina, a co?

– Alkohol nie rozwiązuje żadnych problemów.

– Ale pozwala o nich zapomnieć.

– Ale nastęcza dodatkowych.

– Ale ja nie miewam kaca.

– Ale film ci się urywa.

– Ale... ale... ale... – zawołała z irytacją. – Ale o co właściwie ci chodzi?

– O nic – burknął niechętnie.

Jak ma jej powiedzieć, że gdyby nie jego zasady moralne, przyzwoitość i przekonanie, że rano Zuza oderwie mu pewną część ciała i wciśnie w gardło, uprawialiby szalony seks przez całą noc. Rzecz jasna, gdyby mieli prezerwatywy, a Zuza nie straciła przytomności. I gdyby podobały mu się chude kobiety.

– Gapisz się na mnie. – Spojrzała podejrzliwie na butelkę.

Dosypał jej tam czegoś czy co? Nie, wczoraj wypija znacznie więcej wina i nic się nie wydarzyło, zatem dlaczego dzisiaj miałby zrobić jej coś złego? No tak, ale wczoraj musiał brać pod uwagę, że go wywalę na zbity pysk, jeśli okażę się właścicielką, a dziś ta przeszkoda już nie istnieje.

– Napijesz się ze mną? – zaproponowała, gdy Tymoteusz wzruszył ramionami na jej uwagę, nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć.

– Mówiłem, że nie piję wina. Mam piwo.

– Powiedziałeś też, że alkohol nie rozwiązuje problemów.

– Ale pozwala o nich zapomnieć. – Otworzył lodówkę i z niedowierzaniem zlustrował jej zawartość. – Gdzie moje piwo?!

– W szafce.

– W szafce?! Przełożyłaś moje schłodzone piwo z lodówki do szafki?!

– A co miałam tam włożyć? Mięso i ser?

– Jesteś dowodem na istnienie Boga – oświadczył ponuro. – I do tego ten Bóg jest

kobietą. Ale już koniec z tym. Żadnych żalów czy też dywagacji filozoficznych. Przechodzę na ateizm i niech mnie ktoś spróbuje powstrzymać...

– Ja nie zamierzam. Nie mam nic do ateistów – zapewniła go Zuza, nalewając do szklanki doskonale schłodzone wino. – Przejrzę ogłoszenia mieszkaniowe w Internecie. Jesteś zainteresowany czymś konkretnym? Mogę podesłać ci linki – zaproponowała uprzejmie, nie rozumiejąc, dlaczego Tymoteusz ciska gromy wzrokiem w jej kierunku.

– Nie. Sam się tym zajmę – odpowiedział ponuro, widząc w wyobraźni M-1 na cmentarzu, w otoczeniu sosen, z ogromnym głazem zamiast nagrobka, żeby, nie daj Boże, nie wypęzła i znowu nie spaskudziła mu piwa.

– Phi... – prychnęła lekceważąco. – Mężczyźni i te ich nastroje. Diabeł by nie nadążył.

Ledwo skończyła przeglądać ogłoszenia – tylko dwa wyglądały interesująco – rozległo się walenie pięścią w drzwi i spokój piątkowego wieczoru odszedł w niepamięć. W pierwszej chwili Zuzanna nie zamierzała reagować, bo któż mógłby ją odwiedzić? Rodzice już to zrobili. Policja także. Właścicielki tylko nie było, ale pani Adamczyk może otworzyć drzwi Tymoteusz i powalić ją na kolana piwnym oddechem. Nadal nie miała pojęcia, o co chodzi z tym piwem. Przecież wystarczyło włożyć je na powrót do lodówki i schłodzić. Kwadrans w tę czy tamtą, co za różnica?

– Magdy jeszcze nie było, a rodzice na pewno wszystko jej opowiedzieli. Cud, że nie wydzwania... – rozmyślała na głos, patrząc na opróżnioną butelkę wina. Tym razem była na delikatnym rauszu, jednak wypila pół butelki wina, a nie półtorej. – A zejść, co mi tam. Dorosła jestem. – Z tym postanowieniem owinęła się kocem, wcisnęła stopy w obszyte futerkiem bambosze i wyszła z pokoju.

– Zaraz! – wrzasnęła, gdy walenie nie ustawało. To znaczy, ustało, ale tylko na chwilę, a potem znów rozpoczęła się kanonada. – Zaraz!!!

– Nie wrzeszcz! – Z pokoju wypadł na wpół rozneglizowany Tymoteusz. – Która godzina?

– Dochodzi dwudziesta i ktoś próbuje wyważyć drzwi. A co? Głuchy jesteś? I dlaczego to ja idę otworzyć? Jesteś mężczyzną, ty powinieneś to zrobić.

– Sam napadł, niech sam się broni. – Tymek przecesał palcami zmierzwioną czuprynę. Nie miał takiej praktyki jak ojciec, sześciopak piwa rozłożył go na łopatki. Zasnął snem sprawiedliwego.

– Phi... – prychnęła drwiąco, mijając go i zbiegając ze schodów. – Przestań walić, bo wezwę policję! – krzyknęła do kogoś za drzwiami, kto ponownie uderzył kilkakrotnie w drzwi. Sądząc po odgłosach, musiał pukać pięścią, a nie palcem, jak jest to powszechnie przyjęte. Mógł też użyć dzwonka przy drzwiach, ale zdaniem Zuzy był to jakiś facet, zatem niewiele można było oczekiwać.

– Sroki szukam! – Męski głos za drzwiami brzmiał całkiem zwyczajnie.

– Tu go nie ma! – odkrzyknęła Zuza, zerkając przez wizjer. Mężczyzna stojący pod drzwiami mówił całkiem zwyczajnie, ale wyglądał podejrzanie. Dżinsy, ciemna skórzana kurtka, krótko ostrzyżony.

– A gdzie jest?

– Nie wiem!

– Może pani otworzyć?

– Nie wiem! Mogę otworzyć? – zapytała Tymka, który stał za nią, przysłuchując się wymianie zdań.

– Zaczekaj chwilę. – Odsunął ją zdecydowanym ruchem i zerknął przez wizjer.

Mężczyzna za drzwiami rozglądał się dokoła, jakby lustrował otoczenie. Szerokie ramiona wypełniały przyciasną kurtkę. Zdecydowanie nie spodobał się Tymkowi. Osilek z przedmieścia, pomyślał z niesmakiem. Jego podejrzliwość została nagrodzona. Dźwięk, który dobiegł od strony drzwi wychodzących na ogród, nie mógł być niczym innym, jak próbą otwarcia zamka bez użycia klucza. Tymek nazwałby to włamaniem, gdyby tylko miał czas się zastanowić.

– Uciekaj na górę i dzwoń pod sto dwanaście – polecił stanowczo Zuzie.

– Ale...

– Ktoś próbuje dostać się do domu! Biegiem! – syknął do niej, a sam pobiegł do kuchni.

W pierwszym odruchu sięgnął po nóż, ale się zawahał. Uszkodzi bandytę z wytrychem i skończy z wyrokiem za przekroczenie granic obrony koniecznej. Nie rzuci się na włamywacza z własnym wytrychem, bo takowego nie posiada, no i co to za narzędzie do obrony.

Nie wiadomo też, co ma włamywacz. Może własny nóż, którym potrafi się posługiwać, a jedyne, do czego dotąd Tymek używał ostrego noża, to krojenie wędlin, warzyw i chleba, gdy zdarzyło mu się kupić go w całości. Podstaw samoobrony też nie znał. Nie, noża lepiej nie brać. Musiałby atakować z bliska i nie wiadomo, jak by się to skończyło. Musi znaleźć coś, czego można używać na odległość. Kij bejsbolowy.

Skup się, Tymek, przecież nie masz kija.

– Ale tu jest szczotka! – Ucieszył się na widok staroświeckiej drewnianej szczotki do zmiatania.

Szybko wykręcił dolną część i zważył kij w rękę. Do odebrania życia napastnikowi się nie nadawał, do powalenia złoczyńcy i owszem. Zawsze można nim dźgnąć w brzuch lub inne miejsce, a jak bandyci mu go odbiorą, to najwyżej go obiją, ale z nadto nie uszkodzą. Do czasu przyjazdu policji powinni się z Zuzą utrzymać. Już miał biec do tylnych drzwi, ale jeszcze sięgnął na powrót po dolną część i z powrotem przykręcił ją do kija. Szczotka też była drewniana i dość ciężka. Może się przydać przy zamachu. Dźgać może drugą stroną.

Przerażona Zuza pognęła na górę jak wiatr. Z telefonem w rękę wyjrzała przez okno pokoju, które wychodziło na ogród z jej różanecznikiem. Przy tylnych drzwiach zauważyła dwie postacie. Jedna z nich się rozglądała, druga klęczała przy kłamce.

– Zuzanna Ciepłik, Kłopotów, ulica Spokojna piętnaście. Proszę o interwencję. Trzech mężczyzn próbuje się włamać do domu. Chyba są uzbrojeni – wyrecytowała jednym tchem.

– Nie, nie mam gdzie się schować – ubiegła słowa operatora.

Oglądała dość filmów akcji i kryminałów, by wiedzieć, ile czasu traci się na rozmowę.

– Niech pan nie udziela mi rad, tylko jak najszybciej wyśle pomoc! – Rozłączyła

się i spróbowała wcisnąć telefon do tylnej kieszeni spodni. Ze zdumieniem zauważyła, iż ręce trzęsą jej się tak mocno, że nie może sobie poradzić z tą czynnością.

– Zuzka, weź się w garść, Tymek jest na dole sam, a ich jest trzech. Musisz pomóc – wyszeptała, czując, że poziom strachu szybko wzrasta i chwilowy przyływ odwagi zaraz zostanie zalany strumieniem paniki. Przecież to prawda, że nie miała gdzie się schować. W żadnym z pokoi nie było drzwi, nie mówiąc o zamkach, do tego Tymek sam nie da rady trzem napastnikom. Jak go załatwią, przyjdą po nią. Taki Rurzycki na pewno powaliłby wszystkich trzech złoczyńców jednym machnięciem ręki, gdyby tylko tamci ustawili się w rzędzie. Zasięg ramion miał potężny, a Tymoteusz? Nie był chuderlawy, ale... Na karatekę to on jej nie wyglądał. Chociaż Bruce Lee też nie, bo mały był i chudy, a, proszę, ratował cały świat. A przynajmniej pół. Może Tymek też sam sobie poradzi?

– Zuzka, Tymek to nie Bruce Lee. Weź się w garść. Weź się w garść. Nie wypadłaś sroce spod ogona. Dasz radę – dodawała sobie otuchy, jednak wyjątkowo nieudolnie. Nigdy nie umiała kogoś pocieszyć, siebie zresztą też nie. Na obżarstwo nie było czasu, a szkoda, bo w chwilach stresu nieźle działało. Spojrzała na opróżnioną butelkę po winie.

– Z braku laku... – szepnęła, za wszelką cenę próbując opanować paraliżujący ją lęk.

Powoli, krok za krokiem, wyszła z pokoju. Po cichutku przemknęła na schody, gdzie zatrzymała się, nasłuchując. Walenie w drzwi ucichło, Tymka też nie było słychać. Zabili go? Nie, niemożliwe. Przecież by krzyknął albo wydał z siebie jakiś charkot.

Tymek omal nie zszedł na zawal ze strachu, gdy wyczuł za plecami czyjąś obecność. Postanowił zabić tego kogoś, zanim tamten zabije jego – za szczotkę go nie zamkną, jeśli facet ma broń – odwrócił się, biorąc zamach zza głowy, ale w ostatniej chwili opuścił ramię. Za zabicie Zuzanny Cieplickiej zamknęliby go na sto procent i jeszcze wyrzucili klucz.

– Co ty tu robisz? – syknął, widząc dziewczynę, stojącą za nim z wojowniczą miną i butelką po winie w ręce.

– Pomagam. Nie zostawię cię samego. – Deklaracja zabrzmiała o niebo lepiej, gdyby Zuza ze strachu nie szczękała zębami.

– Miałaś wezwać policję!

– I wezwałam!

– To się schowaj!

– Niby gdzie?! Pod stół w kuchni? Jak cię zabiją, to przyjdą po mnie, a we dwójkę może się utrzymamy! Ostatnio patrol przyjechał dość szybko! A teraz powiedziałam, że jest ich trzech i mają broń! Powinni przysłać antyterrorystów!

– W Kłopotowie nie ma antyterrorystów.

– To kogokolwiek.

– Zaraz, zaraz, powiedziałaś, że jest ich trzech. Wymyśliłaś to, czy naprawdę jest ich trzech? – Tymek przestraszył się jeszcze bardziej, a sądził, że bardziej już się nie da.

– Wyjrzałam przez okno. Dwóch jest z tyłu, a jeden wali w drzwi. Trzech jak nic – zapewniła go.

– Nikt już nie wali w drzwi. Może ten od drzwi poszedł do tyłu...

– Dwóch to też za dużo na ciebie jednego – zauważyła Zuza.

– Miałaś mi pomagać.

– No tak... – zmarkotniała. – Włamywacze mają broń, to policja powinna przyjechać jeszcze szybciej.

– Widziałaś broń?!

– No nie, ale kto się włamuje bez broni?

– Też racja. Czekał, coś jakby cisza się zrobiła... – Tymek przez moment nasłuchiwał. Wejść nie weszli, boby widział. Stojąc w przedpokoju, miał widok na drzwi wejściowe i tylne.

Zuza wstrzymała oddech. Rzeczywiście, nic nie słycać.

– Sprawdź drzwi wejściowe, a ty idź do tyłu – poleciła mu, skradając się na palcach do wizjera.

Tymek złapał ją za pasek od spodni.

– Schowaj się w kuchni i nie wychodź – polecił stanowczym tonem.

– Ale ja...

– Do kuchni! – syknął ze złością. Jeszcze tego brakowało, żeby musiał się martwić i o nią. – Gdyby któremuś udało się dostać do środka, zatrzymam go, a ty masz w tym czasie biec do wyjścia i uciekać, rozumiesz? Rozumiesz?! – Złapał ją za ramię i zacisnął palce, bo Zuza tylko wykrzywiła się w odpowiedzi.

– Dobrze, kuchnia, a potem ucieczka. Rozumiem! – wysyczała wściekle, wrywając się z uścisku. Nie patrząc na niego, ruszyła do kuchni, jak kazał, co jednak wcale nie oznaczało, że zrobi, jak jej kazał.

Butelkę postawiła na stole, a sama sięgnęła po żeliwną patelnię, na której smażyła naleśniki. Uznała, że to znacznie lepsza broń. Patelnia się nie stłucze, a można nią zatłuc na śmierć.

Albo przynajmniej pobić.

Sięgnęła po telefon i spojrzała na godzinę ostatniego połączenia. Od chwili rozmowy upłynęło sześć minut. Tylko?! – zdenerwowała się. Wydawało jej się, że minął przynajmniej kwadrans. I tak powinni już tu być...

Tymek na palcach podbiegł do tylnych drzwi. Wejściowe miały solidne zamki i były doskonale oświetlone przez uliczne latarnie. Wątpił, by ktoś usiłował je sforsować. Co innego tylne. Na upartego można by je otworzyć kopniakiem.

Nikt nie grzebał przy zamku, ale słyszał dobiegający z zewnątrz szmer kroków i dźwięki, których nie potrafił zidentyfikować. Wycofał się na schody, zgasił światło w przedpokoju i przycupnął za barierką. Jeśli ktoś wejdzie, weźmie go zaskoczenia.

Zuza przestraszyła się jeszcze bardziej, gdy w holu zapadła ciemność. Dziewczyna przyciała się tuż przy ścianie i czekała z uniesioną do góry patelnią. W drugiej ręce trzymała telefon, gotowa w każdej chwili do jego uruchomienia.

Tymkowi włosy zjeżyły się na głowie, gdy usłyszał kroki. Tamci weszli do środka. W świetle wpadającym przez okno widział wydłużające się cienie. Napastników było przynajmniej dwóch. Gdy znaleźli się tuż przy nim, wyskoczył z dzikim okrzykiem, waląc na oślep kijem od szczotki.

W tej samej chwili w domu rozległ się potworny ryk syreny strażackiej i sygnał pędzącego radiowozu, a z kuchni z wibrującym mu w uszach piskiem wyskoczyła Zuza

z uniesioną nad głową patelnią. Zamachnęła się i uderzyła nią w męską sylwetkę, która stała najbliżej. Włamywacz zwałił się z jękiem na posadzkę. Tymek, nie czekając na dalszy rozwój zdarzeń, przygotował się do ataku kijem, gdy nagle światło latarki uderzyło go w oczy i rozległ się okrzyk:

– Policja! Rzucić broń!

– Policja? – Zamarł z uniesioną do góry szczotką.

Zuza również znieruchomiała. Jej telefon, ustawiony na pełną głośność, wciąż nadawał sygnał syreny. Przedpokój zalało światło. Zobaczyła dwóch policjantów. Jeden leżał skulony na podłodze, z trudem łapiąc powietrze. Drugi mierzył do nich z latarki i pistoletu. Od strony drzwi prowadzących do ogrodu szło w ich stronę jeszcze dwoje funkcjonariuszy, mierząc do nich z broni.

– Na podłogę! – krzyknął ten z latarką.

Tymek posłusznie wykonał polecenie. Wolał, by nikt go nie zastrzelił, zanim wszystko się wyjaśni. Zuza zamrugała oczami i zemdląła. To było zdecydowanie za wiele jak na małą kobietkę. Tak czy siak, upuściła patelnię i osunęła się na posadzkę. Zdaniem Tymka powinno się to liczyć jako współpraca.

Dwie godziny później oboje siedzieli na komisariacie, kończąc składanie wyjaśnień. Każde z nich w innym pokoju, żeby nie mieli możliwości uzgodnienia zeznań.

– Macie szczęście, że znaleźliśmy ślady włamania – powiedział do nich jeden z funkcjonariuszy, gdy wyszli na korytarz. – Nie zostaniecie zatrzymani i nikt nie postawi wam zarzutów.

– Przeprosiłam tego pana policjanta co najmniej pięć razy – powiedziała Zuza ze skruchą.

– Ja też. Ale tylko raz. – Tymek nie czuł się winien. Mieli prawo się bronić. Skąd mogli wiedzieć, że włamywacze uciekli, a do domu wszedł patrol? Przecież było ciemno.

– Nikt nie ma do państwa pretensji – uśmiechnął się policjant i dodał: – Ten pomysł z telefonem był niezły. Gdybym był bandytą, ciężko bym się przeraził.

– Nie tak jak ja. Omal nie zszedłem, gdy usłyszałem ten ryk – powiedział Tymoteusz, po czym dodał: – To był niezły pomysł, ale miałaś uciec.

– Chciałam. Syrena, uderzenie i w nogi, ale policja pokrzyżowała mi plany – odpowiedziała Zuza dręczona wyrzutami sumienia.

Uderzonemu na szczęście nic się nie stało, ale przesłuchujący ją funkcjonariusz kazał trzy razy sobie opowiadać, jak przy użyciu patelni dokonała napaści na stróża prawa, a zapisał wszystko tylko raz. Podejrzewała, że bardziej dotkliwe dla poszkodowanego będą kpiny niż uderzenie w plecy, które otrzymał.

– Czy komisarz Rurzycki zostanie poinformowany o zajściu? – zapytał Tymek.

– A niby po co? – oburzyła się Zuza.

– Bo ci bandyci szukali Sroki, a nie nas. To może być istotna informacja dla naszej sprawy – wyjaśnił jej.

– Oczywiście – zapewnił ich policjant bez nazwiska. – Pobraliśmy już odciski palców.

– Od nas! – odrzekła, krzywiąc się z dezaprobatą.

– Tylko do wykluczenia. Jeśli nie znajdziemy w bazie danych odcisków osób, które

usiłowały do państwa wtargnąć, przynajmniej będziemy mogli je porównać z odciskami potencjalnych podejrzanych – wyjaśnił im spokojnie funkcjonariusz. – Mogą państwo wrócić do domu.

– Niby jak? Przewieźliście nas na komisariat w kajdankach – obruszyła się Zuza.

– Ktoś was odwiezie. Zostawimy też w okolicy radiowóz, żeby ci z patrolu mieli oko na państwa dom. Dobrej nocy życzę. – Mężczyzna, którego nazwiska Zuza nie zapamiętała, uklonił się i odszedł.

– I to by było na tyle – skwitował sucho Tymek. – Żadnych przeprosin.

– Za co?

– Potraktowali nas jak przestępców.

– Ciesz się, że nas nie zamknęli.

– Jeszcze tego by brakowało – zachnął się, pocierając nadgarstki.

– Boli cię? – zatroskała się.

– Za ciasno mnie skuli. A twoje ręce w porządku?

– Tak, nic mi nie jest. Tylko potłukłam się trochę, jak zemdlałam. I jeszcze musiałam trzymać kajdanki, żeby mi nie spadły. Jakieś duże rozmiary mają. – Wyciągnęła ku niemu nadgarstki o skórze tak bladej, że półprzezroczystej, na których była doskonale widoczna sieć żyłek, biegnących w różnych kierunkach.

Zuza ze zdziwieniem przyglądała się specyfikom w łazience. Poza standardową kostką do muszli i odświeżaczem powietrza w spreju na oknie dostrzegła ażurowe pudełeczko, z którego ulatniał się zapach róż. Takie samo stało obok toalety i na umywalce. Tymek zdecydowanie przesadzał z tą higieną. Któreś z nich – zapewne ona – otruje się tymi chemicznymi wyziewami. On musi być przyzwyczajony, skoro obłożył tym wszystkim łazienkę. Trochę dziwne jak na faceta, uznała, schodząc do kuchni, gdzie już się krzątał jej współlokator.

– Robię jajecznicę, chcesz? – zapytał.

– Tak, poproszę.

– Na masełku. Powinnaś trochę przytyć.

– Gadasz jak moja matka. – Pokazała język jego plecom.

Zadziwiająco, jak wspólne mieszkanie, wspólne problemy i wspólna napaść na policjanta potrafią zbliżyć ludzi do siebie, pomyślała.

– Ma rację.

– Możesz się ze mną ożenić i tuczyć mnie, ile chcesz, i tak nic to nie da. Jestem chuda i już.

– Wybacz, ale chyba musiałbym być martwy, żeby się zgodzić. I nie, nie chodzi o ciebie – dodał szybko, uświadomiwszy sobie, jak mogą być rozumiane jego słowa, i że Zuza jest osobką małą, chuderławą, ale nad podziw energiczną. Może stać mu się krzywda. – Ale taka teściowa jak twoja matka doprowadziłaby mnie do samobójstwa.

– Muszę jej to powiedzieć.

– Zwariowałaś? – przestraszył się. – Nie waż się!

– Pilnuj jajecznicy – poleciła mu. – I czego się boisz? Przecież więcej się nie spotkacie. Każde z nas zamieszka gdzie indziej i będzie wiodło własne życie. Zobaczymy się tylko w sali sądowej, jak złapią Srokę. A ja będę miała ubaw, jak jej powiem, że gdyby

nie odstraszała moich adoratorów, już dawno wyszłabym za mąż.

– Nie jestem twoim adoratorem!

– Ona tego nie wie. – Zuzanna uśmiechnęła się perfidnie.

– Jesteś okropna – powiedział ze zgrozą.

– Jak wszystkie kobiety. Jedyne, co mnie wyróżnia, to to, że nie zamierzam cię poderwać, więc nie muszę być miła. Gdzie moja jajecznicza? – W brzuchu jej burczało. Nic dziwnego, po wczorajszych przeżyciach była głodna jak wilk. I przedwczorajszych. I przed-, przed-, przed-...

– Jestem pozytywnie zaskoczona moją odpornością na ten koszmarny ciąg zdarzeń. Sądysz, że człowiek może się przyzwyczaić do nieszczęścia? – zapytała.

Tymoteusz podał jej talerz pełen jajeczniczy i widelec. Sam postawił patelnię na drewnianej desce i zasiadł do stołu z drewnianą łyżką, którą mieszał jajka.

– Nie – odparł, wkładając do ust wielką porcję. – Nie może – wybełkotał z pełnymi ustami. Nie bacząc na zniesmaczoną minę Zuzanny, przeżuł i połknął jajecznicę. – Po prostu mózg uruchamia system obronny i wyłącza pewne emocje, pozostawiając tylko nieokreśloną świadomość absurdu, który nas wokół otacza. Osobiście żyję w stanie permanentnego zdziwienia, niekiedy przeplatanego odrobiną strachu przed tym, co przyniesie przyszłość.

– Moja przyszłość za dwie godziny ma spotkanie w sprawie mieszkania. Dobrze, że nie zdążyłam się rozpakować. Nie będzie kłopotu z przeprowadzką, jak tylko znajdę jakiś transport. – Uśmiechnęła się uśmiechem numer cztery „jestem małą dziewczynką”.
– Hm... – chrząknęła znacząco, gdy Tymoteusz tylko przeżuwał i gapił się na nią jak ostatni idiota. Najwyraźniej nie zrozumiał aluzji.

– Pomożesz mi?

– W czym?

– Masz duże auto. Możesz przewieźć moje rzeczy do nowego mieszkania, które wynajmę dziś albo w bliżej nieokreślonej przyszłości.

– Aha... – bąknął.

– No więc? – nalegała.

– Czy to do ciebie nie trafia?

– Co?

– Że udaję, że nie wiem, o co chodzi, bo nie mam ochoty ruszać tyłka, bo jestem śmiertelnie zmęczony własnym życiem?

– Brzmi jakoś mało stylistycznie – zauważyła. Nim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, dodała: – W przypadku mężczyzn trudno odróżnić wykręty od niezrozumienia problemu, bo albo jesteście idiotami, albo ich udajecie. Trudno się połapać, nie sądzisz?

– Nie wiem. Nie rozumiem, co do mnie mówisz.

– Nie, to nie – obraziła się. – Wczoraj mogłam uciec i zostawić cię na pastwę losu.

– Raczej na pastwę policji.

– Tego nie wiedziałam. Ty też nie. Byłam przekonana, że walę patelnią bandytę. To się powinno liczyć, no nie?

– A to, że kazałem ci uciekać, a sam postanowiłem zostać, by dać ci możliwość

ucieczki? To też powinno się liczyć, no nie? – przedrzeźniał ją.

– No dobrze. – Zuzanna westchnęła, patrząc na niego jak skrzywdzony szczeniak. – Poradzę sobie sama. Jak zawsze zresztą. Dzięki za śniadanie. Było pyszne. – Pociągnęła nosem, jakby miała zamiar się rozpłakać, i wstała od stołu. – Mam jeszcze dwa telefony do wykonania. Może uda mi się jeszcze dziś umówić na obejrzenie tych mieszkań.

Tymek odprowadził ją wzrokiem do miejsca, gdzie powinny się znajdować drzwi, a były tylko zawiasy.

Nie da się zmiękczyć. Nie z nim takie numery. Znał je wszystkie na pamięć. Nie weźmie go na wyrzuty sumienia i brak apetytu. Sięgnął po jej talerz, gdzie była już na pół wystygła, ledwo tknięta jajecznicą, i przerzucił ją z powrotem na patelnię. Kopystka nie nadawała się do jedzenia z talerza. Z patelnią radziła sobie znakomicie.

– Nie dam się zmiękczyć, nie ze mną takie numery, znam je na pamięć – mamrotał do siebie Tymoteusz, nie kryjąc złości. – Więc co, do diabła, robię w samochodzie, czekając na tę chuderławą terrorystkę? Jak to zrobiła, nic nie robiąc? No jak? I co jest ze mną nie tak?!

Nie znał odpowiedzi na to pytanie ani nikogo, kto by ją znał. Tak to już jest z kobietami. Dobrze wiesz, że manipulują tobą i kręcą, byle postawić na swoim, a i tak robisz, co chcą. I nawet nie masz seksu.

– Jadę z tobą tylko dlatego, żeby obejrzyć mieszkanie. Może sam je wynajmę, jeśli ty się nie zdecydujesz – powiedział, gdy Zuza zajęła miejsce obok niego.

– Zostajesz w Kłopotowie? – zdziwiła się. – Ja muszę, bo mam tu pracę, ale ciebie nic tu nie trzyma. Nie masz domu, nie masz pracy.

– Dzięki. Przekręć ten nóż jeszcze kilka razy, a na koniec w poprzek, by mieć pewność, że nie tylko zmaltretowałaś leżącego, ale i go dobiłaś!

– Czy wszyscy mężczyźni są tacy drażliwi?

– Nie jestem drażliwy!

– Chodzi ci o to piwo? Że wyjęłam je z lodówki i włożyłam do szafki?

Spojrzał w jej ogromne brązowe oczy. Czy ona naprawdę nic nie rozumie czy tylko udaje, że nie rozumie? I czy on chciałby to wiedzieć? Nie, odpowiedział sam sobie, odpowiedź na to pytanie nie jest mu do niczego potrzebna. Nieświadomość ratuje jego psychikę.

– Ustawiłaś nawigację w telefonie? – zmienił temat. – Nie znam Kłopotowa.

– Nie wiedziałam, że mężczyźni używają nawigacji.

– A jak mamy dojechać w miejsce, którego nie znamy?

Może jest idiotką, tylko sprytnie się kamufluje?

– Zawsze sądziłam, że wolicie zabłądzić, niż zapytać o drogę bądź przyznać, że nie wiecie, gdzie jesteście.

– Dlatego mężczyźni wynaleźli nawigację. Nie musimy nikogo pytać ani się przyznawać, że nie wiemy, gdzie jesteśmy. Ustawiłaś czy nie?! Bo zaraz pójdziesz pieszo!

Zuza nie odpowiedziała, tylko przyglądała się uważnie trasie w telefonie.

– Hm... – chrząknęła lekko zmieszana.

– O co chodzi? Nie masz Internetu w telefonie? Weźmiemy mój. Zapomniałaś adresu? Zadzwoń i zapytaj.

– Nie o to chodzi... – Zastanawiała się, czy zdąży wysiąść z samochodu, nim Tymoteusz ją udusi. A może lepiej nie wysiadać, bo wtedy ją przejedzie? Gdzie jest bezpieczniej? Tu czy na zewnątrz?

– O co chodzi? Adres jest w konflikcie z twoim znakiem zodiaku?

– Nie. – spojrzała na niego wzrokiem zbitego psa. – Samochodem będzie ze dwa kilometry, bo musimy objechać cały kwartał.

– W lewo czy w prawo? – Niecierpliwił się.

– Pieszko mam dwieście metrów. – Niepewnie wskazała palcem przejście między posesjami i uśmiechnęła się uśmiechem numer cztery „jestem tylko małą dziewczynką, chyba się nie gniewasz”.

Oparł obie ręce na kierownicy volkswagena i zacisnął na niej palce tak mocno, że kostki zbieleły. Dwukrotnie nabrał głęboko powietrza nosem i wypuścił ustami.

– Dobrze się czujesz? – zapytała nieśmiało.

– Tak – warknął, zgrzytając zębami.

– Powinam sobie pójść? – zapytała cichutko.

– Zdecydowanie tak. – Nabrał powietrza po raz trzeci.

– Jesteś bardzo zły?

– Wynocha z mojego auta! – ryknął, zapominając o oddychaniu.

Zuzie nie trzeba było tego powtarzać. Dobrze, że nie zdążyła zapiąć pasów, bo mogłaby nie zdążyć umknąć poza zasięg jego ramion. Była pewna, że kierownica, na której zacisnął palce, była kiepskim wyobrażeniem jej kruchej szyi.

Trzasnęła drzwiami i aż jęknęła. Teraz na pewno za nią pogna i ją zabije. Czesiek zawsze się wkurzał, gdy trzaskała drzwiami, jakby miały od tego odpaść. Gotowa do ucieczki zawiesiła wzrok na zaparkowanym nieopodal czarnym samochodzie. Wyglądał bardzo elegancko i jakby należał do gangstera. Opinia całkowicie nietrafiona, bo Zuzanna widziała już matki z dziećmi jeżdżące terenówkami bmw. Obecnie nie tylko gangsterka się w nich lubowała, chociaż facet za kierownicą, łysol w czarnej skórze i o posępnej twarzy, nie wyglądał na matkę z dzieckiem. Wyglądał całkiem znajomo.

Podeszła do volkswagena od strony kierowcy i zapukała w szybę. Tymek popatrzył na nią z wyraźnym niedowierzaniem. Po dłuższej chwili opuścił szybę.

– To, że masz skłonności samobójcze, nie upoważnia cię do wciągania we własną śmierć innej osoby. Nie można używać człowieka jako narzędzia, bo różnica między własnoręcznie zawiązanym na szyi sznurem a sprowokowanym do zabójstwa człowiekiem jest taka, że sznur trafi do torby na dowody, a człowiek do paki. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Ta, jasne. – Tak po prawdzie nie słuchała jego bełkotu. Nie on jedyny jej groził. Czesiek też coś kiedyś wspominał o morderstwie. – Nieważne – zbagatelizowała jego kolejne słowa, których nie usłyszała. – Widzisz tego faceta w bmw?

– No i? – Zawsze uważał się za człowieka cierpliwego. Dopóki nie poznał Zuzy.

– Wydaje mi się znajomy.

– No i?

– Ale ja nie mam żadnych znajomych w Kłopotowie. Poza tobą. A ty jesteś tu, a nie tam.

– Do czego zmierzasz? – Czy jak zacznie uderzać głową o kierownicę, to będzie znaczyło, że jest szalony czy tylko ekscentryczny?

– Bo mnie się wydaje, że to ten facet, co wczoraj walił nam do drzwi – odrzekła niepewnie.

– Jesteś pewna? – Wyskoczył z auta jak oparzony, omal nie uderzając jej drzwiami. Na szczęście odskoczyła w porę.

– Gdybym była, dzwoniłabym już na policję.

– Idę sprawdzić. Zostań tu – polecił, a sam pomaszerował w kierunku zaparkowanej terenówki. Ku jego zaskoczeniu facet wysiadł i czekał oparty o maskę.

– E, koleś! – zawołał Tymek i na tym jego inicjatywa werbalna się zakończyła.

Zbyt późno przyszło mu do głowy, że idzie nieuzbrojony na bandytę, który może mieć za paskiem gnata, nóż, kij bejsbolowy albo cokolwiek innego, czego używają goście tegoż autoramentu. Jak zwykle tak mnie wkurzyła, że przestałem myśleć, pomyślał zdenerwowany i dzięki temu jego złość osiągnęła poziom, w którym kule przebiłyby go na wylot, a on nadal by szedł.

– Spokojnie, przyjechałem pogadać. – Tamten uniósł do góry ręce i stał nieruchomo.

Tymoteusz zatrzymał się kilka kroków od niego.

– No to gadaj, nim zadzwonię po gliny. – Teraz był pewien, że to ten sam głos, który słyszał przez drzwi. Rysopis też pasował.

– Nie ma powodu. Chciałem tylko porozmawiać.

– A wczorajsze włamanie? Na moje oko to wystarczający powód.

– Nic nie wiem o żadnym włamaniu. Na moje oko to bezpieczna okolica, może odniósł pan mylne wrażenie, że ktoś usiłuje dostać się do domu, a to tylko była próba nawiązania przyjacielskich relacji.

– Koleś, jak ja chcę nawiązać przyjacielskie relacje, to pukam do drzwi. Nie włamuję się.

– No cóż, tak czy siak, nic mi o tym nie wiadomo. To jak? Pogadamy?

– Niby o czym?

Zdenerwowana Zuza obserwowała ich obu. Nic nie słyszała, a z gestów trudno było coś wywnioskować. Łysol opierał się o samochód, założywszy ręce na piersi, ręce Tymoteusza poruszały się jak ramiona wiatraka.

– No dobra, mamy sobotni poranek. Nie zastrzeli nas przecież na środku ulicy. Nic mu nie zrobiliśmy. I dopytywał się o Srokę, a nie o nas – powiedziała sobie i pocieszona tą myślą ruszyła w kierunku mężczyzn.

– Może twoja lalka będzie chętniejsza do rozmowy – powiedział łysy.

– Moja kto? – zdziwił się Tymek. W tym momencie stanęła obok niego Zuza. – Aha, ona. – Skrzywił się z niesmakiem.

– Co się dzieje? – zapytała zaintrygowana Zuza.

– Pan chciał pogadać – poinformował ją Tymek.

– Z nami? Niby o czym? O włamaniu?

– Nawet gadkę macie taką samą – prychnął tamten. – Sroki szukam.

– My też – powiedziała Zuza.

– Aha... – Zlustrował ich oboje wzrokiem. – To ciekawe, bo mieszkacie w jego domu. I niby nie wiecie, gdzie jest?

– Wiemy, nie wiemy, nie twoja sprawa. Nie gadaj z tym bandytą – polecił Zuzie Tymek.

I tu zupełnie nieopatrznie popełnił fatalny błąd.

– Sama wiem, co mam robić – warknęła, po czym zaatakowała słownie osiłka: – Niby dlaczego mielibyśmy z tobą gadać? – Przeszła na ty, nie widząc powodu, by być uprzejmą.

– Zapłacę za informacje.

– Nie chcemy twojej kasy! – oburzył się Tymoteusz.

– Ja chcę – sprzeciwiła się Zuza.

– Włamał się!

– Prawie – stwierdziła.

– Już mówiłem, nic mi o tym nie wiadomo, ale za informację o Sroce zapłacę – oświadczył tamten.

– Ile? – chciała wiedzieć Zuza.

– Wezmiesz od niego pieniądze?!

– To baba. Pewnie, że weźmie. – Łysy sięgnął po portfel. – Pięć stówek?

– Phi – prychnęła drwiąco. – Aż w takiej potrzebie nie jestem. Pięć stówek, też coś.

Bandytyzm w tym kraju schodzi na psy. Najpierw nieudolnie włamuje się do pustego domu, gdzie nie ma czego ukraść. Nie potrafi znaleźć oszusta, i jeszcze rzuca ochłapami.

Tymek tylko westchnął. Łysy zamarł z pieniędzmi w ręku.

– Nie chcesz kasy? – zapytał zaskoczony.

– Mam dwieście pięćdziesiąt tysięcy długu plus odsetki. Wiesz, co możesz sobie zrobić z tymi pięcioma stówkami?

– Nie wiem, z jakiej bajki się, lalka, urwałaś, ale to nie sycylijska mafia. Nikt ci nie da takiej kasy za Srokę. Gdybyś była moją babą, tobym ci przywalił za pyskowanie.

– Musiałoby mi brakować płata czołowego, żeby się umawiać z damskim bokserem – odparowała Zuza.

– Że jak? – zbaraniał.

– Że nie jesteśmy zainteresowani rozmową, pieniędzmi i jak nie znikniesz, dzwonię po gliny – oświadczył zdecydowanie Tymoteusz. – Sroka sprzedał dom i nawiał. Chcesz wiedzieć więcej, idź do glin.

– Dlaczego mu powiedziałeś? – zdenerwowała się Zuza. – To bandyta i cham, a ty mu pomagasz?

– Dzisiejszej nocy chcę spokojnie spać, a nie zastanawiać się, czy jakiś napakowany na siłce pokemon nie próbuje wyłamać drzwi.

– Pokemon? – Wyraz twarzy łysego był bezcenny, ale Tymek nie miał nastroju na świętowanie słownego zwycięstwa.

– Słuchaj, koleś, Sroka sprzedał dom trzem osobom. Dwie z nich zostały oszukane. Te dwie osoby to my. Sami chcielibyśmy wiedzieć, gdzie jest ten łobuz, żeby odzyskać kasę. Nie pomożemy, bo sami nic więcej nie wiemy.

– To może ja mógłbym wam pomóc – zaproponował pokemon w skórze.

– Niby jak? – Tymek wbrew sobie poczuł zaniepokojenie. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z półświatkiem.

– Trzydzieści procent znaleźnego.

– Nie rozumiem... Chcesz jego nerki albo wątrobę? Ile to jest trzydzieści procent człowieka? – zdziwiła się Zuza.

– On chce trzydzieści procent od tego, co odzyska dla nas od Sroki – wyjaśnił jej Tymek.

– Też coś! – fuknęła ze wzgardą. – Jeśli ten wypierdek mamuta nie przepuści kasy, zanim policja go znajdzie, to odzyskamy wszystko i nie będę musiała się dzielić. Jeśli przepuści, trzydzieści procent z niczego to wielkie nic!

– Jesteśmy skuteczniejsi niż policja.

– My? – zapytał Tymek.

– Czyżby? – zachichotała złośliwie. – Policja wie, że Sroka tu nie mieszka, a ty nie.

W tej gonitwie nie jesteś faworytem.

– Dziękujemy, ale nie jesteśmy zainteresowani. – Tymoteusz złapał Zuzę pod łokieć i pociągnął do samochodu.

– Gdzie mnie ciągniesz? Jeszcze nie skończyliśmy!

– Owszem, skończyliśmy. Zapamiętałaś numer rejestracyjny bmw?

– Nie...

– A ja tak i zaraz po tym, jak cię zawiozę na oględziny mieszkania, dzwonię na policję, żeby zgłosić tego podejrzanego typa i...

– Hej! – Facet nie zamierzał się poddawać. – Zapłacę za informacje, jeśli będą coś warte.

– Tylko nie pytaj ile – warknął Tymek, niemalże siłą wsadzając Zuzę do volkswagena. Są chwile, gdy trzeba docenić wagę piórkową. Swojej matki w życiu nie wciągnąłby do auta. Musiałby zamienić się miejscami z napakowanym pokemonem. Ten pewnie podniósłby jedną ręką sto kilo żywej wagi.

– Nie zamierzałam – obruszyła się. – Trzeba się cenić, a on nas nie docenia. Mam lepszą propozycję. Sami znajdziemy Srokę i... – Trzaśnięcie drzwi samochodu przerwało jej w połowie zdania. – Gdybym ja tak trzasnęła, toby mnie na bruk wytrzasnął – buntowała się, obserwując, jak Tymek znowu podchodzi do pokemona. – Aha! Pewnie się targuje! A ja?

Niedocenywanie kobiety to błąd. Już ona im pokaże. Sama znajdzie Srokę.

– Wisi im pół miliona – poinformował ją Tymoteusz kilka minut później.

– Im?

– Tak, łysol i kilku jego kolegów mają lombard.

– I dali mu pół bańki w zastaw za co?

– W zastaw za nic. Sprawa rodzinna. Nie wiem, co jest grane, ale zostawił nam wizytówkę.

– Zgodziłeś się?! – Nie kryła oburzenia.

– Powiedziałem, że się zastanowię.

– Nad czym tu myśleć? Najpierw mnie pogoniłeś, a teraz będziesz myślał?! Ile daje?

- Nic. Przysługa za przysługę. On nie chce włączać policji...
- W to akurat wierzę – stwierdziła sarkastycznie.
- Ale niewykluczone, że niektóre informacje łatwiej będzie mu uzyskać niż glinom.
- Niby jakie?
- Sroka zgarnął sporo kasy. Nic z nią nie zrobi pod swoim nazwiskiem. Legalnie dowodu osobistego na fałszywe nazwisko nie dostanie.
- No i?
- Prędzej oni namierzą kogoś, kto handluje lewymi papierami, niż gliny.
- Aha... – bąknęła. Trybiki w główce obracały się i obracały.
- Będzie się dzielił z nami informacjami, jeśli my zrobimy to samo.
- Nie mamy żadnych informacji.
- Ale możemy mieć.
- Niby skąd?
- Z policji.

Dopiero teraz zrozumiała, co proponował. Zostawić go na kilka minut i proszę! Cóż za zmiana frontu!

– Zwariowałaś?! Pokemon załatwi Srokę i będzie na nas! Że niby współudział! Ja się wypisuję! Wsiadaj z samochodu!

– To mój samochód!

– W takim razie to ja wsiadam! I idę sobie! Sama! Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! Nie znam cię! Jego też nie! I sama się wyprowadzę, choćbym miała przenieść w rękach karton po kartonie!

– Cholerna Zosia Samosia! – krzyknął. – I nie trzaskaj drzwiami! – wrzasnął, gdy huk wstrząsnął volkswagenem.

Zuza nie obejrzała się nawet. Maszerowała jak rekrut, wysoko podnosząc nogi i stukając obcasami, których jej trampki nie miały, ale Tymoteusz przysięgłby, że słyszy uderzenia małych stóp dziewczyny o bruk.

Szyby zadrżały, gdy trzasnęła drzwiami, ale nawet się nie obejrzała, by sprawdzić, czy nic nie uszkodziła. Udusić tę chuderlawą gadzinę to za mało. Powinien ją... Powinien ją... Powinien...

– Do diabła! – wymamrotał. – Ona może mieć rację. Pokemon stuknie Srokę i pójdę siedzieć za współudział. Szlag! Jestem idiotą!

Droga na skróty nie zawsze kończy się osiągnięciem celu. Można w międzyczasie skręcić kostkę albo kark. Powinien był wysłać łysola do wszystkich diabłów, ale pomysł wydawał się niezły. Rzecz w tym, że próbował dogadać się z diabłem, a takie interesy zazwyczaj nie kończą się dobrze. Pokemon z siłki nie przyznał się do włamania, ale Tymek był pewien, że to był on.

Rzecz w tym, że nie miał pojęcia, co z sobą począć. Utknął w miejscu, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Wydarzenia kilku ostatnich dni nie przysłużyły się jego psychice.

Wracać? Ale gdzie?

Zostać? Po co?

Zuza różnym krokiem weszła na drugie piętro dwuklatkowego bloku i nacisnęła

dzwonek u drzwi. Oczywiście się spóźniła. I to przez kogo? Przez facetów oczywiście. Sama też była trochę sobie winna. Tak jakby. Mogła wcześniej zerknąć na mapę, a wtedy poszłaby obejrzeć mieszkanie i nie natknęłaby się na łysola. Tymek nie miałby głupich pomysłów, chociaż trzeba uczciwie przyznać, że to ona pierwsza zainteresowała się zaproponowanymi przez tamtego pieniędzmi. Ale czy to jej wina? Jest w trudnej sytuacji. Jej życie stanęło na głowie. Nie dobiła jeszcze do trzydziestki, a dług ma taki, jakby już żyła ze dwa razy.

I oczywiście wszystkiemu winien jest mężczyzna. Ta część ludzkiej populacji nie przyniosła jej szczęścia przez ostatnie lata, a teraz doprowadziła ją na skraj przepaści. I jeszcze Tymek i jego pomysły! Tego tylko brakowało, żeby ją wciągnął w bagno. Jak sam chce się wpakować, proszę bardzo. Jest dorosły, samodzielny, nic jej do tego. Ona go w więzieniu odwiedzać nie będzie. No bo niby kim on dla niej jest? Zaledwie współtowarzyszem w nieszczęściu.

– Nawet go nie lubię, bo niby za co? – wymamrotała pod nosem. Zanim jej monolog się rozwinął, w drzwiach stanęła kobieta koło pięćdziesiątki.

– Dzień dobry, dzwoniłam w sprawie wynajmu mieszkania. – Zuza przywołała swój uśmiech numer trzy, ten pełen sympatii.

– Nieaktualne.

– Jak to nieaktualne? – zdziwiła się. – Rozmawialiśmy niecałą godzinę temu!

– Ale miała pani być kwadrans temu.

– Nie wynajmie mi pani mieszkania, bo się spóźniłam o piętnaście minut?!

– Nie, nie wynajmę pani mieszkania, bo drugi chętny przyszedł punktualnie i je zaklepał. Kto pierwszy, ten lepszy – poinformowała ją kobieta, cofając się, by zamknąć drzwi.

– Ale tak nie można! – zawołała Zuza. – Umawia się pani na tę samą godzinę z dwiema osobami? A gdybyśmy oboje zdecydowali się na to mieszkanie, to co by pani zrobiła?

– Wynajęłabym temu, kto da więcej.

– To nieetyczne!

– Proszę pani, oferta jest nieaktualna. Do widzenia.

Trzaśnięcie drzwi zabrzmiało jak wystrzał, doskonale podkreślając koniec rozmowy.

– No dobra, kobiet też nie lubię – oświadczyła Zuza, ale zatrzaśnięte drzwi milczały.

Rodzice wpoili mi jakieś staroświeckie poglądy, pomyślała ze złością. Zamiast nauczyć sprytu, cwaniactwa, hipokryzji, rozpychania się łokciami i kopania leżących, karmili mnie jakimiś zasadami moralnymi, o których znaczna część społeczeństwa nie ma zielonego pojęcia, i teraz należę do niszowej grupy, a ta zostanie rozdeptana przez takich, co to nie patrzą pod nogi, jak idą.

Cudownie! Jej myśli ociekały sarkazmem. Jak mam sobie poradzić w życiu?! Jestem urodzoną ofiarą wychowania prospołecznego w antyspołecznym społeczeństwie. Powinnam wyjść za mąż dla pieniędzy, zamienić w piekło życie męża, a potem oskubać go do gołej skóry. Ale nie, małżeństwo z miłości mi się marzy, piekliła się, wracając

zaułkiem do nie swojego domu.

Jakie małżeństwo? Co ty, Zuza, bredzisz? – zganiła się w myślach. Małżeństwo nie jest twoim priorytetem! Chcesz być przede wszystkim szczęśliwa sama z sobą, zanim zaczniesz budować szczęście z kimś innym!

– Kupuję psa! – wrzasnęła, wpadając do domu jak torpeda. Trzasnęła drzwiami, tupiąc ze złości jak trzylatka.

Zaskoczony Tymek wyjrzał z kuchni i przez moment obserwował kręcącą się w kółko rozzłoszczoną dziewczynę. Jej kręcone włosy uniosły się i naelektryzowały. Wzburzenie zdecydowanie im nie służyło.

– A bez psa mieszkania ci nie wynajmą? – zapytał niepewnie.

Spojrzała na niego ze złością.

– Wcale mi nie wynajmą! Ta baba to hipokrytka i oszustka! Już nikomu nie można wierzyć! Ludzie oszukują ludzi, nawet wtedy, kiedy nie muszą! W jakim świecie ja żyję?!

– Dlaczego ci nie wynajmie?

– Bo już wynajęła komuś innemu!

– To po co się z tobą umawiała?

Już otworzyła usta, by odpowiedzieć jakąś złośliwością, ale zdziwiony wyraz twarzy Tymoteusza sprawił, że się nie odezwała. Wygląda na to, że jego rodzice spaprali mu życie dokładnie w ten sam sposób jak moi mnie, pomyślała.

– Odwaliłeś kiedyś fuszerkę? – spytała z ciekawością.

– Nie. To znaczy raz... Właściwie niezupełnie...

– Aha – mruknęła. A jednak nie. Jest taki sam jak reszta.

– Robota mi nie poszła, ale spuściłem z ceny. Wziąłem połowę, a co?

– Jednak jesteś nienormalny – stwierdziła.

– Bo staram się być uczciwy? – spytał zaskoczony. – Czy jest inny powód, o którym nie chcę wiedzieć?

– Doszłam do wniosku, że ludzie tacy jak my mają poważne problemy z dostosowaniem się do aktualnych norm postępowania.

– Niby jakich?

– Cwaniactwo, hipokryzja...

– Nie wiem, o co ci chodzi, ale uzalanie się nad sobą nie pomaga. Weź się w garść, dziewczyno – upomniał ją. – Sama stawiałaś mnie do pionu, więc też się w nim trzymaj. Cokolwiek się wydarzyło, to nie koniec świata. Kup sobie tego psa, jak go potrzebujesz, ale najpierw uporaj się z problemami priorytetowymi.

– Z długami? Kiedy je spłacę, będę za stara na psa. Wtedy kupię sobie kota.

– Z mieszkaniem. Musisz znaleźć jakieś mieszkanie. Żeby mieć gdzie trzymać psa.

– No dobra. – Odetchnęła głęboko. – Jestem skłonna – wyjątkowo – przyznać ci rację.

– Ty też miałaś rację co do pokemona. To był głupi pomysł – wyznał z oporami Tymek.

Niebezpiecznie jest przyznawać rację kobietom. Nawet kiedy dziesięć razy się pomyli, i tak będzie pamiętała ten jeden, gdy miała rację, i będzie się uważała za nieomylną. Doświadczenie życiowe go tego nauczyło.

– Oczywiście, że miałam rację – oświadczyła z wyższością. – Na ogół mam.

– Nikt nie ma zawsze racji! – A mógł po prostu powiedzieć „dziękuję”, westchnął w duchu.

– Nie powiedziałam, że zawsze, tylko na ogół. Słuchaj ze zrozumieniem – wytknęła mu Zuza. – To oczywiste, że ludzie się mylą. Tylko jedni mniej, a drudzy więcej. Mężczyźni, rzecz jasna, mylą się częściej. To wszystko.

Przez moment przyglądał jej się w milczeniu.

– Masz rację. Najczęściej mylimy się co do kobiet. Jesteście jak kameleony – zaakcentował ostatnie słowa. – Taki kalejdoskop barw, że człowieka oślepią, a jak odzyska wzrok, to uświadamia sobie, że utknął w szarym mule.

Zuza gniewnie zmrużyła oczy. I tak to z nimi jest. Rozmowa – owszem, póki przebiega po ich myśli, ale powiedz coś, człowieku, przeciw, to zaraz taka obraza majestatu, jakby był prezydentem galaktyki.

– Przeglądałem oferty pracy dla firmy remontowej i znalazłem coś ciekawego – powiedział, nim Zuza wszczęła spór, a sądząc po jej minie, właśnie ładowała karabin. – Czteropokojowe mieszkanie do remontu w kamienicy. Remont w zamian za możliwość zamieszkania. Na rok.

– Zostajesz w Kłopotowie? – Zastrzeli go później. Zmiana tematu ją zainteresowała.

– Remont tego domu miał mi zająć przynajmniej sześć miesięcy i dokładnie na tyle wynająłem swoje mieszkanie. Równie dobrze mogę więc pracować i mieszkać tutaj. Jak się uda, wynajmę to mieszkanie na rok, podłapię kilka innych robót, a w wolnym czasie będę remontował to wynajęte.

– Brzmi nieźle. – Nie próbowała ukryć zazdrości.

– Umówiłem się na oględziny. Muszę jeszcze sprawdzić, czy mi się to opłaci. Nie wiem, co właściciel ma na myśli, mówiąc „remont”.

– I tak brzmi nieźle – powiedziała, wzdychając. – Mam nadzieję, że pójdzie ci lepiej niż mnie. Życzę powodzenia, idę na górę i przejrzę jeszcze kilka ofert, może i mnie się coś trafi.

– Tam są cztery pokoje.

– Tak, słyszałam za pierwszym razem.

– Jak się dogadam z facetem, chcesz pół mieszkania?

– Do remontu? – zdziwiła się. – Ale ja nie umiem!

– Do zamieszkania. Nie masz gdzie się podziać. Na krótką metę to może być dobre rozwiązanie. Rachunki i materiały po połowie.

– Jakie materiały?

– Budowlane. Masz mieszkanie niemal za friko, bo robocizna jest gratis. Pomożesz przy sprzątnięciu. To jak? Zainteresowana?

– Proponujesz mi wspólne mieszkanie?!

– Nie wspólne, tylko pod jednym adresem. To nie to samo. – Nie wiedział, czy dobrze to ujął, ale pamiętał jej wywody na temat dystansu, więc wołał użyć tego argumentu jak najprędzej, nim Zuza zacznie go podejrzewać o jakieś nieczne zamiary. – I ty gotujesz – dodał szybko. – Materiały na pół. Rachunki na pół. Ja pracuję przy

remontcie. Możesz też prac... – dodał niepewnie na koniec, nie wiedząc, jak to zostanie przyjęte. Sądząc po spojrzeniu Zuzy, źle.

– Bez prania. – Ku jego zaskoczeniu wyciągnęła rękę, którą automatycznie uściskała. – Nie będę prała twoich gaci i cuchnących skarpet. I każdy sprząta po sobie.

– Dobra. – Uściskała jej dłoń, zastanawiając się, co też, u licha, strzeliło mu do głowy.

Jeszcze kilka minut temu nie zamierzał jej niczego proponować! Podział kosztów jest sensowny, ale przecież więcej mu będzie przeszkadzała, niż pomagała. Co jest z nim nie tak?!

Lokalizacja mieszkania wydawała się interesująca. Centrum miasteczka, ale park znajdował się w odległości nie większej niż pięćset metrów. Do mieszkania należało też miejsce parkingowe, co było istotne dla Tymka. Sklepy dookoła rynku, w tym piekarnia, co z kolei bardzo odpowiadało Zuzie. Nie przepadała za marketowym pieczywem. Kochała ciepły chlebek z maselkiem, a maselko i chlebek kochały ją, nie pozostawiając w jej ciele ani grama tłuszczu.

Samo mieszkanie mieściło się na piętrze dwukondygnacyjnej kamienicy. I tu zaczynały się schody. Dosłownie i w przenośni. Kamienica z zewnątrz była odrestaurowana, ale wewnątrz nie wyglądała już tak pięknie. Stare schody skrzypiały przy każdym kroku. Cud, że się nie uginały. Drewniane poręcze ostatni raz widziały lakier zapewne w poprzednim stuleciu. Do tego pobazgrane ściany. Niektórych skrótów Zuzanna wołała się nie domyślać. Niektóre słowa chętnie widziałyby w wersji niepełnej.

– Tymek, ja nie wiem, czy mi się tu podoba – szepnęła niepewnie.

– Mieszkanie za półdarmo.

– No tak, ale...

– Na rok. Zaoszczędzisz kilkanaście tysięcy.

– OK, przekonałeś mnie. – Kwestii finansowych nie trzeba było jej wyjaśniać.

Niestety, kiedy względy emocjonalne brały górę nad tymi pierwszymi, kończyło się to źle.

Kilka minut później trzymała Tymoteusza za łokieć i starając się za wszelką cenę opanować panikę, szeptała gorączkowo:

– Przekonaj mnie! Przekonaj!

– Cicho! – syknął, próbując oderwać jej palce od swojej koszuli.

Mieszkanie było zawilgocone, brudne, deski pod nogami skrzypiały i śmierdziały na dodatek.

– Co tu tak cuchnie? – zapytała Zuza, zatykając nos, gdy weszli do jednego z pokojów.

– Moja babka lubiła koty – wyjaśnił speszony właściciel mieszkania, niejaki Tomasz Kaczmarek.

– Gotowała je?

– Nie, ona... Nie bardzo dawała sobie radę ze sprzątaniami.

– Ile miała tych kotów? – chciał wiedzieć Tymoteusz.

– Kilka... – Właściciel odchrząknął. – Kilkanaście...

– A tak dokładnie? Śmierdzi tu jak w trupiarni. – Zuza nie ubierała swoich odczuć

w piękne słowa. Była przerażona. W tym stanie nie siliła się na uprzejmości.

– Siedemnaście.

– Zdechły tu?

– Nie one. – Widząc, jak jego słowa zostały odebrane przez ewentualnych najemców, poczerwieniał na twarzy. – Miałem na myśli, że ktoś tu umarł. Nie zdechł. Moja babka umarła w tym domu. We śnie. Sąsiedzi ją znaleźli. Koty są w schronisku.

– Widzisz? Pomoc sąsiedzka działa. Może się tu całkiem dobrze mieszkać.

Tymoteuszowi bardziej zależało na mieszkaniu niż na relacjach dobrosąsiedzkich, ale używał argumentów, które mogły trafić do Zuzy. Z własnego doświadczenia z Ewelina wiedział, że argumenty dzielą się na męskie i żeńskie.

– Zaczęło śmierdzieć na klatce – wyjaśnił Kaczmarek, ocierając pot z czoła.

– To znaczy... – Zuzie z wrażenia zabrakło powietrza. – Że ona tu... się rozkładała?

– Tak zupełnie to nie. Tylko trochę... Wiecie państwo, jak to jest. Pracuję za granicą, jestem w kraju dwa razy w roku. Mam rodzinę – tłumaczył się nieporadnie.

– Zbyt piękne, by było prawdziwe – szepnęła do siebie. Stare powiedzenie znów się sprawdza. Czy wszystko, co ją otacza, to iluzja? A jak człowiek się przyjrzy bliżej, to pozostaje brud, smród i zgnilizna?

– Przestań – syknął Tymek, w końcu wrywając z jej palców koszulę. – Zajmuję się budowlanką, więc sam będę remontował mieszkanie, jeżeli się na nie zdecyduję, rzecz jasna. Czego pan oczekuje?

– No cóż... – Kaczmarek się zawahał. – Zamierzam sprzedać to mieszkanie, ale w tej chwili nie dostanę za nie rozsądnej ceny. Nie zamierzam puścić go za półdarmo. Podatek od spadku też sam się nie zapłaci. Remontu nie dopilnuję, bo za tydzień muszę wracać do Niemiec, firmy bez dozoru nie zostawię. Opcja wynajmu w zamian za remont wydała mi się dobrym rozwiązaniem.

– Pomysł jest dobry, tylko wciąż nie wiem, czego pan oczekuje. Płytek w łazience? Parkietów zamiast tych podłóg? Wymiany okien? Muszę obliczyć, czy taka opcja będzie mi się kalkulowała. Więc zapytam jeszcze raz: Czego pan oczekuje?

– No... – Mężczyzna podrapał się po głowie. – Ściany by trzeba doprowadzić do porządku. Pomalować. Podłogi... Panele wystarczą. Okna i drzwi też do wymiany, ale do tego już zamówiłem firmę, a co do drzwi... – Znów podrapał się po głowie. – Trzeba nowe ościeżnice, nie tylko drzwi. Jak zamówię, to pan zamontuje?

Tymek skinął głową twierdząco.

– Łazienka... No cóż... Płytki tak, kabina prysznicowa, umywalka i nowa toaleta. Kuchnia... – Zastanawiał się przez moment. – Też bym chciał płytki. Wie pan, jak wyremontowano tę kamienicę z zewnątrz, to na parterze ludzie otwierają biura. Mieszkania będą tu w cenie.

– Czy to aby nam się opłaci? – zapytała powątpiewającym tonem Zuza.

– Ja kupię, co trzeba! – zapewnił Kaczmarek. – Głównie o robotę mi chodzi i żeby o mieszkanie ktoś zadbał. Płytki też kupię, tylko pan mi policzy, ile trzeba. Pan tylko remontuje, i takie rzeczy, jak gips, farby, kleje – to już na pańskiej głowie. Płytki, panele, okna, drzwi, kabina, umywalki, toaleta, zlewozmywak, wszystko to ja wybieram i kupuję.

– Dobrze. Zgadza się. – Tymek nie zastanawiał się ani chwili. Mieszkanie rzeczywiście będzie za pół darmo, a facetowi i tak się to opłaci. Lokal zyska na wartości.

– Co do mebli... Niech państwo korzystają z tego, co wam potrzebne, a co nie, to na śmietnik. Nie zamierzam tu nic zostawiać. Same stare graty.

Zuza nie była przekonana, ale Tymek wydawał się zadowolony. I co najważniejsze, ona wcale nie musi tu mieszkać. Może się tylko przechować do czasu znalezienia sobie innego kąta. Umowa umową, ale z tego, co słyszała, to będzie tu potrzebna jak dziura w moście. Z takimi wydatkami Tymoteusz powinien sobie bez trudu poradzić. Zapłaci połowę czy całość, jeden pies.

Zaraz, zaraz, zreflektowała się. Jak on zapłaci grosze, to ja też, jeśli tu zostanę. Dwanaście miesięcy to dość czasu, by znaleźć Srokę, przemyśleć swoje życie od nowa kilkanaście razy, kupić sobie psa, a jak się tu zśika, to i tak nikt się nie zorientuje.

– Bierzemy! – oświadczyła z zadowoleniem. – Tylko pan powie, gdzie zmarła pańska babka. Nie położę się w jej łóżku za skarby świata.

Tymoteusz miał świadomość, że kupując stare mieszkania – ot, choćby takie jak to, które dziś wraz z Zuzą wynajął – musi liczyć się z tym, że ktoś w nich żył, chorował i umierał. Zazwyczaj nie pozostały tam już żadne sprzęty ani rzeczy wcześniejszych właścicieli. Były brudne, zaniedbane i wymagały ogromnego wkładu pracy. Pierwszy raz jednak przebywał w mieszkaniu, o którym wiedział na sto procent, że ktoś w nim umarł. Widział ślady tej osoby na każdym kroku. Meble, plamy na podłodze, porysowany stół, pozółkłe serwetki na parapetach.

– Nad czym tak dumasz? – zainteresowała się Zuza, która właśnie skończyła myć ogromną przepastną szafę, znajdującą się w jednym z pokoi. A właściwie to w pokoju, który wybrała. Uzgodnili z Tymkiem, że każde z nich wybierze sobie pokój. Z dwóch pozostałych zaś wyrzucą meble i w jednym złożą materiały budowlane, a drugi będzie remontowany. Następnie któreś z nich przeniesie się do gotowego pokoju, by Tymek mógł pracować w kolejnym.

– Nad kobiecą wrażliwością – odpowiedział teraz zgodnie z prawdą.

– Nie jestem przekonana, czy będzie nam potrzebna – uznała Zuzanna. – Facet idzie po linii najmniejszego oporu. Zamierza wykorzystać wszystkie tonacje beżu, jakie istnieją. Prędzej sprzeda ten lokal na biuro niż na mieszkanie. Moje pomysły raczej go nie zainteresują.

Tymek przyglądał jej się nieodgadzionym wzrokiem.

– No i bądźmy szczerzy – kontynuowała. – Wszelkie zmiany będą wymagały dodatkowych nakładów finansowych, a na te nie zamierzam sobie pozwolić.

– Nie miałem na myśli twojego wkładu artystycznego, tylko zwyczajną wrażliwość, z której słynie wasza płeć. Samotna staruszka zmarła tutaj w otoczeniu stada kotów. Pies z kulawą nogą by się nią nie zainteresował, gdyby nie odór rozkładu, a ty tu podskakujesz jak skowronek!

– A co mam robić, panie wrażliwy? Zapalić jej świeczkę i postawić na parapecie? Oczywiście, że to przykre, ale zamierzam się skoncentrować na pozytywach! Mam więcej problemów, niż jestem w stanie udźwignąć, zatem nie będę dokładać sobie kolejnych, bo się tu rozkleję! I wtedy twoją wrażliwość szlag trafi! Zamiast mnie pocieszać, zaczniesz

drzeć na mnie mordę, żebym przestała się mazać!

– Nigdy nie powiedziałem do kobiety, że ma przestać drzeć mordę! – obruszył się.

– Znowu to samo! – Rzuciła ścierkę do miski z wodą. – Nie mówiłam, że ty powiedziałeś do kobiety, że ma przestać drzeć mordę. Powiedziałam, że ty będziesz darł mordę!

– Pierwsza wersja była dla mnie mniej obraźliwa! Jak możesz komuś powiedzieć, że ma mordę?!

– Nie powiedziałam, że masz mordę, tylko że ją będziesz darł!

– Żeby drzeć, muszę ją mieć! To chyba logiczne! – wrzasnął.

– I właśnie to miałam na myśli! – Dźgnęła go palcem w pierś. – Sam teraz powiedziałeś, że masz mordę, ale to na mnie się drzesz, że to ja powiedziałam, że masz mordę!

– Bo powiedziałaś, że... – zamilkł. Właściwie sam już nie wiedział, co powiedziała Zuza.

– I to mnie zarzucasz brak wrażliwości! Też coś! Wydzierasz się na mnie bez powodu!

– Oczywiście, że mam powód!

Pukanie do drzwi przerwało ich kłótnię.

– Widzisz, co narobiłeś? Pewnie sąsiedzi z pretensjami. Moje gratulacje – powiedziała z przekąsem. – Nawarzyłeś piwa, to je sobie teraz pij. Ja muszę dokończyć sprzątanie pokoju. – Odwróciła się do niego plecami i wróciła do swojego zajęcia.

Chętnie powiedziałby parę słów pod jej adresem, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Do tego pukanie stawało się coraz bardziej natarczywe.

– Idę! – krzyknął. – Co za tupet! Nie słyszy, że jesteśmy zajęci kłótnią?!

Z rozmachem otworzył drzwi wejściowe.

– O co chodzi?! – warknął, nim dotarło do jego mózgu, kto stoi na korytarzu.

– Tak witasz brata?

– Waldi?!

– Innego brata nie masz. Chyba że ojciec coś, wiesz, tego tamtego na boku, a mnie nikt nie powiedział. To jak? Mogę wejść czy mam spać na wycieraczce?

– Jasne, wejdz. Ale... – Tymek czuł, że znalazł się w stanie permanentnego zdziwienia. Czy tak już będzie do końca życia? A oglądający go w trumnie ludzie będą zdumieni jego zdziwioną miną, że umarł? A czego się spodziewał? Że będzie żył wiecznie?

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał, gdy brat wszedł i z niesmakiem rozejrzał się po wnętrzu.

– Czeka cię sporo roboty. Może przyda ci się pomoc?

– Jak mnie znalazłeś? – powtórzył pytanie.

– Pojechałem do tego domu, co go kupiłeś, ale nikt nie otwierał. Już miałem do ciebie dzwonić, kiedy jakiś facet do mnie podchodzi i pyta, czy ja do Sroki. Mówię, że nie znam takiego i że brat tu mieszka, Tymoteusz Magnus. On mi podał ten adres, że tu jesteś, dał wizytówkę i kazał cię pozdrowić – wyjaśnił Waldi. – Jakiś twój znajomy pewnie, bo skąd by wiedział?

– Jasne, skąd by wiedział. – Tymkowi przeszedł dreszcz po plecach. – Masz tę wizytówkę?

– Pewnie. – Sięgnął po nią do kieszeni spodni i odczytał głośno: – Adam Lambertowicz. Pożyczki pod zastaw. A co? Masz tutaj więcej znajomych? Parę dni jesteś dopiero, jak na ciebie to cud, że w ogóle kogoś poznałeś.

– Co tu robisz? – zażądał odpowiedzi Tymek.

– Wiesz, jak to jest z matką, głowę tak mi suszy, że musiałem urwać się na parę dni. Do tego nasza siostrzyczka... – Z ubolewaniem pokręcił głową. – Znow ję facet rzucił, więc obie siedzą w kuchni i psioczą na mężczyzn. Miałem dość.

– Co ty nie powiesz... – Tymek rozmyślał gorączkowo o całej tej sytuacji.

Ten Lambertowicz musiał ich śledzić. Skąd by wiedział, gdzie będą mieszkali? Przecież jeszcze się nie przenieśli. Dziś sprzątaję, w niedzielę przeprowadzka. Zuza w poniedziałek do pracy, więc muszą przenieść przynajmniej jej rzeczy.

– Kto przyszedł? – Zuza nie wytrzymała. Męskie głosy zwabiły ją do przedpokoju.

– O, stary, nic nie mówiłeś, że masz tu taką laleczkę. – Waldi rozpromienił się cały.

– Zgłupiałeś?! Zachowuj się! Nic dziwnego, że żona wywaliła cię na zbity pysk! – zdenerwował się Tymoteusz.

– Jak go żona wywaliła, to może i dobrze, ale dlaczego do nas? – zażądała odpowiedzi Zuza, mierząc przybysza nieprzyjaznym wzrokiem.

Już go nie lubiła. Taki facet z odrzutu to... odpad radioaktywny. Najczęściej. Oczywiście mogło się zdarzyć, że tamta kobieta zrealizowała jej desperacki plan: wycyckać bogatego męża i wywalić na bruk, zostając w jego domu ze złotymi klamkami i kamerdynerem. Ale ten nie wyglądał na porzuconego milionera.

– Nie wywaliła go do nas, tylko do matki – zżymał się Tymek. – Sam się do nas przyplątał.

– To niech go twoja matka zabiera z powrotem! – Zuza nienawidziła, gdy ktoś nazywał ją lalką, laleczką, dziunią czy też innymi określeniami tego typu. Skarbie, kochanie, moje ty szczęście, dlaczego by nie? Ale żadnych żabć, myszek i gąsieniczek sobie nie życzyła. Laleczka była najgorsza.

– Ukochany synek mamusi uciekł spod jej skrzydeł – wyjaśniał rozeźlony Tymoteusz, gdy Waldi z szerokim uśmiechem spoglądał na Zużę.

– Zaraz, to twój brat? – Dopiero teraz zrozumiała ten drobny niuans. – Zupełnie niepodobny – oświadczyła, mierząc go nieprzychylnym wzrokiem.

– To chyba dobrze – skomentował Waldi. – Chłopaki ci się nie pomylą. – Mrugnął, bezczelnie mierząc ją od stóp do samych... piersi.

– Ja wiem, przed kim nogi rozkładam, ale ty, koleś, chyba nie zawsze łapiesz, między czyimi nogami leżysz. Nic dziwnego, że żona się ciebie pozbyła.

Tymek stłumił śmiech i oparł się o ścianę. Jak znał Zużę – całe trzy dni, no może cztery spędzili razem – dziewczyna dopiero się rozkręcała. Waldi zdecydowanie nie przypadł jej do gustu, do tego jeszcze ją wkurzył.

– Resztki po innych kobietach mnie nie interesują. Więc daruj sobie te żalosne podchody, bo na zeza i krzywe zęby to złotej rybki nie złapiesz.

Waldi zdębiał. Żadna kobieta tak go nie potraktowała, ale te trudne zwykł traktować

jak wyzwanie.

– Waldi jestem. – Wyciągnął do niej rękę, nie poddając się, chociaż jego uśmiech tak jakby trochę się zmniejszył. Przestał szczerzyć zęby. Nie miał pojęcia o ewentualnych krzywiznach, ale może warto się przejść do dentysty i sprawdzić. Przepraszam, dentystki. W życiu trzeba łączyć rzeczy przyjemne i pożyteczne.

– Gratuluję. – Spojrzała na Tymka i powiedziała; – Wiem, że to twój brat, ale mieszkasz z nim albo ze mną, a on mi nie wygląda na takiego, co to do czynszu się dorzuci i w pracy pomoże.

– Spokojnie, Zuza, Waldi tu nie zostanie. Mamy większe problemy niż on.

– Oczywiście, że mamy, ale te małe bywają bardziej irytujące.

– Miałem na myśli sposób, w jaki do nas trafił. Ja nikomu nie podałem tego adresu.

– Podał jej wizytówkę otrzymaną od brata.

– Adam Lambertowicz. Pożyczki pod zastaw... Zaraz, zaraz, nie chcesz chyba powiedzieć, że pokemon go tu wysłał? – Nie kryła niepokoju.

– Nie chcę, ale właśnie to mówię.

– Jaki pokemon? – Waldi nie był przyzwyczajony do tego, że jest ignorowany.

– Idź do kuchni i poczekaj tam na mnie – polecił Tymek, popychając go we właściwym kierunku.

– Właśnie, dorośli muszą porozmawiać – docięła mu jeszcze Zuza. – Pokemon nas śledził? – zapytała półgłosem, gdy tamten zszedł jej z oczu.

– Osobiście raczej nie – odparł. – Jego auto rzuca się w oczy. Chybabym zauważył.

– No tak... Głupio z naszej strony, że wdaliśmy się z nim w rozmowę. Trzeba było od razu dzwonić na policję.

– Racja. – Poczł sporą wdzięczność do Zuzy, że nie zwała winy wyłącznie na niego. Bo to on właśnie tak jakby zawarł z tysolem umowę o wymianie informacji. Może nie dosłownie, ale nie odmówił, co pokemon mógł uznać za zgodę. I pewnie uznał.

– Oczywiście, więcej winy jest po twojej stronie niż po mojej – dodała jeszcze.

Tymek westchnął. Nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca.

– Musimy powiedzieć o wszystkim Rurzyckiemu – zdecydowała Zuzanna. – W poniedziałek z samego rana pójdziesz na komisariat.

– Nie musisz być w pracy?

– Muszę. Dlatego powiedziałam, że ty pójdziesz, a nie, że my pójdziemy. Słuchaj ze zrozumieniem – upomniała go. – Nie mów, że próbowałeś się z nim dogadać, tylko że zaczepił nas pod domem i zaproponował współpracę przy poszukiwaniach Sroki, bo tamten jest mu winien pieniądze. Powiedz, że jesteśmy zaniepokojeni, bo chyba nas śledzi. I wspomnij o sytuacji ze swoim bratem.

– Właśnie, mój brat... Musimy go przenocować.

– Niby dlaczego?

– Bo chociaż słusznie zauważyłaś, że nie dorzuci się do czynszu i nie muszę wybierać między wami, ponieważ wolałbym mieszkać pod mostem, byle bez niego, jednak to jest mój brat i właśnie odbył trzystu-kilometrową podróż i nie zamierzam odsyłać go z powrotem po nocy.

– Nie miałam na myśli wyboru między nami w sensie, że ja albo on w sensie

damsko-męskim, tylko w sensie... – Zuza zarumieniła się, gdy do niej dotarło, jak zabrzmiało jej ultimatum.

– Spokojnie, wiem, o co chodzi. O wspólne nieszczęście i nic więcej.

– Właśnie. Łączy nas wyłącznie wspólne nieszczęście. – Westchnęła. – Tyle tylko, że moje jest większe od twojego, bo ja mam dług w banku, a ty nie.

– Mam brata. – Wskazał za siebie.

– Nie licytuj się na rodzeństwo, bo jeszcze nie poznałeś mojej siostry. Twój Waldi może zostać, ale w poniedziałek z samego rana wyjeżdża – oświadczyła zdecydowanie.

– O! – Tu go zaskoczyła. – Skąd ta zmiana? – zapytał podejrzliwie. Z kobietami nic nie wiadomo. W trzy sekundy Zuzanna mogła zmienić zdanie na temat jego brata. – Myślałem, że będziesz chciała pozbyć się go bladym świtem.

– Jutro niedziela.

– Co to ma do rzeczy? W niedzielę się nie podróżuje?

– W niedzielę się przeprowadzamy. Chcesz dźwigać wszystko sam? Niech się przyda. I powiedz mu, że kto nie pracuje, ten nie je – dodała jeszcze, nim powróciła do sprzątanego swojego pokoju.

– Stary, ale się wpierdoliłeś! – powiedział z przerażeniem Waldi. – Jesteś pewien, że to nie twoja chatyra?

– Tak, jestem. Jestem tak pewien, że bardziej się nie da. Policja też jest tego pewna. Nie wywalają nas tylko dlatego, że prawdziwy właściciel jeszcze nie zgłosił, że zajmujemy mu dom nielegalnie. – Tymek nie miał zamiaru opowiadać bratu o ostatnich wydarzeniach, ale sytuacja wymusiła zwierzenia. – Musimy jak najszybciej się wyprowadzić.

– I lalkę poznałeś dopiero tutaj?

– Tak, ale nie nazywaj jej lalką. Zuza tego nie lubi.

– E tam, wszystkie lubią. Tylko niektóre udają, że nie.

– Aha, a żona cię kocha i jest tak wyrozumiała, że po twoim ostatnim romansie wywaliła cię z domu, żeby ci okazać swoje wielkie uczucie.

– Tak na zdrowy rozum, jakby miała gdzieś, że ją zdradzam, to po co by mnie wywalała? Jak się wścieka, znaczy, że kocha.

– Wiesz, że jesteś idiotą?

– Ojciec coś wspominał. Zmówiliście się czy jak? – Waldi nie lubił, jak go krytykowano. – Mamusia powiedziała, że gdybym się ożenił z prawdziwą kobietą, to nie musiałbym latać do innych.

– To może powinienes był się ożenić z mamusią – zaproponowała Zuza, wchodząc do kuchni, gdzie siedzieli obaj bracia Magnusowie.

– E, no co ty, lal... Zuza, znaczy się. Ja nie z tych...

– Twój brat to idiota. Macie różnych rodziców? – zapytała, otwierając lodówkę i przyglądając jej się z głęboką niechęcią. No cóż, chociaż była zapuszczona i stara, ale działała. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

– Nie, ale dziękuję – odrzekł z uśmiechem Tymek.

– Za co jej dziękujesz? – zdziwił się Waldi.

– Za komplement.

– Nazwała mnie idiotą. To nie komplement.
– Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. – Nie przestawał się uśmiechać. Kiedy zjadliwa ironia Zuzy dotyczyła kogoś innego, była bardzo zabawna.
– Ciebie nie nazwała idiotą.
– Właśnie.
– Nic nie rozumiem... – Waldi się skrzywił.
– Uwierzysz, jak powiem, że to mój starszy brat? – zwrócił się do Zuzy.
– To widać. – Zamknęła lodówkę. – Potrzebna dezynfekcja.
– Mojemu bratu? – zdziwił się Tymoteusz.
Waldi też miał niewesołą minę. Różnie go nazywano, ale brudasem nigdy.
– Lodówkę. Za czystość twojego brata nie odpowiadam. Ale kto wie, czy i jemu by się nie przydało. Nie wiadomo, gdzie się szlajał, zanim tu trafił. Może zaliczył kilka przydrożnych pańienek.
Jak dla niej Waldi mógł nie istnieć. Grał jej na nerwach. W jej systemie wartości popełnił grzech śmiertelny i niewybaczalny. Zdradził żonę, porzucił rodzinę.
– Ej, tylko bez takich. Ja nie muszę płacić za numerki!
– Jasne. – Sądząc po jej minie, nie uwierzyła. – Przeprowadzkę możemy zacząć z samego rana – zwróciła się do Tymka. – Łazienkę wyszorowałam. Kuchnię zajmiemy się jutro. Myślę, że twój brat mógłby tu zostać na noc. W domu nie ma dla niego miejsca, a tutaj na razie mamy meble we wszystkich czterech pokojach.
– Dlaczego by nie? – Tymkowi spodobał się pomysł Zuzy. Sam się zastanawiał, jak upilnować brata w domu bez drzwi i klamek. Jedynym wyjściem była altanka w ogrodzie, ale po pierwsze – kwietniowe noce są zimne, po drugie – nie mieli altanki.
– Jutro zdecydujemy, które rzeczy nam się przydadzą, a które nie. Waldi mógłby ci pomóc wyrzucić je na śmietnik, skoro już tu jest.
– Nie można tak po prostu wyrzucić na śmietnik przedmiotów wielkogabarytowych – zwrócił jej uwagę Tymek.
– Racja. To co z nimi zrobimy? – zastanawiała się głośno.
– Może damy ogłoszenie? Kto chce, niech zabiera za darmo, byle załatwił sobie transport i kogoś do noszenia – zaproponował Tymek.
– Dobry pomysł. Twój brat nie będzie nam do tego potrzebny.
– I mógłby odjechać już jutro po obiedzie.
– Jak zaczniemy przewożenie pudeł o ósmej rano...
– Chwila! Ja tu jestem! – oburzył się Waldi. – Przestańcie mną rozporządzać, jakbym był rzeczą!
– Nie zamierzasz pomóc? – zapytała go z pogardą Zuza.
– Tego nie powiedziałem!
– Hej, Waldi, kto nie pracuje, ten nie je. – Tymek nie owijał niczego w bawełnę. Zuza kaszlnięciem zamaskowała chichot. To był jej argument.
– No co ty, bracie? Mamusia nigdy by tak...
– Mamusia jest trzysta kilometrów stąd. Trzeba było o tym myśleć przed wyjazdem – uciał wszelkie protesty Tymek. – Zuza i ja zbieramy się stąd. Ty zostajesz. Masz. – Wręczył bratu dwie dychy. – Zamów sobie pizzę. Będziemy jutro z samego rana.

Waldi odprowadził ich żalonym wzrokiem. Nie tak to sobie zaplanował. W samochodzie miał zgrzewkę piwa, którą zwędził ojcu. Mieli zabalować i wyskoczyć na panienki. Tymczasem utknął w cuchnącym kocimi szczynami mieszkaniu, sam jak palec i bez telewizora.

– Pieprzyć to – warknął. – Sam się nachlam.

Tymek przywykł do wczesnego wstawania. O siódmej rano był już ogolony, spakowany i zaparzał kawę w kuchni, podczas gdy Zuza dopiero wychodziła spod prysznic. Nie był pewien, od kiedy obowiązuje umowa o gotowaniu, a nie zamierzał zaczynać przeprowadzki od kłótni, co mogło potem zaważyć na wspólnych interesach, więc po chwili zastanowienia zabrał się do przygotowywania owsianki. Zuza powinna być pozytywnie zaskoczona, pomyślał, już nagradzając samego siebie dobrym słowem za dobre chęci. Nie był pewien, dlaczego zaproponował jej zamieszkanie razem. Finansowo mu się to opłaca, ale bez niej też by sporo zarobił, tyle że mniej. Do tego nawet mu się nie podobała. Skóra, kości i jeszcze ten kłótniwy charakter. Całe życie umawiał się z blondynkami i nie zamierzał tego zmieniać.

Nie, zdecydowanie nie jest w moim typie, rozmyślał, mieszając owsiankę. Ta sprawa z domem musiała mu bardziej dołować, niż mu się początkowo wydawało. Emocjonalnie łatwiej to znieść we dwójkę niż samemu. Tak, to jest to, uznał. Samotność by go dobiła.

– O, owsianka! – ucieszyła się, wchodząc do kuchni. – Czy to nie ja miałam gotować? – zapytała, siadając na krześle. Nalała sobie świeżo zaparzonej kawy z dzbanka.

Tak naprawdę była to kawa rozpuszczalna, ale zawsze lepiej smakuje, jak nie trzeba jej robić samemu.

– Nie byłem pewien, czy umowa obowiązuje od tego domu, czy dopiero od mieszkania. Wstałem wcześniej, głupio byłoby siedzieć w kuchni i czekać, aż zejdiesz, żeby zrobić śniadanie, więc wiesz... – Wzruszył ramionami, w duchu pękając z dumy, gdy postawił przed nią miseczkę z owsianką. – Nie ma miodu, ale widziałem rodzynki. Chcesz?

Zuza niepewnie przyglądała się szarej brei. Ostrożnie włożyła w nią łyżkę i próbowała zamieszać. Nie dało się.

– Dzięki, ale nie. Musiałabym ją wbić do tego czegoś młotkiem.

– Wiesz co? – zdenerwował się Tymek. – Nie chcesz, nie jedz! Będzie więcej dla mnie! – Zabrał jej miskę sprzed nosa i usiadł naprzeciwko.

Wbił łyżkę w stygnącą owsiankę i pełną zapakował do ust. Zuza z ponurą fascynacją przyglądała się, jak żuł, żuł i... z trudem przełknął. Przysięgłaby, że widziała, jak wielka kula przemieszcza się wzdłuż jego przełyku do żołądka. Tymoteusz spojrzął na nią nieszczęśliwym wzrokiem. Gdzie popełniłem błąd? – zdawał się pytać.

– Kawa jest niezła – powiedziała.

Godzinę później ze zgrozą patrzyli na pobojowisko w kuchni. Dwa pudełka po pizzy – widocznie Waldi miał też swoją kasę. Kilka puszek po piwie, popielniczka pełna niedopałków, które cuchnęły gorzej niż kocie siki. Do tego pusta butelka po wódce i czerwone szpilki na stole.

– Co to jest? – Zuza z największym trudem zachowywała spokój. – Twój brat jest

transwestytą?

– Nie wydaje mi się. Lubi damską bieliznę, ale nie na sobie – odpowiedział zmieszany Tymek. Czuł przez skórę, co zastaną w jednym z pokoi. Zuza się wścieknie.

– Sprowadził sobie panienkę?! – Jej głos zamienił się w pisk.

– Zajmę się tym – powiedział zdecydowanym tonem Tymek, wychodząc z kuchni.

Nie miał pojęcia, w którym pokoju zostanie brata, ale złe przeczucie go nie opuszczało. To był dopiero początek kłopotów z Waldim. Tamten zamelinował się w jedynym wysprzątanym pokoju. Tymek bez pukania wmaszerował do środka.

– Zabiję go – oświadczyła groźnie Zuza, wpadając za nim.

Widok, który ujrzała, nie nastroił jej pokojowo. Wręcz przeciwnie. Waldi spał sobie w najlepsze w jej łóżku z jakąś lafiryndą. Zuza nie zwykła obrażać kobiet, ale śpiąca w jej łóżku damulka – z grubą tapetą na twarzy, w nieokreślonym wieku i z odrostami do połowy ucha – musiała należeć do tej kategorii. Żadna inna nie spojrzalaby na Waldiego, a już na pewno nie spałaby pod ażurowym obrusem.

– Sam go zabiję. – Tymek szarpnął brata za ramię.

Bezskutecznie. Waldi tylko wymamrotał coś pod nosem i dalej spał jak zabity. Kobieta spała z lekko otwartymi ustami, miarowo pochrapując.

– Waldi! – Uderzył go pięścią w ramię.

Brat otworzył oko, ale powieka po chwili opadła, a pojedyncze chrapanie zamieniło się w duet.

– Zostaw go. Ja się tym zajmę! – Zuza odepchnęła Tymoteusza od łóżka. – Zasłoń uszy – poleciła mu.

– Po co...?

– Zasłoń, jak nie chcesz ogłuchnąć – przestrzegła go i szybkimi ruchami palców uderzała w dotykowy ekranik telefonu komórkowego. Położyła aparat między głowami śpiących.

– Już! – Błyskawicznie odskoczyła od łóżka, wciskając palce do uszu.

W pokoju rozległ się ryk słonia rodem z sawanny. Kobieta z przeraźliwym wrzaskiem wyskoczyła z łóżka. Zdaniem Zuzy nadzy ludzie rzadko bywają ładni. Na ogół tylko ci z gazet, ale oni potrafili pozować.

Ta kobieta nie umiała.

Waldi spadł z łóżka i zasłaniając przyrodzenie rękami, błędnym wzrokiem rozglądał się po pokoju, bezgłośnie poruszając ustami.

– Przysięgam! Nie miałem pojęcia, że jest mężatką! – udało mu się w końcu wykrztusić chropowatym z przepicia głosem.

– Akurat pytał! – prychnęła drwiąco Zuza, rzucając kobiecie serwetę, która zsunęła się z łóżka w ślad za Waldim.

– Kim jesteście? – zawołała. Głos miała równie przepity jak jej partner.

– Mieszkamy tu – poinformowała ją Zuza uprzejmie. – Radzę się zbierać, zanim wezwę policję.

– Policję? – Amatorka przygodnego seksu zbladła. – Po co zaraz policja?

– Jak dla mnie to wtargnięcie, a dla ciebie, kochanie? Znasz tych ludzi? – Zuza ujęła Tymka pod rękę.

– Widzę ich pierwszy raz w życiu. – Sam nie wiedział jak, ale w mig się odnalazł w sytuacji.

– Powiedział, że to jego mieszkanie – broniła się kobieta.

– Tymek, co ty... – bełkotał Waldi.

– Nie wiem, koleś, o co biega, ale ja nie znam żadnego Tymka – powiedział Tymek, zaczynając się niezłe bawić. – Niech pani ucieka – zwrócił się stanowczym tonem do kobiety. – Zaraz dzwonię po gliny. Kolesiowi się nie upiecze. Nie wiadomo, czy coś nie zginęło.

– Ależ...

– Radzę się pospieszyć, zanim mąż zmieni zdanie. – Zuza nie dopuściła Waldiego do głosu.

Z rozbawieniem obserwowała, jak naga kobieta pospiesznie łapie ubranie i wybiega z pokoju. Nie miała pojęcia, czy tamta ubiera się w przedpokoju czy w kuchni, jednak uznała, że teraz musi zdezynfekować nie tylko lodówkę, ale i całe mieszkanie. Nie wiadomo, z czego korzystali. Z łazienki na pewno.

– Ty żałosny padalcu!

Trzaśnięcie drzwi było sygnałem do właściwej rozprawy z winowajcą.

– Już ja ci pokażę! – Zuza podciągnęła rękawy koszuli w kratę za łokcie i zmierzała w stronę siedzącego na podłodze mężczyzny. Tymek nie zamierzał jej powstrzymać. Takimi piąstkami wiele nie zdziała, lecz niech próbuje.

– Tylko nie w twarz! – krzyknął Waldi, zasłaniając się i zarazem pokazując na powrót rodowe klejnoty, które objawiły się Zuzie w całej swej miernej okazałości, żałośnie zwisając nad podłogą.

– Fuj! – krzyknęła ze wstrętem. – On jest obrzydliwy! – Wybiegła z pokoju, jakby sam diabeł ją gonił. – Zrób z nim coś! – poleciała jeszcze Tymkowi, nim zniknęła w głębi mieszkania.

– Na obrzydliwość nic nie poradzę – stwierdził z niesmakiem Tymek. – Ubieraj się, idioto, zanim cię wywalę na zbity pysk! Masz dwie minuty, a potem widzę cię w kuchni! – Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Muszę przeszczepić sobie wspomnienia – poinformowała go dramatycznym tonem, gdy do niej dołączył. – Już nigdy nie będę sobą.

– Amnezja byłaby prostsza.

– Musiałabym doznać wstrząsu mózgu. A ja doznałam tylko wstrząsu estetyczno-emocjonalnego.

– Przepraszam. Nie wiem, co mam powiedzieć. – Chciał usiąść na krześle, ale było na nim coś lepkiego. Co mogło być... wszystkim, a szczególnie czymś obrzydliwym.

– Nie przepraszaj, pozbądź się go. Wiem, że to twój brat, ale on jest... okropny! Nie rozumiem, jakim cudem możecie być spokrewnieni? To znaczy wiem, co robili twoi rodzice, żeby was mieć, ale nie rozumiem, jak to możliwe... Moja siostra i ja też jesteśmy zupełnie różne. Ona ma piersi, a ja nie. Ona ma tyłek, a ja nie. Ona ma męża i dzieci, a ja nie. Ona jest szczęśliwa, a ja nie. Rozumiem odmiennosc. Różnice są dobre. Ale on jest jak coś, co przylepia ci się do buta i nawet po odlepieniu podeszwa nadal śmierdzi. Rozumiesz, co mówię?

– Staram się. – Przede wszystkim starał się nie roześmiać.

Podejrziwa mina Zuzy mówiła wyraźnie, że jego twarz nie do końca objawia to, co w jej mniemaniu wyrażać powinna.

– Śmiejesz się ze mnie?

– Nie ośmieliłbym się – zapewnił ją z powagą.

– Hm... – Nie była pewna prawdziwości jego słów. Ramiona Tymoteusza podejrzanie się trzęsły. I odwracał od niej wzrok.

– Muszę przyznać, że ubawiłem się za wszystkie czasy – powiedział szybko, czując, że nie wytrzyma i zaraz ryknie śmiechem. – Akcja ze słoniem była genialna!

– Hm... Dzięki... – Zuza zmarszczyła brwi.

W innych okolicznościach doceniłaby komizm sytuacji, gdyby nie fakt, że tamta dwójka uprawiała seks w jej wymytm, choć nadal cuchnącym pokoju, i na łóżku, które wreszcie nie śmierdziało kotami. Chyba. Być może jej zmysł powonienia przywykał już do woni unoszącej się w mieszkaniu i po prostu jej nie wyczuwała.

– Muszę zamówić karcher do prania kanapy – powiedziała.

– Mój brat nie jest aż tak obrzydliwy.

– To używane łóżko. Nie wiem, co się działo na nim wcześniej. Twój brat dołożył swoją cegiełkę, albo i więcej, nie wiem, na ile jest sprawny seksualnie. Być może po tej ilości alkoholu, którą w siebie wlał, jego sprzęt całą noc wyglądał równie żałośnie jak dziś rano. Nie wiem, ile musiałabym wypić, żeby ten widok znikł mi sprzed oczu.

– Nie przesadzajmy. Większość mężczyzn... No cóż... Po... hm... po fakcie nie wygląda zbyt interesująco.

– Nie będziemy o tym rozmawiać. Twój brat musi stąd zniknąć. Czy on nie idzie jutro do roboty? Poniedziałek. Większość osób zaczyna tydzień pracy. Mówi mu to coś? Praca?

– Jest w trakcie poszukiwania pracy – wyznał Tymek.

– A co? Żona wywalila go nie tylko z domu? – zadrwiła.

– Bingo.

– Pracował w firmie żony?

– Teścia.

– Cudownie. Z pewnością wystawili mu wspaniałe referencje.

– Nadal bingo.

– Aż boję się zgadywać dalej, żeby się nie dowiedziała, że ta gnida przez najbliższy rok będzie mieszkała z nami.

– Tym razem minęłaś się z prawdą o całe lata świetlne.

– Dzięki ci, istoto najwyższa. – Wzniosła oczy do poplamionego sufitu.

– Problem w tym, że ma w sobie tyle promili, że nie może jechać autem. Nie pomoże nam w przeprowadzce. Najwyżej przy przenoszeniu.

– Nie będzie dotykał moich rzeczy.

– Przecież są w kartonach!

– Nie będzie dotykał moich kartonów. Musiałabym otwierać je w rękawiczkach.

– Hej, wiecie, że ja tu stoję od kilku minut? – Żałosny, zapijaczony głos zmusił ich do przerwania rozmowy. – I wszystko słyszę?

– I dobrze! – warknęła Zuza, opierając ręce na biodrach. – Gdybym tak się nie brzydziła cię dotknąć, dostałbyś kopa w te obwisłe jaja, i jeszcze poprawiłabym ci z pięści w twarz, ale nie chcę się niczym zarazić. Używałeś chociaż prezerwatywy?

– Czego? – Waldi zdębiał.

– Cudownie! – zadrwiła. – Twój brat nie ma pojęcia o bezpiecznym seksie – zwróciła się do Tymka. – Wystaw go na korytarz. Nie wiadomo, co złapał i kiedy.

Tego Tymoteusz już nie wytrzymał. Parsknął śmiechem. Zuza spojrzała na niego wściekle. Waldi uśmiechnął się nieśmiało.

– I o co tyle hałasu – skomentował.

Tymek przestał się śmiać. Z kącika oka jeszcze spłynęła mu łza, ale nieprzemyślana uwaga brata okazała się bardzo przedwczesna. Zuza w swojej złości była zabawna, co nie znaczy, że on przestał być wściekły na Waldiego. Przecież tamten dowiedział się wczoraj, że jego brat niemal został bankrutem, musi od nowa podźwignąć firmę, zaczyna w nowym miejscu, bo nie ma gdzie wrócić przez najbliższe pół roku, a jedyne, na co stać tego drania, to popijawa i poderwana pod latarnią panienka.

– Waldi, Zuza jest wobec ciebie bardzo wyrozumiała, a ty powinienesz to docenić.

– Naprawdę? – zdziwili się jednocześnie.

– Owszem. Bo ja mam ochotę spuścić cię po schodach i nasłuchiwać odgłosu pękającej czaszki.

– No, Tymon, co ty...

– Zamknij się, Waldi, zanim zmienię zdanie. Ogarnij się, pomożesz mi rozładować busa. Jutro kupimy Zuzie nowe łóżko, a ty za nie zapłacisz.

– Naprawdę? – Ponownie odezwali się chórkami, ale w głosie Zuzy zaskoczenie mieszało się z zadowoleniem, podczas gdy Waldi po prostu jęczał żałośnie.

– Masz kasę na wodę, musisz mieć na łóżko. Zachowałeś się jak ostatnia świnia.

– Bracie, przecież wiesz, że mi się nie przelewa, alimenty muszę płacić i...

– Tym bardziej nie powinienesz przepuszczać kasy na dziwki i alkohol. – Tymek nie krył niesmaku.

Starszy brat długie lata był dla niego wzorem. Skończyło się to, gdy wyrósł z wieku nastoletniego i odkrył, że tamten jest zwyczajnym egoistą, który krzywdzi własną rodzinę i oczekuje, że jeszcze będą go za to głaskać po głowie. Zuza gorliwie potakiwała. Co racja, to racja. Aż szkoda, że Tymek nie podoba jej się jako mężczyzna. Co z nią jest nie tak?

– A nie możemy po prostu przynieść jej łóżka z innego pokoju? – zapytał żałośnie Waldi.

– To drugie ma zarwane sprężyny, a sofa się nie rozkłada. Do spania nadaje się tylko jednoosobowy tapczanik w moim pokoju i łóżko, które spaskudziłeś. Musisz kupić Zuzie nowe łóżko.

– Może być tapczanik? Ona nie potrzebuje dużo miejsca.

– Jak? Może być? – Tymek zwrócił się do Zuzy.

Ta przygryzła wargę, udając, że się zastanawia.

– Niech będzie... – zgodziła się w końcu. – Ale jak wrócę z pracy, to twojego brata ma tu nie być.

– Dopilnuję, żeby dziś już nie zachlał – zapewnił ją Tymek. – Sam mam go dość,

a nie spędziłem z nim więcej niż godzinę.

– Hej, Tymon... – Waldiemu zaszkliły się oczy. – Jesteś moim bratem. Jedyńm, jakiego mam.

– I tylko dlatego z tobą gadam. Weź się w garść, człowieku, bo rozwalasz życie nie tylko sobie, ale wszystkim dokoła. Masz czterdzieści lat, a nie czternaście. Najwyższa pora ponosić odpowiedzialność za siebie. Kiedy ostatni raz widziałeś dzieciaki?

– Jak się wyprowadzałem...

– I co? Wyprowadziłeś się, więc przestałeś być ojcem?

– No nie... ale one... tak jakby... nie chcą mnie znać... i...

– Nie dziwię się – bezlitośnie przerwał mu Tymek. – Gdy nasz stary się nachlał i przychodził pod szkołę, wychodziliśmy przez boisko, pamiętasz? Robisz swoim dzieciakom taki sam wstyd jak ojciec nam. Już nie pamiętasz, co było?

– Nie jestem alkoholikiem – bronił się Waldi.

– Może jeszcze nie, ale ile ci brakuje? Kiedy ostatni raz byłeś trzeźwy?

– Wczoraj. Przecież jechałem autem, nie?

– A przedtem? Zanim wytrzeźwiałeś na tyle, by wsiąść do samochodu?

Tamten spuścił głowę. Tymek westchnął ciężko i spojrzał w kierunku Zuzy. Dziewczyny nie było w kuchni. Nawet nie wiedział, kiedy wyszła, zostawiając ich samych.

Zuza odkryła, że ostatnie kilka dni żyje w stanie permanentnego zdziwienia, i nie rozumiała, dlaczego jeszcze ją to dziwi. Przecież sama nazwa miasta sugerowała kłopoty, ale ona w swej naiwności uznała to za zabawne. Teraz jednak już się nie śmiała.

– Proszę wybaczyć, ale starałam się o pracę w księgowości. I dostałam pracę w księgowości. Podpisałam umowę, w której moje obowiązki dotyczą księgowości. Co się zmieniło? – zapytała właścicielkę firmy, czyli panią prezes Antoninę Maczek, która osobiście jej nie przyjmowała, bo tym zajął się obleśny specjalista do spraw osobowych, ale z jakiegoś względu postanowiła ingerować w pracę podwładnego.

– Okoliczności – poinformowała ją oschle Maczek.

– Jakie okoliczności? – koniecznie chciała wiedzieć Zuza.

Znów ktoś rzuca jej kłody pod nogi, i to ktoś jej zupełnie nieznan, więc ma prawo do wyjaśnień. Pani prezes zdawała się być innego zdania, gdyż spojrzała na nią z ukosa i sądząc po nerwowych ruchach szczęki, starannie przeżuwała odpowiedź, nim w końcu raczyła ją z siebie wypluć.

– Okoliczności nie są istotne dla pani. Wystarczy, że są istotne dla mnie. Pani powinno wystarczyć, że po zapoznaniu się z pani teczką uznałam, że stanowisko w sekretariacie będzie dla pani odpowiedniejsze.

– Zważywszy na to, że uważam tę decyzję za degradację, obawiam się, że takie wyjaśnienie mi nie wystarczy.

Zuza była zła. Naprawdę zła. Nie wściekła ani nie wkurwiona, bo taki stan ducha jeszcze jej się nie zdarzył. Stopnie wzburzenia zaczynały się od niezadowolenia i irytacji, potem następowała złość, gniew, wściekłość i wreszcie furia. Ostatnie stadium było dla niej jeszcze nieznan, ale podejrzewała, że to ten stan, gdy zabijasz gada i tańczysz na jego zwłokach.

– W takim razie nazwiemy to stanowisko inaczej. Na przykład może pani zostać asystentką dyrektora.

– Zależało mi na pracy w księgowości, a nie na odbieraniu telefonów i parzeniu kawy.

Zapomniała, że jeszcze niedawno obsztorcowała Tymoteusza, że ten lekceważy pracę sekretarki.

– Będzie pani miała znacznie szerszy zakres obowiązków niż parzenie kawy. Zresztą od tego jest stażysta. Pani szef to idiota, co oznacza, że spadnie na panią spora odpowiedzialność.

– Więc proszę go zwolnić.

– Nie mogę. To mój mąż.

– Aha... – I to jest właśnie ta sytuacja, gdzie nepotyzm nie popłaca, pomyślała Zuza złośliwie.

– Oczywiście w związku ze zmianą stanowiska i zakresu obowiązków konieczna jest zmiana wynagrodzenia. Proponuję wyposażenie o dwadzieścia procent wyższe od tego, które miała pani otrzymywać jako księgowa.

– Nie rozumiem, dlaczego nie poszukacie państwo pracownika, który będzie posiadał odpowiednie kwalifikacje i aspirował do tego stanowiska.

– Posiada pani odpowiednie kwalifikacje. Trzydzieści procent.

– Sytuacja jest niecodzienna. Mogę prosić o czas do namysłu? – Czują przez skórę, że coś tu śmierdzi – jak by to elegancko powiedzieć... Doszła do wniosku, że elegancko się nie da. Gówno to gówno, a nie żadna kupa.

– Nie. Decyduje się pani od razu albo rozwiążemy z panią umowę. Samochód służbowy do dyspozycji również w weekendy.

Zdecydowanie pani prezes stosowała metodę kija i marchewki, choć na ogół ludzie robili to subtelniej.

– Nie mam prawa jazdy.

– Firma opłaci kurs. To jak? Trzydzieści procent podwyżki, kurs prawa jazdy i służbowe auto.

Smród niemal ją powalał, ale Zuza nie miała wyjścia. I bądźmy szczerzy, podwyżka nie śmierdzi.

– Pani argumenty są bardzo przekonujące – uznała, postanawiając jak najszybciej się dowiedzieć, o co tu właściwie chodzi.

– Czyli doszliśmy do porozumienia. – Prezes Maczek wstała zza biurka i wyciągnęła rękę, którą Zuza niechętnie uściśnęła. – Z zakresem obowiązków zapozna panią mój zastępca.

– Oczywiście.

– Liczę na panią.

– Oczywiście – powtórzyła niepewnie Zuza.

– Liczę również, że w razie jakichkolwiek pytań z mojej strony mogę liczyć na pani szczerłość...

– Nie jestem pewna, czy rozumiem... – spieszyła się Zuza. – Moje życie prywatne...

– Nie interesuje mnie pani życie prywatne, tylko mojego męża.
– Oczywiście, ale... – Nie rozumiem, chciała dodać, nie zdążyła jednak.
– Co kwartał premia uznaniowa i w ramach rozpoczęcia naszej współpracy dam znać do kadr, by dopisali panią do naszego programu rekreacyjnego dla personelu wyższego szczebla.

– Nie rozumiem... – Znów bąknęła.

– Mam nadzieję, że w wypełnianiu obowiązków wykaże się pani większym zrozumieniem. Otrzyma pani kartę do centrum rekreacyjno-sportowego. Basen, siłownia, fitness. Firma pokrywa koszty.

– Dziękuję bardzo. To niezwykle...

– Liczę na pani dyskrecję. Moja asystentka zajmie się panią. Do końca dnia otrzyma pani aneks do umowy. A teraz życzę miłej pracy.

Dwie minuty później Zuzanna Cieplicka maszerowała za kobietą w wieku zbliżonym do wieku prezes Maczek. Obie wyglądały na zadbane pięćdziesięcioparolatki. Była ciekawa, czy asystentka pani prezes za długoletnią służbę otrzymała pakiet rekreacyjny.

– Długo tu pani pracuje? – zagadnęła przyjaznym tonem Mirosławę, nazwiska nie zdążyła doczytać na identyfikatorze.

– Od zawsze – odparła krótko.

– Muszę przyznać, że pani prezes robi wrażenie...

– To tutaj. – Asystentka wskazała drzwi z tabliczką wiceprezesa. – Pan wiceprezes zapozna panią z zakresem obowiązków. W razie wątpliwości proszę kontaktować się ze mną. – Spojrzała na nią porozumiewawczo, a przynajmniej tak się Zuzannie wydawało. Niemniej pani prezes Maczek oczekiwała dyskrecji, zatem Zuzanna wołała nie polec na tym polu kilka minut po opuszczeniu gabinetu głównej szefowej.

– Też Maczek – powiedziała do siebie Zuza, odczytując nazwisko na drzwiach.

Na razie wiedziała tylko tyle, że zarobi więcej niż kiedykolwiek w swoim życiu, ma szpiegować męża Antoniny Maczek, i za cholerę nie mogła pojąć, dlaczego to właśnie ją wyrwali z działu księgowego, nim zapuściła tam korzenie, i przenieśli do działu... Właściwie nie miała pojęcia do jakiego.

Komisarz Rurzycki rozpoczął poniedziałek od zbitego kubka, do tego okazało się, że ktoś ukradł mu kawę, a w dodatku na jego biurku wylądowało kilka dodatkowych teczek, gdyż jeden z kolegów złamał nogę i utknął w domu. Zdaniem Wojciecha, poszkodowany nadal mógł wykonywać pracę biurową, noga nie była mu do tego potrzebna. Tymczasem to on, Rurzycki, dostał kilka spraw w toku, jakby sam nie miał co robić.

Postanowił uporać się z tymi kwestiami, na które mógł coś zaradzić. Kubek wyjął z szafki nieobecnego kolegi – przez najbliższe tygodnie nie będzie mu potrzebny. Kawę również sobie pożyczył, żeby tamtemu nie zwierzała. Problem akt, niestety, pozostał nierozwiązany.

Ledwo ochłonął, drzwi jego pokoju się otworzyły i do środka wpadł wepchnięty tam Tymoteusz Magnus.

– Dzień dobry, chciałem zapukać, ale nie zdążyłem – usprawiedliwił się przybyły, speszony bezpardonowym potraktowaniem i niechcący dokonanym wtargnięciem.

Obejrzał się na policjanta, który go przyprowadził, ale tamtego już nie było.

– Nie szkodzi. – Wojciech machnął ręką, zezując niechętnie na stos akt na biurku. Musi dorwać tego, kto mu je podrzucił. Mieli się podzielić sprawami Kubackiego. Jeśli to ma być podział, to on jest świętym tureckim i zaraz utnie sobie drzemkę na desce nabitej gwoździami. A może od gwoździ są święci hinduscy? Nie znał się na tym zbyt dobrze. Z katolickimi też zawsze miał problem.

– Niech pan wejdzie i powie, o co chodzi.

– Już wszedłem.

– No tak. W takim razie słucham. – Założył ręce na szerokiej klatce piersiowej i czekał, aż petent, a dokładnie to Tymoteusz Magnus, zepsuje mu ten dzień do końca.

Tymek prawie zaczął współczuć Zuzie, że była przesłuchiwana przez tego drańgala. Prawie. O ile zdążył ją poznać, z pewnością poradziła sobie lepiej od niego. I z pewnością ona wiedziałaby teraz, od czego zacząć i jak to wszystko wyrazić, a zarazem nie wykopać pod sobą dołka.

– A więc... – zaczął wyjątkowo niefortunnie, bo zaraz przed oczami stanęła mu polonistka z podstawówki, surowo ganiąca uczniów za rozpoczynanie zdania od „a więc”.

– W weekend ktoś szukał Sroki. Mówił, że ten jest mu winien kilkaset tysięcy złotych.

– Kolejny właściciel domu? – zainteresował się komisarz.

– Z tego, co zrozumiałem, to raczej chodzi o dług. Proszę. – Położył na biurku wizytówkę, którą otrzymał od właściciela lombardu. – Zostawił nam namiary na siebie.

– Niech się do nas zgłosi. Dopiszemy go do listy pokrzywdzonych – powiedział komisarz, niechętnie sięgając po wizytówkę. Im więcej osób pokrzywdzonych w sprawie, tym więcej będzie mu zwracało cztery litery. Czyli głowę.

– Nie jestem pewien, czy to ktoś tego rodzaju. Odniosłem raczej wrażenie, że...

– Adam Lambertowicz... – przerwał mu Rurzycki. – Sroka przerobił Lambertowicza?

Wydał z siebie dziwny dźwięk, ni to chichot, ni to prychnięcie, trudno określić, dlatego Tymek wołał zamilczeć. Cokolwiek miał znaczyć ów dźwięk, wyglądało na to, że pokemon z bmw był doskonale znany miejscowej policji.

– W takim razie lepiej dla Sroki, żebyśmy znaleźli go pierwsi, a panu radzę trzymać się od tego typu z daleka – z powagą poradził mężczyźnie.

– To on nas znalazł, a nie my jego – zaczął się bronić Tymek, choć przeszkadzało mu nieczyste sumienie. – Rzecz w tym, że odnosimy wrażenie, iż natykamy się na niego na każdym kroku, i wydaje nam się, że to on mógł próbować włamać się do domu Sroki.

– Odnosicie wrażenie, wydaje wam się... Z tego to ja sprawy nie zbuduję, rozumie mnie pan?

– Nie jestem pewien...

– Czy rozpoznał pan Lambertowicza jako tego mężczyznę, który usiłował się włamać do domu przy ulicy Spokojnej numer piętnaście?

– Nie.

– Czy owo natykanie się oznacza, że Lambertowicz was śledzi?

– Nie zauważyłem – odparł zgodnie z prawdą Tymek. – Ale w sobotę przyjechał mój brat, a pani Cieplik i ja akurat przeprowadzaliśmy się do nowego mieszkania

i właśnie Lambertowicz podał mu nasz nowy adres. Skąd by wiedział, gdzie mieszkamy, gdyby nas nie śledził?

Rurzycki zmarszczył brwi.

– Zamieszkali państwo razem? – zapytał.

– W tym samym mieszkaniu – poprawił go Magnus. – Na początek to dobre rozwiązanie. Lokal do remontu, a ja muszę się odkuć finansowo, Zuza również.

– Taaaak... – odrzekł w zamyśleniu Rurzycki, bawiąc się wizytówką. – Muszę prosić o ten nowy adres. Do akt sprawy.

– Oczywiście. Kłopotów. Ulica Rzeźnicka trzydzieści pięć, mieszkania trzy.

– Rzeźnicka? – zainteresował się komisarz.

– Tak, Rzeźnicka. Numer trzydzieści...

– Tak, słyszałem. Będzie pan musiał podpisać oświadczenie o zmianie adresu do korespondencji. Pani Cieplik również musi się do nas pofatygować.

– Przekażę jej.

– A jeśli chodzi o Lambertowicza, proszę nie wchodzić mu w drogę i nie zawierać z nim żadnych układów. Jak go znam, pewnie już coś proponował.

– Owszem – wyznał niechętnie Tymoteusz – chciał procent za odzyskanie naszych pieniędzy.

– Tak jak mówiłem, nie radzę wchodzić z nim w żadne układy.

– Nie zamierzaliśmy.

– I dobrze. Miejmy nadzieję, że jeśli Lambertowicz pierwszy dopadnie Srokę, ten nadal będzie miał kasę. I, panie Magnus... – oddał Tymkowi wizytówkę – proszę spojrzeć na adres lombardu.

– Nie wybieram się do... – Tymoteusz urwał. Rzeźnicka piętnaście. Lombard mieścił się na tej samej ulicy, co ich mieszkanie.

– Lambertowicz mógł was przypadkowo zauważyć, a na Spokojnej czekał na Srokę.

– Wierzy pan w takie zbiegi okoliczności? – Tymoteusz upierał się przy swoim.

– Nic na niego nie mam – stwierdził wprost komisarz Rurzycki. – Chyba że go pan rozpoznał...

– Już mówiłem, że nie – odparł zniecierpliwiony Tymoteusz.

– Rozumiem. – Komisarz spojrział na niego przeciągle. – Gdyby coś się wydarzyło, proszę dać mi znać. – Wyjął z szuflady biurka wizytówkę. – Tu jest mój numer komórkowy. W razie potrzeby proszę dzwonić.

– No dobrze. – Tymek zwlekał z wyjściem. Zuza kazała mu jeszcze załatwić coś na komisariacie. Tylko co to było?

– Coś jeszcze? – zapytał Rurzycki. – Coś się panu przypomniało?

– Wręcz przeciwnie. Zuza coś od pana chciała...

– Tak? – Komisarz wyraźnie się ożywił.

– Tylko nie pamiętam, co to było. Coś miałem panu dać... Już wiem! – zawołał, klepiąc się po kieszeniach. – Klucze! Zuza powiedziała, że nie możemy mieć kluczy od tego domu, bo jak coś tam się wydarzy, to będzie na nas. Mam je panu komisyjnie oddać!

– Dlaczego mnie?

– A komu? Nie możemy zatrzymać tych kluczy. Zuza kazała jeszcze powiedzieć, że jak pan ich nie przyjmie, mam zostawić je na dyżurce jako znalezione i podać namiary na tę nową właścicielkę mieszkania. Tak czy siak, i tak trafią do pana.

– Czy pani Zuzanna kazała panu zrobić coś jeszcze? – zapytał kąśliwie komisarz.

– Tak. Powiedziała, że mam nie wracać bez pokwitowania.

Wiceprezes Maczek – sądząc po wieku – był synem pani prezes Maczek. Imię otrzymał po matce – nazywał się Antoni. Nie miała pojęcia, jakie imię nosił Maczek senior, ale zdołała się zorientować, że w tej firmie spodnie nosi Antonina Maczek. Jej syn miał niespełna trzydzieści lat i nie maskowała tego nawet broda, którą zapuścił. Zuza nie wiedziała, o co mężczyznom chodzi z tą modą à la mudzahedin, ale większość brodatych facetów wyglądała, jakby wyrosły im na twarzy włosy łonowe. Antoni Maczek należał do tej większości. Kompletu dopełniały szerokie usta, co w całokształcie przywodziło na myśl Zuzie kobiecy organ płciowy, który Maczek junior przeszczepił sobie na twarz i z uwielbieniem gładził.

Kolejna rzecz, jakiej nie zapomnę do końca życia. Może demencja po osiemdziesiątce nie jest taka zła, jak się mówi, stwierdziła z nadzieją, za wszelką cenę starając się skoncentrować uwagę na rozmówcy.

– Ma pani pytania?

– Pytania?

– Tak, w związku z zakresem obowiązków.

Zuza szybko rzuciła okiem na listę, którą jej podał. Logistyczne i administracyjne wspieranie dyrektora w codziennych obowiązkach. Przygotowywanie zestawień, sprawozdań, prezentacji i raportów. Analiza raportów i zestawień. Obsługa sekretariatu. Organizacja i obsługa spotkań. Organizacja podróży służbowych. Zapewnienie i koordynowanie sprawnego przepływu informacji oraz współpracy z działami. Realizowanie zadań wyznaczonych przez dyrektora. Co to, u licha, jest? Wygląda jak ogłoszenie o pracę. Młody Maczek zdecydowanie się nie wysilił. Albo właśnie to zrobił, a ona niewiele rozumie.

– Dziękuję, na chwilę obecną nie mam – odpowiedziała ze spokojem, którego nie czuła.

– W razie pytań proszę kontaktować się z zastępcą dyrektora Maczka.

– A kto to jest?

– Wicedyrektor Anna Maczek.

– Ach, tak, oczywiście.

Czy oni potrafią się w tym połapać?!

– To firma rodzinna. Moja młodsza siostra pełni tę funkcję. Będzie pani dla niej sporą pomocą, nim mama, to znaczy prezes Maczek, zdecyduje, że oboje z ojcem mogą przejść na emeryturę.

– Postaram się – zapewniła go Zuzanna w nadziei, że Maczek juniorka będzie wsparciem dla niej, nim ona, Zuza, zorientuje się, co właściwie ma robić. Najgorszy pierwszy tydzień. Potem już pójdzie z górki.

– Pani Zuzanno, jest jeszcze jeden aspekt współpracy z moim ojcem... – Antoni zawahał się, najwyraźniej myśląc gorączkowo, jak wyrazić to, co chciał przekazać. Szukał właściwych słów, jak mniemała Zuza.

– Tak, panie wiceprezesie?

– To człowiek trudny w kontaktach.

– Trudny? – zdziwiła się. – Sądziłam, że od dyrektora do spraw handlu oczekuje się między innymi zdolności interpersonalnych.

– Ojciec, to znaczy dyrektor Maczek, jak najbardziej je posiada, problem raczej w tym, że... – Poglądził brodę ponownie i z westchnieniem dokończył: – Rzecz w tym, że gdyby ojciec, to jest dyrektor Maczek, zachował się wobec pani nieprofesjonalnie, oczekuję, że pani zachowa się profesjonalnie.

– Oczywiście – zapewniła go.

– Z drugiej strony... – Przyjrzał jej się uważnie. Szara garsonka, włosy upięte w ciasny koczek, czółenka na niewielkim obcasiku. – Raczej nie powinna pani mieć problemów.

– Dziękuję. – Zmarszczyła brwi.

Najchętniej zapytałaby: „O co tu, u licha, chodzi?!”. Ale o takie rzeczy nie pyta się jednego z szefów. O takie rzeczy pyta się sekretarki, asystentki bądź inne osoby zatrudnione na stanowiskach tak zwanego średniego szczebla.

– Skoro nie ma pani pytań, zaprowadzę panią do gabinetu dyrektora Maczka.

Tymoteusz zahamował niemal w ostatniej chwili. Od zderzaka auta znajdującego się przed nim dzieliło go może z dziesięć centymetrów. Tak to jest, jak człowiek błędzi myślami nie tam, gdzie trzeba, pomyślał ze złością. Musi jak najszybciej porozmawiać z Zużą. Sam nie powinien podejmować takiej decyzji. Nie znaczy to, że tworzyli jakiś chory związek, bo tak nie uważał. Sprawa dotyczyła Sroki, a zatem ich obojga.

Słowa komisarza Rurzyckiego dały mu do myślenia. Wynikało z nich jednoznacznie, że pokemon ma większe szanse na znalezienie oszusta niż oni. Jeśli to zrobi, odzyska pieniądze szybciej, niż porusza się machina sprawiedliwości. W takiej sytuacji warto oddać jedną trzecią, ale mieć gotówkę od ręki, a nie na przykład za pięć lat, jak dobrze pójdzie. Albo wcale, jak pójdzie źle.

Rzecz w tym, że jeśli Sroka nie odda kasy, wtedy on, Tymoteusz Magnus, będzie współwinnym tego, co się stanie z tamtym, a mogą się stać bardzo złe rzeczy. Sama umowa ustna na odzyskanie pieniędzy nie powinna go zaprowadzić za kratki, ale czy to wiadomo, co pokemon zezna na policji, żeby się wybielić, jak wpadnie?

Tymek zawsze myślał o sobie, że jest człowiekiem uczciwym. Jak to się stało, że on – ten uczciwy człowiek – w ogóle rozważa taką ewentualność? Desperacja, ot co. Był zdesperowany. Pytanie brzmi, czy aż tak?

Antoni Maczek wprowadził Zużę do gabinetu Joachima Maczka. Dyrektor do spraw handlu wyglądał znacznie młodziej od żony, ale wynikało to raczej z otłuszczenia. Na pełnej twarzy nie było widać zmarszczek. Tylko świńskie oczka mrugały nieustająco zza ogromnych okularów. Palce jak serdelki tańczyły po klawiaturze, nawet wówczas, gdy dyrektor na nich spojrział.

– Chwila, synu. Minuta i jestem do dyspozycji – zagrzmiał, zwracając oczy na powrót na monitor.

Zuza czekała spokojnie u boku Maczka juniora, przy okazji porównując ich obu. Młody Maczek w ogóle nie był podobny do ojca. Blond włosy, broda też, wysoki,

kości, nadal wyglądał jak podrostek. Ojciec natomiast wydawał się niski – sądząc po tym, ile go wystawało zza biurka. Włosy kiedyś z pewnością miał, ale żeby odgadnąć ich kolor, należałoby go wyciągnąć z tego firmowego ubranka. Musiały tam się gdzieś schować, bo na głowie ich nie było. Układ kostny twarzy ojca został całkowicie pochłonięty przez warstwę tłuszczu, zatem określenie podobieństwa między nimi na tej podstawie również nie było możliwe. Rzecz w tym, że Antoni matki również nie przypominał.

– Słucham, synu. Co się sprowadza? – zagrział ponownie Maczek senior dokładnie minutę później, jak zapowiedział.

– Tato, panie dyrektorze...

– Daj spokój z tymi formami. Nie jesteśmy na oficjalnym spotkaniu.

– Tak, tato. To jest pani Zuzanna. Pani Zuzanna od dziś będzie twoją sekretarką.

– Asystentką – poprawiła go Zuza.

– Właśnie – powiedział Antoni Maczek, rzucając jej speszzone spojrzenie.

Chyba nie powinna go poprawiać przy ojcu. Ten zmierzył ją rozbawionym spojrzeniem.

– Matka nieźle zaszalała. Skąd cię wzięła, panienko? Z liceum?

– Nie, proszę pana. Mam dwadzieścia osiem lat. Skończyłam z wyróżnieniem studia na kierunku...

– Tak, tak. – Machnął rękę, przerywając jej w pół słowa. – Jestem pewien, że masz, dziecko, odpowiednie przygotowanie. Moja żona zatrudniła cię jednak z jednego określonego powodu.

– Tato... – zaczął ostrzegawczym tonem syn.

– Wyglądasz jak marzenie pedofila – oświadczył z rozbawieniem Joachim Maczek. Zuza oniemiała.

– Mała, chuda, buzia jak u dziecka – kontynuował. – Nie ma co się obrażać, dziewczyno. Nie wszyscy mężczyźni gustują w takich kobietach. Ja do nich nie należę.

– Tato!

– Z pewnością miałyby to znaczenie, gdybym szukała pracy w burdelu, panie dyrektorze. Ale tak nie jest. – Zuza żałowała, że odzyskała głos. Niestety, nie odzyskała rozsądku. – Jestem w tej komfortowej sytuacji, że na życie zarabiam głową, a nie dupą. Radzę się zdecydować, czego zamierza pan używać, bo nie wiem, czy mam zająć miejsce za biurkiem, czy od razu maszerować do sądu pracy.

– I do tego ostra – ucieszył się dyrektor Maczek. – Dogadamy się! Poprzednia sekretarka była płacziwą cycatką.

– Błagam cię, tato, zamilcz!

– Świeciła mi tu biustem, a potem chciała mnie pociągnąć do sądu, że się ślinię. To jak wsadzić psa do miski kielbasę i zabronić mu jeść.

– Tato!!! – Młody Maczek wyglądał, jakby właśnie miał zapaść.

– No co? Nic jej nie zrobiłem! Pogapić się nie wolno? Tu na szczęście nie ma na co, więc twoja matka powinna być zadowolona!

– Pani prezes zaproponowała mi znakomite warunki pracy i płacy. Teraz rozumiem dlaczego. – Zuza znów wtrąciła swoje trzy grosze, nie wiedząc, czy ma się obrazić za to

żałosne podsumowanie jej urody, czy też cieszyć, że nie będzie musiała uciekać dokoła biurka przed szefem. Teraz nie może sobie pozwolić na porzucenie pracy. Nie przy warunkach, które jej zaoferowano.

I niech tylko spróbują ją zwolnić. Od razu poda ich do sądu! No tak, tylko skąd świadkowie? Przecież syn nie będzie zeznawał przeciwko ojcu, a pani prezes z pewnością nie potwierdzi, że jej mąż lubi gonić sekretarki dookoła biurka. Właściwie to ruch by mu się przydał, pomyślała złośliwie, gdy jej szef wyszedł zza biurka, dopinając guzik marynarki na wylewającym się zza paska spodni brzuchu.

– Zaczniemy od nowa. Joachim jestem. – Wyciągnął w jej stronę rękę, której Zuza nie zamierzała dotykać. Nie wiadomo, gdzie ją wcześniej trzymał.

– Zuzanna Cieplik, panie dyrektorze. – Starannie zaakcentowała dwa ostatnie słowa.

– Joachim Maczek. Może pani zwracać się do mnie: „panie dyrektorze”. – Mrugnął do niej wesoło, wybrnąwszy z sytuacji. – Dzisiaj nie będzie mi pani potrzebna. Proszę zapoznać się z profilem działalności firmy. Moja córka panią wprowadzi, pokaże co i jak. Od kilku dni to ona zajmuje się pani pracą i swoją, bo żona postanowiła sama znaleźć mi sekretarkę.

– Asystentkę – poprawiła go Zuza.

– Jak zwał, tak zwał. A ty, synu, zacznij oddychać. Jak zaraz tu padniesz, to twoja matka mi tego nie wybaczy. No już, zmykajcie oboje, nie mam czasu. – Machnął na nich ręką, wyganiając oboje z gabinetu.

– Ojciec nie jest taki zły – zaczął niepewnie Antoni, zamknąwszy za nimi drzwi. – Problem polega na tym, że plecie trzy po trzy i ostatnio źle się to skończyło.

– To raczej nie na miejscu u osoby na jego stanowisku – starała się, by nie zabrzmiało to oskarżycielsko i pretensjonalnie.

– Jako handlowiec jest znakomity. Sprzedałby alkoholikowi wodę i jeszcze przekonał, że to spirytus. Tylko w firmie zdarza mu się chlapać coś bez zastanowienia. Sugerowałem matce, żeby zatrudniła mężczyznę asystenta, ale obawiała się, że po pracy zaczną razem chodzić na piwo i znów źle się to skończy.

– Znów?

– Ojciec miał zawał. Powinien o siebie dbać, ale kiepsko mu idzie – wyjaśnił. – Proszę, to gabinet mojej siostry. Niech pani po prostu wejdzie. Anna zajmie się panią.

– Dziękuję.

– W razie problemów proszę śmiało do mnie przychodzić. I... – zawahał się – ...proszę mnie źle nie zrozumieć, ale uważam, że jest pani bardzo ładna.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Maczek junior zaczerwienił się mocno.

– Nie miałem na myśli nic zdrożnego – dodał szybko. – Nie chcę tylko, żeby pani źle się czuła przez to gadanie mojego ojca. To stare pokolenie, które...

– Rozumiem. To miło z pańskiej strony, ale nie ma potrzeby... Nie czuję się urażona. A gdyby nawet, to pański ojciec powinien mnie przeproszać. Nie pan.

– Boże, nie! – wykrzyknął przerażony. – Ostatnio w ramach przeprosin wykupił sekretarce wycieczkę na Karaiby. Oskarżyła go o molestowanie! O, Boże, nie powinienem tego mówić!

– Nic nie słyszałam – zapewniła go, zastanawiając się, za jakie grzechy istota najwyższa pokarała ją pracą u starego zbrojeńca.

– Ojciec wcale jej nie molestował. To tylko ten jego niewyparzony język.

– Może ja już wejdę do gabinetu? – zaproponowała, coraz bardziej pragnąc zakończyć tę rozmowę. Na to, że Anna Maczek jako jedyna z całej rodziny będzie normalna, już nie liczyła.

– Oczywiście, nie zatrzymuję pani. Witamy w firmie – wyrecytował jeszcze na koniec Antoni i odszedł pospiesznie.

Tymek zrobił listę rzeczy do wyniesienia. Waldi mu pomoże. Zuza nie będzie zachwycona, ale jeszcze przez kilka dni brat mu się przyda. Od wczoraj chodził jak w zegarku, do Zuzy się nie odzywał, zląził jej z oczu, więc jeśli ta tendencja się utrzyma, jest szansa, że dziewczyna go nie zauważy.

Przez cały czas Tymkowi krążył po głowie Lambertowicz, ale im dłużej myślał, tym lepiej rozumiał, że Rurzycki miał rację. Ubijanie interesów z półświatkiem to zły pomysł. Zawsze. Do tego kolesie mogą dojść do wniosku, że jest im winien przysługę, i może będzie musiał betonować jakieś zwłoki czy coś. To nie na jego nerwy. Zamierzał założyć rodzinę, wieść spokojne życie, może nawet mieć psa, a nie ciągle oglądać się przez ramię albo widywać żonę raz w miesiącu czy ile tam więźniom należy się widzeń.

Niemniej Rurzycki podsunął mu pewien pomysł, który – aczkolwiek niechętnie – Tymek rozważał. Komisarz zasiał w nim ziarno zwątpienia co do skuteczności działań organów ścigania, gdyż sam przyznał, że tamten opryszek może prędzej znaleźć Srokę niż policja. Tymoteusz nie wiedział, z czego to wynikało.

Z doświadczenia zawodowego? Rurzycki pewnie znał statystyki na pamięć.

Lenistwa? Oby nie.

Godzin pracy? To najbardziej prawdopodobne.

Komisarz pracował chyba osiem godzin dziennie, pięć dni w tygodniu. Tymek nie miał pojęcia, jak jest z nadgodzinami w policji. Sadząc po stosach akt w gabinecie, sprawa Sroki była jedną z wielu, które tamten prowadził, zatem ile czasu mógł jej poświęcić? Kwadrans dziennie? Godzinę tygodniowo? Wyśle za oszustem list gończy i będzie czekał, aż ścigany wpadnie?

Tymek nie miał pojęcia, jak wygląda praca śledczego. Ale pomysł powoli kiełkował w jego głowie i czuł, że z tego ziarna zaczyna wyrastać roślinka.

Malutka.

Ledwo widoczna, ale silnie zakorzeniona.

Przecież sam mógłby poszukać tego oszusta. Poprozić sąsiadów, odnaleźć jego rodzinę. Może ktoś przypadkiem coś wie, chociaż nie wie, że wie, że to jest ważne, a dzięki tej wiedzy udałoby się wpaść na ślad drania. I podążyć tym tropem. Działałby sam. Ewentualnie z Zuzą. W towarzystwie zawsze raźniej, a kobiecie punkt widzenia czasami się przydaje. Ona palnie coś głupiego, a jemu coś się skojarzy.

Zuza zapukała i gdy usłyszała damski głos, weszła do środka. Za ogromnym biurkiem siedziała młoda kobieta mniej więcej w jej wieku, skupiona na dokumentach rozłożonych na biurku.

– Dzień dobry – powitała ją pogodnie Zuza. – Nazywam się Zuzanna Cieplik

i od dziś jestem asystentką dyrektora Maczka. Joachima Maczka – dodała jeszcze szybko na wypadek, gdyby Maczków na stanowiskach dyrektorskich było więcej.

– Mama już do mnie dzwoniła w tej sprawie. Anna Maczek. Miło mi panią poznać. Niech pani usiądzie. W czym mogę pomóc? – zapytała z uśmiechem.

– Pan dyrektor prosił, żeby wprowadziła mnie pani w zakres obowiązków. Nie ukrywam, że do tej pory pracowałam wyłącznie w księgowości. Obecne stanowisko to ogromne wyróżnienie. Nie chciałabym zawieść pokładanych we mnie nadziei – wyrecytowała Zuza.

– Tere-fere – powiedziała dziewczyna. – Dobrze wiem, że mama wcisnęła tu panią, żeby pilnować taty.

– Nie jestem niańką. – Skoro tamta nie owijała w ba-wełnę, Zuza uznała, że ona też już nie musi.

– Mam nadzieję. Potrzebuję kogoś ogarniętego, kto potrafi czytać dokumenty finansowe. – Spojrzała na nią pytająco.

Zuza skinęła głową, patrząc Annie prosto w oczy.

– Angielski?

– I niemiecki.

– Dogadamy się – uznała młoda Maczek.

Sądząc po jej zdecydowanym sposobie bycia, w tej rodzinie męskie klejnoty miały kobiety. Co do starego Maczka, Zuza nie była pewna, czy to erotoman gawędziarz, czy coś więcej, co do młodego, no cóż... To, co kobiety mają w kroczu, on nosił na twarzy, więc jaśniej nie dałoby się już wyrazić siły jego męskości.

– Wracając do taty... Wkrótce się pani zorientuje, że ma niewyparzoną gębę, ale jest doskonałym handlowcem. Wtedy coś się w nim uruchamia i działa jak rasowy biznesmen. A poza tym... – westchnęła. – Nie musi być pani dla niego zbyt uprzejma. Jak coś chlapnie, niech mu pani da popalić – poradziła.

– Zdaje się, że już coś zdążyłam chlapnąć – wyznała Zuza. – Cud, że mnie nie zwolnił.

– Nie może. Od tego jest mama. Ojciec najwyżej może próbować zatruć pani życie, ale raczej się nie odważy, bo wtedy mama zatruje życie jemu.

– Czy w rodzinnych firmach często relacje domowe przenosi się na grunt zawodowy? – zapytała z zaciekawieniem Zuzanna, starając się ukryć, co naprawdę o tym myśli.

– U nas niestety tak – przyznała młoda Maczek. – Nie wiem, jak to wygląda gdzie indziej, ale nie sądzę, by dało się zdecydowanie oddzielić te dwie sfery.

– A czy aspekt domowy musi być aż tak publiczny? – odważyła się zapytać Zuzanna.

– Nie powinien, owszem, zdecydowanie nie powinien, ma pani rację, ale niestety, u nas inaczej się nie da. Nasza rodzina jest zbyt otwarta. Zwłaszcza ojciec. Dlatego od czasu do czasu pojawia się problem z personelem. Pierwszą sekretarkę tata odziedziczył po swoim ojcu. Była od niego starsza o dwadzieścia lat i rozstawiała go po kątach. Niestety, rok temu odeszła na emeryturę i od tej pory co rusz mamy problemy. Spodziewam się, że jest pani osobą asertywną. Jak uzna pani jakieś polecenie za głupie,

wykraczające poza pani obowiązki czy też ojciec każe pani zająć się czymś, co powinien robić stażysta, czyli kserowaniem dokumentów albo parzeniem kawy, to niech mu pani każe spadać. – Widząc szok na twarzy nowej pracownicy, powiedziała szybko: – Albo proszę przyjść do mnie i ja każę mu spadać.

– Myślę, że sobie poradzę.

– Mam nadzieję, że się dogadamy. – Anna Maczek uśmiechnęła się do niej szeroko.

– Ja również – bąknęła Zuza.

– Zatrudniamy pięćdziesiąt osób. Wciąż się rozwijamy. To dobre miejsce dla młodych, ambitnych ludzi. Jeśli chce pani tu zostać, proszę się starać. Jak matka przejdzie na emeryturę, przejmę jej stanowisko – dodała. – Skoro teraz zaczniemy razem pracować, nie widzę powodu, dla którego nie miałybyśmy pracować i później.

– Jest pani bardzo pewna...

– Siebie? To oczywiste. Ojciec potrafi sprzedawać, ale nie potrafi zarządzać. Mój brat świetnie sobie radzi jako zastępca, jednak nie potrafi samodzielnie podjąć decyzji. Jest kochany, ale jako facet to cipa. W dodatku wyhodował ją sobie na twarzy – powiedziała głośno to, o czym Zuza tylko myślała. – Więcej rodzeństwa nie posiadam. Więc albo ja, albo ktoś z zewnątrz, a do tego matka nigdy nie dopuści.

– Rozumiem.

– Świetnie. Zaczniemy od zapoznania pani z naszym oprogramowaniem. Usiądzie sobie pani cichutko w swoim pokoju, stażysta zrobi kawę – niech pani pamięta, że on ma również wykonywać dla pani drobne prace biurowe – poprzegląda sobie pani zawartość komputera, żeby się zorientować, co robimy, i za godzinę wróci tu do mnie z pytaniami. Było miło.

Ostatni raz rzucono Zuzę na głęboką wodę, gdy szła na podwójną randkę, ale ta druga zrezygnowała, i zamiast jednego faceta Zuzanna miała dwóch. Do tego była to randka w ciemno, umówiona przez ich wspólną koleżankę ze studiów, i Zuzanna za nic nie mogła sobie przypomnieć, z którym z chłopaków była umówiona.

– Aha! I jeszcze jedno! – zawołała za nią młoda Maczek, gdy Zuza już zamykała za sobą drzwi. – Nie zna pani przypadkiem jakiejś dobrej firmy budowlanej? Robię remont mieszkania, a ostatni fachowiec od dwóch tygodni nie może wreszcie dotrzeć i dokończyć pracy. Na razie zdjął mi stare podłogi, rozbabrał ściany i mieszkam u brata, ale mieszkanie pod jednym dachem z pedantem to droga do piekła na skrót. Albo do morderstwa. Z premedytacją. Nie sądziłam, że człowieka można zabić na tyle sposobów, dopóki nie zaczęłam się nad tym intensywnie zastanawiać. Otrucie. Uduślenie. Rozbicie głowy. Utopienie w wannie. Wypchnięcie przez okno. Przejechanie samochodem – zaczęła wyliczać z rozmarzeniem.

Zuza wahała się tylko przez moment. W tej firmie ceni się rodzinę, zatem odrobina fantazji nie zaszkodzi.

– Mój narzeczony ma własną firmę. Kupuje i remontuje stare mieszkania, a następnie je sprzedaje. Niedawno zakończył jakąś inwestycję i rozgląda się za czymś nowym. Może w międzyczasie podjąłby zlecenie?

– Cudownie! – rozpromieniła się pani wicedyrektor. – Widzę, że dogadamy się lepiej, niż mi się wydawało. Postaram się, żeby otrzymała pani nasz pakiet rekreacyjny.

Wskoczmy razem na siłownię. Przydałoby się pani.

– Dziękuję, pani prezes już mi go zaoferowała w pakiecie z pani ojcem. A co to znaczy, że przydałaby mi się siłownia? – spytała zakłopotana.

– Jest pani chuda jak patyk. Kości obleczone skórą. Przydałoby się trochę tkanki mięśniowej.

– Pomyślę o tym. – Zuza zbladła na samą myśl o wysiłku fizycznym. Sztanga jest większa od niej. Ciężarki połamią jej nadgarstki. Może ewentualnie jakiś fitness. Basen? No może, gdyby nauczyła się pływać, ale siłownia? I dlaczego wszyscy tak się jej czepiają? Piersi i tak sobie na siłowni nie wyhoduje.

Tymek zerkał niecierpliwie na zegar. Ile może trwać ośmiogodzinny dzień pracy?! Zuza jechała na ósmą do pracy, a teraz dochodziła osiemnasta, a tej ani widu, ani słychu. Nie ma autobusu powrotnego? Maszeruje pieszo? Zadzwoiłby, ale oczywiście żadne z nich nie wpadło na to, by wymienić się numerami telefonów. Aż do wspólnego zamieszkania nie było im to potrzebne, bo niby po co? Od środy niemal bezustannie przebywali razem. To pierwszy dzień, kiedy się rozstali, i już problem. Obiad zaraz wystygnie, Waldi zemdleje z głodu, a i jemu burczało w brzuchu. Zrobił zapiekankę z serem. Jeśli zaczną bez niej, resztki w naczyniu żaroodpornym nie będą wyglądały zachęcająco.

– Tymon, bracie, zadzwoń może do niej i zapytaj, kiedy wróci – zaproponował Waldi.

– Dzięki. Sam na to wpadłem – warknął.

– A czemu tego nie zrobiłeś?

– Bo nie mam jej numeru!

– Mieszkasz z laską od tygodnia i nie masz jej numeru? – zdumiał się tamten.

– Od środy, nie od tygodnia. I nie, nie mam. Nie był mi potrzebny.

– Teraz jest – zauważył Waldi.

Tymek zaczął liczyć do dziesięciu. Odkrywcze uwagi brata nie poprawiały mu nastroju. W okolicy dziewięciu wiedział, że jedna dziesiątka nie wystarczy. Na szczęście dla ich braterskich relacji usłyszeli stukot obcasów w korytarzu i do kuchni weszła Zuza. Torebkę rzuciła na blat szafki. Potem ciężko – co przy jej muszej wadze było trudne – opadła na krzesło. Oparła się łokciami o stół, utkwiała wzrok prosto w Waldim, który nerwowo zerkał na brata, a jej czoło przecięła zmarszczka zamyślenia.

– Mogę gotować w weekendy – oświadczyła po chwili.

– Nie jestem pewien, jak mam to rozumieć... – Na czole Tymoteusza również pojawiła się zmarszczka. Irytacji. Umowa była inna. Waldi pomarszczył się jakoś ogólnie. Widocznie doskwierał mu brak alkoholu.

– Na cały tydzień. I będziemy odgrzewać. W pozostałe dni tygodnia będę dogorywać, a rano się reanimować.

– Aż tak źle? – zapytał ze współczuciem Tymoteusz.

– Szef to idiota. Szefowa tyran. Syn szefowej ma żeńskie narządy płciowe na twarzy. Córka szefowej to strongmenka na obcasach. Stażysta ma łęki. Dali mi samochód służbowy.

– Przecież nie umiesz prowadzić – zauważył Tymek.

– Zapłacą za mój kurs.

– Co to za praca? Mówiłaś, że masz pracować w księgowości...

– Tak myślałam. O ósmej rano dowiedziałam się, że jestem asystentką dyrektora handlowego. Mam na niego donosić jego żonie, która jest właścicielką i prezesem firmy. Syn szefowej chce się mną opiekować i wiem, że to się źle skończy, bo nie jest w moim typie. Jego siostra zaś pewnego dnia przejmie firmę i uważa, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami, jak tylko moje chuderlawe ciało zyska odrobinę masy mięśniowej.

– Nie brzmi za ciekawie – stwierdził Tymek.

Waldi przezornie milczał. Na trzeźwo pamiętał wszystkie przykazania brata. Nie gadać. Nie rzucać się w oczy. Nie śmierdzieć. Zwłaszcza alkoholem.

– Wręcz przeciwnie. Praca jest super. Tylko muszę jak najszybciej stać się samodzielnym pracownikiem, a moja głowa jest zbyt mała, żeby ogarnąć wszystko w osiem godzin, więc zamierzam siedzieć tam tak długo, aż to zrobię.

– Zuza, pamiętam czas, gdy pracowałem dla kogoś. Nie dla siebie. Nie ma nic gorszego, niż nauczyć pracodawcę, że jesteś na gwizdnięcie i siedzisz po pracy sama dla siebie. Wystarczy chwila, by szef zaczął traktować to jako normę – powiedział Tymek. – Nie bądź naiwna.

Waldi tylko potakująco kiwał głową. Uważał, że brat miał rację, ale dostał zakaz odzywania się, więc tylko w ten sposób mógł okazać swoje poparcie.

– A ty mi się tu nie wymądrzaj.

Zbladł gwałtownie, gdy Zuza zwróciła się do niego.

– Do twojej obecności tutaj zaraz dojdziemy. Nie myśl sobie, że cię nie zauważyłam. Dostałam na starcie trzydzieści procent podwyżki. – Ponownie spojrzała na Tymoteusza. – Co kwartał premia uznaniowa, służbowe auto i kurs prawka, na który mogę chodzić w godzinach pracy i nie muszę ich odrabiać ani nie potrąca mi z pensji. Aha, i pakiet rekreacyjny – basen, siłownia, fitness. Gratis.

– Pracujesz dla mafii? – zaniepokoił się Tymek.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale mafia, nie mafia, na czele firmy stoi kobieta. I to jest sprawiedliwość dziejowa, ot co! I, zanim zapomnę, od dziś jesteśmy zaręczeni!

Waldi zachłysnął się śliną. Tymek też by się zadławił, gdyby mógł. Z wrażenia zaschło mu w gardle.

– To firma rodzinna. Cenią sobie relacje rodzinne. Bardzo. Tak bardzo, że zakrawa to na nepotyzm. A wicedyrektor Anna Maczek szuka fachowca do remontu mieszkania. Poprzedni wystawił ją do wiatru. Powiedziałam, że mój narzeczony ma swoją firmę. Zatrudniła cię od razu.

– Zuza – za wszelką cenę starał się zachować spokój – nie możesz podejmować takich decyzji za mnie. Muszę zobaczyć i...

– Dwieście dwadzieścia metrów kwadratowych. Mieszkanie dwupoziomowe. Trzeba położyć podłogi. Oczywiście tapetowanie, malowanie. Łazienka i kuchnia – płytki. Tyle zapamiętałam. Na moje oko to całkiem solidne zamówienie, a zapewniam cię, że są wypłacalni. Mieszkanie jest nowe, więc nie powinieneś mieć kwiatków typu równanie podłóg czy ścian, chociaż za kąty proste nie odpowiadam. Wiem, co było, jak siostra remontowała swoje. Poziomica ześwirowała. A teraz: co on tu robi? – Dźgnęła

palcem powietrze przed twarzą Waldiego.

Powinien być wdzięczny, że nie dźgnęła go w oko, ale może to przypadek, bo odległość między palcem Zuzy a jego okiem wynosiła chyba nie więcej niż pięć centymetrów. Nie chcąc spuszczać z oczu jej pomalowanego na różowo paznokcia, Waldi zrobił zeza. Na to, by po prostu odsunąć się na bezpieczną odległość, nie wpadł. Oto, jak alkohol upośledza instynkt samozachowawczy.

– Mam sporo rzeczy do wyniesienia. Potrzebuję kogoś do pomocy. – Tymek wyjął z piekarnika zapiekankę i postawił na desce do krojenia. – Nie było cię tak długo, że sam zrobiłem obiad.

Liczył, że Zuza poczuje się winna i łatwiej przełknie obecność Waldiego.

– Ty mi tu nie wjeżdżaj na sumienie. Byłam w pracy, a nie u kosmetyczki. Zachowujesz się jak kobieta – stwierdziła z niesmakiem.

Zamknął oczy i ponownie zaczął liczyć.

– Modlisz się? – zapytała. Spojrzała badawczo na zapiekankę. – Nie ma potrzeby. Jedzenie pachnie doskonale.

– Modlę się o cierpliwość – wycedził.

– I co? Pomogło? – zapytała z ożywieniem. – Mnie to nigdy nie wychodziło.

– Tak, pomogło. – Z trudem się powstrzymał, by nie zgrzytać zębami. – Waldi zostaje. I kropka.

– Rozumiem, że decyzja zapadła pod moją nieobecność? – zapytała z urazą Zuza.

– To jednostronna decyzja. Moja. Waldi zostanie dwa, trzy dni. Nie dłużej. Skoro ma cię nie być całymi dniami, nie będzie ci się rzucał w oczy. – Mówił tak stanowczo, jak tylko mógł, nie podnosząc głosu do krzyku.

– Jak nie będzie pił i się szlajał, to na pewno – zgodziła się Zuza. Nie miała siły na kłótnię z Tymkiem. – Rozmawiałeś z Rurzyckim?

– Tak, podałem nasz nowy adres. – Odetchnął. Poszło lepiej, niż myślał. Spodziewał się kłótni, trzaskania drzwiami, a potem ponurego, lecz wymownego milczenia. Tymczasem odpuściła tak nagle, że aż to było podejrzane. – Oddałem klucze. Powiedziałem o naszym zaniepokojeniu z powodu działań pokemona.

– I co on na to?

– O adresie musisz zawiadomić go sama.

– Wyślę oświadczenie pocztą.

– Kluczy nie chciał wziąć, ale wziął.

– I dobrze.

– Pokemonem się przejął, nami niekoniecznie.

– A co to dokładnie znaczy? – spytała.

– Wiem, że miałem się nie odzywać – Waldi nie wytrzymał, bo zaczęło go mdlić z głodu – ale czy możemy zacząć jeść, nim wszystko wystygnie? Obiecuję, że pozmywam – dodał szybko, samemu sobie dając karę za odezwanie się bez pozwolenia.

– Nałożę mu, to się zamknie. – Tymek zamierzał przedstawić Zuzie swój pomysł. Do tego właśnie do niego dotarło, że znalazła mu bardzo dobre zlecenie. Chyba powinien podziękować. Brat zszedł na boczny tor.

– Jeśli nie jesteśmy pewni, że to pokemon się do nas włamał, nie może nic zrobić.

Co do śledzenia, to sama zobacz. – Wyjął z kieszeni wizytówkę i podał swojej współlokatorce.

– Adam Lambertowicz...

– Nie to. Popatrz na adres. Po drugiej stronie.

– Rzeźnicka... Super, pokemon powie, że przez okno nas zauważył, i tyle – stwierdziła z przekąsem.

Tymkowi podobało się, że Zuza w lot łapała różne niuanse. Nie musiał jej tłumaczyć po pięć razy i przekonywać, że jest, jak jest, i lepiej nie będzie. Miała bardzo rozsądne podejście do świata. Nie licząc chwil, gdy była po prostu zwyczajnie irracjonalna. Jak to kobieta.

– Będzie sprawa, jak jednemu z nas coś się stanie – powiedziała.

– Do tego Rurzycki wyraził... – przerwał, gdy zaburczało mu w brzuchu. – Dlaczego właściwie nie jemy? – zdumiał się.

– Nie wiem. Nałóż mi. Nie, nie ty. – Odsunęła talerz z zasięgu rąk Waldiego, który uczynnie po niego sięgnął. – Sama sobie nałóż – zdecydowała.

Wzruszył ramionami i wrócił do jedzenia.

– Rurzycki wyraził zaniepokojenie – podjął przerwany wątek Tymoteusz – że Lambertowicz szuka Sroki. Z tego, co zrozumiałem, pokemon to niebezpieczny typ. To po pierwsze. A po drugie, Rurzycki dopuszcza możliwość, że tamtemu może się to udać przed nim. I właśnie stąd wziął się mój pomysł.

– Jeżeli chcesz się dogadać z pokemonem z powodu punktu drugiego wypowiedzi drwała, to przypominam ci o istnieniu punktu pierwszego. Nie będziemy więcej gadać z pokemonem!

– Zapomnij o pokemonie. Skup się na moim pomysle. Jak myślisz, ile czasu Rurzycki poświęci na szukanie Sroki?

– Czy ja wiem... Powinien go szukać do skutku...

– Zuza, przecież on nie siedzi w tym komisariacie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nasza sprawa nie jest jedyną, którą prowadzi. Urlop, chorobowe. Inne okoliczności?

– Chodzi ci o to, że nasza sprawa trafi na dno szafy?

– Nie, chodzi mi o to, że choćby chciał, nie jest w stanie zajmować się wyłącznie nami. Sami musimy się sobą zająć.

– Czy to jakiś eufemizm oznaczający seks? Bo jestem zbyt zmęczona, by uprzejmie odmówić.

– Zuza! Skoncentruj się! – zirytował się. I to by było tyle, jeśli chodzi o niuanse. – Sami możemy poszukać Sroki!

Zuza zamilkła. Trybiki w jej mózgu obracały się wolno, wolniej, w końcu stanęły.

– Możesz powtórzyć?

– Sami znajdziemy Srokę!

– Niby jak? – Trybikom nie chciało się uruchamiać zasilania. Pomysł był tak niedorzeczny, że aż niewart rozpatrzenia.

– Popytamy sąsiadów, jego rodzinę. Mamy czas, którego nie ma policja! I mamy do odnalezienia tylko jednego przestępcę, a nie całe stado! – przekonywał ją żarliwie.

- Ja pracuję. Ty pracujesz. My nie mamy czasu.
- Większość ludzi pracuje. Zajmiemy się tym po pracy.
- Zwariowałaś – stwierdziła, wkładając do ust stygnący kawałek zapiekanki makaronowej. Może jak coś zje, nabierze siły, by wybić Tymkowi ten absurd z głowy.
- Rurzycki obawia się, że pokemon może stuknąć Srokę, jeśli go znajdzie, a ten nie będzie miał kasy.
- I dlatego my będziemy się pętać pod nogami pokemona, żeby stuknął nas?
- Nie, po prostu postaramy się czegoś dowiedzieć, a jak na coś wpadniemy, damy znać Rurzyckiemu.

Zuza przeżuwała wolno i rozmyślała. Popytać nie zaszkodzi, może coś z tego wyniknie. Jeśli nie wyniknie, przynajmniej Tymek spasuje i nie będzie się pchał prosto pod lufę.

- No dobrze – powiedziała. – Możemy spróbować. Od czego zaczniemy?
- Od sąsiadów.
- Niech będzie. Ty zaczynasz. Ja pomagam w weekend.
- Pójdziemy wieczorem. Razem. Jako małżeństwo – oświadczył Tymoteusz.

Rozkasłała się tak mocno, że kawałki jedzenia wyleciały jej z ust i spadły na talerz. Waldi spojrzał z lekkim obrzydzeniem na przeżuty makaron. Zaczynał już rozumieć, dlaczego Wiola tak się wściekała, gdy zdarzało mu się zwymiotować po pijaku.

Obok muszli klozetowej.

– Może zostanemy przy wersji o narzeczonych. To nie brzmi tak ostatecznie – powiedział z lekką urazą Tymoteusz.

Taki wstrząs na wieść o udawanym małżeństwie był zdecydowaną przesadą.

– OK. Już mi lepiej – wysapała Zuzanna, chociaż nikt jej nie zapytał o samopoczucie. – Dlaczego w ogóle mamy udawać parę? Kogo to obchodzi?

– Pomyślałem, że jako małż... para będziemy wzbudzać więcej współczucia niż jako dwa jelenie szukające oszusta, który ich załatwił. Ty też zrobiłaś ze mnie narzeczonego – dodał jeszcze.

– Owszem, ale ja miałam racjonalne uzasadnienie dla nieracjonalnych pobudek Maczków.

– Ja też mam racjonalne uzasadnienie.

– Jakie?

– Właśnie je podałem.

– Racja. Jestem bardziej zmęczona, niż myślałam. Dziś nigdzie nie dam rady pójść. Jutro też będę zmęczona i pojutrze także, co oznacza, że mogę poświęcić na twoje poszukiwania cały weekend. Jeśli na coś wpadniemy, to w przyszłym tygodniu rozważę pomoc w szerszym zakresie. W tym tygodniu – tylko weekend – oświadczyła stanowczo.

– A teraz idę wziąć gorącą kąpiel. – Odsunęła krzesło i wstała.

Zignorowała obrażoną minę Tymka i spojrzała groźnie na Waldiego, który przestał jeść i w panice zerknął na brata.

– Trzymaj się z dala od pokemona, rozumiesz?

Tamten potulnie skinął głową.

– Jak do ciebie podejdziesz, nie rozmawiaj z nim. O niczym. Nawet o pogodzie.

Rozumiemy się?

Odpowiedzią było szybkie potaknięcie. Zuza nie była do końca zadowolona z rozmowy z Waldim, ale przez trzy dni nie powinien narozrabiać. W tym gronie to on był słabym ogniwem. Ziewnęła i poszła się kąpać, nim straci przytomność przed drzwiami łazienki.

– Waldi – Tymek zwrócił się do niego stanowczym tonem – Zuza ma rację.

– Jasne – odrzekł brat, rozgrzebując resztki zapiekanki na talerzu. – Żadnych pokemonów w moim życiu.

– I tego się trzymaj. – Tymek wrócił do jedzenia. Chyba zapomniał posolić. Zdaje się, że ugotował makaron bez soli. Nikt nie narzekał. Aż dziwne.

– Tylko, Tymon... – po chwili odezwał się z wahaniem Waldi. – Jak wygląda pokemon? No wiesz... Do tej pory myślałem, że to tylko taka gra dla dzieci...

Rurzycki przejrzał ostatnie informacje dotyczące Sroki. Pudło. Pudło. Pudło. Tak w trzech słowach można by podsumować podjęte działania operacyjne. Nie ma nawet z kim porozmawiać. Jedyne, co mógł zrobić, to złożyć wniosek o przedstawienie zarzutów podejrzanemu i następnie – o wydanie listu gończego za oszustem. A potem czekać na jego rozpatrzenie przez prokuratora. Ten zaś powinien najpóźniej jutro zapoznać się z tym, co udało się zebrać.

Czyli z niczym.

Miejsce pobytu Hieronima Sroki nie było znane. Oszust uciekł i dobrze się ukrył. Nie powinno być problemu z wydaniem odpowiednich decyzji. Prędzej czy później facet wpadnie, ale dla pokrzywdzonych istotne było to „prędzej”. Sroka miał tyle długów, że musiałby żyć kilka razy, by je spłacić. Jeśli nie uda się go zatrzymać, nim wyda wyłudzone pieniądze, pokrzywdzeni nic nie odzyskają.

Ostatnio wpadł podczas rutynowej kontroli drogowej. Teraz pewnie jest mądrzejszy i nie jeździ autem. A może nie? Gdyby był mądrzejszy, nie narobiłby sobie kolejnych problemów z prawem. Rurzycki sięgnął po telefon, by zadzwonić do wydziału komunikacji. Sprawdzi, czy poszukiwany posiada samochód. Sprawę miał od czwartku, dziś jest wtorek, ledwo uporał się z papierami i obszedł sąsiadów Sroki, by sprawdzić, czy coś o nim wiedzą. Liczył na to, że tamten przypadkiem komuś się wygadał.

Niestety, większość z nich w ogóle go nie kojarzyła. Dom odziedziczył po babce, której nie odwiedzał, ale dla ustawowego dziedziczenia nie jest to istotne. Jego rodzice nie żyli. Rodzeństwa nie miał. Rurzycki był pewien, że oszust zamelinował się u jakiejś baby, ale jak ją znaleźć?

Zaraz, zaraz, pukał palcami po stole, a drugą ręką przewracał kolejno strony akt z poprzednich spraw przeciwko Sroce. Nie prowadził ich, ale orientował się, który kolega czym się zajmuje, przynajmniej jeśli chodzi o poważniejsze przestępstwa. Drobne kradzieże na działkach na ogół trafiały na dno szafy, chyba że było ich za dużo albo przy okazji dochodziło do aktów przemocy.

Tak jest! Portale randkowe! Tak też mu się kojarzyło, że oszust w ten sposób namierzał swoje ofiary. Może nie zmienił metody działania i uda trafić się na kogoś, kto miał z nim kontakt w ostatnim czasie. Trzeba pogadać z policyjnym informatykiem, niech spróbuje coś wygrzebać.

– Moje gratulacje! Dlaczego nic nie powiedziałaś?!

Taki okrzyk powitalny – w piskliwej tonacji – poraził jego biedne uszy, gdy Tymoteusz nieopatrznie odebrał telefon, nie patrząc, kto dzwoni. Ada miała nieprzyjemną manierę polegającą na:

- podnoszeniu głosu do krzyku, gdy była podekscytowana,
- wydawaniu ultradźwięków, niesłyszalnych dla uszu, ale je raniących,
- rozpoczynaniu rozmowy bez przedstawiania się i wyjaśniania, o co chodzi.

Toteż nic dziwnego, że Tymek, jak zawsze podczas rozmów z siostrą, nie miał pojęcia, czego dotyczy sprawa.

– Dziękuję – odparł zdawkowo.

Zaczął myśleć gorączkowo, cóż takiego doniosłego wydarzyło się w jego życiu, że wymaga takiej dawki ekscytacji ze strony jego podobno dorosłej, bo dwudziestoparoletniej siostry, której już bliżej było niż dalej do trzydziestki. Poza tym, że padł ofiarą oszustwa, nic nie przychodziło mu do głowy, ale w tej sytuacji gratulacje byłyby nie na miejscu, zatem siostrze musi chodzić o coś innego.

– Ale o co właściwie chodzi? – zapytał więc w nadziei, że może przydarzyło mu się coś wspaniałego, o czym nie wie.

Na przykład nieznana ciotka z Ameryki pozostawiła ogromny spadek. Śmierć to rzecz nieprzyjemna, ale skoro nie znał zmarłej krewniaczki, to nie będzie udawał żałoby. Natomiast do końca swojego żalostnego życia będzie darzył nieznaną mu dobrodziejkę ogromnym sentymentem.

– Jak to, o co chodzi?! – wykrzyknęła znowu piskliwie. – Mama prawie zeszła na zawał!

– Nic jej nie jest?! – zdenerwował się. – Jak się czuje? Jest w szpitalu? Jak to się stało? – zasypał ją pytaniami. – Dlaczego nikt mi nie powiedział?!

– Przecież ja ci teraz mówię! I jaki szpital? Po co szpital? Piłeś? – Ostatnie pytanie zadała podejrziwym tonem.

– Nie. Ja nie. A ty piłaś?

Jak to tak? Zawał? Bez szpitala? Co ta Ada wygaduje? Teraz to on był podejrziwy. Naćpała się? Niemożliwe. Nie tykała żadnego świństwa nawet jako zwariowana nastolatka.

– O dziewiątej rano? Ocipiałaś? W pracy jestem!

– To o co chodzi z mamą?!

– Jak to, o co? Żenisz się, nic nie mówisz, nie mamy pojęcia z kim, a ty się dziwisz, że mama prawie zeszła? Tak się ucieszyła i zdenerwowała jednocześnie, że nie zaprosiłaś jej na ślub, że już sama nie była pewna, czy płacze z radości czy z żalu.

– Jaki ślub?!

– Wiedziałam! – wykrzyknęła. – To dlatego nic nie wiemy, jeszcze nie ma daty! Nie martw się, we wszystkim ci pomogę. Najpierw urządzimy zaręczyny! Koniecznie musisz ją nam pokazać!

– Ale kogo?! – Tymek usiadł na kartonie z płytkami. Ta rozmowa wymaga zbyt wiele wysiłku intelektualnego, by stać.

– Swoją narzeczoną!

– Jaką narzeczoną?! Ewelina zostawiła mnie kilka miesięcy temu!

– A ty od razu wskoczyłeś na konia! I tak trzymać! Zaraz, zaraz, kilka miesięcy temu? – zreflektowała się nagle. – Tymon, ty się nie wygłupiaj. W kilka miesięcy to i owszem, można się zakochać, odkochać, i to kilka razy, ale żeby zaraz się żenić? Może ty się jeszcze zastanów. To decyzja nieodwracalna. Ja wiem, że zawsze można się rozwieść, ale po co? Takie małżeństwo i rozwód to trauma na resztę życia. Czegoś takiego mamusia by nie przeżyła. Ty wiesz, jak ona się martwi tym rozwodem Waldiego?

– Ada, skup się, bo nie mam pojęcia, o czym ty mówisz!

– Jak to, o czym? To Waldi ci nie powiedział? Wiolka wywaliła go na zbity pysk i poszła do adwokata. Tym razem mu nie daruje. Ma dość. I wiesz, jako kobieta to jej się nie dziwię. Dawno powinna mu kota popędzić. Ale jako siostra... – Cmoknęła z niechęcią. – Trochę mi go żal.

– Ada, o Waldim wiem. Ty mów o moim ślubie!

– To jednak będzie ślub? A mówiłeś, że jeszcze się nie oświadczyłeś?

– Ja nic nie mówiłem. To ty wciąż mówisz, a ja nie mam pojęcia o czym.

– Słuchaj, Tymon, nie wiem, jak ona z tobą wytrzymuje. Ty musisz być ogier w sypialni, bo do konwersacji to się nie nadajesz!

– Ada! – wrzasnął. – Po kolei! Skąd się dowiedziałas o moim rzekomym ślubie?!

– No, jak to skąd? Waldi wrócił i nam powiedział.

– Waldi... No tak... Oczywiście, że Waldi! – Teraz wszystko jasne. Pewnie chodzi o Zuzę. – Ada, Waldi to idiota! Nie będzie żadnego ślubu!

– Ale mieszkasz z jakąś Zuzką czy nie?

– No mieszkam, ale nie z nią, tylko w tym samym mieszkaniu! To nie jest moja dziewczyna, narzeczona ani przyszła żona! Znam ją od tygodnia!

– Aha... – Siostra nie kryła rozczarowania.

W tym krótkim westchnieniu słychać było i zawód, i smutek, i nagle zrozumienie teorii powstania wszechświata.

– Co on wam nagadał?! – denerwował się Tymek.

– Że oboje zostaliście oszukani przez jakiegoś pokemona z siłowni i poznaliście się na komisariacie, gdy zgłosiliście... Zaraz, zaraz, a dlaczego właściwie mieszkacie razem? Ty czasem nie ściemniasz? Poznajesz laskę na komisariacie i nagle wspólne mieszkanie? I ty mówisz, że nie jest twoją dziewczyną? Jeszcze mi powiesz, że macie osobne pokoje!

– Owszem, mamy. I nie poznałem jej na komisariacie! Czy Waldi był trzeźwy, jak to opowiadał?

– A wiesz, że tak! – odparła nagle zdumiona Ada. – Może przez to jest jakiś taki nie do życia. Do AA chce się zapisać.

– Najwyższa pora – burknął Tymoteusz.

– No, Tymek, ja wiem, że on ma problem z alkoholem, ale kto w naszej rodzinie nie ma?

– Ja!

– No tak, Tymon, ale Waldi, tatuś, wujek Stefan... – zaczęła wyliczać.

– Ada, ty go przypadkiem nie usprawiedliwiasz. Dobrze wiesz, co nasz brat wyprawia po pijaku. Dzieci ma. Dla nich powinien być trzeźwy, jak nie dla siebie.

– Tymon, tak ogólnie to masz rację. Ale żeby brudy publicznie prac?
– Ada, przysięgam, że jak go zniechęcisz do AA, to ja... Nie zaproszę cię na ślub i nigdy nie zostaniesz matką chrzestną żadnego z moich dzieci!

– To będzie ślub czy nie będzie?!

– Kiedyś będzie, ale nie teraz. Czy Waldi przypadkiem nie wspominał, że dom, który kupiłem, należy do kogoś innego? Zostałem oszukany i straciłem sporo kasy. Zuza też. Tak się poznaliśmy. A mieszkamy razem przez przypadek. Trzeba było szybko się wynieść z tamtego domu. Ja muszę się finansowo odepchnąć od dna. Zuzka też musi się ogarnąć, więc...

– Oj, Tymon, pieniądze nie są w życiu najważniejsze. Ludzie się liczą. Pomyśl, ile zyskałeś dzięki tym straconym pieniądzom.

Tymek zamknął oczy i zaczął liczyć. Siostra jeszcze coś mówiła, ale nie słuchał. Liczył. Dochodził już do stu dwudziestu, gdy nagle cisza w telefonie wytrąciła go z rytmu.

– Halo? Halo! – zawołał powtórnie, gdy nikt nie odpowiedział na pierwsze „halo”, to ze znakiem zapytania na końcu. Wykrzyknik też nie pomógł, Ada już się rozłączyła.

Przez moment Tymoteusz zastanawiał się, czy nie oddzwonić, bo nie był pewien, na czym się zakończyła ich rozmowa. Obawiał się, że Ada nadal coś opacznie interpretuje i to źle się dla niego skończy. W sensie emocjonalnym, rzecz jasna. Wykończą go psychicznie, jak wróci.

Zuza właśnie kończyła przeglądać sprawozdania ze sprzedaży za ostatni miesiąc, gdy stanęła przed nią Anna Maczek. Rzuciła jej na biurko jakąś plaketkę.

– Widzimy się dziś o dziewiętnastej. Pokażę ci, co i jak. Włóż coś fajnego, będzie niezła zabawa. – Mrugnęła do niej wesoło i znikła.

Stało się to tak szybko, że Zuza nie tylko nie zdołała się przywitać, zapytać, gdzie i po co, to jeszcze do tego nawet nie zdążyła mrugnąć okiem. Wypuściła tylko z siebie powietrze, bo z wrażenia wstrzymała oddech, gdyż Anna tak ją zaskoczyła. Z ociąganiem sięgnęła po to coś, co tamta zostawiła na jej biurku.

– Karnet na siłownię? O istoto najwyższa! – jęknęła ze zgrozą. – Za co? No za co to wszystko?! – Zamknęła oczy i modliła się o jakiś znak, który pozwoli jej przetrwać najbliższe dni.

– Dzień dobry, pani Zuzanno. – Nieśmiały głos wytrącił ją ze stanu ukojenia, które zaczęło ją ogarniać, gdy wokół panowała cisza, spokój, telefon nie dzwonił przez całe trzydzieści sekund i nikt nic od niej nie chciał.

– Pan wiceprezes, dzień dobry. – Przywołała na twarz pogodny, nic niewyrażający uśmiech.

– Jak się pani zaaklimatyzowała?

– Doskonale, dziękuję. Wszyscy są bardzo uczynni i mili. Zaczynam się już orientować w działalności firmy.

– Proszę dać sobie czas – poradził jej. – Wiem, że mama... prezes Maczek rzuciła panią na głęboką wodę.

– Oczywiście, ale zależy mi, by jak najszybciej stać się pełnowartościowym pracownikiem – wyrecytowała z tym samym przyklejonym do twarzy uśmiechem.

– Tak, oczywiście, to godne uznania. Jestem pewien, że wszyscy będziemy z pani

bardzo zadowoleni. Może... Może po pracy miałyby pani ochotę na filiżankę kawy?

– Kawy?

– Może być herbata. Znam bardzo przyjemną herbaciarnię. Jest tu pani od niedawna, zatem...

– Dziękuję, to bardzo uprzejme z pana strony, ale pańska siostra zaprosiła mnie już na siłownię. – Pokazała mu karnet ze zdjęciem, które Anna wzięła z jej teczki personalnej. Anna. Nie pani dyrektor Anna Maczek. Zuza nie wiedziała, jak to się stało, ale ich przyjaźń nabierała tempa. Maczkowie nie uznawali półśrodków. W niczym.

– Ach, tak, rozumiem. To może innym razem? Może jutro? – zaproponował.

Zuza przysięgłaby, że zarumienił się pod tą swoją brodą, ale trudno było to stwierdzić. O istoto najwyższa! Za cóż mnie tak karzesz? Za co? Za jakie grzechy?!

– No cóż... – urwała z zakłopotaniem. Jak odmówić jednemu z szefów i nie wylecieć z pracy? Pracując w księgowości, nigdy nie miała takich problemów! Nigdy!

– Jeśli jest pani za-za-zajęta... – zaczął się jąkać, wbijając wzrok w podłogę.

– Panie wiceprezesie, doceniam pańskie chęci, by pokazać mi miasto. – Postanowiła udać, że nie wie, o co właściwie chodzi. – Jestem bardzo wdzięczna, ale wraz z narzeczonym dopiero się urządzamy – skłamała dzielnie.

Tymek nie musi wiedzieć, że grono osób, które uznają ich za parę, regularnie się powiększa, ale sam chciał, by udawali małżeństwo, zatem nie powinien mieć pretensji, że zostanie zatrudniony w charakterze narzeczonego na cały etat.

– Na-na-narzeczony? – wyjąkał speszony. – Oczywiście... wiście. – Przełknął ślinę. – Pewnie wolicie sa-sami spędzać po-po-ludnia.

– Z tym akurat dość ciężko. Od dziś Tymoteusz miał zacząć remont mieszkania pana siostry. Ma swoją firmę budowlaną.

– Aha...

– Oboje zaczynamy w nowym miejscu i nawet jeszcze się nie rozpakowaliśmy. – I nie zamierzamy, dodała w myślach.

Większość jej rzeczy nadal była w kartonach. Stare szafy śmierdziały naftaliną. Dopóki nie zdoła usunąć tego zapachu, będzie miała stertę kartonów w pokoju.

– Rozumiem. Moje gra-gra-gra...

– Cóż cię tu sprowadza, mój synu? – Drzwi gabinetu otworzyły się bezszelestnie i stanął w nich Joachim Maczek.

– Ja... ja... ja...

– Pan wiceprezes przyszedł zapytać, jak sobie radzę – odpowiedziała za niego Zuza. Antoni rzucił jej pełne wdzięczności spojrzenie.

– Aha – prychnął stary Maczek. – Nie mydlcie mi oczu. Matka nie przewidziała, że ty gustujesz w takich chuderławych panienkach.

– Ale... ale...

– Panie dyrektorze! – zawołała oburzona Zuza. – Mam narzeczonego, a pan wiceprezes nie zrobił nic niestosownego. Nie obrażał mnie, w przeciwieństwie do pana!

– Od kiedy nazywanie rzeczy po imieniu jest obrażą? – zdziwił się Maczek. – Dobra, jak jest narzeczony, to ty, synu, nie masz tu nic do roboty. Na szczęście jest tak nieudolny, jeśli chodzi o kobiety – zwrócił się do Zuzy – że nikt go nie pozwie

o molestowanie w miejscu pracy.

– Gdyby pan był „udolny” – zaakcentowała – to pana nikt by nie pozywał za molestowanie w miejscu pracy!

– Pani Zuzanno... – Młody Maczek był przerażony. Mrugał jak oślepią sowa, próbując dać Zuzie znak, by zamilkła.

– Młoda damo, nie przyszło ci do głowy, że jako twój szef mogę cię po prostu zwolnić? – zapytał groźnie Maczek senior, ale wesole błyski w oczach zadawały kłam jego słowom. Chyba że już sobie wyobrażał, jak to zaraz zostanie wyprowadzona przez ochronę.

– Z tego, co wiem, to w tej firmie tylko prezes Maczek może kogoś zwolnić – odparowała, ale już ciszej, zastanawiając się, gdzie się podział jej instynkt samozachowawczy.

Nigdy wcześniej nie pyskowała szefowi. Nie odważyłaby się. To wszystko wina specyficznego klimatu panującego w tej firmie, pomyślała.

– Racja – przyznał dyrektor. – Niech tylko pani tak nie pyskuje mojej żonie, bo ona nie ma tyle poczucia humoru co ja.

– Pani prezes nie ma w zwyczaju obrażać ludzi. – Zamknij się, Zuza, zamilknij, wrzeszczała jej intuicja.

– Nie, ona ich tylko zastrasza – zachichotał starszy Maczek. – Jak ci tam idzie praca, panienko? Co z raportem finansowym?

– Wysłałam panu e-mailem kwadrans temu – poinformowała go uprzejmie Zuza.

– O, to się chwali. Nie tylko język na miejscu, ale i głowa na karku. Z kolei ja wysłałam pani e-mailem projekt pisma. Poprawi pani, co trzeba, i przetłumaczy na angielski. Da pani radę w pół godzinki?

– Jeśli nie jest to wielostronicowa umowa, to tak – odrzekła pozornie spokojnym tonem, jednocześnie zastanawiając się w panice, co też tam wysmarował.

– Nic z tych rzeczy – zapewnił ją. – Uprzejma odmowa dla jednej z firm, z którą nie będziemy więcej współpracować, bo nawala z terminami. Wysłałbym ich na drzewo w jednym zdaniu, ale żona nie pozwala, więc ja wysłałam ich na drzewo, a pani dopisuje, że przykro nam z tego powodu i nie wykluczamy współpracy w przyszłości, jak już z tego drzewa zejda.

– Oczywiście, panie dyrektorze.

– A ty, synu, zamiast tak stać, słuchać i przestępować z nogi na nogę, patrz i podziwiaj kobietę z jajami – poradził. – Może i sam kiedyś się ich dorobisz – dorzucił jeszcze Maczek senior, nim na powrót zniknął w gabinecie.

– Bardzo panią przepraszam... – zaczął zakłopotany wiceprezes.

– Nic się nie stało. – Zauważyła z ulgą, że syn jej szefa przestał się jąkać. Jeszcze tego brakowało, żeby mu tak zostało, i byłoby na nią.

– Ale ojciec...

– Ojciec powinien przepraszać sam za siebie, a nie pan za niego.

– Co ojciec zrobił?

Anna znów pojawiła się znikąd. Jej brat podskoczył nerwowo, a Zuza się wzdrygnęła. Przez te cholerne dywany nie słychać, jak ktoś idzie, pomyślała

zbulwersowana.

– Nic – zapewniła nową przyjaciółkę.

– Był... taki jak zawsze – poinformował ją brat.

– Czyli nic się nie stało. – Anna zbagatelizowała sprawę. – Kazałaś mu spadać?

– Poniekąd.

– Czyli się nie dajesz. Super. Będzie nam się dobrze pracowało. – Tamta wyraźnie się ucieszyła.

– Witam, pani Zuzanno. Jak się pani u nas pracuje? – Przy biurku stanęła pani prezes.

– Dziękuję, doskonale – odparła automatycznie Zuza. Dlaczego oni wszyscy poruszają się jak koty? Skradają się czy co? Dorobię się przez nich nerwicy albo jakiejś paranoi.

– Widziałam raport, który przesłała pani mężowi. Widzę, że się pani przyłożyła – powiedziała Antonina Maczek.

– Pan dyrektor prosił o sporządzenie go w formie opisowej. – Zuza nie była pewna, czy ton szefowej oznacza pochwałę czy kpinę. – Twierdzi, że te rzędy cyferek mnożą mu się przed oczami.

– Mówiłam pani, że mój mąż to idiota – westchnęła pani prezes. – Zamawiał dziś coś do jedzenia?

– Nic mi o tym nie wiadomo, pani prezes – odparła zgodnie z prawdą.

– Cwaniak. Czyli już coś zamówił. Pewnie jakąś pizzę. Już ja mu dam! – Z groźną miną, bez pukania – w końcu była u siebie – z rozmachem otworzyła drzwi do gabinetu męża. – Jachi! – wrzasnęła. – Co kardiolog mówił na temat diety?!

– O istoto najwyższa! – jęknęła głośno Zuza, patrząc szeroko otwartymi oczami na zatrzaśnięte już drzwi. – Skąd ona wszystko wie?

– Ma dostęp do wszystkich e-maili firmowych. Mama jest maniaczką kontroli – poinformowała ją Anna.

– Nie chodzi mi o raport, tylko o pizzę – wyjaśniła Zuzanna.

– To proste. Ojciec nie zaprzęta sobie głowy tak prozaicznymi czynnościami, jak zamawianie jedzenia. Każe to zrobić stażysty, a wcześniej zlecał sekretarce. Skoro sam się tym zajął, kombinuje – wyjaśniała dalej Anna.

– Skąd wiesz? Jeszcze nie ma południa. Może nic nie zdążył... – zaczął bronić ojca Antoni.

– I właśnie dlatego to ja kiedyś przejmę zarządzanie firmą – przerwała mu. – Widzimy się o dziewiętnastej. – Zignorowała brata i zwróciła się do Zuzy. – Przygotuj jakiś izotonik. Domowe są najlepsze.

– Co takiego?

– Zrobię dla nas obu, a potem dam ci przepis – zdecydowała tamta i odeszła równie cicho, jak przysłała.

– Ja też już pójdę. Miłego dnia – powiedział niepewnie Antoni Maczek.

Zuza odprowadzała go wzrokiem. Gdyby nie miała wymyślonego narzeczonego, gdyby nie był jej szefem i gdyby nie miał włosów łonowych na twarzy, chybaby się z nim umówiła. Wydawał się całkiem miły, nieszkodliwy i bez wątpienia bardzo podatny na

ukształtowanie. Mogłaby go sobie wychować.

– E, nie – mruknęła do siebie. – Może lepiej zacznę od psa. Zobaczę, jak mi pójdzie.

Tymek postanowił nie czekać na Zużę. Weekend zbliżał się wolnymi krokami, a jemu brakowało cierpliwości. Na samą myśl, że Sroka właśnie wydaje jego kasę na wódę, panienki, prochy albo wakacje na białym piasku pod zielonymi palmami, a do snu kołysz go szum błękitnego oceanu, miał ochotę go zabić.

Kilkakrotnie.

Na różne sposoby.

Tego dnia zakończył pracę u Anny. Ta kobieta to siłaczka. Zarówno w sensie dosłownym, jak i metaforycznym. Pomogła mu przenieść zakupione panele i tapety. Chciała też dźwigać kartony z płytkami, ale babcia za długo go uczyła dobrych manier, by teraz tak po prostu miał się przyglądać, jak kobieta dźwiga ciężary.

– Kobieta jest jak kwiatek – mawiała. – Od ciebie zależy, czy to będzie delikatna róża czy rosiczka.

Pojęcia nie miał, czy rosiczka jest kwiatem, ale na pewno była mięsożerną rośliną, zatem Tymoteusz doskonale rozumiał, co babcia miała na myśli.

– Pani Anno, płytki sam zaniósę – powiedział stanowczo, zastawiając jej drogę do samochodu, który przywiózł wszystko, co zamówili poprzedniego dnia. Sklep miał w ofercie transport, ale bez wnoszenia zakupów. Jaki w tym sens? Tymoteusz nie wiedział.

– Dam radę! We dwoje będzie szybciej.

– Będzie szybciej, ale nie płacimy za transport od godziny, bo ma go pani za darmo. Kierowca będzie tu tkwił tak długo, aż rozładuję samochód, choćbym miał te płytki nosić po jednej sztuce. To problem sklepu, skoro nie biorą pod uwagę wszystkich potrzeb klienta.

– Hm... Z tego punktu widzenia niby racja, ale wie pan, ja tam nie lubię przyglądać się, jak ktoś pracuje. Lubię sama coś robić.

– Nie powinna pani zatem być już w swojej pracy? I pozwolić mi wykonywać moją? – zapytał, łagodząc odpowiedź uśmiechem.

– Ależ wy się dobraliście! – zawołała. – Zuza jest dokładnie taka jak pan, Zosia Samosia. Seks też uprawiacie osobno?

Już miał na końcu języka, że wcale nie uprawiają seksu, bo nie są parą, ale wtedy zapaliło się światelko, że Zuza go zamorduje i kto wtedy znajdzie Srokę i odzyska pieniądze?

– Przepraszam – zreflektowała się Anna. – Czasami plotę trzy po trzy. Momentami za bardzo przypominam ojca. Ale Zuzka pewnie panu opowiadała?

– O czym?

– O moim ojcu.

– Nie rozmawiamy w domu o jej szefach.

– Aha... – Z nieznanego mu powodu kobieta wyglądała na zadowoloną. – Skoro tak, to ja lecę do pracy, a pan wraca do swojej, zanim kierowca się znecierpliwi i nam ucieknie.

Uśmiechnął się lekko na wspomnienie Zuzanny. Sądząc po stanie, w jakim

wczorajszego wieczoru wróciła po ćwiczeniach, bardziej dała jej się w kość Anna niż jej ojciec. To właśnie była przyczyna, dla której postanowił sam zacząć poszukiwania Sroki. Obawiał się, że nim minie tydzień pracy, a mieli dopiero środę, Zuza może potrzebować rehabilitacji.

Zaparkował samochód przed posesją należącą do Dagmary Adamczyk, a nie do niego – Tymoteusza Magnusa. Wysiadł i rozejrzał się po okolicznych domach. Nie miał pojęcia, od kogo zacząć. W końcu wybrał dom położony naprzeciw numeru piętnastego, którego miał być właścicielem. Nacisnął dzwonek przy furtce i czekał, układając w głowie scenariusz rozmowy.

Zuza w wolnej chwili sprawdzała najbliższe terminy kursów na prawo jazdy. Owszem, umiejętność prowadzenia samochodu mogła się przydać, a sfinansowanie nauki przez firmę było kuszącą ofertą, ale prawdziwa przyczyna jej gorliwości była inna. Gdy tylko rozpocznie kurs, będzie miała doskonałą wymówkę, by nie musieć chodzić z Anną do siłowni. Po wczorajszym wieczorze potrzebowała urlopu, masażysty i namiotu tlenowego. Nigdy nie ćwiczyła dobrowolnie. W czasach szkolnych stała się specjalistką od podrabiania podpisu matki, aż ta w końcu załatwiła jej u znajomego lekarza zwolnienie z wufu na cały rok. Nie chodziło o to, że wymagano od niej biegania, machania rękami, podskoków i innych ćwiczeń ruchowych. Zuza po prostu miała awersję do własnego potu. Pocić się mogła najwyżej nago w saunie. To jej absolutnie nie przeszkadzało. Ale wyciskanie z siebie siódmych potów w koszulce, a potem ubieranie się i powrót na lekcje – bo zajęcia zazwyczaj były w środku dnia – siedzenie w przepoconej bieliznie albo wkładanie czystych rzeczy na spocone ciało było absolutnie nie do przyjęcia.

A może powie Annie prawdę? Że po pracy zamierzają wraz z Tymkiem bawić się w prywatnych detektywów i namierzyć oszusta? Nie może poświęcić się ćwiczeniom w siłowni, bo musi się zmierzyć z dramatem życiowym. Na szczęście tego dnia Anna Maczek miała spotkanie z klientem u niego w firmie i nie wróciła do szesnastej, a Zuza postanowiła wyjść z pracy dokładnie o tej godzinie, o której powinna.

Koniec z przesiadywaniem po godzinach. Miała już Maczków powyżej uszu. W końcu do nich przywyknie, na razie jednak czuła zdecydowany przesyt. Jachi, czyli dyrektor Joachim Maczek, tego dnia zachowywał się przyzwoicie, miał kilku klientów i po raz pierwszy mogła go zobaczyć w nowej odsłonie – szarmancki, oficjalny, profesjonalny.

Antonina Maczek wpadła tylko raz na kontrolę i spojrzała pytająco, Zuza uśmiechnęła się lekko, bo nie wiedziała, jak się zachować. Szefowa zinterpretowała jej uśmiech w sobie tylko znany sposób, skinęła głową i poszła. Antoni Maczek tego dnia przedfilował przed biurkiem Zuzanny osiem razy, za każdym rzucając jej spojrzenie zbitego psa, a Anna... Anna pewnego dnia zostanie szefem firmy. Chyba że Maczkowie mają jeszcze jedno dziecko, które kiedyś stanie do rywalizacji z siostrą o prezesowski stołek.

Z ulgą weszła do mieszkania. Waldi wyjechał we wtorek z samego rana, co było sporą ulgą, bo jego próby schodzenia jej z drogi bardziej ją irytowały niż jego obecność. Robił spłoszone miny, usiłując wkomponować się w ścianę, albo zatrząskiwał z hukiem drzwi, czekając, aż Zuza minie pomieszczenie, w którym aktualnie przebywał, i dopiero

wówczas przemykał chyłkiem do innego pokoju, oglądając się przez ramię. Nadal nie mogła pojąć, jak on i Tymek mogą być braćmi, ale skłaniała się ku teorii, że Waldi, jako pierwsze dziecko, okazał się nieudanym eksperymentem, potem rodzice się poprawili.

Tymka nie było. Obiadu także. Nowy tapczanik stał w pokoju. Waldiego nadal nie było! Ostatnia myśl wydała się najprzyjemniejsza. Zaraz po tapczaniku. Zuza obawiała się, że Waldi może być jak bumerang. Nieważne, gdzie rzucisz, i tak zaraz wróci.

Zajrzała do lodówki. Tu też nie było obiadu. Tymek oczywiście jest w pracy. Zuza westchnęła. Właściwie to nie czuła się głodna. Zjadła coś koło piętnastej. Jakąś sałatkę, którą przyniósł jej stażysta. Znów zapomniała, jak mu na imię. Na swoje usprawiedliwienie miała to, że stażystów było trzech i ustawicznie przemieszczali się po działach. Moda à la mudzahedin również nie pomagała w rozpoznawaniu rysów ich twarzy.

Może Tymek miał rację? – zastanawiała się, wyglądając przez kuchenne okno, by zlokalizować miejsce, gdzie znajduje się należący do pokemona lombard. Może lepiej samemu spróbować zdobyć informacje? Zawsze mogą je przekazać Rurzyckiemu, żeby się nie narażać.

Wyjęła telefon i zadzwoniła do Tymka. Oczywiście poczta głosowa.

– O istoto najwyższa, cały wszechświat przeciwko mnie – jęknęła.

Tylko czy Tymek jest jej potrzebny, by odwiedzić kilka domów? Jakie są szanse, że trafi na seryjnego mordercę, trzymającego swoje ofiary w piwnicach? Jeden przestępca w dzielnicy wystarczy. Mniejszego kalibru, ale był. Liczyła się sztuka.

– Dziękuję za pomoc. Jest pani bardzo uprzejma. – Tymek podziękował kolejnej mieszkance domu przy ulicy Spokojnej. Oczywiście kobieta nic nie widziała, nic nie słyszała, o niczym nie wiedziała, a Sroki to w ogóle nie kojarzyła.

Starszą panią znali wszyscy. Zmarła kilka miesięcy temu, a spadkobierca sprzedał dom. Tego, że kilku osobom, dowiedzieli się dopiero od Tymka. Za to on sam dowiedział się tyle, że Rurzycki nie zasypiał gruszek w popiele. Wszyscy rozmówcy doskonale pamiętali wysokiego, barczystego policjanta, który odwiedził ich w ubiegłym tygodniu. A dokładnie w sobotę.

Tymoteusz nie miał pojęcia, czy dla dochodzeniówki to dzień pracy, czy też komisarz poświęcił swój prywatny czas na poszukiwania Sroki, ale tamten zdecydowanie go ubiegł.

W jednym tylko domu wyniknął problem, gdyż gospodarz widział go wcześniej zatrzymanego przez policję i wyprowadzonego w kajdankach. Na szczęście żona tego faceta była tak ciekawska, że dzięki niej Tymoteuszowi udało się wyjaśnić, iż nastąpiło włamanie, a policja zamiast sprawców zatrzymała jego i jego narzeczoną. Wówczas gospodarz się rozgadał, niestety, nie na temat.

– Zuza? – zawołał zaskoczony Tymek, gdy ujrzał ją kręcącą się przy samochodzie.

– Co tu robisz?

– Pomagam. Przynajmniej taki był plan – odrzekła.

– Jest siedemnasta – zauważył z lekkim zdziwieniem. – Co z planem bezpłatnych nadgodzin, by jak najszybciej wdroić się do pracy?

– Idzie mi nieźle, a Maczków mam powyżej uszu. Po namyśle postanowiłam

spędzić wolny czas na poszukiwaniach Sroki. Jeśli się czegoś dowiemy, wszystkim dzielimy się z komisarzem. Nie zostawiamy nic dla siebie, umowa stoi?

– Taki był plan – powiedział zdziwiony, ale uściśnił dłoń, podaną przez dziewczynę.

– Od kogo zaczniemy? – zapytała z werwą.

Tymek wyjął z kieszeni spodni notes, otwarty na pierwszej stronie, i podał go Zuzie.

– Tu nic nie ma – zauważyła zdziwiona.

– Bo niczego się nie dowiedziałem. Pracuję od siódmej rano do piętnastej. Jestem tu już prawie dwie godziny. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Nikt nie zna Sroki. Wiedzą tylko tyle, że ktoś z rodziny odziedziczył dom i zaraz potem wystawił go na sprzedaż. Zapisałem tylko numery domów, które odwiedziłem.

– Jasna cholera! – zaklęła Zuza, nie bacząc na jego zdziwione spojrzenie. – Jak to możliwe?

– Bardzo możliwe. Szczerze mówiąc, ja też nie znam swoich sąsiadów. A ty swoich znałaś?

– Niespecjalnie – przyznała się speszona. – I co teraz zrobimy?

– Nie wiem. Z dobrych wiadomości mam tylko to, że Rurzycki pracuje nad naszą sprawą pełną parą.

– Dzwonił? – ożywiła się Zuza.

– Nie, ale odwiedził wszystkich naszych niedoszłych sąsiadów. Nic nie ustalił, lecz przynajmniej się stara.

– Brak efektów jakoś mnie nie pociesza – odparła z przekąsem. – Może zdjęcie Sroki by nam pomogło?

– Nie mamy zdjęcia.

– Możemy je zdobyć. Nikt go tu nie zna, ale może ktoś go widział.

– Nawet jeśli tak, jakie to ma znaczenie? Myślisz, że chwalił się przygodnym osobom, które go tylko widziały, a nie znały, że zamierza naciąć kilku naiwniaków i prysnąć?

– Zaraz, zaraz... – Zuza myślała intensywnie.

Coś jej tu nie pasowało. Ale co? Nikt nic nie wie. Nikt nic nie widział. Nikt nie zna Sroki. Sprzedał dom, gdy tylko go odziedziczył, zatem tu się nie wprowadził...

– Mam! – zawołała. – Sroka nigdy tu nie mieszkał. Zatem pytanie brzmi: gdzie mieszkał?!

Tymek osłupiał. Na poziomie podstawowym rozumiał, co mówi Zuza, i przyznawał jej rację. Na poziomie zaawansowanym nie pojmował, dlaczego sam na to nie wpadł. Oczywiście, że Sroka musiał gdzieś mieszkać. Pewnie na tyle długo, by sąsiedzi chociaż go kojarzyli. Może ktoś coś będzie wiedział.

– Do kogo dzwonisz? – Odzyskał głos, widząc, że Zuza wybija na telefonie numer z wizytówki. Jediną wizytówką, którą sobie przypominał, była ta od Lambertowicza.

– Do Rurzyckiego – odpowiedziała. – Na pewno zna jego adres.

– Dlaczego miałby go nam podać?

– A dlaczego nie? – zdziwiła się dziewczyna.

Tymek nie zdążył już nic dodać, gdyż w tym momencie uzyskała połączenie.

– Dzień dobry. Zuzanna Cieplik. Gdzie mieszkał Sroka, zanim zniknął?

– Słucham? – zdumiał się komisarz.

– Gdzie mieszkał Hieronim Sroka, zanim zniknął? – powtórzyła pytanie, tupiąc niecierpliwie nogą.

– Kto mówi? – zapytał podejrzliwie.

– Zuzanna Cieplik. Pokrzywdzona przez Hieronima Srokę. Dom przy ulicy Spokojnej. Kłopotów. Nie pamięta pan własnych spraw?!

– Doskonale pamiętam, ale nie wierzę własnym uszom. Nie mogę podać pani tych danych.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Śledztwo trwa!

– Ale jako pokrzywdzona mam prawo do wglądu do akt sprawy!

– Ale po jej zakończeniu!

– A w trakcie się nie da?

– Da, jeśli złoży pani wniosek o zapoznanie się z materiałami śledztwa przed jego zakończeniem.

– To ja go składam! – oświadczyła z zadowoleniem Zuzanna.

– Pisemnie! – zagrział Rurzycki.

Nic dziwnego, że lepiej się czuł w towarzystwie przestępców. Wtedy sytuacja była jasna i wiadomo było, jak z nimi postępować. Ze świadkami i pokrzywdzonymi trzeba było się obchodzić jak ze śmierdzącymi -jajkami. Uważać, żeby nie stłuc, bo smród ciągnie się za człowiekiem latami, zwłaszcza jak wpis trafi do akt.

– Utrudnia pan.

– Przestrzegam procedur.

– Przecież efekt będzie dokładnie ten sam, tylko później.

– Pani Zuzanno, po co pani adres podejrzanego? – Powinien był zadać to pytanie na samym początku.

– Po co mi adres podejrzanego? – powtórzyła Zuza, uzmysławiając sobie, że jeśli powie prawdę, może nic nie wskórać, nawet po pisemnie złożonym wniosku. Problem w tym, że skłamać się nie da, bo niby co powiedzieć? Że chce wysłać oszustowi kartkę z podziękowaniem?

– Tak, właśnie o to zapytałem. Po co pani adres podejrzanego? Sroka i tak tam nie przebywa, bo sprawdzałem. Osobiście.

– No tak... Skoro nie przebywa, to już po nic – odrzekła markotnie.

– Nie pomyślała pani, że to będzie pierwsze miejsce, które sprawdzimy? Sroka na to wpadł, bo się ulotnił – spytał z przekąsem Rurzycki.

– Tak jakby wzięłam to pod uwagę, ale czy rozmawiał pan z jego sąsiadami? Może ktoś coś widział, ktoś coś wie...

– I ktoś podzielił się z nami swoją wiedzą? Otóż nie. Nikt nic nie wie. Nikt nic nie widział. Sroka z nikim nie rozmawiał o swoich planach. A nawet gdyby, to taka osoba nie piśnie ani słowa na ten temat. Pani Zuzo, odpowie mi pani w końcu czy nie?

– A jak brzmiało pytanie?

– Co pani kombinuje?

– E nie, wtedy pytał pan, na co mi adres Sroki...

– A teraz chciałbym wiedzieć, co pani kombinuje?! – Starał się nie podnosić głosu, ale mu to nie wychodziło. Miał ciężki dzień. Cięższy niż zwykle, bo przecież musiał pracować za kolegę, i usiłował być w kilku miejscach jednocześnie.

– Pomyśleliśmy sobie... – Zuza zaczęła tracić pewność siebie. Kpiąca mina Tymka nie pomagała, a drwał na nią wrzeszczy. – Czy panu wolno na mnie krzyczeć? – zapytała podejrzliwie.

– Niech pani nie odwraca kota ogonem. Wcale na panią nie krzyczę, tylko delikatnie podnoszę głos, żeby mnie pani dobrze słyszała.

– Słyszę pana doskonale, a pan na mnie huczy!

– Nie odpowiadam za barwę mojego głosu. Zażalenie proszę zgłosić do moich przodków.

– A teraz pan ze mnie kpi!

– Pani Cieplicki, nie kpię z pani, ponieważ tego również mi nie wolno. Kpić to ja mogę z pani prywatnie, a nie służbowo. Teraz jestem na służbie, zatem pytam panią z całkowitą powagą. Co pani kombinuje?

– Nic – burknęła. – Tylko próbujemy sami zdobyć jakieś informacje, którymi moglibyśmy się z panem podzielić, bo nie chcemy, żeby pokemon pierwszy znalazł Srokę. Byłoby nam łatwiej, gdybyśmy mieli od czego zacząć. Sąsiedzi ze Spokojnej w ogóle nie widzieli Sroki.

– Wiem, że nie widzieli, bo sam osobiście wszystkich przepytalem... Zaraz, zaraz, jakie „my”? Niech tylko pani nie mówi, że pan Magnus też bierze w tym udział!

– Bierze? To jego pomysł!

– Jesteście razem?

– Oczywiście, że nie. Związki, których podstawą jest wspólne nieszczęście, nie mają racji bytu.

Rurzycki opuścił telefon i spojrzał na niego z niedowierzaniem. Nadal słychać było kobiecego głos na linii, ale nie rozróżniał poszczególnych słów.

– Pani Zuzanno! – chyba przerwał jej jakiś monolog, bo kiedy przyłożył telefon na powrót do ucha, kobieta nieprzerwanie trajkotała. – Nie interesuje mnie, czy państwo jesteście parą czy nie, tylko czy pan Magnus jest obok pani!

– A! O to chodzi! – zreflektowała się Zuza. – Powinien zadawać pan bardziej precyzyjne pytania!

– Precyzyjny to musi być chirurg. Ja jestem tylko gliną. Nie interesuje mnie, czy jesteście państwo razem w sensie razem, tylko czy pan Magnus znajduje się w pobliżu?

– Owszem – mruknęła z głęboką niechęcią. Nie lubiła go jeszcze bardziej niż przedtem, a już wtedy go nie lubiła, zatem teraz nie lubiła go podwójnie.

– To proszę włączyć głośnik w telefonie – polecił stanowczo.

– Już! – zawołała.

– Panie Magnus, słyszy mnie pan? – zapytał Rurzycki, starając się – jak określiła to Zuzanna Cieplicki – nie huczeć.

Tymek, który podczas rozmowy Zuzy z komisarzem stał z zamkniętymi oczami

i rękoma skrzyżowanymi na piersi, opierając się o samochód, i rozważał popełnienie samobójstwa, nie miał siły odpowiedzieć. Po prostu skinął głową.

– Kiwa głową, że jest – poinformowała Rurzyckiego Zuza.

– Panie Magnus, potrzebuję werbalnego potwierdzenia pańskiej obecności.

– Jestem, panie komisarzu, po prostu nie mam siły się odezwać. Ta kobieta doprowadza mnie do czarnej rozpacz – wyjęczał Tymoteusz.

– Nie tylko pana, panie Magnus, ale czy przypomina pan sobie moją prośbę, by trzymał się pan z dala od tej sprawy?

– Przypominam sobie rozmowę, w której ostrzegał mnie pan przed Lambertowiczem.

– To dokładnie ta sama rozmowa, panie Magnus. Nie możecie państwo prowadzić dochodzenia na własną rękę.

– Nie może nam pan zabronić rozmów z ludźmi, którzy chcą z nami rozmawiać. To nie jest wbrew prawu.

Zuza gorliwie pokiwała głową, czego Rurzycki nie mógł widzieć, ale nie o niego chodziło, lecz o Tymoteusza. Miał jej pełne wsparcie.

– Nie, nie jest. Jest głupie. Nielegalne będzie, jeśli wykażę, że utrudniacie państwo prowadzenie dochodzenia. Czy wyrażam się jasno?

– Owszem, ale w jaki to niby sposób utrudniamy pańskie dochodzenie? – Tymek nie zamierzał się tak łatwo poddać.

– Niech mnie pan nie zmusza, żebym zaczął się nad tym intensywnie zastanawiać.

– Rurzycki nie podniósł głosu. Nie musiał. Zawarł w nim tyle stanowczości, ile zdołał, w nadziei, że tamci sobie odpuszczą i pozwolą mu w spokoju wykonywać jego robotę.

– Rozumiem.

– Cieszę się. Czy pani Cieplik wykazuje się podobnym zrozumieniem?

– Owszem – potwierdził, mimo że Zuza kręciła głową przecząco, a nawet otworzyła usta, by oznajmić policjantowi, co myśli o jego pogroźkach. W tym momencie jednak Tymek przyłożył palec do ust i do niej mrugnął, zatem umilkła.

– Obyśmy nie musieli powtarzać tej rozmowy.

– Nie będziemy. Do widzenia, panie komisarzu. – Dał znak Zuzie, by zakończyła połączenie. – Zadowolona? – spytał z sarkazmem, gdy go posłuchała.

– Niby z czego?

– Mówiłem, żebyś nie dzwoniła.

– Nie mówiłeś.

– Sugerowałem.

– Być może, ale... Zaraz, zaraz – zaperzyła się – że niby te groźby to moja wina?!

– A czyja?

– O istoto najwyższa! – zdenerwowała się na całego. – Że też musiałaś mnie pokarać takim... takim...

– Musimy pogadać z Lambertowiczem – przerwał jej bezceremonialnie Tymek.

– Oszalałeś? Mieliszmy trzymać się od niego z daleka!

– Sytuacja się zmieniła. Musimy z nim zagadać.

– Niby dlaczego? – zdumiała się.

– Bo on na pewno wie, gdzie wcześniej mieszkał Sroka. I może ma inne informacje na jego temat, które moglibyśmy wykorzystać.

– Sam mówiłeś, że Rurzycki ostrzegał nas przed pokemonem. A teraz sam nam groził. I ty chcesz iść w paszczę lwa? – protestowała Zuza. – Nie dość, że zadrzemy z bandziorem, to jeszcze z policją? Albo nas zamkną, albo zaciukają!

– Nie nas, tylko Srokę. W najgorszym wypadku. Poza tym... poza tym...

– Poza tym co?! Nie osiągniemy nic więcej poza tym, co osiągnęła policja! Dostaniemy adres, który komisarz już zna. Pogadamy z ludźmi, z którymi już rozmawiał. Będziemy wiedzieli dokładnie tyle co i on. Wielkie G!!! – krzyknęła piskliwym głosem, po czym nieoczekiwanie, ku zdumieniu Tymka, oświadczyła: – Dobra, idziemy do Lambertowicza. Musimy tylko przemyśleć naszą umowę z pokemonem. On nikogo nie zaciuka, a my anonimowo damy znać Rurzyckiemu, jak się czegoś dowiemy.

Zmiana postawy, intonacji głosu, mimiki, a przede wszystkim zmiana decyzji Zuzy była tak nagła, że Tymek zastygł z otwartymi ustami, łapiąc powietrze jak zdychająca ryba. Usiłował coś powiedzieć. Wiedział, że chce coś powiedzieć, żeby przekonać dziewczynę, ewentualnie oznajmić jej, że zajmie się tym sam, i podać jakiś argument, który zwaliłby ją z nóg.

Tyle tylko, że teraz w głowie miał próżnię, a wiatr hulał w pustej przestrzeni w miejscu, gdzie znajdowały się szare komórki. Ów zamierzchły czas nie był aż tak odległy, jak by się mogło zdawać. Przed poznaniem Zuzanny Cieplik Tymoteusz był rozsądnym, twardo stąpającym po ziemi facetem. Tak rozsądnym, że Ewelina uważała go za nudziarza. Zanim spotkał Srokę, nie miał ciągot do zadawania się z bandziorami i zadzierania z policją.

I nie musiał wymyślać żadnego argumentu, bo Zuza sama już go sobie wymyśliła i zaaprobowała jego decyzję, nim zdołał pozbierać myśli.

– Jedziemy? – zapytała.

– Dokąd? – Wreszcie odzyskał głos. Ale nie zdolność myślenia.

– Do lombardu pokemona.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? To był twój pomysł. Ja tylko się zgodziłam!

Mężczyźni są nie tylko gruboskórni, ale i ciężko myślący, stwierdziła z irytacją.

– Ale byłeś przeciw!

– A teraz jestem za!

– Zmieniłaś zdanie w trzy sekundy?!

– Szybko myślę – poinformowała go oschle.

– Nikt tak szybko nie myśli.

– Ja tak.

– I cóż takiego wymyśliłaś przez te trzy sekundy, co zmieniło twoje nastawienie?!

– Nastawienie się nie zmieniło. Nadal uważam, że to ryzykowne, ale dotarło do mnie, że konieczne. Wyobraź sobie sytuację – nie dopuściła go do głosu, a kobieca intuicja podpowiadała jej, że Tymek nie daruje, dopóki ona mu tego nie wyjaśni – że jesteś świadkiem jakiegoś zdarzenia. Będziesz musiał zeznawać na komisariacie, w prokuraturze, a potem w sądzie. Mając taką świadomość, raczej wolałbyś się nie

wychylać, tylko siedzieć cicho. Oślepniesz, oniemiejesz, zgłupiejesz.

– Gdybym stał się świadkiem tragedii, oczywiście, że bym zeznawał! – oburzył się.

– Nie można dopuścić, żeby bandziory chodziły po ulicach i bezkarnie mordowały ludzi!

– Nikt nikogo nie zamordował. Po prostu ktoś pyta o twojego sąsiada, nie wiesz, o co chodzi, bo przecież ci nie powiedzą, ale wiesz, że będą cię ciągać, szarpać i wzywać, gdzie tylko się da. Wydepczesz kilometry na korytarzach sądowych. Przesiedzisz wiele godzin na twardym krześle w komisariacie. Tak, wiem, zrobisz to z poczucia obywatelskiego obowiązku, ale ja bym się za bardzo nie wychylała. Sporo ludzi woli mieć święty spokój. Doszłam do wniosku, że może niektórzy nie byli tak otwarci wobec policji, jak by mogli, gdyby wiedzieli, że nikt nigdzie ich nie będzie ciągał. Rozumiesz?

– I doszłaś do tego wszystkiego w trzy sekundy?

– W jedną. Pozostałe dwie poświęciłam na wyobrażanie sobie życia bez Sroki. A raczej bez tych moich utraconych pieniędzy. To byłoby bardzo ciężkie życie. Dlatego jestem gotowa podjąć ryzyko.

– Zmieniasz zdanie częściej niż...

– Waldi gacie? – dopowiedziała uprzejmie, wykrzywiając się złośliwie.

– Że co?!

– Był u nas trzy dni. Ani razu nie widziałam przepranych gaci, wiszących w łazience.

– Miał ze sobą zmianę bielizny, więc nie musiał robić przepierki.

– Aha. Tak sobie to tłumaczysz.

– Jakim cudem doszliśmy do higieny osobistej mojego brata?! – Tymek czuł, że za chwilę dostanie pomieszania zmysłów.

Zresztą przyczyna nieistotna, ważne, że jest zgoda, więc trzeba działać, nim Zuzie znów się coś odwidzi.

– Zresztą mniejsza o to. Nie odpowiadaj. Jedziemy do Lambertowicza, zanim jedno z nas jeszcze raz się rozmyśli.

– Z mężczyznami tak jest. Jak chorągiewki na wietrze – skomentowała, wsiadając do auta.

Tymek znów chciał coś powiedzieć, ale postanowił milczeć. Obawiał się kolejnej bezsensownej dyskusji, która nie będzie miała końca. Bez słowa zajął miejsce za kierownicą i uruchomił silnik.

Rurzycki z namysłem spoglądał na telefon. Coś za łatwo poszło. Miał złe przeczucia co do tych dwojga. Jako człowiek potrafił ich zrozumieć, jako policjant – chyba powinien do nich zajrzeć i upewnić się, że nic nie kombinują. I co, u licha, ma wspólnego jakiś pokemon z dochodzeniem? O czym ta kobieta mówiła? Może powinien im wspomnieć, że jego wydział tropi też pieniądze, które przelali na konto Sroki. Nie! Nie wolno mu tego robić. Nigdy nie dzielił się wiedzą operacyjną ze świadkami, pokrzywdzonymi ani innymi osobami, które nie były zaangażowane w prowadzenie dochodzenia, i nie zamierzał tego zmieniać.

Zuza nie była pewna, czego oczekiwała, ale lombard nie spełniał jej oczekiwań. Wyglądał wręcz pospolicie. Regały sklepowe pełne różnorodnego towaru rodem z pchlego targu, tyle tylko, że były to przede wszystkim telefony komórkowe i sprzęt elektroniczny.

Za ladą, na której znajdowała się kasa fiskalna, stał przeciętnie wyglądający mężczyzna.

– Słucham państwa, w czym mogę pomóc? – zapytał uprzejmie.

– Dzień dobry. Chcieliśmy się rozejrzeć – odpowiedziała rozczerowana dziewczyna.

Nie tak to sobie wyobrażała. Sądziła, że wejdzie do zadymionej meliny z bandą rzezimieszków na zapleczu, tymczasem rzeczywistość okazała się taka zwyczajna.

– Dziękuję, nie chcemy się rozejrzeć. Chcemy porozmawiać z panem Adamem Lambertowiczem. – Tymek nie zamierzał tracić czasu na kolejne pomysły swojej towarzyszki.

Gotowa zaraz zmienić zdanie, co najmniej trzykrotnie, i znów nie będzie wiadomo, o co jej chodzi. Sam też by sobie poradził, ale od początku afery tkwili w tym razem i mimo że od dnia, gdy się poznali, minął zaledwie tydzień, zaczął traktować Zuzannę Cieplik jak współpracowniczkę w interesach, a interes mieli wspólny.

– Co ty tak prosto z mostu? – zaprotestowała dziewczyna.

– A na co chcesz czekać?

– Nie wiem na co – przyznała. – Musiałam chwilę ogarnąć się emocjonalnie, a ty mi nie pozwalasz.

– Ogarniesz się w domu. Teraz załatwmy to, po co przyszliśmy – zdecydował Tymek i zwrócił się stanowczo do słuchającego ich rozmowy mężczyzny: – Pan Lambertowicz miał do nas sprawę, jesteśmy gotowi pomóc.

– Proszę zaczekać – polecił im, ku ich zaskoczeniu znikając na zapleczu.

– Czy on zostawił to wszystko bez opieki? – zdziwiła się Zuza. – Nie boi się kradzieży?

– Odnoszę wrażenie, że potencjalny złodziej obawiałby się nawet przejść koło tego lombardu – mruknął Tymek, tracąc pewność siebie.

Ostrzeżenia Rurzyckiego zaczęły nabierać nowego wymiaru, bardziej realnego.

– Hm... – Czoło Zuzy przecięła zmarszczka.

Nie podobało jej się tutaj. Drwał mógł mieć rację, nie powinni się do tego mieszać, ale łatwo mu mówić. Nie jego kasa.

– Raz kozie śmierć – szepnęła do Tymka. – Musimy tylko poczynić jakieś ustalenia, żeby potem nikt nic od nas nie chciał.

– Zajmę się tym – powiedział z odwagą, której nie czuł.

Zuza chyba to dostrzegła, bo przyjrzała mu się uważnie. Miał nadzieję, że nie widziała kropli potu na jego czole. Nie było tu aż tak gorąco, by mógł się tłumaczyć przegrzaniem. Mina dziewczyny też nie wyrażała pewności siebie, ale Zuzanna miała w sobie tę samą zaciętość co wtedy, gdy chowając się za stołem, groziła jemu, Tymkowi, jego własną butelką piwa.

– Zapraszam na zaplecze – powiedział mężczyzna zza lady, wchodząc do sklepu.

Zdaniem Zuzy, od jego wyjścia upłynęły nie więcej niż dwie minuty, zatem pokemon z siłowni był zainteresowany rozmową. I to bardzo. W przeciwnym razie przytrzymałby ich tu dłużej, by się zdenerwowali.

A może po prostu na to nie wpadł, pomyślała, wchodząc do ładnie urządzonego biura, w pastelowych odcieniach, zupełnie niepasujących do łysogo, wytatuowanego

osiłka w za ciasnej koszulce z krótkim rękawem, spod której wystawały ogromne mięśnie i nabrziałe żyły.

Nie wpadł, bo nie musiał, dodała w myślach, gdy usiedli na obitych skórą fotelach naprzeciwko jego biurka. Pokemon z zadziwiającą zręcznością obsługiwał komputer. Grube paluchy szybko i delikatnie uderzały w klawiaturę. Po chwili rozległ się cichy szum drukarki, gdy wypluwała z siebie kolejne strony.

– Witam ponownie. – Uśmiechnął się krzywo do Zuzy. – Raczej nie chcecie nic zastawić?

– Nie, chcemy pogadać o Sroce – poinformował go krótko Tymoteusz.

– Właśnie – przytaknęła Zuza.

– Więc słucham. – Lambertowicz oparł się wygodnie o oparcie doskonale wyprofilowanego fotela, którego zazdrościła mu już w chwili, gdy go zobaczyła.

Na takim fotelu człowiek nie wykrzywi sobie kręgosłupa, pomyślała z zawiścią. Ale na taki do domu jej nie stać, bo Sroka ją okradł, a w pracy jej nie kupią. A może...? Zuza, skup się!

– Rozważaliśmy z Zuzką pańską propozycję... – zaczął Tymek i umilkł, nie wiedząc, jak ubrać w słowa to, czego chcieli, i wyjść stąd cało.

– Rozumiem, że psy nic nie znalazły i chcecie, żebym ja go znalazł. – Lambertowicz wspomógł jego tok myślowy.

– To nie jest właściwe podejście do problemu. Nie zamierzamy zawierać z panem umowy, którą nam pan proponował – ostro oświadczył Tymek, zaskoczony własnym tonem. Pełna pychy mina pokemona wyprowadziła go z równowagi. – Ma pan rację co do policji, ale omówiliśmy wszystko z Zuzą i uważamy, że może uda nam się dowiedzieć tego, czego nie dowiedziała się policja.

– Ludzie chętniej rozmawiają, jak nie grozi im ciągnięcie po sądach – wtrąciła swoje trzy grosze Zuza.

W końcu to ona na to wpadła, a nie Tymek.

– To akurat racja – przyznał Lambertowicz. – Ale ze mną też nie bardzo chcieli gadać.

– To całkiem zrozumiałe – uznała, spoglądając na niego znacząco.

– Dlaczego? – zdziwił się osiłek.

– Dlaczego? Patrzy pan czasem w lustro czy goli się na pamięć?

Lambertowicz łypnął na nią groźnie. Tymek z westchnieniem pokręcił głową. I tyle by było na temat spokojnego, pozytywnego załatwiania sprawy.

– Jest pan ogromny, napakowany i budzi strach samą swoją posturą – ciągnęła Zuza. – Nie ma co się dziwić, że ludzie się pana obawiają. Większość z nich ćwiczy brzuchy przed telewizorem, a nie na siłowni.

Tymek zamknął oczy. Zuzy nie uciszy i za chwilę zostanie ofiarą zabójstwa, bo gdy pokemon zacznie dusić Zużę, on będzie musiał stanąć w jej obronie. To się źle skończy. Dla niego rzecz jasna.

– Lalka, masz rację – oświadczył z zadowoleniem właściciel lombardu, poklepując się po twardym jak stal brzuchu. Potraktował słowa dziewczyny jak komplement. – Nawet alarmu nie potrzebuję w sklepie. Wystarczy, że moje nazwisko jest na szyldzie.

– Właśnie w tym rzecz – wtrącił się Tymek, nim Zuza zdąży powiedzieć coś, czego nie można byłoby uznać za komplement, choćby nie wiem jak się chciało. – Chętniej mogą rozmawiać z nami. Obszedłem najbliższe sąsiedztwo domu na Spokojnej. Nie było nikogo, kto by mnie nie wpuścił do domu i nie porozmawiał.

– Ktoś coś wiedział? – zainteresował się Lambertowicz.

– Nie, nawet nie kojarzyli Sroki. Za to doskonale kojarzyli nas jako tych wyprowadzanych w kajdankach z własnego domu.

– Trochę głupio wyszło, nie?

Zuza spojrzała na niego krzywo, ale się nie odezwała. Tymkowi jakoś lepiej szło wyjaśnianie sytuacji. Miała wrażenie, że przez moment pokemon rozważał powieszenie jej głowy jako ozdoby na ścianie. Nie przypominała sobie, by powiedziała coś, co mogłoby mu nasunąć taki pomysł. Może po prostu facet nie lubi inteligentnych kobiet, uznała.

– Owszem. – Tymek postanowił nie zagłębiać się w temat włamania. – Jak wyjaśniłem, co i jak, chętnie ze mną rozmawiali, niestety, nikt nic nie widział, bo Sroka nigdy tam nie mieszkał. Kojarzyli tylko starszą właścicielkę i wiedzieli, że umarła, a dom odziedziczył jakiś krewny i sprzedał.

– Czyli nic nie macie i przychodzicie z niczym. Ale nie chcecie, żebym ja go znalazł. To czego chcecie?

– Informacji. Proponujemy wymianę informacji.

– Przecież wy żadnych nie macie.

– Pan też nie, bo inaczej już by pan znalazł Srokę. – Zuzannie nie udało się długo utrzymać języka za zębami.

Postanowienia poprawy zawsze sprawiały jej problem, bo na ogół brakowało jej właściwej motywacji i skruchy. Dlatego też przestała chodzić do spowiedzi.

– Zmierzamy do tego – Tymek złapał ją za rękę i mocno ścisnął palce, by wreszcie zamilkła – że mamy szansę zdobyć informacje, którymi jesteśmy gotowi podzielić się z panem, ale nie możemy ruszyć z miejsca. Nie znamy miejsca zamieszkania Sroki. Prawdziwego miejsca zamieszkania – uściślił. – Gdzieś musiał mieszkać, zanim odziedziczył i sprzedał dom na Spokojnej.

– Czyli ja wam powiem, co wiem, a wy mi to, czego się dowiecie.

– Właśnie. – Zuza wyrwała rękę Tymkowi, nim połamał jej palce. Wprawdzie wygłosiła oświadczenie, że zarabia na życie głową, a nie dupą, ale palce też były jej potrzebne. – Nikt nikomu nie będzie nic winien i nikt nic od nikogo nie będzie chciał.

– A wy co z tego będziecie mieli?

– Zamierzamy legalnie odzyskać pieniądze i z policją również podzielimy się informacjami. Anonimowo. Komisarz Rurzycki ma z nami jakiś problem, więc lepiej, żeby nie wiedział, że działamy na własną rękę, a zwłaszcza, że rozmawialiśmy z panem. Obawia się, że pan stuknie Srokę i nas przy okazji – wyjaśniała zasady umowy Zuza. – Groził nam jakąś sprawą karną za utrudnianie czy coś w tym stylu. Dlatego stawiamy sprawę jasno. Powiadomimy równolegle i pana, i Rurzyckiego. Kto pierwszy, ten lepszy. Pasuje?

– Ona tak poważnie? – zwrócił się Lambertowicz do Magnusa.

– Tak – przyznał ten z westchnieniem. – Ale sam lepiej bym tego nie ujął. Nie chcemy, żeby coś się stało Sroce. Od trupa nie wyciągniemy kasy.

– Ja też potrzebuję go żywego – wyjaśnił pokemon. – I tak dla jasności, może i obiliśmy kilka razy buźkę, ale nigdy nikogo nie stuknąłem, jasne?

– Skoro pan tak mówi. – Zuza obojętnie wzruszyła ramionami.

Ta deklaracja prawości i uczciwości brzmiała całkiem przekonująco, ale było jej to doskonale obojętne.

– Ona tak poważnie? – Pokemon znów zwrócił się do Tymka.

– Tak – potwierdził sucho Magnus. – To jak? Dogadamy się?

Tamten milczał, przyglądając im się uważnie. Z rosnącym niedowierzaniem spoglądał na to chuchro w garsonce, które niecierpliwie wystukiwało paznokciami jakiś rytm na oparciu fotela. Mógłby ją rozgnieść jednym uderzeniem – gdyby była mężczyzną. Kobiet nie ruszał. Mógł zagrozić obiciem buźki, ale tylko tyle. Swój honor miał. A to chuchro o tym nie wiedziało i wyraźnie mu się stawiało. Ta mała kobitka zaczynała mu imponować.

– Myślę... – odparł z wolna, nie wiedząc, na ile ten układ mu się opłaci. Mogą nic nie powiedzieć, a on nawet nie będzie wiedział, że coś wiedzieli, a nie powiedzieli. Może kogoś za nimi posłać? Tak, to dobra opcja.

Zuza już chciała zaproponować, by myślał szybciej, bo ich czas jest cenny, ale ostrzegawcze spojrzenie Tymka zamknęło jej usta. W duchu przyznała rację swojemu towarzyszowi. Nie ma co wybijać pokemona z toku myślowego, bo będzie musiał zaczynać od nowa i zapuszczą tu korzenie.

– OK, niech wam będzie. Dam wam telefon na kartę i od chwili, kiedy stąd wyjdziecie, nie znamy się – powiedział Lambertowicz. – Jak czegoś się dowiecie, nieważne czego, wysyłacie esemesa, żadnych rozmów.

– Karty muszą być zarejestrowane – wtrąciła się Zuza.

– Ta jest zarejestrowana. Na mnie. Mogę dzwonić sam do siebie tyle razy, ile mi się będzie żywnie podobało i nikomu nic do tego. – Otworzył szufladę biurka i wyjął aparat komórkowy. Położył go na blacie i przesunął w stronę Tymka. – Co chcecie wiedzieć?

– Gdzie mieszkał Sroka, zanim zniknął. Jakies zamiary na rodzinę, przyjaciół... – zaczął wyliczać Tymek.

– I dziewczynę. Nie wiem, jakim cudem ten wypierdek siedział za oszustwa matrymonialne, ale jestem pewna, że znalazł jakiegoś garkotłuka z kołtunami, bo jaka normalna kobieta by go chciała... – powiedziała jednym tchem Zuza.

– Moja matka – przerwał jej Lambertowicz.

Aż się zachłysnęła śliną.

– Naciągnął moją matkę, żeby zastawiła dom i wzięła kredyt w wysokości pół miliona złotych na jakiś złoty interes, który mieli razem rozkręcić. Teraz ja to spłacam, żeby matka nie straciła chałupy. Ten wypierdek mamuta ma gadane i żeruje na samotnych starszych kobietach.

– Przykro mi – bąknęła niepewnie Zuza.

No tak, przecież pokemon nie wypełził spod kamienia. Ktoś musiał go urodzić

i wychować. Oczywiście, że ma matkę. Teraz pewnie sięgnie po sploty i ją zastrzeli. Albo przynajmniej postrzeli. W stopę. Albo inną część ciała. Najlepiej jakąś zbędną. O istota najwyższa! Dlaczego pozwalasz mi na takie rzeczy?! Czemu nie uderzysz piorunem za każdym razem, kiedy niepotrzebnie otwieram usta?!

– Powinna się zgłosić na policję. Została oszukana – poradził Tymek, nie wiedząc, o co chodzi. O wstyd matki pokemona czy bandycki honor?

– Ona go kocha. – Lambertowicz skrzywił się pogardliwie. – Dlatego muszę znaleźć łobuza, a nie mogę go stuknąć, bo matce pęknie serce, jak mu coś zrobię. No i też nie stuknę go dlatego, że ja nie robię takich rzeczy – dodał szybko. – Nie stukam ludzi – zapewnił stanowczo.

Aha, pomyślała Zuza.

– Jasne – powiedział Tymek, starając się, żeby zabrzmiało to wiarygodnie.

Teraz wierzył w te zapewnienia jeszcze mniej niż przedtem.

– A jak pańska matka odzyska pieniądze, to się od-kocha? – zapytała Zuza, a istota najwyższa znów kompletnie nic nie zrobiła. Pewnie tarzała się ze śmiechu tam, skąd ją obserwowała.

– Ja chcę odzyskać pieniądze. Matka chce wyjść za mąż – wyjawiał z niechęcią ich rozmówca, wykrzywiając się jeszcze bardziej.

– Za Srokę?! – zawołali jednocześnie.

Zuza niemal zaczęła mu współczuć.

Niemal.

– No – przytaknął jakoś słabo. Wyglądał, jakby miał zemdleć.

– Jest pan pewien, że chce go pan znaleźć? Jak się ożeni z pańską matką, będzie pańskim ojczymem – zauważyła Zuza. – Może lepiej niech go znajdzie policja i wsadzi za kratki, a pańska matka o nim zapomni – poradziła mu ze szczerego serca.

– Nie mogę. Obiecałem mamie ślub.

– A inny narzeczony nie wchodzi w grę? – zasugerowała delikatnie, jak jej się wydawało. – Może podsunąć jej jakiegoś absztyfikanta pocieszyciela? Wyplacze się na jego ramieniu i będzie po kłopotach?

– Pomyślę... – W jego oczach widać było ożywienie. Na to nie wpadł.

– Zuza, nie wtrącaj się w sprawy rodzinne – poradził jej Tymek.

Jeszcze tylko tego brakowało, żeby Lambertowicz stracił powód, dla którego nie stuknie Sroki. Matka się odkocha, pokemon go załatwi, a oni będą podejrzani. I tak nie zamierzał powiadomić Lambertowicza o ewentualnym znalezieniu Sroki, póki oszusta nie zgarnie policja.

– Nie widzisz, że biedak potrzebuje pomocy? Będzie pośmiewiskiem całego Kłopotowa, jeśli jego matka wyjdzie za Srokę.

– Zuza – syknął ostrzegawczo Tymek. Ty wariatko, pomyślał, nie wynajduj mu powodów, żeby zabił Srokę i zakopał w lesie!

– A wstrząs emocjonalny? – ciągnęła dziewczyna. Nie mając zdolności telepatycznych, nie mogła zrozumieć nagle zmieniającej się mimiki Tymka. Chyba miał jakiś tik nerwowy. – Ty wiesz, co będzie przeżywał za każdym razem, jak odwiedzi matkę? Ma mówić do tamtego „tato”?

– Zuza!!! – wrzasnął Tymek, uderzając otwartą dłońią w poręcz fotela.

– No co? A, już wiem – zreflektowała się.

– Bogu dzięki – jęknął z ulgą.

– Chodzi ci o to, że Sroka pójdzie siedzieć, a jego matka będzie tak jakby słomianą wdową. Widzenia w więzieniu i tak dalej? Zmarnuje sobie życie, czekając na powrót tego łobuza...

– Zuza, daj panu mówić. Przyszliśmy po informacje. – Tymek starał się za wszelką cenę przywołać ją do porządku, nim ten bandyta zabije ich oboje i sam odnajdzie Srokę, a wtedy i tamtego pośle w zaświaty.

– Przecież wiem, po co przyszliśmy. Po prostu wyjaśniam, że mamy wspólny cel w znalezieniu tego drania i...

– Panie Lambertowicz – zwrócił się do tamtego stanowczo. – Skoro doszliśmy do porozumienia, poproszę o adres Sroki.

– Myślę, że powinnam porozmawiać z pana matką. – Zuza znów wtrąciła swoje trzy grosze. – Sądzę, że może wiedzieć więcej, niż jej się zdaje.

– Matka powiedziała mi wszystko, co wie. Nie będzie pani jej niepokoić.

– Ale...

– Ta sprawa nie podlega dyskusji. Trzymajcie się z daleka od mojej matki, to i ja będę się trzymał z dala od was. Rozumiemy się?

– Doskonale się rozumiemy. – Jak na jeden dzień Tymoteusz miał dość ludzi, którzy mu grozili. – Informacje i już nas nie ma – zapewnił.

Lambertowicz milczał, najwyraźniej rozważając, czy ta pomoc mu się opłaci, czy też może uda mu się wykorzystać tę bezczelną parkę do swoich celów.

– Jak nie, to nie, ale jak się okaże, że nic nie ustaliliśmy, bo pan utrudnia, to nie nasza wina – oznajmiła naburmuszona Zuza.

Długotrwały proces myślowy pokemona zaczynał ją irytować. Od chwili, w której odkryła, że facet ma matkę, jakoś przestał być taki groźny. Wyciąganie informacji od ludzi to droga przez mękę. Rurzycki miał twardy orzech do zgryzienia. Musiał naprawdę lubić swoją pracę. Ona też zaczynała lubić swoją nową pracę, nie tylko z powodów finansowych. W firmie Maczków wszystko było jasne i proste.

– Dobra. Niech będzie po waszemu – zdecydował pokemon.

Zdaniem Tymka za łatwo się zgodził. Mimo oporów nie próbował z nimi nic ugrać. To dziwne. I bardzo podejrzone.

– Ale nic za darmo – dodał nagle.

Aha, czyli jednak, pomyślał z satysfakcją Tymoteusz.

– Sroka wyłudził kasę od mojej matki na... powiedziałbym, że na ładne oczy, ale w tym facecie nie ma nic ładnego.

– Nic, co by pan widział. Diabli wiedzą, co ma pod ubraniem. Jakoś te wszystkie babki musi bajerować.

– Zuza, ty nigdy nie wiesz, kiedy przestać, prawda? – zapytał ze współczuciem Tymek.

Zaczynał już rozumieć. To nie bezczelność ani straceńcza odwaga. To brak instynktu samozachowawczego.

– A co ja takiego powiedziałam? – zdziwiła się dziewczyna. – Przecież coś musi w sobie mieć.

– Cokolwiek ma, nie chcę wiedzieć co to – oświadczył podniesionym głosem Lambertowicz. – Umowa jest taka. Dam wam weksel, a wy postaracie się namówić Srokę, żeby go podpisał. Nie mam żadnego dowodu wyłudzenia, nie mogę więc iść z tym na policję, choćbym chciał. A nie chcę. Moja matka też nie chce.

– Weksel? – zdziwił się Tymek.

– Weksel. In blanco. To wystarczy, żeby udowodnić istnienie długu. Może jak mamie spadną łuski z oczu, to uda mi się odzyskać te pieniądze. Ale muszę mieć prawną możliwość, żeby to zrobić.

– A co z innymi metodami? Mniej humanitarnymi? – zapytała zdziwiona Zuzka.

– Za kogo mnie pani uważa? – Tym razem w jego głosie zabrzmiała groźba. Bardzo jawna groźba.

– Za rekina biznesu najwyraźniej – wtrącił się szybko Tymoteusz, nim Zuza wykopała dół dla nich dwojga. – Weźmiemy ten weksel, tylko nie wiem, jak miałbym go przekonać do złożenia podpisu. Obawiam się, że... – zawahał się, szukając właściwych słów. – Możemy nie mieć pańskiej siły perswazji.

– Zdecydowanie nie mamy, ale zrobimy, co w naszej mocy – zapewniła gorąco Zuza, zastanawiając się, czy potrafiłaby użyć kastetu, kija bejsbolowego czy też innego narzędzia, preferowanego przez pokemony.

Jednak na samo wspomnienie stanu swoich finansów zobaczyła zęby Sroki, leżące wokół skatowanego oszusta, który zakrwawionymi ustami błagał ją o przebaczenie, połamanym palcem zaś wskazywał miejsce ukrycia pieniędzy. I, rzecz jasna, przy tym wszystkim klęczał na przedziurawionych wiertarką kolanach. Zuzanna nie wiedziała, czy można klęczeć na przedziurawionych kolanach, ale niech się postara, pomyślała z nienawiścią. Za bardzo podobał jej się ten obrazek, by miała go modyfikować.

– Niech podpisze tam, gdzie jest ołówkowy ptaszek. Pełnym imieniem i nazwiskiem. Proszę. – Lambertowicz przesunął po blacie biurka niewielki kawałek papieru, który Tymek skwapliwie zabrał i schował do portfela. – Zapiszę wam jego adres. – Nagryzmolił coś na skrawku kartki. – I dwa adresy jego byłych, może któraś będzie coś wiedziała. Nie na temat wyłudzenia, ale jego planów życiowych. Wyjazd do Peru, na Karaiby, do Wieliczki.

– Nie stać nas na podróże po całym świecie – skomentowała kwaśno Zuza.

– Ale mnie tak. Więc po drodze na lotnisko możecie przemyśleć kwestię informowania mnie na bieżąco. Zapewniam, że nasza policja nigdzie nie poleci, a już na pewno nie poleci do krajów, z którymi nie mamy umowy ekstradycyjnej.

– A pan tak.

– A ja tak – odpowiedział Zuzie, błyskając śnieżnobiałymi zębami w uśmiechu. – Nic więcej, niestety, nie udało mi się ustalić. Mam nadzieję, że uda wam się coś z tym zdziałać.

– My też. – Tymek schował do kieszeni kartkę z adresami.

– Dzięki wielkie za pomoc! – zawołała z entuzjazmem Zuza.

Obaj spojrzeli na nią podejrzliwie, bo w jej głosie nie było słyhać ironii,

złośliwości ani drwiny.

Ku swemu zdumieniu Zuza odkryła, że najbardziej przeszkadzała jej teraz beczynność. Robiąc cokolwiek, co mogłoby doprowadzić ich do celu, czuła, że znów steruje własnym życiem.

– No o co wam chodzi? Co się tak gapicie? – zdziwiła się, widząc ich miny.

– Nie, nic. – Tymek starał się zbagatelizować sytuację.

Cokolwiek powie, ona uzna, że ma ją za sekutnicę, i zaraz wybuchnie kolejna afera. Miał dość jej wykładów o podłości mężczyzn, a od kilku dni nie było żadnego. Bardzo chciał utrzymać ten stan rzeczy.

Lambertowicz tylko wzruszył ramionami. Lubił ogniste laski. Szkoda, że to takie chuchro. Podobały mu się kobiety z odrobiną ciała tu i ówdzie, nawet jeśli nie miały za grosz charakteru.

Tymoteusz wjechał na jeden z parkingów przy blokowisku, gdzie według jego nawigacji znajdowała się ulica Akacjowa. Taki adres podał im Adam Lambertowicz. Zuza ziewnęła szeroko. Dochodziła osiemnasta i dopadło ją zmęczenie po całym dniu pracy. W dodatku te wszystkie emocje towarzyszące rozmowom z Rurzyckim i Lambertowiczem. Sporo tego jak na jedną niedużą osobę. Zerknęła na Tymka. Ten ze spokojem wyłączył silnik i odpiął pas.

– Idziesz? – zapytał, widząc, że dziewczyna siedzi bez ruchu.

– Wiesz, Tymon, jak zeszły ze mnie emocje, czuję się, jakbym ważyła ze sto kilo – westchnęła.

– Mogę iść sam, jeśli jesteś zbyt zmęczona – zaproponował, ale był niezadowolony.

– Przecież nie powiedziałam, że nie pójdę! – warknęła. Nie umknął jej ton Tymka.

– Po co te zbędne uwagi? Siedzimy w tym razem. Działamy wspólnie.

– Ja tylko zaproponowałem, że jeśli jesteś zbyt zmęczona...

– Nie jestem – ucięła szybko.

Odpięła pas i wyskoczyła z auta. Zachwiała się lekko na obcasach. Powinna była włożyć wygodniejsze buty, ale tak się spieszyła, że o tym nie pomyślała. A teraz przydałyby się pantofle na płaskim obcasie.

Tymek policzył do dziesięciu i dołączył do niecierpliwiejszej się Zuzy. Na wszelki wypadek, gdyby znów miała na niego napaść, liczył szybko. Jednak ta metoda coraz częściej go zawodziła. Może powinien spróbować liczyć po łacinie? Musiałby się bardziej skoncentrować, a to mogłoby go wyciszyć.

– O czym myślisz? – zapytała.

Jego nieobecne spojrzenie przedzierało się przez -czasoprzestrzeń; może odkrył coś pożytecznego.

– Medytuję.

– Teraz?!

– Każdy kiedyś zaczynał.

– Ale teraz?! – Nie wierzyła własnym uszom.

– Idziemy czy nie? – Szybko zmienił temat, nim zadała pytanie, na które nie chciał odpowiadać. Mogłaby na przykład zapytać, po co mu ta medytacja, a wówczas albo musiałby skłamać, albo powiedzieć prawdę. Wtedy zaś musiałby zabić Zużę, żeby ona

nie zabiła jego.

Ironią.

Śmiechem.

Ironicznym śmiechem.

– No dobrze – oznajmiła, poprawiając wysuwające się spod spinek włosy. – Skoro skończyłeś te himalajskie pierdoły, możemy ruszać.

– Ja się twojej istoty najwyższej nie czepiam! – Znów podniósł głos.

– Ależ ty jesteś nerwowy – zauważyła ze współczuciem. – Najwyraźniej medytacja ci nie pomaga. Może po prostu nie nadajesz się do tego.

– Do czego?!

– Do medytacji. Może powinieneś zacząć od technik wyciszających.

– Jakich technik?

– Nie wiem jakich. Jakichś. To ty interesujesz się medytacją, powinieneś wiedzieć.

Tymek obserwował ją w ponurym milczeniu. Włosy miała gładko uczesane i starannie upięte w ciasny koczek, oprócz tych kilku pasemek, które już zaczynały się kręcić; ogromne oczy podkreśliła cieniem i kreską na górnej powiece. Wyglądała jak słodki elf.

Niestety, zachowywała się jak paskudny troll.

– Tam! – Wycelował palec w jeden z bloków za dziewczyną.

– Co takiego?

– Widzę blok numer dwadzieścia.

– Potrzebujemy bloku numer dwadzieścia pięć. Nie dwadzieścia – poprawiła go.

– Wskazuję kierunek. Tam jest blok dwadzieścia. Wydaje się logiczne, że za nim będą bloki z kolejną, wyższą numeracją, zważywszy na to, że stoimy obok bloku numer siedemnaście. Musimy iść w tamtą stronę! – Znów dźgnął palcem powietrze i nie czekając na odpowiedź, ruszył pierwszy.

– I po co te nerwy? – Zuzanna wzruszyła ramionami i pospieszyła za nim.

Tymek maszerował zamaszystym krokiem. Z trudnością za nim nadążała, ale prędzej jej obcasy od butów odpadną, nim poprosi, by zwolnił. Był coraz bardziej drażliwy.

– Och, to mój. Muszę odebrać – zawołała z ulgą, gdy zadzwonił telefon, dając jej możliwość, by przystanąła i złapała oddech.

– To nie może poczekać? – zapytał, zatrzymując się i mierząc ją nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Nie jestem pewna... – bąknęła. – Moja siostra. – Skierowała komórkę w jego stronę, by mógł odczytać imię dzwoniącej osoby. – Magda.

– Więc odbierz. – Westchnął. – Zaczekam.

– To moja siostra – powtórzyła, jakby uważała, że nie dosłyszał za pierwszym razem.

– Nie jestem głuchy. Ani ślepy. Odbierz.

– Ona na pewno wie.

– O czym?

– O tym.

– To znaczy o czym?

– O tym wszystkim!

– To znaczy o czym?! – Tymek miał ochotę walić głową w drzewo nieopodal placu zabaw, na którym akurat stali.

I znów to zrobił! Wdał się w niepotrzebną dyskusję o niczym. Po co się w ogóle odzywał? No po co? A teraz wydziera się jak ostatnia przekupa na stojącą ze łzami w oczach, zalęknioną dziewczynę. Dobrze, że nie ma tu dzieci. Ich rodzice zapewne już by wzywali policję. Bo że jest to jędza o wyglądzie aniołka, próbująca go doprowadzić do obłędu, tylko Rurzycki by uwierzył.

– Rodzice jej powiedzieli – wyszeptwała ze zgrozą Zuzanna.

– Byli u nas w niedzielę. Dlaczego miałyby czekać aż do środy, by zadzwonić? – Argument skądinąd wydawał się słuszny.

A miał milczeć. Dlaczego to robi? Dlaczego? Z Ewelina było jakoś łatwiej. Nie miał problemu, by utrzymać język za zębami. Może dlatego odeszła? Tyle tylko, że jemu najzwyczajniej w świecie nie chciało się z nią dyskutować. O czymkolwiek.

A zwłaszcza o niczym.

– Nie znasz jej – powiedziała żałośnie Zuzanna. – Chciała spotęgować napięcie. Wiedziała, że jak zadzwoni po paru dniach, pęknie.

– Kim ona jest? Szatanem? – zakpił.

– Niemalże. Mąż uważa ją za świętą. A rodzice...

– Odbierz albo wycisz dzwonek – polecił stanowczo, gdy telefon zadzwonił po raz kolejny.

– Nie mogę – jęknęła.

– Czego nie możesz?

– Odebrać. Wyciszyć też nie mogę, bo będę wiedziała, że Magda nadal tam jest i dzwoni! Ona wie, że ja wiem, że to ona dzwoni, i wie, że ja wiem, że ona wie i...

– Odbierz ten cholerny telefon, zanim ja to zrobię!

– Przestań na mnie wrzeszczeć! – rozdarła się Zuza. – Co z ciebie za mężczyzna, skoro wrzeszczysz na kobietę w moim stanie?!

– W jakim stanie? – zgłupiał.

Spojrzał na jej płaski brzuch. Jest w ciąży? Nie powinna pić, jak jest w ciąży, więc to na pewno nie to. Zatem co?

– W moim! Jestem strzępkiem nerwów! To jest stan! Stan emocjonalny! I wara od mojego telefonu! Sama sobie poradzę! Zaraz do niej oddzwonię i powiem jej, gdzie może sobie wsadzić te swoje dobre rady podszyte fałszywym współczuciem i złośliwą satysfakcją, że jako starsza oczywiście miała rację. „Po co ci to?”. „Na co ci to?”. „Co z tobą jest nie tak, że nie możesz usiedzieć na dupie w jednym miejscu?” – przedrzeźniała nieznaną Tymoteuszowi Magdę, ale nie mógł stwierdzić, czy jędzowaty ton przypomina głos starszej siostry Zuzki czy też samej Zuzanny. – Tak do mnie mówiła! I wiesz co? Więcej sobie nie pozwolę, żeby... Czego chcesz?! – krzyknęła do telefonu, który ponownie się rozświetlił. – O, cześć, mam... – bąknęła po chwili czerwona jak burak.

– ...

– Nie, to nie do ciebie. Myślałam, że znowu dzwonią z jakąś ofertą.

– ...

– Oczywiście, że nie widziałam, że to Magda. Miałam telefon w torebce – skłamała.

– ...

– Tak, jasne, daj mi ją do telefonu...

Tymek doszedł do wniosku, że w towarzystwie Zuzy i on miewa krańcowe stany emocjonalne. Ta kobieta w minutę potrafiła go doprowadzić do szewskiej pasji, rozpaczy i rozbawienia. Nie krył złośliwej satysfakcji, gdy czerwona jak burak Zuza słuchała reprimendy od starszej siostry. Cokolwiek tamta miała do powiedzenia, musiało wyjątkowo zdołować Zuzkę, bo w oczach dziewczyny pojawiły się łzy, a głos jej drżał, gdy rozmawiała. Miejsce rozbawienia zajął niepokój.

– Nie, dzięki, to nie będzie potrzebne – powiedziała drżącym głosem.

– ...

– Gdyby zaistniała taka potrzeba, dam znać, ale nie będzie. Dam radę. To cześć.

Rozłączyła się i rozplakała bezgłośnie. Ogromne łzy spływały po jej policzkach, pozostawiając rozmazane smugi.

– Aż tak źle? – wystraszył się. – Nie powinienem się wtrącać. Przepraszam. To twoja rodzina i sama wiesz najlepiej, jak sobie z nimi radzić. Albo nie radzić. – Podał jej chusteczkę higieniczną, którą Zuza przyjęła z pełnym wdzięczności pociągnięciem nosem.

– Myślałem, że moja rodzina jest toksyczna, ale twoja...

– Co, moja rodzina? – Wydmuchała nos w chusteczkę, aż zahuczało.

– Twojej siostrze powinno się powiedzieć kilka słów tak, żeby jej w pięty poszło!

– zacierzył się. – Zamiast wsparcia...

– Chciała mi pożyczyć pięćdziesiąt tysięcy – przerwała mu, wciskając zasmarkaną chusteczkę do torebki.

– Ile?! – zdębiał.

– Powiedziała, że rozmawiali z Romkiem o mojej sytuacji i chcieli mi oddać swoje oszczędności.

– Z kim? – pytał jak ostatni idiota, gdyż nieznany Romek był mu równie obojętny, jak nieznana mu siostra Zuzy.

– To mój szwagier – wyjaśniła. – Chcieli mi pożyczyć swoje oszczędności. – Łzy znów pociekły jej ciurkiem.

– To czego ryczysz?!

– Wzruszyłam się. – Pociągnęła nosem. Był lekko zapchany, ale nie na tyle, by go wydmuchać, więc bardzo nieelegancko i niehigienicznie zrobiła to, co wszyscy robią, jak nikt nie patrzy. Pociągnęła nosem tak mocno, że wszystko trafiło z powrotem do środka.

– Powiedziała też, że gdybym siedziała na dupie w domu i urządziła się w mieszkaniu po ciotce, to nie wpakowałabym się w takie bagno – dodała na koniec z lekką urazą, tym razem jednak bez złości, którą zwykle odczuwała wobec siostry, gdy ta ją sztorcowała albo obdarzała niechcianymi radami po fakcie. – Ciocia DRuPFi nie byłaby sobą, gdyby nie dorzuciła swoich trzech groszy. Mocno się rozmazałam? – Uniosła twarz w górę, by Tymek mógł lepiej widzieć.

– Ciocia Drupfi? Kim jest ciocia Drupfi?

– To skrót. Ciocia DRuPFi to Ciocia Dobra Rada Po Fakcie. Samogłoski to wypełniacz, żeby się lepiej wymawiało. A ty co? – Spojrzała na niego spod rzęs. – Nie masz takiej w rodzinie? W każdej się taka trafi. „A nie mówiłam?”. „Miałam rację”. „Trzeba było słuchać”.

Ponownie naśladowała nie wiadomo kogo. Ale jej ton dał mu do myślenia.

– Rzeczywiście, miałem taką w rodzinie. Ciotka Danka. Nie dość, że zawsze wszystko wiedziała lepiej, to jeszcze robiła nam takie wykłady, że zanim doszła do puenty, człowiek zapominał, od czego zaczęła i o co właściwie chodzi. Ale co to ma wspólnego z twoją siostrą? – Zdał sobie sprawę, że znów rozmawiają nie na temat i w dodatku stoją na środku pustego na szczęście placu zabaw, zamiast szukać Sroki.

– Nic. To ty pytałeś, kim jest ciotka DRuPFi.

– Racja – przyznał, zastanawiając się, czy osoba świecka może złożyć śluby milczenia. Miał głębokie przeczucie, graniczące z pewnością, że bardzo by mu to ułatwiło czas wspólnego zamieszkiwania z Zuzą, który zafundował sam sobie bezmyślnie.

– To co? Zamierzasz tu stać czy idziemy? Sroka sam się nie znajdzie – ponagliła go.

– Weźmiesz te pieniądze? – spytał zaciekawiony Tymoteusz.

– Oczywiście, że nie! – wykrzyknęła oburzona. – Nie zamierzam okradać mojej siostry z oszczędności życia! Poza tym, co mi po nich? Dług w banku, a jeszcze dojdzie mi dług wobec siostry.

Milczał chwilę, rozważając jej słowa. Racja, w tej sytuacji te pieniądze nic Zuzie nie pomagały.

– To wspaniale, że możesz liczyć na rodzinę – powiedział.

– Oczywiście, że mogę liczyć! To moja rodzina!

– A narzekałaś na nich!

– Oczywiście, że tak! Przecież to moja rodzina!

Tymoteusz poczuł, że znów nie jest w temacie. Nie do końca rozumiał to, co właśnie zostało powiedziane, i nie pojmował emocji z tym związanych. Zuza wydawała się na niego zła, że nie łapie rzeczy tak oczywistych.

– Idziemy? – zapytał zrezygnowany.

– Dokąd?

– Akacja dwadzieścia pięć mieszkania piętnaście. Hieronim Sroka. Mówi ci to coś? – spytał kpiącym tonem.

– Ta ironia nie była potrzebna. – Zuza pociągnęła nosem i wreszcie ruszyła naprzód.

Tymek obawiał się, że zaraz zapuszczą tu korzenie i będą straszyć bawiące się na placu dzieci, gdyż ciała obojga stopniowo zaczną się przemieniać w sękaty pnie, pokryte grubą korą.

Rurzycki zapukał ponownie i nasłuchiwał, ale z wnętrza mieszkania nie dochodziły żadne odgłosy. Powinien siedzieć w domu w wygodnym fotelu i popijać piwko, a nie sterczeć pod drzwiami mieszkania wynajmowanego przez dwójkę pokrzywdzonych, przyprawiających go o siwe włosy. Nie chciał ich aresztować, ale zrobi to, jeśli będzie

musiał. Nie może pozwolić, by wpakowali się w jeszcze większe kłopoty niż te, które już mieli. Wiadomość, że Sroka jest dłużnikiem Lambertowicza, zasadniczo zmieniała sytuację.

Lambertowicz, szara eminencja Kłopotowa, nigdy nie był karany, co nie znaczy, że za uszami nic nie miał. Miał, i to sporo. Lichwiarskie pożyczki, zastraszanie dłużników, pobicia, i jak tylko mógł się domyślać – sporo innych podejrzanych posunięć, których nikt nie mógł mu udowodnić. Do tego wszystkiego miał bowiem cwane go prawnika, który dobrze pilnował jego spraw.

Rurzycki nie podejrzewał właściciela lombardu o usiłowanie zabójstwa Sroki. Śmierć oszusta nic by tamtemu nie dała, jeśli facet nie posiadał ubezpieczenia na życie, a Lambertowicz nie był beneficjentem polisy. Prędzej wystawi tamtego jako jelenia wyłudającego kredyty bankowe, żeby w ten sposób odzyskać pieniądze. O taki proceder też go podejrzewali, ale nikt nigdy nic mu nie udowodnił.

Był właścicielem lombardu oraz kilku nieruchomości, które wynajmował. Może to i legalny interes, ale Rurzycki nie urodził się wczoraj. Połowa dochodów Lambertowicza może i pochodziła z legalnych źródeł, ale znaczna część z pewnością nie. Facet miał kilka aut o łącznej wartości przekraczającej sumę, jaką od Zuzanny Cieplik i Tymoteusza Magnusa otrzymał Sroka. Do tego dwa domy, w tym jeden z basenem. W drugim mieszkała jego matka. Takie życie kosztuje. Dużo kosztuje. Rurzycki nie był specem od finansów, nie miał więc pojęcia, jak dochodowym interesem może być lombard, ale żeby przynosił aż takie zyski?

Gdy zapukał po raz trzeci, a za drzwiami wciąż panowała grobowa cisza, po raz kolejny zmienił swoje plany na wieczór. Z piwa i tak nic nie będzie, może więc pójdzie i zagada z Lambertowiczem. Tamten powinien wiedzieć, że mają go na oku i cokolwiek zrobi, nie ujdzie mu bezkarnie. To może pomóc tym dwojgu, gdyby jednak wpakowali się w jakieś konszachty z lokalnym półświatkiem. Cieplik nie ruszą, Lambertowicz nie tykał kobiet – jedyne, co mógł mu zapisać na plus – ale Magnus? Miał firmę budowlaną, ręce mogą mu się jeszcze przydać.

Kilka minut później wchodził do lombardu, gdzie zwykł przesiadywać Lambertowicz. Machnął tylko odznaką przed oczami pracownika za ladą i pomaszerował prosto na zaplecze. Przeszukiwali lombard kilka razy, szukając kradzionych rzeczy, zatem całkiem nieźle znał rozkład pomieszczeń. Mężczyzna za ladą nie zareagował na wtargnięcie policjanta. Wrócił do czytanej książki, jakby nic się nie wydarzyło. Nie wykonał też żadnego zbędnego ruchu, by powiadomić szefa. Nie musiał. Lambertowicz widział wszystko, co się działo w lombardzie, na monitorze swojego komputera. Miał własny monitoring na wypadek kłopotów.

Nie musiał się obawiać kradzieży czy ekipy wymuszającej haracze. Raczej chodziło o zabezpieczenie się przed fałszywymi oskarżeniami o naruszenia nietykalności cielesnej tudzież inne podobne przypadki, gdyby jakiś nierzetelny dłużnik, który ucierpiał z innego powodu, próbował zrzucić winę na właściciela lombardu.

– Cześć, Adam – rzucił Rurzycki, wchodząc do biura bez pukania, i bez zaproszenia usiadł w skórzanym fotelu. – Przydałby mi się taki w domu! – westchnął, opierając wygodnie plecy.

– Dałbym ci go w prezencie, ale obaj wiemy, że mogłoby to zostać niewłaściwie zinterpretowane. Co cię sprowadza? – zapytał z niewyraźnym uśmiechem.

– Doszły mnie słuchy, że Sroka jest ci winien spore pieniądze.

– To prywatna sprawa.

– Zakładam, że zamierzasz odzyskać dług?

– Nie, kurwa, dałem mu tę forszę w prezencie. Pewnie, że zamierzam, ale co tobie do tego?

– Sroka prysnął.

– Podobno.

– Podobno? – Rurzycki wykrzywił się ironicznie.

– Podobno – potwierdził Lambertowicz z tym samym niewyraźnym uśmiechem.

– Podobno go szukałeś – rzucił od niechcienia komisarz, bacznie obserwując swego rozmówcę.

– Chciałem pogadać.

– O długu?

– Nie, chciałem się wymienić przepisami na pizzę – zakpił tamten.

Rurzycki westchnął.

– Ile ci wisi?

– Pytasz oficjalnie?

– A gdyby?

– Nie zgłosiłem oszustwa, wyłudzenia, kradzieży... Dług to moja sprawa, a nie policji – stwierdził właściciel lombardu.

– Mogę cię wezwać na świadka.

– Świadka czego?

Rurzycki milczał. Lambertowicz doskonale wiedział, że dopóki się nie zgłosi jako pokrzywdzony, nie jest stroną w sprawie. Policja nie może przeszukać lombardu ani żądać dokumentów potwierdzających zadłużenie Sroki, bo tamten nie jest pokrzywdzonym ani świadkiem. Właściwie jest nikim w tej sprawie, dopóki nie zaatakuje Sroki, a wtedy dług byłby motywem tego czegoś, co zrobiłby wypierdkowi mamuta, jak nazwała oszusta Zuzanna Cieplik.

– Wojtek, po co tak naprawdę tu przyszedłeś? – zapytał Lambertowicz, wbijając przenikliwy wzrok w komisarza.

– Cieplik i Magnus – z niechęcią wyjawiał policjant. – Nie wciągaj ich w swoje brudne interesy. Są zdesperowani, mogą podejmować złe decyzje.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Rozmawiałeś z nimi.

– Tak, jak szukałem Sroki na Spokojnej. Nie wiedziałem, że sprzedał dom. I to kilka razy. Miał być zabezpieczeniem długu, ale nie zdążyliśmy załatwić formalności związanych z hipoteką – odpowiedział spokojnie właściciel lombardu. – Moja strata.

– Tak. Twoja strata. Tylko że ciebie stać na straty, a tamtej dwójki nie. Nie chcę, żeby do tego wpakowali się w jakieś bagno. Mają dość kłopotów. Ludzie, którzy wchodzą z tobą w układy, czasami źle kończą. – Nie musiał wyjaśniać, co miał na myśli. Obaj wiedzieli, że chodzi o młodszego brata Rurzyckiego.

– Jak on się miewa? – zapytał tamten.

Jego pozorna obojętność nie wprowadziła komisarza w błąd. Zadając to pytanie, Adam spuścił wzrok, a pochylone ramiona wyraźnie świadczyły o nagłej zmianie nastroju.

– Tak dobrze, jak można się spodziewać w danych okolicznościach – odpowiedział komisarz. – Daj im spokój – poprosił.

– To oni do mnie przyszli – odparł, nie do końca zgodnie z prawdą, Lambertowicz.

– Niech zgadnę. Złożyłeś im tę samą propozycję, co mojemu bratu?

Lambertowicz milczał chwilę, wyraźnie zastanawiając się, co powiedzieć.

– Słuchaj, przykro mi z powodu twojego brata – zaczął w końcu powoli, nie odrywając oczu od blatu biurka. – Nie chciałem, żeby komuś coś się stało. Miał tylko ustalić miejsce zamieszkania dłużnika. Sam postanowił tam wejść. Nie kazałem mu odzyskiwać pieniędzy w ten sposób. Musiałem zdobyć ten adres do sprawy sądowej.

– Tomek zeznał to samo – powiedział z goryczą Rurzycki.

– Był młody i porywczy.

– Ale zapłaciłeś za jego rehabilitację.

– Musimy do tego wracać? – Lambertowicz się skrzywił. – Pomogłem mu, bo czułem się winny. Był młody, głupi i nie należało nigdzie go wysłać.

– Chciał ci zaimponować.

– Wybrał zły sposób. Zamierzasz przy każdej okazji wyciągać sprawę brata? Mam poczuć wyrzuty sumienia i obiecać z ręką na sercu, że nawet nie spojrzę na to pyskate chuchro i jej faceta? Proszę bardzo, obiecuję. W czymś jeszcze mogę pomóc, panie władzo? – zapytał kpiącym tonem.

Rurzycki nie dał się zwieść. Najlepszą obroną jest atak, zwłaszcza wówczas gdy sumienie nie daje człowiekowi spokoju.

– To wszystko. Dziękuję za poświęcony czas, panie Lambertowicz.

– Zawsze służę pomocą, panie komisarzu.

Wstał, by wyjść, ale zawahał się przy drzwiach. Z ręką na klamce odwrócił się i zapytał raz jeszcze:

– Po co do ciebie przyszli?

– Wypląkać się na mojej piersi, ale nie mogłem pomóc.

Zapłakana Zuza robiła takie wrażenie, że Tymoteusz czuł się niepotrzebny. Świetnie sobie radziła z odgrywaniem dziewczynki z zapałkami, którą trzeba pocieszyć, przytulić, pogłaskać po głowie i ogrzać przy piecu.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani Hieronima Srokę? – zapytała, popijając ciepłą herbatkę z malinami.

Tymek też dostał herbatkę z malinami, ale czuł się jak dodatek do swojej współlokatorce, która przejęła na siebie cały ciężar konwersacji. Musiał przyznać, że nieźle jej szło. Zdecydowanie lepiej niż jemu na Spokojnej. Wszyscy ich wpuścili. Wszyscy sąsiedzi z nimi rozmawiali. Oczywiście nikt z sąsiadów Sroki na Akacjowej nie był świadkiem ich aresztowania, co z pewnością ułatwiło sprawę.

– Niech się zastanowię... – Matka dwójki nieznośnych dzieciaków, bawiących się w pokoju obok, sięgnęła po telefon. Włączyła jakąś aplikację i przeglądała ją uważnie.

Tymek miał nadzieję, że naprawdę szuka informacji, a nie po prostu bawi się komórką.

– O, mam! Trzeciego kwietnia, szłam wtedy z dziećmi do lekarza. Złapały coś w szkole. To było około dziesiątej. Wyjeżdżał gdzieś, miał ze sobą dwie walizki. Pamiętam, bo jedną z nich pomagałam mu znieść. Zdrowie ostatnio mu nie dopisywało.

– Naprawdę? – zdziwiła się Zuza. – Jak go ostatnio widziałam, trzymał się całkiem dobrze. Powiedziałabym, że zadziwiająco dobrze.

– To prawda. Był całkiem sprawny – potwierdził jej słowa Tymoteusz.

– Nie mówił, dokąd się wybiera?

– Mówił. Do sanatorium – odparła kobieta.

– Do sanatorium? – zdziwiła się Zuza. – A po co?

– Jeździ tam co roku. Wcześniej jeździł z żoną, a teraz sam. – Tamta westchnęła. – To było bardzo udane małżeństwo.

– Co się stało z jego żoną?

– Zmarła dwa lata temu na raka. Biedak. Nie otrząsnął się do tej pory.

– Długo pani go zna? – zapytał Tymoteusz. Coś mu tu nie pasowało. Ich rozmówczyni przedstawiała wizerunek prawie świętego, a nie hochsztaplera i oszusta.

– Mieszkam tu dziesięć lat, więc od tego czasu.

– Wie pani może, dokąd pojechał? – zapytała Zuza.

– Do Inowrocławia. Jeździ tam co roku – odparła kobieta. – Trudno mi uwierzyć, że pan Sroka państwa oszukał. To bardzo porządny człowiek. Proszę, jak to czasami można się pomylić...

– Był już wcześniej karany. Za oszustwa. Wyłudził spore kwoty od kobiet – poinformował ją Tymoteusz. Już wiedział, o co tu chodzi. Oto kolejna, która dała się nabrać. Zmarła żona, choroba, nic dziwnego, że facet tak działa na kobiety. Bierze je na litość, ot, co. Niektóre tak mają, źle ukierunkowany instynkt macierzyński je gubi.

– Policja nic pani nie powiedziała? – zdziwiła się Zuza.

– Policja? Dlaczego policja miałaby ze mną rozmawiać? – zdumiała się sąsiadka Sroki.

Zuza i Tymoteusz wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Oto, ile jest warte słowo Rurzyckiego. Osobiście był wszędzie. Osobiście wszystko sprawdził. Osobiście zbijał bąki!

– Jest poszukiwany przez policję za oszustwa. Chyba niedługo list gończy za nim wystawią – wyjaśniła Zuza.

– No proszę... Aż niewiarygodne! Taki miły starszy pan! Kto by pomyślał?! Może on wcale nie do sanatorium pojechał, tylko uciekł za granicę? A ja mu pomagałam walizkę znieść po schodach, bo on o kuli chodzi... O Boże! – zawołała przestraszona. – Proszę nikomu nic nie mówić, że mu pomogłam! Jeszcze mnie o pomoc przestępcy posądzą!

– Ależ skąd! – zapewniła ją Zuza gorąco. – Nigdy w życiu! Wszystko zostanie między nami. Proszę się nie obawiać, nie chcemy nikomu sprawiać kłopotów.

– To co zrobicie, jak go znajdziecie? – zainteresowała się sąsiadka Sroki.

– Wtedy zawiadomimy komisarza Rurzyckiego o miejscu jego pobytu. Anonimowo. Obawiam się, że policja nie jest zadowolona z naszej działalności. Wolimy za bardzo się nie wychylać, ale sama pani wie, jak to jest. Nasza sprawa nie jest jedyna.

I proszę, co się okazało! Nikt tu nie był i o nic nie pytał! – zirytowała się Zuza.

– Może mnie wtedy w domu nie było... – zastanawiała się kobieta. – W tym tygodniu miałam same popołudniówki. Dziś siedzę z dziećmi, bo sama złapałam od nich paskudnego wirusa. A innych sąsiadów państwo pytali?

– Zaczęliśmy od parteru, ale niczego się nie dowiedzieliśmy. Pani mieszka z nim przez ścianę – powiedział zgodnie z prawdą Tymoteusz. – Zuza uznała, że ktoś mieszkający vice versa prędzej coś zauważy niż inni sąsiedzi.

– Powiedziała vis-à-vis, a nie vice versa – poprawiła go Zuza.

– Co za różnica?

– Spora – poinformowała go, po czym znowu zwróciła się do kobiety: – Orientuje się może pani, czy Srokę ktoś odwiedzał? Rodzina? Jakaś kobieta? Znajomi?

– Nie, nie przypominam sobie. – Ich rozmówczyni zmarszczyła czoło. – Jakiś czas przychodziła pani z opieki społecznej, robiła mu zakupy. Pan Sroka ma artretyzm i czasami czuł się tak źle, że nie wychodził z domu. Kilka razy sama podrzuciłam mu parę podstawowych rzeczy.

– Artretyzm? – zdziwiła się Zuza. – Trudno mi w to uwierzyć.

– Dlaczego?

– W jego wieku?

– Nie da się ukryć, że wygląda całkiem dobrze na swoje lata, ale choroby atakują teraz coraz młodszych ludzi – powiedziała sąsiadka.

– Czyli nikogo więcej pani u niego nie widziała? – Tymek sprowadził rozmowę na właściwe tory.

– Nie. Był samotny. Przynajmniej tak sądziłam... No proszę, jak to nikomu nie można wierzyć...

– Utrzymywał może bliższe kontakty z kimś z sąsiadów? – dopytywał dalej.

– Nie, tak jak mówiłam, był samotny. Po śmierci żony zamknął się w sobie...

– No cóż, dziękujemy pani bardzo. – Tymoteusz uznał, że niczego więcej się nie dowiedzą.

Przejdą się jeszcze po innych mieszkaniach, nim zrobi się zbyt późno na wizyty. Było już po dwudziestej. Spędzili tu ponad pół godziny. Od wrzasków dzieci pękała mu głowa. Dlaczego jeszcze nie śpią?

Zuza szybko dopiła swoją herbatę i uprzejmie podziękowała kobiecie.

– Co o tym sądzisz? – zapytała, gdy wyszli z mieszkania.

– Co mogę sądzić? Nic nie sędzę.

– Nie sądzisz, że to dziwne? Miły starszy pan? Czy Sroka wyglądał na miłego starszego pana?

– Ma sześćdziesiątkę na karku. Dla osoby w naszym wieku to starszy pan. A czy miły? – Podrapał się po karku. – Powiedziałbym, że raczej wypłoszowaty, ale może potrafi dobrze grać. Jak inaczej naciągnąłby te wszystkie kobiety?

– Hm... – Zuza nie potrafiła określić, co się dzieje, ale miała złe przeczucia. Coś jej tu nie pasowało. Nie wiedziała tylko co. To jak z melodią, która nagle wpada ci do głowy i nie chce wyjść, a ty za nic nie możesz sobie przypomnieć, skąd ją znasz.

– Idziemy dalej – ponaglił ją Tymek. – Mamy przed sobą jeszcze kilka mieszkań.

Zuzka była głodna i zmęczona. Nie zważała na to, póki roznosiły ją emocje. Teraz poczuła zmęczenie. Jedyne, o czym marzyła, to ciepła kolacja, bo na obiad już za późno. Ciepła kąpiel, ciepłe mleko i kocyk, pod którym będzie mogła się schować...

– Masz rację. Spróbujmy z pozostałymi sąsiadami – zdecydowała niechętnie.

Chyba była to lepsza perspektywa niż powrót do cuchnącego stęchlizną i kocimi sikami mieszkania. Może ktoś poza herbatą da im choć pół skibki chleba, pomyślała, gdy zaburczało jej w brzuchu.

Rurzycki nie był zadowolony z rozmowy z Lambertowiczem. Łobuz jak zwykle się wywinie, a inni zapłacą za jego występki. Kłamał jak z nut. Znał go od lat. Nie tylko z relacji policjant – przestępca. Adam razem z Tomkiem, jego bratem, chodzili do jednej klasy w podstawówce. Byli kolegami z podwórka. Potem ich drogi się rozeszły, Lambertowicz rzucił szkołę średnią, gdy tylko skończył osiemnaście lat, i zajął się szmuglowaniem spirytusu oraz papierosów. Nikt go za rękę nie złapał, ale podejrzenia były. Kilka lat temu zniknął na jakiś czas, podobno wyjechał do pracy do Niemiec, a gdy wrócił, przywiózł ze sobą niezłą sumkę. Komisarz uważał, że ten cwaniak „uprał” pieniądze z przemytu i otworzył legalne firmy, w których zgodne z prawem działanie Rurzycki nie wierzył, ale jak poprzednio – nikt go za rękę nie złapał.

Spojrzał na zegarek. Trochę późno na telefon i do tego nie służbowy – do osób, które nie zaliczały się do grona jego znajomych. Trudno. Musi się upewnić, że tamci dwoje nie kręcą sobie pętli na szyje.

– Rurzycki dzwoni – poinformował Zuzkę zaskoczony Tymek, zobaczywszy wyświetlający się numer telefonu.

– To odbierz! – ponagliła go.

– I co mu powiem?

– To nie ty masz mówić, tylko on ma nam coś do powiedzenia! W przeciwnym razie nie dzwoniłby o tej porze! – przekonywała go, niemal podskakując z przejęcia.

– No nie wiem... – W powiedzeniu „Na złodzieju czapka gore” było sporo prawdy. Tymek czuł się nieswojo, wiedząc, że robią dokładnie to, czego komisarz wyraźnie im zabronił.

– Tymoteusz Magnus, dobry wieczór. – Posłuchał Zuzy, czując, że zaraz będzie tego żałował.

– Wojciech Rurzycki. Chciałem zamienić z państwem kilka słów, ale nikogo nie zastałem.

– Bo nie ma nas w domu – odpowiedział zgodnie z prawdą Tymek i natychmiast poczuł się jak ostatni idiota, stwierdziwszy to, co było oczywiste.

– Tak właśnie założyłem, że nie ma państwa w domu – odpowiedział rozbawiony komisarz. – Nie przyszło mi do głowy, że państwo się przede mną ukrywają, bo nie ma przecież powodu ku temu, czyż nie?

– A jaki miałyby być?

– Co on mówi? – niecierpliwiła się Zuza.

Tymek odwrócił się do niej plecami, bo usiłowała przyłożyć ucho do telefonu.

– Znalazł pan Srokę?! – krzyknęła, doskonale wiedząc, że policjant z pewnością ją usłyszy.

- Niestety, nie – odpowiedział Tymkowi Rurzycki na jej pytanie.
- Niestety, nie – powtórzył jego słowa Tymoteusz.
- To po co dzwoni? – chciała wiedzieć Zuza.
- To w jakiej sprawie pan dzwoni?
- Żeby się upewnić, że nie popełnili państwo jakiejś horrendalnej głupoty, jak na przykład wchodzenie w układy z Lambertowiczem.
- Dlaczego mielibyśmy to robić?
- No właśnie, dlaczego? – Komisarz odpowiedział pytaniem na pytanie. – Gdzie państwo są? – dodał niespodziewanie.
- To nasza sprawa – oświadczył twardo Tymeck. Nie chciał kłamać, ale prawdy powiedzieć też nie zamierzał.
- Aha... – krótko skwitował policjant.
- Po co on dzwoni? – Zuza trąciła Tymka w łokieć.
- Ten spojrział na nią surowo, ale widząc, jak dziewczyna z niecierpliwości przestępuje z nogi na nogę, westchnął ciężko i włączył głośnik w telefonie: – Panie komisarzu, przerzuciłem pana na głośnik – poinformował Rurzyckiego. – Pani Cieplik koniecznie chce wiedzieć, w jakiej sprawie pan do nas dzwoni.
- Rozmawialiście z Lambertowiczem?
- O czym? – zapytała Zuza, robiąc minę niewiniątka, której komisarz nie mógł widzieć, ale nawet gdyby widział, z pewnością nie dałby się na nią nabrać.
- Odpowiedź powinna brzmieć: NIE, a nie: O CZYM – skomentował kwaśno policjant, zatraskując za sobą drzwi auta.
- Czy możemy w czymś panu pomóc? – zapytała zgryźliwie w myśl zasady, że najlepszą formą obrony jest atak.
- Tak, proszę się nie pakować w kłopoty, bo zamiast zajmować się sprawą Sroki, będę musiał zająć się waszą!
- Znów pan nam grozi? – Nie kryła niesmaku.
- Tylko ostrzegam, pani Cieplik, ostrzegam was oboje przed typami spod ciemnej gwiazdy.
- Dobrze by było, gdyby pan tyle samo uwagi, co nam, poświęcał poszukiwaniom Sroki – odgryzła się. – Proszę sobie wyobrazić, że jesteśmy na ulicy Akacyjowej. I co pan na to?
- Nic, a cóż mnie obchodzi Akacyjowa? – zdziwił się Rurzycki.
- To ja już wiem, że nic! – Nikt z osób, które odwiedzili dzisiejszego wieczoru, nie rozmawiał z policją na temat poszukiwanego przez nich mężczyzny.
- Panie komisarzu – do rozmowy na powrót włączył się zaskoczony jej obrotem Tymoteusz – nie szukamy kłopotów, tylko ich rozwiązania.
- Wolalbym, żebyście państwo niczego nie szukali.
- Czy to wszystko? – chciał wiedzieć Tymeck.
- Tak, życzę państwu miłego wieczoru. – Rurzycki pożegnał się szybko i rozłączył.
- Po co mu powiedziałaś, gdzie jesteśmy? – Tymeck zdenerwował się na Zuzę.
- Ta stała zamyślona, lekko przygryzając kciuk.
- Słyszysz, co do ciebie mówię? Po co mu powiedziałaś...

– Tak, tak, słyszę. Po co mu powiedziałam, gdzie jesteśmy. A ciebie nie dziwi jego brak reakcji na wiadomość, że jesteśmy na Akacjowej? Tam, gdzie on powinien być, zgodnie z tym, co mówił, kilka dni temu?

Tymoteusz milczał, zastanawiając się nad jej słowami.

– Masz rację – powiedział wreszcie. – Coś tu nie pasuje. Powinien się wściec.

– Powinien – zgodziła się z nim.

– A nie był wściekły.

– Nie był – potwierdziła Zuzanna.

– Ale dlaczego?

– No właśnie, dlaczego?

– Przestajesz powtarzać wszystko, co mówię?!

– Radzę zmienić ton, jakim się do mnie zwracasz. – Spojrzała na niego z urazą.

– Przepraszam – mruknął.

– I słusznie.

– Przecież przeprosiłem! – zdenerwował się na powrót Tymek.

– I znowu się wydzierasz! – wytknęła mu Zuza.

– Bo... bo... – Machnął ręką zniechęcony. I tak nie wygra tej potyczki słownej. – Mam dość! Wracamy do domu. Nikt nie wie niczego więcej niż tamta sąsiadka. Ostatnie dwa piętra możemy sobie darować!

Patrzyła ze złością, jak ruszył na dół po schodach. Pokłócił się z nią na półpiętrze trzeciego piętra, a potem podwinął ogon i uciekł. Zero konstruktywnej rozmowy, pomyślała, idąc za nim. Była głodna, a do tego musiała przyznać, że Tymoteusz miał rację – najwięcej informacji uzyskali od sąsiadki Sroki spod szesnastki. Inni albo wynajmowali mieszkania i nie znali nikogo, albo wprowadzili się niedawno i owszem, kojarzyli starszego pana, ale nic o nim nie wiedzieli.

– Racja czy nie, to nie powód, by zostawiać mnie na schodach w połowie rozmowy – powiedziała do siebie, zbiegając za nim szybko.

Rurzycki zatrzymał się na światłach. Czekać na zielone, uderzał palcami w kierownicę w rytm skocznej muzyki nadawanej w radiu.

I myślał.

– I lepiej dla niego, żeby na mnie czekał w aucie. Jak będę musiała wracać pieszo, pożałuje – perorowała Zuza, maszerując przez plac zabaw.

Na pewno rozmawiali z Lambertowiczem.

Na pewno zawarli jakiś układ.

Ale co, u diabła, robili na Akacjowej?

– Nie myśl sobie, że ta rozmowa jest zakończona – oświadczyła groźnie, podkreślając wojowniczy nastrój trzaśnięciem drzwiami samochodu.

– Wybacz, że zostawiłem cię samą – powiedział już spokojnie Tymoteusz, który przez te kilka minut zdążył ochłonać.

– Wybaczam, ale nie możesz przerywać rozmowy w pół zdania, uciekać i jeszcze do tego się złościć. Zachowujesz się jak rozhisteryzowana panna młoda! – zarzuciła mu Zuzanna.

– Czyli zupełnie jak kobieta.

– Właśnie. Zupełnie jak... – Urwała i uderzyła go w ramię. Mocno. Tak jej się przynajmniej wydawało. – Mógłbyś chociaż udawać, że cię boli!

– Auć? – zapytał, pocierając ramię.

– Robisz to specjalnie?

– Przecież tego chciałaś!

– Owszem, ale twoje udawanie powinno być na tyle przekonujące, żebym miała z tego satysfakcję!

– Zaczynam rozumieć twojego narzeczonego. I podziwiać twojego ojca. A niejakiemu Romkowi – jeżeli twoja siostra jest do ciebie podobna – dać medal za odwagę na polu walki.

– Wiesz, że bełkoczesz coś niezrozumiale, zamiast się skupić na istocie sprawy?

– Po co? Zaraz zostanę oświecony co do istoty sprawy. Nie muszę myśleć, dostanę to, co mam wiedzieć, w pigułce.

– Gdybyś był moim facetem, rzuciłabym cię! – zagroziła.

– Gdybym nim był, nie miałabyś okazji. Już dawno bym uciekł.

– Jak Czesiek?

– Właśnie! – zreflektował się zbyt późno. Nie powinien był tego mówić. Nie powinien. – Słuchaj, Zuzka, przepraszam. Nie to miałem na myśli.

– Proponuję wracać do naszego śmierdzącego mieszkania, a rozmowę zakończyć jutro, kiedy emocje opadną – oświadczyła z całą godnością, na jaką było ją stać. – I nie, nie będę słuchać kolejnych przeprosin. Chcę, żebyś przemyślał wszystko, czego się dziś dowiedzieliśmy, i jutro o tym porozmawiamy.

– Jutro chciałem porozmawiać z kobietami Sroki.

– Byłymi, Tymek, byłymi. Nie powiedzą nam nic, co by nie wskazywało, że jest łajzą.

– Mężczyźni lubią bajerować, zwłaszcza tacy, którzy muszą. Jak Sroka. Może przez przypadek podzielił się jakimś marzeniem, na przykład jak wspaniale byłoby zdobyć majątek i wyjechać na Madagaskar.

– Jutro, Tymek. Porozmawiamy o tym jutro – ucięła stanowczo.

Dziś miała dość wszystkiego. Straciła też wszelkie złudzenia względem Rurzyckiego. Nie robił w ich sprawie zupełnie nic. Nie mają innego wyjścia, jak zabawić się w detektywów, a może warto byłoby jakiegoś wynająć. W dłuższej perspektywie mogłoby im się to opłacić. Ale to też temat na jutrzejszy dzień.

Rurzycki o ósmej rano – tuż po odprawie – popędził do swojego biura i z kubkiem kawy zasiadł do akt Sroki. Przeglądał je strona po stronie, zastanawiając się, co przegapił. Sprawdzał wszystkie możliwe tropy. List gończy powinien się ukazać w ciągu kilku dni. Informatycy pracują pełną parą, próbując ustalić po numerze IP komputera Sroki z poprzedniej sprawy jego aktualny nick na portalach randkowych. Nikła szansa, ale zawsze. Prokurator zajął się sprawą kont bankowych, na które zostały przelane pieniądze dla Sroki. Może uda się coś zająć, chociaż Rurzycki znał życie na tyle, by wiedzieć, że pieniądze już dawno stamtąd zniknęły. Ale nie wyparowały. Gdzieś muszą być. Trzeba tylko znaleźć ślad, za którym będą mogli podążyć. Papierkową robotę wykonał na medal.

Nic więcej nie mógł zrobić, a dziś rano dołożyli mu kolejną sprawę do rozwiązania.

Jakieś włamanie, podczas którego nic nie ukradziono, za to zdewastowano domek na działce. Pewnie młodzież, uznał z westchnieniem. Sam nie miał dzieci. Jakoś wcześniej się nie zdarzyło. I raczej już się nie zdarzy. Młodzież potrafiła człowieka skutecznie zniechęcić do zakładania rodziny. Kobiety też. Nie miał do nich szczęścia. A może one do niego? Trudno powiedzieć. Może po prostu on się do tego nie nadawał? Lepiej weźmie się do pracy. Skoro jedynym celem jego istnienia jest pomaganie pokrzywdzonej części ludzkości, powinien się tym zająć.

Tymek wyszedł do pracy, zanim Zuza wstała. I dobrze, że się nie widzieli, pomyślała, włączając komputer w firmie. Musi sprawdzić pocztę, przejrzeć stos korespondencji, który ktoś przyniósł na jej biurko, oraz przejrzeć dwa segregatory, których wczoraj nie było. Zostawiła je Anna albo dyrektor Jachi, to znaczy dyrektor Joachim Maczek. Praca powinna zająć ją wystarczająco, by przez kilka godzin nie zaprzętała sobie głowy swoim żalonym życiem prywatnym, katastrofalnym stanem finansów i tragiczną przyszłością z bezdomnym kotem u boku, którego będzie dokarmiać resztkami z obiadu, bo na psa nie będzie jej stać.

– Cześć, mała – przywitał się Joachim Maczek, wpadając jak torpeda do biura. Trzasnął drzwiami, a po chwili z powrotem wypadł z gabinetu z takim rozmachem, aż drzwi uderzyły o ścianę. Wycelował w nią palec i oświadczył stanowczo: – Jak moja żona będzie mnie szukać, nie przyszedłem jeszcze do pracy!

– Jak pan nie przyszedł, skoro przyszedł?

– Wyobraźnia, moja droga! Wyobraźnia!

– Moja wyobraźnia nie obejmuje swoim zakresem okłamywania pani prezes – oświadczyła stanowczo Zuza. Nie da się wmanewrować w jakieś rozgrywki między nimi, chociaż właśnie po to została zatrudniona.

– Czyli doniesiesz? – Groźnie zmrużył oczka.

– Użyłabym innego określenia, ale owszem, kiedy pani prezes mnie zapyta, czy jest pan w biurze, będę zmuszona odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– A jeśli wyjdiesz do toalety, a jak wrócisz, drzwi będą zamknięte na klucz od wewnątrz, wtedy nie będziesz wiedziała, czy jestem, czy też mnie tam nie ma, więc powiesz mojej żonie, że nie wiesz, gdzie jestem, bo gabinet jest zamknięty, zatem nie powinno mnie tam być, czyż nie?

– Pewnie bym tak odpowiedziała, gdyby nie dwie rzeczy, panie dyrektorze...

– Wrodzona uczciwość i strach przez Antoniną?

– Nie, panie dyrektorze. Po pierwsze – już pana widziałam, więc musiałabym odpowiedzieć, że o ósmej rano wszedł pan do swojego pokoju. A po drugie – skoro już wiem, że drzwi będą zamknięte od środka, kto miałby się tam zamknąć, jak nie pan?

– Mój błąd. Za dużo powiedziałem... Nie dogadamy się? – zapytał z nadzieją.

– Nie. – Pokręciła przecząco głową.

– Niedobrze. Czeka nas ciężkie życie!

– Moje jest już wystarczająco ciężkie i bez pana, panie dyrektorze, więc może nie powinniśmy go sobie utrudniać? – zaproponowała śmiało.

– Nie będzie łatwo, skoro niczego mi nie ułatwiasz – stwierdził z niezadowoleniem.

– Gdzie pan powinien być, skoro nie chce pan, aby żona wiedziała, że jest pan

w pracy?

– Na rehabilitacji – przyznał z zakłopotaniem.

– O, to na pewno nie będę pana kryła – oburzyła się Zuza. – Powinien pan dbać o zdrowie. Jak nie dla siebie, to dla rodziny. Jest pan egoistą!

– Ledwo tydzień w pracy i gadasz jak moja żona!

Zuza nie zdążyła wymyślić odpowiedzi, gdyż przeszkodził jej dzwoniący na biurku telefon.

– Odbierz. To moja żona – powiedział z rezygnacją Joachim Maczek.

– Zuzanna Cieplik, asystentka dyrektora. W czym mogę pomóc? – zapytała oficjalnym tonem, odbierając połączenie.

– Antonina Maczek. Czy mój mąż jest w biurze?

Zuza spojrzała na sterczącego przed nią Joachima i powiedziała spokojnie:

– Dzień dobry, pani prezes. Nie, dyrektora Maczka nie ma w biurze.

Jej szef radośnie wyrzucił obie ręce w górę i okręcił się wokół własnej osi. Zawsze ją zadziwiało, że osoby otyłe potrafią się poruszać z taką lekkością i gracją, gdy tańczą, a dyrektor Maczek właśnie wykonywał jakieś piruety niczym baletnica.

– Widziała go pani dzisiaj?

– Tak, wpadł na chwilę, by zlecić mi kilka spraw, bo spieszył się na rehabilitację.

– Uśmiechnęła się przepraszająco, gdy Jachi z rozpaczą złapał się za głowę.

– Rehabilitant dzwonił, że nie dotarł. Może korki go zatrzymały?

– Nie wydaje mi się, aby to korki zawiniły, pani prezes. Pan dyrektor jeszcze przed chwilą stał przed moim biurkiem, więc pewnie jest dopiero w drodze. – Spojrzała na niego wyczekująco i palcem popukała w zegarek na dłoni.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Pogroził tylko Zuzie palcem na odchodne i z wawym truchcikiem wybiegł z biura.

– Aha, no cóż, najważniejsze, że się tam wybiera – stwierdziła Antonina. – Do widzenia, pani Cieplik.

– Do widzenia, pani prezes. – Odłożyła słuchawkę i aż podskoczyła ze strachu, gdy przed biurkiem zmaterializował się młody Maczek.

– Przestraszyłem panią? – spytał zmartwionym tonem.

– Owszem. Nic nie słyhać przez te dywany. Dzień dobry. – Uśmiechnęła się do niego, starając się, by ten uśmiech niczego nie wyrażał. Zupełny profesjonalizm. Uprzejmość. Najwyżej brak zainteresowania. Nic więcej.

– Dzień dobry. Zdaje się, że widziałem mojego ojca, jak zbiegał po schodach?

– Był już spóźniony na rehabilitację. Spieszył się – wyjaśniła.

– Aha, bo ja właśnie w tej sprawie. Mama kazała mi sprawdzić, czy przypadkiem nie zamknął się w gabinecie i udaje, że go nie ma.

– Nic z tych rzeczy – zapewniła go Zuza, w duchu zastanawiając się, czy Maczkowa zainstalowała tu kamery, które obserwują wszystkich dwadzieścia cztery godziny na dobę czy tylko ją.

– Tak, to dobrze... – wykrztusił, z zakłopotaniem przestępując z nogi na nogę. – Jak się pani u nas pracuje?

– Bardzo dobrze, dziękuję – odparła krótko.

– To dobrze. To bardzo dobrze – oznajmił. – Cieszymy się, gdy nasi pracownicy są zadowoleni. To bardzo ważne, bo zadowoleni ludzie są wydajniejsi.

– Z pewnością – potwierdziła, zastanawiając się, do czego młody Maczek zmierza.

– Tak, nie można pozwolić, by perturbacje w życiu prywatnym miały wpływ na wydajność w pracy – poinformował ją.

– Moje życie prywatne nie ma wpływu na moją pracę – zapewniła go zmieszana. O co mu, u licha, chodzi?!

– Tak, oczywiście, że nie, ale... szczęśliwi ludzie lepiej pracują i... gdyby nie była pani szczęśliwa albo coś w tym stylu, to...

– Nie jestem pewna, jak mam to rozumieć, panie -wiceprezesie – przerwała mu stanowczo Zuza.

Miała wrażenie, że on sam nie wie, do czego zmierza, ale z pewnością zaraz wprawi ją w zażenowanie. Albo ona jego, gdy będzie zmuszona odpowiedzieć coś niemiłego.

– To tylko takie przemyślenia... Chyba powinienem wracać do siebie – speszył się i nie patrząc jej w oczy, uciekł.

Westchnęła ciężko. Będzie musiała poprosić Tymka, by przyjechał po nią kilka razy po pracy. Może wtedy Antoni Maczek odczepi się od niej i przerzuci swoje zainteresowanie na kogoś innego, kto je odwzajemni. I lepiej, żeby to się stało, zanim pani prezes zauważy, że rozwiązanie problemu z mężem przysparza jej problemów z synem.

– Co jest nie tak z tymi Maczkami? – mruknęła do siebie. – I ojciec, i syn mają problemy z kobietami, tylko że każdy na innym tle.

– Zuza! – Anna wpadła do biura równie gwałtownie, jak jej ojciec. – Musisz natychmiast porozmawiać ze swoim narzeczonym! Jego zachowanie jest niedopuszczalne!

– Co takiego?! – zdumiała się. – Niemożliwe, żeby Tymek zachował się niestosownie. To na pewno jakieś nieporozumienie!

– Niestosownie? Niestosownie?! To nie jest właściwe określenie! To nawet w części nie oddaje tego, co on mi zrobił!

– Zrobił...? – powtórzyła niepewnie spłoszona Zuza, zastanawiając się, czy nie popełniła błędu, ufając zupełnie obcemu człowiekowi tylko dlatego, że oboje padli ofiarą oszustwa. Przecież tak naprawdę nic o nim nie wie. Była strasznie naiwna.

– Właściwie chodzi o to, że nie zrobił! – wykrzykiwała Anna, gestykułując gwałtownie.

– To zrobił czy nie zrobił? Bo już nic nie rozumiem...

– Chciałam powiększyć salon na dole, wyrzucając jedną ścianę, a on mi na to, że się nie da! Nie da się, powiedział! Rozumiesz, Zuza, co mówię?!

– Rozumiem. Powiedział, że się nie da. Bo może się nie da?

– No właśnie tak powiedział, że się nie da! Ale kto płaci, ten wymaga! To moje mieszkanie! I chcę mieć większy salon! – Ze złością tupnęła nogą.

– A dlaczego się nie da? – zapytała Zuza, w duchu dziękując istocie najwyższej, że to nie to, o czym pomyślała, czyli że Tymek trzymał łapska przy sobie i język na wodzy, w niczym nie przypominając swojego obleśnego brata.

– Bo to ściana znoszona!

– Nośna chyba...
– Nieważne!
– No ważne, bo...
– A potem zapytał, czy zamierzam używać sufitu! Uwierzysz?
– Tak zapytał?
– Dokładnie tak!
– Może chodziło mu o to, że jak usunie tę ścianę, to runie sufit?
– Ale ja mogę żyć bez tego sufitu! Ja chcę mieć większy salon!
– A podłogi nie będziesz używać?
– A co ma podłoga do sufitu?!
– Bo na parterze sufit jest sufitem, ale jak wejdiesz na piętro, to ten sam sufit jest podłogą – wyjaśniła Zuza najdelikatniej, jak tylko umiała.

Anna milczała, wbijając w nią ostre spojrzenie. Nagle całe napięcie z niej zeszło, ramiona opadły, przyłożyła rękę do czoła.

– Jestem idiotką – powiedziała żałośnie.

– Ależ skąd! – zaprzeczyła Zuzanna. – Po prostu... Tak bardzo chciałaś powiększyć salon, że ogłuchłaś na wszelkie argumenty. To się zdarza. A Tymek powinien ci dokładnie wytłumaczyć, w czym problem – dodała jeszcze na koniec, nie mając pewności, czy to wyjaśnienie nie przysporzy jej problemów. Nawet jeśli Annie wydawało się, że są przyjaciółkami, czy co tam sobie wymyśliła, ona, Zuza, jest tylko pracownikiem rodzinnej firmy Maczków.

– Masz rację. Ten mój upór kiedyś mnie zgubi – westchnęła Anna.

– Dla jednych upór, dla innych konsekwencja w dążeniu do celu – powiedziała Zuza, gratulując sobie w duchu oświecenia, którego doznała w ostatniej chwili.

– Tak, czasami ta cecha się przydaje – przyznała tamta, uśmiechając się niepewnie.

– To jak? Jesteśmy przyjaciółkami?

– Przecież nie przestałyśmy nimi być – odpowiedziała Zuza, modląc się w duchu do istoty najwyższej o ratunek, nim ta przyjaźń wykończy ją fizycznie i emocjonalnie.

– Wiem, że nie znamy się długo, ale jestem w pracy albo w pracy, ewentualnie na siłowni, a potem w pracy. Nie mam gdzie poznawać ludzi. Gdybym była zbyt upierdliwa, daj znać. Nie obrażam się. Wiem, że masz swoje życie.

– Możesz być tego pewna. – Zuza mrugnęła do niej, by dać do zrozumienia, że potraktowała te słowa jak żart. Gdy zadowolona z życia i uspokojona, choć niekoniecznie pogodzona z problemem salonu, Anna zniknęła w swoim gabinecie, zabierając po drodze zostawione na biurku Zuzy segregatory z dokumentami, ta odkryła, że nadal jej drga powieka. Najwyraźniej dorobiła się już choroby zawodowej – nerwowych tików. A pracowała niespełna tydzień. Co będzie po roku?

Korzystając z tego, że wreszcie została sama na swoim stanowisku pracy, i mając nadzieję, że więcej Maczków nie będzie się skradać po dywanie, postanowiła sprawdzić namiary na sanatorium w Inowrocławiu. Może uda jej się czegoś dowiedzieć telefonicznie. Podam się za siostrzenicę Sroki i poproszę o połączenie z jego pokojem. Jestem genialna!

Niedobrze, aż trzy sanatoria, zmartwiła się Zuza.

To i tak mniej niż wczoraj, gdy miałaś do wyboru cały świat, pocieszyła się zaraz.

– Entliczek pentliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, na tego bęc!

Posłużyła się dziecięcą wyliczanką, by ustalić kolejność, w jakiej zatelefonuje do poszczególnych ośrodków.

– Dzień dobry. Mówi... e... Anna Sroka. Chciałabym rozmawiać z wujkiem, Hieronimem Sroką. Jest waszym kuracjuszem – starała się, by zabrzmiało to stanowczo, jakby wiedziała, co mówi i co robi.

– Nie udzielamy informacji telefonicznie.

– A nie telefonicznie?

– Jeśli jest pani upoważniona przez pacjenta.

– Chyba się nie zrozumieliśmy. Nie potrzebuję in-formacji, tylko proszę o połączenie z pokojem wujka Sroki.

– Proszę pani, to nie hotel. Proszę się kontaktować z wujkiem przez komórkę.

– E... Nie jestem pewna, czy ją zabrał, bo nie odbiera.

– Może pani zostawić wiadomość, przekażę – zaproponowała jej rozmówczyni.

– Czyli jest u was! – nieopatrznie ucieszyła się Zuza.

– Chwileczkę, to pani nie wie, czy wujek jest w sanatorium, i do nas dzwoni?

– No bo... – zakłopotana się. – W Inowrocławiu są trzy, a ja nie pamiętam, do którego pojechał, i chciałam zapytać, czy...

– Proszę pani – tamta przerwała jej stanowczym głosem – nie udzielamy takich informacji telefonicznie.

– A nie telefonicznie? – zapytała ponownie przymilnym tonem.

– Osobom nieupoważnionym nie.

– Ale jeśli wujek źle się poczuł albo...

– W takich sytuacjach jest powiadamiana osoba wskazana do kontaktu. Nie mogę pani pomóc. Życzę miłego dnia. Do widzenia. – Połączenie zostało przerwane.

– Szlag! – zakląła Zuza. – Nigdy nie umiałam kłamać. Udawać orgazmu też nie. A teraz by mi się przydało. Kłamanie, a nie orgazm, rzecz jasna. Orgazm właściwie też mógłby pomóc dla rozluźnienia – mówiła do siebie, nie bacząc na to, że ktoś może słuchać.

– Po co ci facet, przy którym musisz udawać orgazm? – zapytała zdumiona Anna.

– Kobieta powinna się cenić i wymagać. To jej się należy. Takie jest prawo natury.

– Eee... – Oni mnie wykończą, pomyślała czerwona jak burak Zuzanna. Skąd ona się tu wzięła?! I jak długo stoi?!

– Powinnaś szczerze porozmawiać z Tymoteuszem na ten temat albo ja to zrobię! Nie może cię traktować jak naczynia do opróżniania swoich jąder ze spermy! To nie średniowiecze, na litość boską!

– Ale ja nie...

– No właśnie! Ty nie! Nie dość, że nie umiesz udawać, to jeszcze jego nie obchodzi, że nie masz orgazmu! To jakiś zawszony egoista!

– Stop! – zawołała Zuza, otrząsnąwszy się z zaskoczenia. – Nie muszę udawać przy nim orgazmu!

– Aha... Jesteś pewna? – zapytała podejrzliwie. – Źle pojęta lojalność może być

przyczyną wielu problemów dla kobiety.

– Wszystko jest w porządku. Nie chodziło o Tymka, tylko o... poprzedni związek – starała się jakoś wybrnąć z tego, co nachlapała przed chwilą. Jeszcze tego brakowało, żeby Anna odbyła z Tymkiem rozmowę na temat orgazmów jego „narzeczonej”!

– Rozumiem. Rzuciłaś faceta, bo cię nie zaspokajał?

– Niezupełnie, chociaż właściwie gdybym miała go rzucić z tego właśnie powodu, to byłoby to całkiem uzasadnione – wyznała z zakłopotaniem Zuzanna.

– Czyli było więcej powodów?

– Zdecydowanie więcej – przyznała szczerze.

Teraz, gdy już ochłonęła po rozstaniu, miała spory problem z dopatrzeniem się jakichkolwiek zalet u Czeška. Egocentryczny egoista. Co ona w nim widziała, zastanawiała się teraz.

– No i dobrze. Tego kwiatu jest pół świata, jak mawiała moja babcia, gdy dziadek groził babci, że się z nią rozwiedzie, a wtedy ona zostanie na starość sama jak palec, bo męczyzna z wiekiem nabiera smaku, a kobieta zwyczajnie więdnie.

– No tak... – odparła niepewnie Zuza, nie wiedząc, co powiedzieć i czy brnąć dalej w problemy małżeńskie dziadków Anny.

– Babcia wiedziała, że jej nie zostawi, bo która by go chciała! Tylko dziadkowi jeszcze się wydawało, że jest chojrak. Mężczyźni zawsze muszą się stawiać. Taki charakter. Babcia mówiła, że czasami trzeba im na to pozwolić, bo jak ich się za bardzo stłamsi, to gdy kobieta nabiera apetytu, facetowi na ogół więdnie, wiesz co. – Mrugnęła do niej wesoło.

– Domyślam się. – Nie była pewna, czy chce usłyszeć więcej mądrości życiowych babci Anny. – To pewnie była babcia ze strony twojej mamy? – zapytała.

– Skąd wiesz?

– Domyśliłam się. To nie było trudne.

– Racja. Kobiety w naszej rodzinie zawsze miały charakterki. Linia męska jest jakaś wybrakowana – westchnęła. – Wskoczymy dziś na siłownię? – zaproponowała.

– Nie dam rady. Jestem umówiona z Tymkiem. Może w przyszłym tygodniu? W poniedziałek? – zaproponowała Zuza, licząc na jakiś kataklizm. Trzęsienie ziemi. Huragan. Czterech jeźdźców apokalipsy.

– Super, jesteśmy umówione, ale! – Anna groźnie uniosła palec wskazujący. – Żeby ćwiczenia były skuteczne, trzeba ćwiczyć przynajmniej trzy razy w tygodniu. Pomyśl o tym!

– Pomyślę – obiecało słabo Zuza.

Trzy razy???

Trzy razy!!!

W tygodniu!!!!

O istoto najwyższa!!!

Tymoteusz nie krył przerażenia. Nie był świadomy, że kobiety potrafią tchnąć taką nienawiścią, zjadłością i pluć jadem na odległość.

– Ta świnią?! Żeby diabli wzięli i widły mu w dupę wbili, zanim go podpała! Żeby się w kotle smażył! Żeby go...

– Rozumiem pani wzburzenie. – Zuza starała się załagodzić sytuację. Imię i nazwisko Sroki podziałały na kobietę jak katalizator. Wybuch nastąpił w ułamku sekundy. – Nas też oszukał. Dlatego go szukamy – starała się wyjaśnić.

– Jak go pani znajdzie, niech mu pani powie... Niech mu pani powie... Już ja mu...
– Łapała powietrze jak ryba.

Kobieta miała pięćdziesiąt kilka lat i drugie tyle wagi i Zuza obawiała się, żeby zaraz im tu nie padła na zawał. Dopiero Rurzycki miałby powody, by się czepiać.

– Ale proszę się uspokoić. Rozumiem...

– Co pani rozumie?! Wszystkie oszczędności mi zabrał! Wszystkie! Dobrze, że na kredyt nie dałam się naciągnąć! I wie pani, co z tego mam? Spłaca mi po pięćdziesiąt złotych miesięcznie, bo na więcej go nie stać! Uwierzy pani?! Ukradł mi trzydzieści tysięcy, a płaci po pięćdziesiąt złotych! Pani wie, jak długo będzie mnie spłacał?!

– Długo – powiedziała ze współczuciem Zuza.

– Pięćdziesiąt lat! Pięćdziesiąt lat!!! Myśli pani, że któreś z nas doczeka spłaty długu?! Ludzie tak długo nie żyją, proszę pani!!!

Zuza zbladła. Pięćdziesiąt lat przy trzydziestu tysiącach? Ile razy musiałby żyć, żeby ją spłacić?! Spojrzała na Tymka. Miał w oczach dokładnie to samo przerażenie. Propozycja Lambertowicza, że wycisnie z oszusta ich pieniądze, nagle nie wydała się taka zła.

– Nic nie wiem o tej gnidzie i nic nie chcę wiedzieć – oświadczyła druga rozmówczyni. – Niech się zadławi tymi pieniędzmi. Tak powiedziałam w sądzie. Że nie chcę ani grosza, ale żeby go zamknęli w jakimś surowym więzieniu, najlepiej takim, gdzie siedzą sami zboczeńcy, i żeby tam odczuł, co to jest cierpienie. I wie pani, co mi sędzia powiedział?! – zapytała następna oszukana przez Srokę. – Że mam się nie unosić!

– Tak powiedział? – zapytała ze współczuciem Zuza.

– Słowo w słowo to nie. – Kobieta była zakłopotana. – Tak dokładnie to powiedział, że bardzo mi współczuje, ale prosi o opanowanie emocji. Ale przecież na to samo wychodzi! I wie pani, co zrobił na koniec? Wie pani?

– No nie wiem...

– Wlepił mu trzy lata. Trzy lata za moje zmarnowane życie! I jeszcze po połowie go wypuścili za dobre sprawowanie! Pewnie, że się dobrze sprawował, bo niby kogo miał tam bałamucić? Kolegów z celi?!

– Tak, to straszne...

– I jeszcze ten sędzia powiedział, że najważniejsze jest zadośćuczynienie! Ale ja mam gdzieś te pieniądze! Wie pani, ile ode mnie wyłudził? Wie pani? Pięćdziesiąt pięć

tysięcy! A wie pani po ile mi spłaca?!

– Po pięćdziesiąt złotych?

– Dokładnie tyle, bo ma tylko jakąś małą rentę i nie ma z czego!

– Teraz już ma. Wyłudził łącznie z milion – poinformował ją Tymoteusz nieopatrzenie.

– Milion? Milion?! I uciekł? Ja tu biedę klepię, a on ma milion złotych?!

– Ale to nie są jego pieniądze, tylko ludzi, którym je ukradł. Sprzedał kilka razy ten sam dom i...

– Miał dom?! Twierdził, że ma tylko małe mieszkanie socjalne!

– Była pani u niego?

– Nie, bo mieszkał z nim jego syn pijak. Mówił, że nie chce mnie narażać.

A okazało się, że on nie ma syna! – krzyknęła ponownie. – I miał dom?! Pewnie dogadał się z komornikiem!

– Raczej nie, proszę pani. Odziedziczył go niedawno po zmarłej krewnej i... – Tymoteusz próbował kobiecie wyjaśnić sytuację, ale... miała to gdzieś.

– Żeby go diabli wzięli i na strzepy roznieśli! A żeby powykręcało przykurcza!

– Pokurcza – poprawiła ją automatycznie Zuza. – Mówi się „pokurcza”, a nie „przykurcza”.

– Jak go pani znajdzie to ja go... To ja go... – Tamta nie mogła złapać tchu.

Tymek obawiał się, że kobieta zaraz zejdzie z tego świata na zawał albo inną przypadłość, która powala człowieka w ułamku sekundy, bez szans na ratunek. Sroka gustował w zbliżonym do siebie pod względem gabarytów typie kobiet. Liczył, że serce im nie wytrzyma i nie doniosą na niego?

– Niech się pani tak nie denerwuje – poprosiła wystraszona Zuza. – Gdybym wiedziała, że nasza rozmowa tak na panią podziała, nie odgrzebywałabym tych przykrych dla pani spraw.

– Niech państwo lepiej sobie idą – poleciała rozmówczyni, uspokajając się odrobinę.

– I tak nie odzyskacie pieniędzy. Moje gdzieś przegrał w karty. Przynajmniej tak powiedział w sądzie, a policja ich nie znalazła. Zanim go teraz namierzą, a wtedy szukali z pół roku, też zostanie bez grosza.

– Miejmy nadzieję, że nie. Dom sprzedał trzy razy, w tym raz legalnie, co oznacza, że dwieście pięćdziesiąt tysięcy nie pochodzi z oszustwa, tylko to jego pieniądze. Komornik miałby z czego ściągnąć ten dług dla pani – poinformowała ją Zuzka, którą nieoczekiwanie olśniło.

– Naprawdę? – ożywiła się tamta. – To byłoby wspaniale. Jak mogę pomóc?

Mimo dobrych chęci druga oszukana kobieta nie zdołała im udzielić żadnej skutecznej pomocy. Nie wiedziała nic, co mogłoby się przydać w poszukiwaniach. Nie chciała dać im adresów pozostałych oszukanych przez Srokę, ale obiecała, że się z nimi skontaktuje. Pojawiła się nadzieja na odzyskanie pieniędzy, a może któraś z nich będzie dysponowała jakąś przydatną informacją.

– To chore – stwierdził Tymek, gdy jechali do mieszkania.

– Co takiego?

– Wszystkie kobiety oszukane przez Srokę utrzymują kontakt i raz w tygodniu

spotykają się na herbatkę. Za każdym razem u innej. Nie sądzisz, że to chore? Siedzą i rozpamiętują swoje nieszczęścia?

– Raczej wspierają się wzajemnie.

– Klub wspólnego nieszczęścia. Współczuję im, ale...

– Tymek – przerwała mu Zuza – poznaliśmy się w ubiegłą środę. Dziś mamy czwartek. W tym czasie dowiedzieliśmy się, że zostaliśmy nabici w butelkę. Mamy wspólną sprawę przeciwko Sroce. Zadaliśmy się z półświatkiem. Zamieszkaliśmy razem. Udajemy narzeczonych. Wspólnie szukamy Sroki. Nie sądzisz, że przyganiał kocioł garnkowi? Trzymamy się razem z tego samego powodu, co te kobiety.

– Wcale nie z tego samego. One najwyżej psioczą na niego, a my podejmujemy konstruktywne działania – bronił się, ponownie zerkając w lusterko wsteczne.

– A co mają robić? Zaplanować morderstwo doskonałe? – zakpiła.

– Ktoś za nami jedzie – zmienił temat.

– Co? – zdziwiła się.

– Ktoś za nami jedzie. Czarne audi A3. Wydaje mi się, że wczoraj stało niedaleko kamienicy, w której mieszkamy. Dziś też je widzę. I to nie pierwszy raz. Wydaje mi się, że ktoś za nami jeździ – powiedział.

– Policja? – zapytała niespokojnie.

– Wątpię. Policja nie ma środków ani ludzi, i wątpię, czy mają na stanie audi, żeby obserwować zwyczajnych ludzi.

– To kto? Pokemon?

– Nie wydaje mi się. Facet za kierownicą nie przypomina Lambertowicza. Mało wyrośnięty jest, że tak powiem. – Zerknął w lusterko i zjechał na lewy pas, nie sygnalizując wcześniej manewru. Audi minęło ich i zatrzymało się za pojazdami czekającymi na zielone światło dla skręcających w prawo. Zuza nie widziała zbyt dokładnie kierowcy, ale mężczyzna rozmawiał przez telefon i nawet na nich nie spojrzał.

– Masz manię prześladowczą. Takie rzeczy trzeba leczyć – powiedziała, krzywiąc się lekko. Nie знаła Tymona z tej strony, ale tak po prawdzie był to zupełnie obcy dla niej człowiek. Wcale go nie znała. A on się dziwi tym kobietom, pomyślała zgryźliwie. Zachowujemy się dokładnie jak one. Trzymamy się razem, bo mamy w sobie oparcie. – Musimy zdecydować, co robimy dalej. Jestem za tym, żeby w sobotę z samego rana pojechać do Inowrocławia.

– Przecież niczego konkretnego się nie dowiedziałaś.

– Poszukamy go na miejscu. Pochodzimy, popytamy.

– To jak szukanie igły w stogu siana.

– Wpadniemy w porze obiadu na stołówkę. Przecież jada posiłki. Wtedy powinien być tam, gdzie wszyscy. Siedzieć na tyłku i wcinać sałatę – obstawała przy swoim. – Są tam trzy sanatoria. Wynajmiemy jakiś pokój na noc i tyle. Będziemy mieć dwa dni, żeby się rozejrzeć. Jeśli tam jest, znajdziemy go – przekonywała Tymoteusza. I tak po prawdzie – siebie też. Przystępca okradł ich do cna i jakby nigdy nic wyjechał sobie do sanatorium! Niewiarygodne. I byłoby niewiarygodnie głupie, gdyby to zrobił. Lepszego pomysłu nie mieli. – Masz lepszy pomysł? – zapytała, gdy Tymek nie odpowiedział.

Zastanawiał się dłuższą chwilę, układając w głowie informacje, które udało im się

zdobyć. Poza wyzwickami pod adresem Sroki i adresem, pod którym już nie mieszkał, nie mieli nic. Sanatorium było mało prawdopodobne.

– Naprawdę uważasz, że Sroka ukrył się w sanatorium? – zapytał, nie kryjąc wątpliwości.

– W artretyzm i miłego starszego pana poruszającego się o kuli też średnio wierzę – przyznała Zuzanna. – Ale jakie mamy wyjście? Rurzycki leci z nami w kulki i nawet nie możemy mu tego powiedzieć. Niby skąd znamy adres Sroki? Przecież nie powiem, że od dobrej wróżki.

– Lambertowicz nie wygląda na wróżkę z bajki. – Tymek uśmiechnął się szeroko, wyobrażając sobie pokemona w różowej sukience i ze skrzydełkami na plecach. – Niech będzie. I tak nie mam żadnych planów na ten weekend. Równie dobrze możemy jechać do Inowrocławia – zdecydował.

Włosy miała w takim samym nieładzie, w jakim były, gdy ją poznał. Sterczały na wszystkie strony, zwijając się w loki. Wyglądała jednak znacznie lepiej niż z gładkim koczkim i ulizaną fryzurą, która sprawiała, że jej twarz wydawała się nie tylko szczuplejsza, ale i jakaś ostra w wyrazie. Reszta postaci Zuzki pozostawała bez zmian. Garsonka czy džinsy – i tak wyglądała jak patyczak.

– Gapisz się na mnie – powiedziała zaczepnie.

– Nie, czekam, aż pociąg przejedzie.

– Nie gapisz się na pociąg, tylko na mnie. Coś ci nie pasuje?

– Czy każda osoba, która na ciebie spojrzy, musi się czepiać? – jęknął. – Po prostu wolę patrzeć na ciebie niż na pociąg. To coś złego?

– Podrywasz mnie? – wystraszyła się Zuza.

– Nie! – zaprotestował, po czym dodał z odrobiną urazy: – A gdyby nawet, to chyba nie jestem aż tak odrażający, żeby się wzdrygnąć ze wstrętem!

– To nie była odraza, tylko przerażenie – odcięła się zirytowana. – Przez takie rzeczy wszystko popsujesz!

– Jakie rzeczy?

– Takie! Flirty i takie tam!

– Nie flirtowałem z tobą! Tylko popatrzyłem! Masz włosy jak pudel i tyle! Nic więcej nie miałem na myśli!

– Nie podobają ci się moje włosy? – Teraz aż kipiała z urazy. – A cokolwiek ci się we mnie podoba?

– Nie! Przysięgam, że nic mi się nie podoba, więc nie popsuję niczego, co...

– Jestem odrażająca? – Szeroko otwarte oczy wwierciły się w niego jak dwa świdy.

– Nie! Dlaczego znów prowadzimy jakąś absurdalną dysputę?! – Tymek nie miał pojęcia, jakim cudem znów prowadzą rozmowę, której sensu nie rozumie.

– I do tego jestem głupia?!

Trąbienie z tyłu uratowało go od odpowiedzi. Pociąg już dawno przejechał, sądząc po ciszy przed nimi i nachalnym klaksonach za nimi.

– Przez ciebie nie zauważyłem, że przejazd już jest wolny – wytknął jej, ruszając z miejsca.

– Och, jasne, pewnie, zrzucić na mnie winę za swoje gapiostwo. Kto tu jest kierowcą? Powinieneś być uważniejszy na drodze. Nie jedziesz sam!

– Czy możemy trochę pomilczeć? – zapytał żałośnie, przez moment rozważając pomysł, by wynieść ją z auta i pozostawić gdzieś przy drodze i niech się dzieje, co chce. Niestety, z tego, co zaobserwował do tej pory, Zuza znacznie lepiej dawała sobie radę w kontaktach z innymi ludźmi niż on sam. Mogło to oznaczać, że to z nim jest coś nie tak, skoro dogadywała się ze wszystkimi wokół. Prócz Rurzyckiego. I Lambertowicza. I Waldiego. Właściwie dogadywała się wyłącznie z kobietami, uświadomił sobie. Może to wina tego gatunku, a nie jego konkretnie? Kobiety po prostu tak mają?

– Ależ proszę bardzo! – zawołała oburzona. – Nie odezwę się słowem. Ani jednym. Jeszcze będziesz mnie błagał, żebym coś powiedziała. Ale wiesz co? Nic! Wielkie nic! Nie usłyszysz ode mnie ani jednego dźwięku! Jednej literki nie wyartykułuję! Oddychać też będę po cichu, żeby przypadkiem nie urazić tych twoich wrażliwych uszu!

– Jak na kogoś, kto zamierza milczeć, masz sporo do powiedzenia. – Nie zamierzał kręcić na siebie bata, ale jakoś mu się to wymknęło. Może właśnie on powinien milczeć. Co się odezwie, to awantura.

Już, już miała znów wybuchnąć, lecz nagle zacisnęła zęby, zamieniając usta w wąską kreskę, oczy jej się zwięzły niebezpiecznie, piąstki zacisnęły tak mocno, że kostki zbielały, po czym prychnęła jak rozzłoszczona kocica i... Ku uldze Tymka nic się nie wydarzyło. Odwróciła się w stronę okna i wbiła wzrok w przestrzeń, nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku. Obawiał się, że mogła przestać oddychać, ale nie zamierzał o to pytać. Zacznie się martwić, gdy dziewczyna straci przytomność.

Mężczyźni! Zuza w duchu kipiała ze złości. Co jeden, to lepszy! Jedyne Romek Magdy jest do rzeczy. Siedzi cicho jak mysz pod miotłą i nie wypycha się tam, gdzie go nie chcą. I tatuś. Tatuś też jest w porządku. Ale może to kwestia wieku, doświadczenia i wielu lat obcowania z kobietami. Tymek jest na początku tej drogi i zupełnie nie uczy się na błędach, wciąż popełnia te same. Jakie, tego już nie precyzowała. Ta hipoteza właśnie stała się dla niej prawdą ostateczną.

Czesiek i Sroka to dwa karaluchy. Powinno się je rozdeptać, ale, jak to karaluchy, atomówkę przeżyją. I tak kiedyś będzie wyglądał ten świat. Jedyne, co z niego zostanie, to pustynia, może nawet lodowa, są różne teorie. I karaluchy.

Rurzycki plasował się gdzieś w połowie rankingu, między porządnym facetem a karaluchem. Lambertowicz... Cóż, bliżej mu było do karalucha w tym rankingu, a Waldi... Zuza zajęła się oceną poznanych ostatnio mężczyzn... Waldi powinien mieć osobną pozycję – obleśnego karalucha. A Maczki – zastanawiała się, gdzie ich umieścić. Chyba powinnam wprowadzić więcej stopni męskiej ewolucji, pomyślała. Porządny facet i karaluch – to zdecydowanie za mało. Wyjęła notes i długopis. Musi starannie rozpisać ten temat.

– Jesteśmy na miejscu.

Tymek delikatnie szarpnął śpiącą dziewczynę za ramię. Zuza nadal trzymała w ręku notes i długopis. Coś tam gryzmoliła w czasie jazdy, ale poza rysunkiem jakiegoś robaka na pierwszej stronie nie zauważył, by cokolwiek więcej stworzyła. Talentu graficznego nie miała. Robakowi bliżej było do Picassa niż do da Vinci. Tymoteusz postanowił jednak

tego nie komentować. Jeszcze się okaże, że to nie żaden robak, tylko jego własny autoportret.

Zuza ziewnęła szeroko, prostując się na fotelu.

– Masz ochotę na kawę?

Pociągnęła lekko nosem, i rozejrzała się wokół. Tymek zaparkował auto tuż przed budynkiem. Sądząc po otaczających ich zewsząd samochodach, miał szczęście, że znalazł miejsce.

– Czy wolisz od razu zacząć poszukiwania?

Schowała do torebki notatnik i długopis, wyjęła telefon i sprawdziła godzinę.

– Przestałaś się do mnie odzywać? – zapytał ze znużeniem.

Zuza wysiadła z samochodu i delikatnie zamknęła za sobą drzwi. To zły znak, uznał zaniepokojony Tymek.

– Jak chcesz prowadzić poszukiwania, nie odzywając się do nikogo? – zapytał, gdy stanął przy niej na chodniku.

Zuza znów nie odpowiedziała. Zamiast tego wyjęła na powrót notatnik i długopis.

„Nie odzywam się tylko do ciebie”, napisała na kartce, którą podetknęła mu pod oczy gestem tak zamaszystym, że musiał odchylić głowę, by ratować nos.

– Zachowujesz się jak dziecko – stwierdził z lekceważeniem.

„Sam tego chciałeś”.

– Nie chciałem się kłócić!

„To trzeba było nie zaczynać”.

– Ja tylko na ciebie spojrzałem!

„Aha”.

– Co to ma znaczyć? „Aha”? To jedyne, co masz do powiedzenia?!

„No”.

– Oszaleję. Jak mi Bóg miły, oszaleję z tobą. Musimy znaleźć Srokę, a tracimy czas na kłótnie!

„To szukaj. Kto ci zabrania?”.

Ruszyła do parku. Na widocznych z dala ławeczkach siedzieli ludzie w różnym wieku. Pewnie nie tylko kuracjusze, ale i odwiedzający, którzy wpasowali się w tłum. Tymek szybkim krokiem poszedł za dziewczyną, za jej plecami wykonując rękoma gest duszenia, skręcania karku, sam już nie był pewien, co właściwie chciał zrobić. Może wystarczyłoby ją kopnąć w ten kościsty tyłek, żeby wreszcie oprzytomniała.

Siedzące na ławeczce przy klombie dwie starsze panie obserwowały ich uważnie. Obydwie miały na sobie dresiki i buty ortopedyczne. Obok ławki – po każdej stronie – stały oparte kule inwalidzkie. Starannie utlenione włosy kuracjuszek schowane były pod słomkowymi kapelusikami przewiązаныmi wstążeczkami. Zuza z lekkim rozbawieniem zauważyła, że jedyne, co odróżniało od siebie te kobiety, to kolor dresów – jedna miała wściekle różowy, a druga kanarkowy – oraz figura. Jedna z pań była szczupła i koścista, druga lekko korpulentna. Buty i kapelusiki miały identyczne. Do tego obok każdej z nich leżał na ławce niewielki kolorowy plecaczek.

– Dzień dobry! – zawołała Adela, uśmiechając się ujmująco, jak potrafiła, gdy tylko tego chciała.

– Ależ, Adelo! – zawołała oburzona Jadwiga. – Nie powinnaś zaczepiać obcych ludzi!

– Ja ich nie zaczepiam, tylko witam, Jadziu. Gdzie twoje dobre maniery? – zganiała swą towarzyszkę.

– Ty mi nie zarzucaj braku dobrych manier. Gdybyś sama miała takowe, to witałabyś wszystkich, a nie tylko niektórych, co oznacza, że ich zaczepiasz – obstawała przy swoim Jadwiga.

– No wiecie państwo! – oburzyła się tamta. – Jak możesz mnie posądzać o takie rzeczy? Nie widzisz, jaka to urocza para? Ta niema panienka i jej mąż? To prawie jak *Mała syrenka* Andersena, Jadziu. Ty nie masz za grosz wyobraźni!

– Nie muszę! To Emilka pisze książki, a nie ja! A ten twój książę to jakiś taki mało ogolony jest. Może niedowidzi!

Zuza z rozbawieniem słuchała handryczących się staruszek. Spłoszona mina Tymka, gdy sprawdzał ręką podbródek i policzki, wynagrodziła jej kłótnię w aucie.

– Bo, proszę państwa, moja synowa jest znaną pisarką. Emilia Przecinek, może państwo o niej słyszeli?

Oboje pokręcili przecząco głowami, ale starsza kobieta mówiła dalej, nie bacząc na ich ignorancję.

– No właśnie, wiedziałam – oznajmiła z takim zadowoleniem, jakby oboje przytaknęli. – Ale ja, proszę państwa, nie pretenduję do roli teściowej wielkiej pisarki, o nie! Za to jej matka – wskazała palcem na siedzącą obok koleżankę – zachowuje się, jakby osobiście przekazała naszej Emilce talent w genach!

– A niby po kim go dostała?! Na pewno nie po swoim ojcu!

– Przecież ty nie masz za grosz talentu literackiego!

– Skąd możesz wiedzieć?! Może i mam!

– Książki nie napisałaś!

– Ale chciałam!

– Kartki na zakupy nie umiesz zrobić!

– Ależ, bardzo proszę, niech się panie nie sprzeczą – poprosiła Zuza, na równi z Tymoteuszem przerażona zajadłością kłótni.

– A kto się sprzecza? – zapytała z zaskoczeniem Adela.

– My tylko rozmawiamy. – Kobieta w kanarkowym dresie wydawała się równie zdumiona, co jej towarzyszka.

– Odniosłam wrażenie, że...

– To było mylne wrażenie – oświadczyła z godnością Jadwiga.

– Oczywiście, że mylne. My się nigdy nie kłócimy – poparła ją Adela.

– Nigdy! – Jadwiga gorliwie kiwała głową w fikuśnym kapelusiku, dokładnie takim samym jak Adeli. Nie sądziła, że aż tak się zaprzyjaźnią, zwłaszcza że tamta miała, jej zdaniem, zbyt swobodny jak na siedemdziesięcioparolatkę sposób ubierania się. Ku swemu zdumieniu jednak dała się w końcu namówić na kupno dresu – i czuła się teraz swobodnie i wygodnie, a w pastelowych kolorach było jej wyjątkowo do twarzy. Chociaż różowego dresu w kolorze tak jaskrawym, że aż raził oczy, nie włożyłaby nigdy.

– Wiesz, Jadziu, że ty miałaś rację – zawołała nagle Adela.

– Oczywiście, że tak. Ja zawsze mam rację. Ale tym razem z czym miałam rację?
– spytała Jadwiga.

– Wodze wyobraźni popchnęły mnie w złym kierunku.

– Jak zawsze, tylko do czego właściwie zmierzasz?

– Ależ, Jadziu, jak to do czego? Przecież to nie jest żadna syrenka. Ona mówi! – Starsza pani zwana Jadwigą pokazała palcem powietrze w stronę Zuzy, która wraz z Tymkiem w dalszym ciągu stała naprzeciw nich obu, nie wiedząc, czy mogliby już odejść czy też rozmowa nadal ich dotyczy i są jej współuczestnikami. W tym drugim przypadku oboje postąpiliby bardzo niegrzecznie.

– Oczywiście, że mówi!

– Ale wcześniej pisała!

– To znaczy, że nie mówi?

– Ale ona pisała do niego, a on odpowiadał! Mój wniosek był słuszny.

– Mógł być słuszny, Adelo. Mógł. Ale nie był.

– Chcesz powiedzieć, że mam już demencję?

– Ależ skąd! – zaprzeczyła żarliwie Jadwiga. – Masz doskonałą pamięć! To ci dwoje wprowadzili cię w błąd! – oświadczyła stanowczo, łypiąc na nich groźnie spod okularów w rogowych oprawkach.

– Dzisiejsza młodzież nie ma za grosz szacunku dla starszych – westchnęła Adela tak żałośnie, jakby Zuza wraz z Tymkiem złośliwie i celowo wyrządzili jej horrendalną krzywdę.

– Ależ proszę pani – zaczął protestować Tymoteusz, którego wyłącznie szacunek dla starszych pań trzymał jeszcze na miejscu i zmuszał do słuchania ich sprzeczki.

– Weźmy naszego wnuka, Kropeczka. Czy państwo wiedzą, jak on na nas mówi?

– Pterodaktyl! – z nutą satysfakcji w głosie poinformowała ich Jadwiga.

– Jak zapytałam co to, powiedział, że ptaszek! Ptaszek! Wyobrażacie sobie?! – Adela zdenerwowała się na samo wspomnienie.

– A to jest żaden ptaszek, tylko prehistoryczne ptaszysko! – dopowiedziała Jadwiga. – Wykulałam sobie w internacie!

– W Internecie, Jadziu, w Internecie. I nie wykulałaś, tylko wygulałaś – poprawiła ją Adela z wyższością.

– Chyba pani Jadwiga wygoogłała – wtrąciła się Zuza.

– Ta młodzież wymyśliła tyle nowych słów, że nie mogę wszystkich spamiętać. Ale ja też nie mam żadnych demencji – szybko zastrzegła się wymieniona.

– Oczywiście, że nie masz – poparła ją Adela.

– Czego nie mam?

– Demencji.

– Ktoś powiedział, że mam? – zirytowała się tamta.

Adela komicznie przewróciła oczami.

– Kto to był? Kropeczek? – koniecznie chciała wiedzieć.

– Kim jest Kropeczek? – zapytała Zuza, która za nic w świecie nie odeszłaby teraz od starszych pań.

– To mój wnuk.

- Kropeczek Przecinek? – Tymoteusz starał się zamaskować chichot, kaszłąc.
- Nazywasz się Tymoteusz Magnus. Nie masz nazwiska, tylko imiona. Radzę się nie naśmiewać – powiedziała z krzywym uśmiechem Zuza.
- Kropeczek ma na imię Klemens – wyjaśniła Adela.
- Też bym wolał być Kropeczkiem niż...
- A moja wnuczka Kropka ma na imię Krystyna – dodała jeszcze Jadwiga.
- Nasza, Jadziu, nasza – poprawiła ją Adela.
- Oczywiście, że nasza – zgodziła się z nią tamta.
- Powiedz mi, dziecko, dlaczego do niego pisałaś, skoro nie jesteś niemową? – zainteresowała się Adela.
- Bo z nim nie gadam.
- Oczywiście! – zawołała Jadwiga. – A ty, moja droga, myślałaś, że to jakaś zakochana para!
- A co ma piernik do wiatraka? – zdziwiła się Adela. – Myślisz, że ja rozmawiałam z moim byłym mężem, kiedy jeszcze go kochałam?
- Rozwód? – zapytała ze współczuciem Zuza.
- A gdzie tam. Bezczelnie umarł. I to zupełnie bez pytania, wyobraź sobie, dziecko drogie.
- A właściwie dlaczego ty z nim nie rozmawiasz? – zapytała z ciekawością Jadwiga.
- Bo umarł! – krzyknęła gromkim głosem Adela.
- Tej kruszyny się pytam, a nie ciebie! Dlaczego nie rozmawiasz z tym uroczym chłopcem? Chociaż mógł się dokładniej ogolić...
- Oj, Jadziu, pytasz się, jakbyś się wczoraj urodziła! – zawołała Adela. – Przecież to oczywiste!
- Niby co?
- To mężczyzna! Czy musi być inny powód? Albo już coś zrobił, albo kombinuje, żeby zrobić, ewentualnie nie zrobił tego, co miał zrobić. Mężczyźni tak mają. Zapomniałaś już, jak to z nimi jest?
- Jan się poprawił – odparła z godnością Jadwiga. – Ostatnio kwiaty mi przyniósł.
- Bo to już ten wiek! – Adela wzniosła oczy, szukając wsparcia w boskiej opatrności. – Czy ja muszę ci wszystko tłumaczyć?
- Z wiekiem charakter mu się poprawił. – Jadwiga broniła byłego męża, który po kilkudziesięciu latach postanowił do niej wrócić.
- Za młodszymi nie będzie się oglądał, bo już nie ma po co, więc przynajmniej dobrze sobie zje. Oj, Jadziu, trochę realizmu! – zganiła ją Adela.
- Miło było panie poznać. Na nas już pora. – Tymek usiłował odejść, zanim wszystkie trzy dokonają na nim samosądu.
- Chyba na ciebie. Mnie się bardzo miło z paniami rozmawia. – Zuza uśmiechnęła się niewinnie.
- To właśnie miałam na myśli. – Adela spojrzała na niego surowo. – Od razu odwrót!
- To prawda. Mężczyźni nie radzą sobie z problemami. Zwłaszcza emocjonalnymi

– dodała Jadwiga. – Dziurę w ścianie zalepić, gwóźdź wbić to od biedy dadzą radę zrobić, ale pokonać kryzys emocjonalny? Poległ na polu chwały!

– Na jakim polu chwały? Padł trupem, bo było łatwiej, szybciej i kto inny musi grób kopać! Żadnej chwały w tym nie ma!

– Masz rację, Adelo. Oni po prostu się poddają. I uciekają.

– Jak twój Jan.

– Jak mój Jan – zgodziła się z nią Jadwiga. – Ale wiesz, moja droga, Alojz też od ciebie uciekł, tyle tylko, że skuteczniej.

– To było niemile, Jadziu – zganiała ją Adela.

– Masz rację, ale to ty zaczęłaś.

– Naprawdę? – zdziwiła się tamta. – Byłam niemila?

– A może panie mogłyby nam pomóc?

Zuzanna postanowiła spróbować. Może któraś z tych zabawnych staruszek będzie coś wiedziała na temat Hieronima Sroki. I tak zamierzała pytać o niego ludzi, więc równie dobrze mogła zacząć od teraz.

– Ależ, oczywiście, moja droga. Jak potrzebujesz porady sercowej, to nie mogłaś lepiej trafić – zapewniła ją Adela. – My wiemy wszystko.

– Oczywiście, że tak – dołączyła się Jadwiga. – Wiemy wszystko. Ale o czym, Adelo? – zakłopotana się nagle.

– No wiesz, Jadziu, teraz to ja już się nie dziwię, że Emilka bała się puścić nas same do tego sanatorium. Musiałam jej obiecać, że się tobą zaopiekuję, i nie rozumiem, dlaczego jej to nie uspokoiło.

– Emilka lubi się martwić bez powodu – odrzekła Jadwiga. – Wcale nie potrzebuję opieki. Doskonale radzę sobie sama.

– A ktoś dziś szukał okularów?

– Nie mogłam ich znaleźć, bo były na twoim nosie! – wypomniała gniewnie swojej towarzyszce.

– Rzeczywiście – zakłopotana się Adela. – Muszę częściej chodzić na jogę. Rozjaśnia mi umysł.

– Chodzi pani na jogę? – zdziwiła się Zuzanna.

– Oczywiście, że tak!

– Ale tylko patrzeć – docięła jej Jadwiga.

– Bo jestem po operacji biodra i nie wolno mi się wyginać!

– Przepraszam! Potrzebuję pomocy! – Zuza obawiała się, że za chwilę rozpocznie się kolejna sprzeczka, a wtedy już nie zdoła dojść do słowa.

– Pytaj, moje dziecko. W czym mogę ci pomóc? – zachęciła ją łaskawie Adela.

– My, Adelo, my możemy pomóc – poprawiła ją zgryźliwym tonem Jadwiga.

– Ależ oczywiście, że my, Jadziu. – Adela zamrugnęła znacząco do Zuzanny. Wielokrotnie. Tymek nie był pewien, czy to nie tik nerwowy, ale chyba nie, bo po chwili przestała.

– Szukamy Hieronima Sroki. Koło sześćdziesiątki, niski, wysokie zakola na czole – opisała go szybko Zuzka.

Tymek tylko kiwał głową twierdząco.

– Hm... Moja droga... Zakola i wiek to żaden opis. Ale był tu jeden Hieronim, tylko jak on się nazywał? – zastanawiała się Adela.

– Wcale się nie nazywał – wtrąciła Jadzia.

– Ależ co ty mówisz, Jadziu. Jak to się nie nazywał? Każdy jakoś się nazywał!

– Ale chodzi mi o to, że mówiłyśmy do niego „panie Hieronimie”! Nie wiemy, jak się nazywał!

– Tak, Jadzia ujęła to znacznie lepiej. Nie wiemy, jak się nazywał – potwierdziła Adela.

– Podobno to miły starszy pan – powiedział Tymoteusz, posługując się opisem sąsiadki Sroki. Może wszystkie kobiety widzą go jakoś podobnie i takie określenie wystarczy. – Porusza się o kuli i cierpi na artretyzm.

– A to by się mogło zgadzać! – Jadwiga nie kryła entuzjazmu. – Ten nasz Hieronim też był miły i miał artretyzm.

– Podobnie jak połowa kuracjuszy, Jadziu – zgasiła jej zapal Adela. – To sanatorium, a nie hotel. Tu nie ma zdrowych ludzi. I on wcale nie wyglądał na sześćdziesiąt lat.

– To racja. Nie wyglądał – potwierdziła Jadwiga. – Nawet bez okularów nie wyglądał.

– Nosił okulary? – zapytała Zuza. Może się przebrał?

– Ja noszę okulary, moja droga.

– Nie rozumiem...

– A co tu rozumieć? Jak je zdejmę, to widzę niewyraźnie.

– Jadzia chciała powiedzieć, że nawet jak go nie widziała wyraźnie, to też nie wyglądał na sześćdziesiątkę.

– Rozumiem – westchnęła Zuza.

A zatem to nie on. Przyjazd tutaj był jak strzał kulą w dziurawy płot. Pierwsze napotkane osoby i mieliby zaliczyć kolejne trafienie? Chyba w stodołę. Tymoteusz popukał w zegarek, dając jej do zrozumienia, że tracą czas. Tym razem – wyjątkowo – Zuzanna musiała przyznać mu rację.

– Obiad jest o trzynastej – poinformowała ją Adela.

– Dziękuję, nie jestem głodna.

– Nic nie dostaniesz, dziecko, bo nie jesteś kuracjuską. Ta młodzież jest taka niedomyślna, Jadziu – westchnęła.

– To prawda, moja droga, to prawda. Ale właściwie dlaczego?

Adela z ubolewaniem pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „Widzicie, co ja z nią mam?”.

– Możecie wpaść do stołówki i się rozejrzeć. Te żarłoki za nic nie opuszczą posiłku. Musiałoby ich chyba połamać, powyginać i całkowicie unieruchomić.

– Kogo, Adelo? – zapytała Jadzia. Z jej miny jednoznacznie wynikało, że nic nie rozumie.

– Wzięłaś dzisiaj leki, Jadziu?

– Które?

– Och, Boże! – jęknęła Adela. – Strzeż mnie, Panie Boże, przed starymi ludźmi, bo

osiwieję!

– Jesteś starsza ode mnie! – oburzyła się Jadwiga. – I siwa jak gołąb, tylko ufarbowana!

– Nieprawda! – wykrzyknęła Adela, wojowniczo wysuwając podbródek.

– Babciu! – Kłótnię przerwał wysoki, chudy nastolatek, który niezauważony przez nich zbliżył się do ławki.

– Kropeczek! – wykrzyknęły obie radośnie, natychmiast zapominając o sprzeczce.

– Co tu robisz? – zapytała Adela. – Emilka z tobą przyjechała?

– Nie, babciu, mama kazała mi was przywieźć z powrotem, zanim sama przez was osiwieje. Dzień dobry państwu – przywitał się grzecznie z Zużą i Tymonem. – Jesteście już spakowane?

– Ale przyjechałeś za wcześnie! Turnus kończy się w sobotę! – zawołała Adela.

– To dziś, babciu. Dziś jest sobota – wyjaśnił.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Jadziu, uwierzysz, że dziś jest sobota?

– A wiesz, Adelo, że chłopiec może mieć rację? Ten wczorajszy wieczorek zapoznawczy chyba był pożegnalnym.

– No wiesz, Jadziu! Oczywiście, że tak! Po co urządzać wieczorek zapoznawczy na koniec turnusu?

– Jesteście spakowane? – zapytał chłopak, przeczesując palcami kędzierzawe włosy. Choć Zuza przez moment miała wrażenie, że Kropeczek zaraz zacznie je rwać sobie z głowy.

– Gdyby dziś była sobota, tobyśmy byli – poinformowała go buntowniczo Jadwiga.

– Jest sobota!

– Ale dowiedziałyśmy się o tym dopiero teraz. Gdybyśmy wiedziały od rana, tobyśmy byli spakowane. A skoro mamy piątek, nie jesteśmy spakowane – wyjaśniała Adela.

– Jest sobota! – powtórzył po raz trzeci.

– Ale nam się wydawało, że piątek, więc działałyśmy w przeświadczeniu, że to piątek. – Dalszą część wyjaśnień wzięła na siebie Jadwiga. – I dlatego nie jesteśmy spakowane, a teraz pomagamy tym miłym państwu znaleźć Anonima Wronę.

– Hieronima Srokę – poprawiła ją Zuzanna.

– I jak wam idzie? – zapytał wnuk.

– Z czym, Kropeczku? – zapytała Jadwiga.

– Z Hieronimem Sroką?

– A kto to?

– O Boże! – jęknął chłopak. – Trzy godziny w samochodzie. Trzy godziny! – powtórzył z jeszcze większą rozpaczą.

– Możemy robić postoje, Kropeczku, jeśli to dla ciebie za długa droga – zaproponowała Adela.

– Czas jest względny. W takich chwilach rozumiem, co miał na myśli Einstein – jęknął chłopak. – Zrobimy tak. Pójdziemy do pokoju i się spakujecie. A ja w tym czasie...

– Pomożesz tym miłym państwu znaleźć Anonima Wronę – ucieszyła się Jadwiga.

– Dobrze, pomogę. Ale jak wrócę i nie będziecie spakowane, zadzwonię do mamy i wszystko jej opowiem. A mama właśnie pisze nową powieść i nie wolno jej przeszkadzać. Wiecie, co będzie, jak mama przestanie pisać? Wieśka się wścieknie i dobierze się wam do tyłków. Czy wyraziłem się jasno? – zagroził im chudy dziewiętnastolatek.

– Wystarczyło powiedzieć „proszę” – odrzekła urażona Adela, dźwigając się z ławki.

– Ja też prosiłem i wie babcia, co mama mi powiedziała? – Nie czekając na odpowiedź, oświadczył ze wstrętem: – Że już raz na świat mnie z siebie wypchnęła, więc zaraz zrobi to jeszcze raz, tyle że wypchnie mnie za drzwi. I jak stanę się samowystarczalny finansowo, to wtedy będę mógł powiedzieć „nie”, a teraz mam się nie wychylać, bo Daria nie z takimi jak ja sobie radziła.

– Kim jest Daria? – zapytała Jadwiga. – Nie znam żadnej Darii, a ty, Adelo?

– Nie, nic mi to nie mówi. A tobie, Jadziu?

– No przecież już powiedziałam, że nie!

– Daria jest najnowszą bohaterką powieści mamy i zdaje się, że właśnie wróciła z jakiejś misji w Afganistanie, więc to kobieta z jajami i pistoletem. Mama znów za bardzo się wczuwa w swoją powieść. Oby tylko nie doszło do rękoczynów! – westchnął.

– Chodźmy, Jadziu – ponagliła tamtą Adela.

– Dokąd? – zapytała jej towarzyszką, wstając z ławki. Podparła się kulą, na której powiesiła plecaczek.

– Do naszego pokoju. Spakować się.

– A obiad?

– Jeśli dziś jest sobota, to obiad już nam się nie należy – wyjaśniła Adela, kuśtykając wolno obok poruszającej się w tym samym tempie przyjaciółki.

– O rany! – Tymoteusz gwizdnął.

– Dobrze powiedziane – stwierdził nastolatek.

– Są przeurocze – oświadczyła Zuzanna.

– One? – zawołał z niedowierzaniem Kropeczek. – A hodowała pani kiedyś w domu pterodaktyle? Jak skombinuje sobie pani jednego, to wtedy pogadamy.

Oburzona Zuza już chciała mu powiedzieć kilka słów prawdy, ale nie zdążyła. Ubiegł ją Tymek. Tyle tylko, że nie powiedział ich chłopakowi, lecz jej.

– Wyobraź sobie własną matkę w dwóch osobach i dwadzieścia lat starszą.

Zuza zbladła i zamilkła. Wbrew temu, co się niektórym wydawało, wiedziała, kiedy nie ma racji.

– Dobra, o co chodzi z tą wroną?

– Nic takiego. Poradzimy sobie – zapewnił Kropeczka Tymoteusz. – Lepiej pomóż babciom.

– Mowy nie ma. Będą się kłócić z godzinę. Pójdę po walizki, jak się zmęczą. To o co biega?

– Szukamy kogoś – wyjaśniła Zuza.

– Nie możecie zapytać w recepcji?

– Nie udzielają informacji o kuracjuszach – wyjaśniła Zuza.

– Też mi problem. – Nastolatek wzruszył ramionami. – Kupcie karton, wrzucie coś do środka, żeby wyglądał na ciężki, oklejcie dobrze taśmą i zanieście do recepcji, że przesyłka do rąk własnych.

Patrzyli w niemym zdumieniu za oddalającym się chłopakiem.

– To lepszy pomysł niż chodzenie po parku – przyznał po dłuższej chwili Tymoteusz.

– Niby tak – zgodziła się niechętnie Zuza. Ale znacznie chętniej, niż gdyby to był pomysł Tymka. Nadal była na niego zła, chociaż już nie pamiętała o co.

– Możemy też przeszukać stołówkę, jak proponowały pterodaktyle.

– Nie mów na nie tak – oburzyła się Zuza. – My też kiedyś tacy będziemy.

– Stetryczali tetrycy? Wiem, że tak. Niektórzy z nas już są.

Ktoś powinien odciąć mi język, pomyślał w tej samej chwili.

– Fakt. – Zgodziła się z nim spokojnie Zuzanna. Tymek spojrział ze zdumieniem. Czyżby ktoś ją podmienił? To niemożliwe, by z takim spokojem przyjęła jego uwagę.

– Rurzycki zachowuje się dokładnie w ten sam sposób – powiedziała.

– Rurzycki? – zdziwił się, ale na szczęście zreflektował się szybko. – Właśnie jego miałem na myśli. Z pewnością uciałby sobie z nami niezłą pogadankę na temat naszego przyjazdu tutaj.

– Najpierw musiałby na to wpaść – mruknęła. – To co? Kombinujemy paczkę?

– Pewnie. Warto spróbować. Jak się nie uda, będziemy chodzić po stołówkach i wprosimy się na wieczorek zapoznawczy. – Tymek czuł, że to może zadziałać.

Co nie oznacza, że znajdą Srokę. Prawdopodobieństwo takiego szczęśliwego trafu było równe szansie wygrania kumulacji w Lotto przy uwzględnieniu faktu, że nie wysyłał żadnych kuponów. W zaistniałej sytuacji jego samopoczucie poprawiały wszelkie działania, choćby irracjonalne. Lepsze to niż siedzenie w domu i rozpaczanie.

– Jesteś świadoma tego, że nasze szanse są zerowe? – zapytał.

– Oczywiście, że tak, ale lepiej robić cokolwiek niż siedzieć z założonymi rękami i zalewać się łzami. Szukamy Sroki i oszczędzamy pieniądze dzięki mieszkaniu, które znalazłeś. To lepsze niż nic – odparła Zuza z werwą, której jej zazdrościł. Ale ona przez ostatnie dwie godziny spała snem sprawiedliwego, podczas gdy on kłął na kierowców przekraczających prędkość, wymuszających pierwszeństwo i zawalidrogi, które wlokły się lewym pasem, zamiast jechać prawym.

Dwie godziny później – w drugim z kolei sanatorium – ku swemu zdumieniu usłyszeli:

– Przykro mi, ale pan Sroka wczoraj zakończył swój pobyt u nas. Już wyjechał – powiedziała recepcjonistka.

– Jest pani pewna? – zapytała podekscytowana Zuzanna. – Rodzina prosiła, żebyśmy podrzucili tę paczkę.

– Oczywiście. – Kobieta wskazała palcem na monitor komputera, który widzieli tylko od tyłu. – Jego turnus zakończył się wczoraj. Odebrał dokumenty i wyjechał.

– Wiadomo dokąd? – zapytała podekscytowana Zuzanna.

Tymek spojrział na nią z politowaniem.

– Zakładam, że do domu, proszę pani – odparła zdziwiona pytaniem recepcjonistka.

– Gdzie indziej miałyby jechać?

– Oczywiście, to było głupie. Po prostu nie bardzo wiemy, co teraz zrobić z tą paczką – usprawiedliwiała się.

– Proponuję odesłać panu Sroce albo rodzinie – poradziła im kobieta. – Przykro mi, że nie mogę pomóc – rzuciła jeszcze na zakończenie zdawkową formułkę i sięgnęła po telefon, patrząc na nich wymownie.

Tymek podziękowała jej za poświęcony czas i odciągnął Zuzę od kontuaru.

– On tu był! – ekscytowała się. – Ten przeklęty oszust nawet się nie ukrywa, tylko bezczelnie korzysta z naszych pieniędzy!

– Są lepsze miejsca na korzystanie z wyłudzonych pieniędzy niż sanatorium. Nie masz wrażenia, że coś tu nie pasuje? – zapytał, bynajmniej nieucieszony pozornym sukcesem ich poszukiwań.

– Oczywiście, że nic mi tu nie pasuje, ale może to idiota, który myśli, że ma do czynienia z innymi idiotami. Może myśli, że cała nasza trójka mieszka sobie razem zgodnie i szczęśliwie pod jednym dachem.

– Zuza...

– Wiem, o co chodzi. Facet zachowuje się tak, jakby wcale się nie ukrywał – powiedziała ze złością. – Nie jestem idiotką. Trzeba zadzwonić do Rurzyckiego, że Sroka prawdopodobnie wrócił do domu.

– Czy ja wiem? – zawahał się. – Nie masz wrażenia, że... sam nie wiem, jak to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało głupio... Widziałem kiedyś taki film o światach alternatywnych. Wszędzie żyli ci sami ludzie, tylko inaczej. Na przykład w świecie numer jeden Sroka jest przestępcą, w świecie numer dwa – lekarzem, a w trzecim...

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Ale my żyjemy w świecie numer jeden, gdzie Sroka jest oszustem i na pewno nie przybył tu jego sobowtór ze świata numer dwa, żeby zmylić ślady. Wracamy do Kłopotowa – zdecydowała Zuza.

– A Rurzycki?

– Upewnimy się, że Sroka jest w domu. Wtedy zadzwonimy.

– Przypominam o Lambertowiczu i jego wekslu.

– Zadzwonimy do niego, ale nie będziemy zmuszać Sroki, żeby podpisał weksel. Niech sam się tym zajmie, jeśli zdąży.

– Ale umowa...

– Daj spokój, Tymek, naprawdę chciałeś się z niej wywiązać? Pokemon nie jest głupi. Wie, że nic nie zrobimy Sroce. Nie wiem, po co nam wcisnął ten weksel. – Do Zuzy dopiero teraz dotarło, jak idiotyczna była umowa, którą zawarli z Adamem Lambertowiczem. Naprawdę liczył, że odwałą za niego brudną robotę? Niemożliwe. Coś kombinował. Tylko co?

Zuza milczała całą drogę, toteż ani razu się nie pokłócili. Od poprzedniej sprzeczki, rzecz jasna. O czymkolwiek rozmyślała, nie było to nic przyjemnego. Siedziała ze wzrokiem wbitym w boczną szybę, czoło miała zmarszczone, wargi zaciśnięte. Nawet włosy jej oklapły, a przynajmniej takie odnosił wrażenie. Tymek wołał jednak nie pytać. Mógł przejechać tę trasę spokojnie i w milczeniu, i właśnie to zamierzał zrobić. Nie jedli od rana, ale dziewczyna nie zgłaszała, że jest głodna, więc on też milczał. Chciał jak

najszybciej dotrzeć do Kłopotowa i sprawdzić, czy Sroka rzeczywiście wrócił na Akacjową.

Zuza wyśmiała jego teorię światów alternatywnych, ale Tymoteusz wciąż miał wrażenie, że chodzi o dwóch różnych ludzi.

– Sroka wynajął sobowtóra, który pojechał za niego do sanatorium. – Ta myśl w pełnej okazałości objawiła się przed nim w chwili, gdy zgasił silnik. To było logiczne wyjaśnienie całej sytuacji.

– Skąd ten pomysł?

– Miły starszy pan? Czy ten oszust przypominał ci miłego starszego pana? Tak określiła go sąsiadka.

– Aha, i wynajął kogoś dziesięć lat wcześniej, przewidując, że otrzyma spadek, oszuka kilka osób, a potem zniknie, kierując fałszywy trop do sanatorium w Inowrocławiu. Musiałby być jasnowidzem.

– Możesz sobie kpić, ale mam przeczucie, że...

– Że Sroka nie jest Sroką?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Lepiej by tego nie ujął. Ale jeśli człowiek, który ich oszukał, nie był Hieronimem Sroką, to kim był?

– Sądzę, że jest ich dwóch – powiedziała Zuza. Jej słowa i powaga, z jaką je wygłosiła, sprawiły, że Tymek w pierwszej chwili nie zrozumiał, co miała na myśli.

– Oszustów? – zapytał po dłuższej chwili.

– Ten z Akacjowej nie jest naszą Sroką.

– Naszym Sroką.

– Nieważne – odrzekła bagatelizującym tonem. – Uświadomiłam sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, Rurzycki odwiedził wszystkich naszych sąsiadów na Spokojnej, zatem dlaczego miałby mnie okłamać co do Akacjowej? Nie okłamał. On naprawdę nie wiedział, o co nam chodzi. Po drugie, sąsiadka Sroki często go widywała przez ostatnie dziesięć lat. Chybaby się zorientowała, gdyby go zamknęli w więzieniu, bo zniknąłby na półtora roku. A nie wspomniała o tym słowem. O jego kryminalnej przeszłości dowiedziała się od nas. To nie jest nasza Sroka.

Tymek przetrwał w milczeniu każde jej słowo.

– Jeśli masz rację... – odezwał się po chwili.

– Mam.

– Jeśli masz rację – uniół palec do góry, by mu nie przerywała – to nagadaliśmy strasznych rzeczy na niewinnego człowieka.

– Myślę, że Lambertowicz szuka naszej Sroki, ale źle ustalił adres. Zbieżność imion i nazwisk.

– Musimy go obejrzyć – zdecydował Tymoteusz. – Wtedy będziemy wiedzieli. – Wysiadł szybko z auta i nie czekając na Zuzę, ruszył znaną mu już drogą między blokami. Była jedna rzecz, której jej nie powiedział, a powinien to zrobić, nim Rurzycki się z nimi skontaktuje. Dopiero będzie wściekła, gdy dowie się o wszystkim od komisarza!

Mieszkanie na Kamiennogórskiej było puste. Tak samo puste jak kilka dni temu, gdy wyłamali zamek, by się dostać do środka. Wyłamane drzwi nadal były oklejone taśmą policyjną, z tą tylko różnicą, że teraz została zerwana.

Przez niego.

– Co się dzieje, komisarzu? – zapytał jeden z towarzyszących mu policjantów.

– Falszywe informacje. Zabezpieczcie z powrotem drzwi i wracajcie na komisariat – polecił, wychodząc z mieszkania. Zbiegając po schodach, wybrał numer Magnusa. Miał do Tymoteusza kilka pytań, których nie zadał od razu, gdy ten wysłał mu wiadomość, że Sroka wczoraj wrócił do domu.

Po pierwsze – bardzo by chciał wiedzieć, jak zdobyli adres.

Po drugie – skąd ta informacja.

Po trzecie – dlaczego nie siedzą na przysłowiowych czterech literach, jak im przykazał.

Tymoteusz spojrział niespokojnie na nazwisko, które wyświetliło się na ekranie telefonu. Szybko wyciszył dźwięk.

– Nie odbierzesz? – zapytała Zuza. Tym razem nadała za nim bez trudu. Dżinsy, trampki, T-shirt i sztruksowa marynarka nie krępowały jej ruchów.

– Później – rzucił krótko.

– Rodzina? – zapytała ze współczuciem.

Burknął coś niezrozumiale.

Gorzej, pomyślał, znacznie gorzej.

Magnus nie odbierał telefonu, ale o ile Rurzycki zdołał się rozeznać w sytuacji, Zuzanna Cieplicka zapewne jest razem ze swoim współlokatorem. Wybrał więc drugi numer z listy kontaktów.

– Tak, słucham? – Od razu odebrała połączenie.

– Dzień dobry. Komisarz Rurzycki. Pan Magnus jest z panią?

– Tak, a dlaczego pan pyta? – Słysząc było, że jest zaskoczona.

– Bo dzwonię do niego i nie odbiera, a chciałbym zamienić kilka słów. Mogę go prosić?

– Oczywiście. Przekażę, żeby oddzwonił. Do widzenia.

Zuza spojrzała ze złością na bladego jak ściana Tymka. Gdy tylko się zorientował, że ta rozmawia z komisarzem Rurzyckim, zaczął dawać jej jakieś szaleńcze znaki, z których rozumiała, że jej towarzysz albo się powiesi, albo wcale nie istnieje.

– Co zrobiłeś? – ostrym tonem zażądała odpowiedzi.

– Wysłałem mu wiadomość, że Sroka wrócił do domu?

– Pytasz czy odpowiadasz? Nie wiesz, czy to zrobiłeś?

– Zrobiłem!

– No jasne. Dlaczego by nie? Świetny pomysł. Powiedz mi tylko, czy Rurzycki ma na stanie kryształową kulę, dzięki której odkrył, że to ty, czy może mają tam wróżkę na etacie? – Słyszała, jak syczy, ale nie mogła się powstrzymać.

– Wysłałem mu wiadomość z własnego telefonu – wyznał.

– Dzięki za szczerą, geniuszu. Sama na to wpadłam. Przynajmniej nie będziemy siedzieć w tej samej celi, bo więzienia nie są koedukacyjne. Zamknijcie nas teraz jak nic za utrudnianie śledztwa!

– Przecież niczego nie utrudniamy! – zdenerwował się Tymek.

– Naszym zdaniem. Jego zdaniem pewnie jest wręcz przeciwnie. Oddzwoni

i miejmy to już z głowy, bo nie wiem, czy mam wracać do własnego łóżka, czy się ukryć do czasu, aż sprawa przycichnie – zakpiła.

Była zła jak osa. Sama się zastanawiała, czy zawiadomić o ich odkryciu komisarza, ale im dłużej myślała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że Sroka nie jest Sroką, a już na pewno nie tą, której szukają, by odzyskać pieniądze. Jej złość bardziej była spowodowana tym, że Tymek zadziałał za jej plecami, niż samym faktem, że zadziałał. Do tego nieudolnie. Jak to mężczyzna, pomyślała z politowaniem. Miała rację od samego początku. Żadnego z nich pożytku, a kłopotów co niemiara. Proszę, co się stało, jak tylko trochę mu odpuściła.

– Nie histeryzuj!

– Ja histeryzuję? A kto wyciszył telefon?

Skrzywił się. Miała rację, stchórzył. Co nie znaczy, że się przyzna. Spojrzał na nią gniewnie i wybrał numer komisarza.

– Magnus z tej strony. Chciał pan ze mną porozmawiać – rzucił, siląc się na nonszalancję.

– Pełna skrucha, półgłówku – syknęła Zuza.

Nic dziwnego, że małżeństwa się rozpadają, skoro mężczyzna nie potrafi szczerze żałować za swoje winy. I jak tu takiemu potem wybaczać, skoro skruchy w nim ani za grosz? Ciotka Janka miała rację. Facet to tylko na przychodne. Albo wychodne. Zuza nie była pewna, jak to brzmiało. Ale wchodzi czy wychodzi, śpi u siebie w domu! I żadnych śniadanków do łóżka.

– To znaczy... – zająknął się. Zuza dobrze mówi. Zaczepny ton nie pomoże. – W czym mogę panu pomóc?

– Rzecz w tym, że miał pan nie pomagać, zgadza się? – odezwał się surowo Rurzycki. Tubalny głos komisarza był słyszalny dla stojącej tuż przy Tymku Zuzanny.

– Tak, ale...

– Skąd miał pan adres Sroki i jak doszedł pan do wniosku, że jest w domu?

– E... Chodzi o to, że... To była pomyłka – bąknął Tymek jeszcze mniej pewnym tonem niż przedtem.

– Z pewnością. Bo zespół operacyjny po raz wtóry przeszukał mieszkanie Sroki i wie pan co? Nadal go tam nie ma!

– Tak, rozumiem. Bardzo przepraszam...

– Powinienem postawić panu zarzuty utrudniania, wprowadzania w błąd, co też jest utrudnianiem, i ogólnego działania mi na nerwy, co jeszcze bardziej komplikuje moją pracę! Co wy, u licha, wyprawiacie?!

– Ta wiadomość to był mój pomysł. Pani Cieplik nie miała z tym nic wspólnego – oświadczył rycersko Tymoteusz.

– Aha, a towarzystwa dotrzymuje panu z sympatii? Oboje dobrze wiemy, że coś kombinujecie na boku. Na litość boską, odpuście, bo ściągniecie na siebie większe problemy niż długi, które macie. Nie wiem, co pan sądzi o polskiej policji, panie Magnus, ale my naprawdę odpiardalamy kawał dobrej roboty. I każdą sprawę traktuję osobiście, jakby była moją własną, dotyczyła mojej matki, siostry czy psa. Rozumie pan?

– Tak.

– Biorąc sprawy w swoje ręce, obraża mnie pan, panie Magnus.

– Rozumiem.

– Jeśli znów będę musiał porozmawiać na ten sam temat z którymkolwiek z was, to rozmowa odbędzie się już na komisariacie.

– Rozumiem. Przekażę pani Cieplik.

– Nic jej pan nie musi przekazywać, bo pewnie ma ucho przyklejone do komórki i wszystko doskonale słyszy, zgadza się, pani Zuzanno?

– Tak pan wrzeszczy, że słyszy pana pół osiedla – poinformowała go Zuza chłodnym tonem. – I ja też przepraszam i obiecuję, że to się więcej nie powtórzy – dodała szybko na koniec natchniona przez istotę najwyższą, która jednak gdzieś tam czuwa nad szaleńcami.

– Skąd mieliście adres Sroki?

Oboje westchnęli ciężko i spojrzeli na siebie.

– Nie słyszę!

– Bo nic nie mówimy! – krzyknęła Zuza. – Nie mamy adresu Sroki!

– To pomyłka, panie komisarzu. Zbieżność nazwisk. Przy ulicy Akacjowej mieszka Hieronim Sroka i... Jakoś tak głupio wyszło – powiedział Tymoteusz, drapiąc się po głowie. Teraz już był pewny, że Zuza ma rację. Nie musieli oglądać drugiego Sroki.

– Akacjowa? No tak, rozumiem. Zapewniam, że my ścigamy właściwą osobę – oświadczył Rurzycki. – Dobrze, że nie wysłał mi pan adresu, pod którym przebywa ów rzekomy Sroka, bo wpadłoby mu do mieszkania pół wydziału operacyjnego. Prawnicy mieliby używanie.

– Rozumiem. – Tymek przypomniał sobie, co sam czuł, gdy został skuty i przewieziony na komisariat. Taki starszy schorowany człowiek... To byłby dla niego szok.

– Do widzenia. – Rurzycki nie zamierzał dłużej strzępić języka i się rozłączył. Miał nadzieję, że tym razem sparzyli się na tyle, by dać spokój poszukiwaniom oszusta na własną rękę.

– Był wściekły – powiedział Tymoteusz, mimo wszystko czując ulgę, że nie skończyło się gorzej.

– Nie dziwię się – odparła kwaśno Zuza. – Wpuściłeś go w maliny, pod nami wykopałeś dołek i jak naprawdę znajdziemy Srokę, to chyba wyślemy sygnały dymne, bo nawet jeśli Sroka będzie właściwą Sroką, Rurzycki i tak nas zamknie za utrudnianie.

– Światło się u niego świeci. – Tymek wskazał na okna, które jego zdaniem powinny należeć do Hieronima Sroki.

Zuza podniosła głowę i spojrzała z uwagą. To było drugie piętro, więc z miejsca, w którym stali, widziała nawet poruszający się za firankami cień. Ktoś chodził po domu.

– Trzeba tam pójść. Nie zasną, dopóki go nie zobaczą.

– Miałaś rację. To nie jest nasza Sroka – potwierdził Tymek.

– Nasz Sroka. To mężczyzna – poprawiła go automatycznie, mimo że wcześniej sama używała rodzaju żeńskiego. – Mimo to muszę go zobaczyć, inaczej nie zasną. I chyba powinniśmy przejść się po sąsiadach i odkręcić to, co nakręciliśmy.

– Nie rozumiem...

– Jak zawsze – westchnęła. – Prawdopodobnie z niewinnego człowieka zrobiliśmy przestępcę. Musimy to odkręcić.

Tymoteusz skrzywił się niechętnie, ale skinął głową. Zuza miała rację. W społeczeństwie i tak panuje znieczulica. I tak już jeśli starszy schorowany człowiek potrzebował pomocy, połowa sąsiadów nagle głuchła i ślepla, a skoro ci tutaj dowiedzieli się, że to przestępca – żaden z nich biedakowi teraz nie pomoże.

– Nie masz odwagi, to nie, zrobię to sama. Mam wprawę. Jak byłam mała, w ramach zabawy z przyjaciółką z piaskownicy pozamieniałyśmy sąsiadom wycieraczki. Moja siostra się zorientowała i kazała nam nie tylko to naprawić, ale jeszcze zapukać do każdego z mieszkań, powiedzieć, co zrobiłyśmy, i przeprosić.

– Przecież powiedziałem, że pójdę!

– Nic nie powiedziałeś!

– Kiwnąłem głową!

– Patrzyłam w drugą stronę! Trzeba było kiwać głośniej!

– Jak można głośno kiwać głową? – Tymek zdębiał. Co ona, u licha, wygaduje?

– Nie wiem. Ale jak nie możesz mówić jak człowiek, to kiwaj głośno!

– Wiesz, że jesteś szalona?

– Tak? Ja? Trzeba ci poznać moją siostrę!

– Matkę już znam. Reszty mogę się domyślić.

– A co to dokładnie miało znaczyć? – Zuza położyła ręce na biodrach i spojrzała na niego groźnie. – Nie podoba ci się moja mamusia?!

– Wystarczy, że twojemu tacie się podoba. Mnie nawet nie powinna, czyż nie?

– Hm...

– Nie ruszaj się – syknął nagle, łapiąc ją za rękę i wciągając za najbliższej stojący samochód.

– Co, u diabła? Myślisz, że cię pobiję? – Próbowwała wyszarpnąć rękę, ale Tymek trzymał ją mocno i ciągnął w dół, sam także próbował schować się za autem.

– Ciszej! To Lambertowicz! – Wreszcie udało mu się ją ukryć. Aż dziw, że nikt nie zwrócił uwagi na ich szamotaninę.

– Gdzie? – Usiłowała wyjrzeć zza samochodu.

– Wszedł do klatki. Z dwoma osiłkami. Nie podoba mi się to – powiedział.

Zuza myślała gorączkowo. Nie mogą tak tego zostawić. Nie mogą zadzwonić do Rurzyckiego. Może zadzwonią anonimowo? Ma komórkę, którą dał jej Lambertowicz. Najwyżej okaże się, że sam doniesie na siebie. Sięgnęła do torebki po telefon.

– Co robisz?

– Dzwonię pod sto dwanaście z telefonu pokemona. Musimy pomóc.

– Rozmowy są nagrywane. Anonimowo nie da rady. – Zorientował się, co Zuza chce zrobić. Zasadniczo pomysł był dobry, ale miał mankamenty, które mogą ich oboje pograżyć. Jak Lambertowicz się zorientuje, że na niego donieśli, może wspomnieć o ich współpracy, a zorientuje się na pewno, gdy śledczy pokażą mu billing. – Pomocnik przestępcy odpowiada tak samo jak główny przestępca. Musimy... – Westchnął ciężko i powiedział: – Ja muszę pomóc. Ty tu zostajesz. Jak nie wyjdę z nimi za dziesięć minut, dzwoń po Rurzyckiego. Ale nie wcześniej, rozumiesz?

– Chcesz iść sam?

– Tak, a ty masz mnie ubezpieczać.

– Wiesz, ile razy mogą cię zabić w ciągu dziesięciu minut?

– Ani razu, bo powiem, że jak nie wyjdę, dzwonisz po gliny. Rozumiesz? – Zuza skinęła głową. – Nie ruszaj się stąd! – polecił jej jeszcze i wybiegł z za auta. Obserwowała, jak podszedł do klatki i zadzwonił domofonem, by wejść do środka, a chwilę później otworzył drzwi. Spojrzała na zegarek: osiemnasta piętnaście. Odetchnęła głęboko i czekała.

Tymek wbiegał po dwa stopnie. Trzy minuty później stanął pod drzwiami numer piętnaście. Serce waliło mu mocno, nie mógł opanować drżenia rąk, kolana mu osłabły. Mimo to zaczął pięścią walić w drzwi mieszkania Sroki. Narobi tyle hałasu, żeby zwrócić uwagę sąsiadów, że coś się dzieje. Lambertowicz powinien wziąć to pod uwagę, na wypadek gdyby zamierzał podjąć jakieś drastyczne działania. Nie uda mu się niezauważenie wyjść z klatki.

Drzwi uchyliły się tak nagle, że prawie wpadł do środka.

– Chcę rozmawiać z Lambertowiczem. Wiem, że tu jesteś! – krzyknął do wnętrza mieszkania. Głos echem niósł się po klatce. – Adam Lambertowicz! – krzyknął raz jeszcze. Niech wie, że wszyscy usłyszeli jego nazwisko. A co! Jak go stukną, pokemon za to odpowie! Chyba że wszyscy ogłuchną i oślepną, jak to często w życiu bywa.

– Do środka! – Jeden z osiłków złapał go za koszulkę na piersi i wciągnął do mieszkania. Zatrzasnął drzwi i popchnął do pokoju, gdzie siedział na kanapie Lambertowicz. Starszy mężczyzna przycupnął w fotelu, pod oknem stał drugi goryl.

– Głośniej się nie dało? – zapytał z ironią właściciel lombardu.

– Pewnie by się dało, ale głos mi za bardzo drżał – odpowiedział zgodnie z prawdą Tymek. – To nie ten Sroka.

– Hieronim Sroka. – Lambertowicz pokazał na mężczyznę. – Wszystko się zgadza. I tak przy okazji, dzięki za dotrzymanie umowy – zakpił. – Dobrze, że kazałem was śledzić.

– A jednak! – Chwilową satysfakcję co do własnej spostrzegawczości zastąpiło poczucie misji, z którą tu przybył. – Zbieżność nazwisk. To nie jest ten Hieronim Sroka. Tamten był młodszy. O jakieś dwadzieścia lat. To nie jest mężczyzna, który sprzedał nam dom na Spokojnej.

Lambertowicz spojrzał bacznie na swojego więźnia. Od momentu, gdy wtargnęli do mieszkania, starszy mężczyzna nie odezwał się słowem, tylko drżał ze strachu. Teraz też. Powykręcane palce, oparte na kolanach, drżały. Siwa głowa również.

– Do licha! Ślepy jesteś? – wrzasnął Tymek.

– Hej! – Stojący za nim osiłek huknął go w plecy z taką siłą, że wypchnął mu powietrze z płuc, a Tymoteusz zatoczył się na fotel.

– To nie jest ten oszust! – wychrypiął, odzyskawszy oddech. – I jak wszyscy nie wyjedziemy stąd za osiem minut, Zuza zawiadomi policję.

– A tak, to pyskate chuchro – mruknął Adam. – To jak, dziadek, jesteś mi winien pół melona czy nie?

– Nie... wiem... o... – Staruszek zaczął się jąkać, próbując cokolwiek

odpowiedzieć. Widać było, że jest nie tylko przerażony, ale i zdezorientowany.

– To nie on!

– To się okaże.

– Nie wiesz, jak wygląda człowiek, który wyłudził pieniądze od twojej matki? No jasne! – Nagle go olśniło. – Nigdy go nie widziałeś. To nie jest facet, którego szuka policja.

– Szefie? – Osilek spod okna spojrzął pytająco na Lambertowicza.

– Pięć minut – powiedział Tymoteusz, powoli odzyskując panowanie nad nerwami.

– Wiesz, ile rzeczy może ci się przydarzyć przez pięć minut? – zapytał go uprzejmie właściciel lombardu.

– To nie zmieni faktu, że ten facet nie jest nikomu winien ani grosza.

– To się okaże – powtórzył Lambertowicz. – Pojedziemy na wycieczkę.

– Zwariowałaś? Zaraz będzie tu policja. Nie pozwolę ci go zabrać – zaprotestował Tymek, czując, jak kolana znów zaczynają mu mięknąć.

– Ty? – Pokemon parsknął śmiechem. Pozostała dwójka również zarechotała. – Spokojnie, kolego, narobiłeś tyle hałasu na klatce, że nie zamierzam robić zadymy. Pojedziemy do kogoś, kto go rozpozna. I tyle.

– Do twojej matki? – zapytał z niedowierzaniem Tymoteusz.

– Tak, do mojej matki. Chciała go odzyskać, to go dostanie z powrotem. Skoro to nie wasz oszust, nic ci do tego.

– Wiedziałeś, że to nie jest ten facet, którego my szukamy? – zapytał podejrzliwie Tymoteusz.

– Nie miałem pojęcia – przyznał Adam. – Niewykluczone, że masz rację, i to nie jest ten facet, który jest mi potrzebny, ale dopóki nie będę miał pewności, nie zamierzam spuścić go z oka.

– A co zrobisz, jeśli to nie on? Przepraszasz i odwieziesz do domu? – zakpił Tymek. Za grosz nie wierzył temu facetowi.

– A myślisz, że co? Zakopię go w lesie? I tak niedługo pójdzie do piachu. Dobra, zrobimy tak. Wszyscy razem spokojnie wyjdziemy z mieszkania. Zabieramy starszego pana ze sobą. Ty możesz jechać za nami. Mama mieszka na Krasickiego dwanaście. Podjedziemy tam i wszystko się wyjaśni. Jeśli to pomyłka, sam możesz go odwieźć z powrotem i przeprosić w moim imieniu. Pasuje?

Starszy człowiek drgnął jak rażony prądem. Usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Proszę się nie obawiać. Nie spuszczę pana z oka – zapewnił go uroczyście Tymoteusz.

Zuza niecierpliwie zerkała na zegarek. Przykucnęła za jakimś samochodem osobowym i zaczęła już drętwieć. Niestety, wokoło nie było innego miejsca, gdzie mogłaby się schować. Kilka aut zaparkowanych na miejscach dla niepełnosprawnych obok bloku, w którym mieszkał Sroka, ale były prawie tej samej wielkości, co pojazd, za którym się ukryła. Żadnego busa. Samochodu dostawczego. Nic, za czym mogłaby czekać w wygodniejszej pozycji.

Drzwi klatki schodowej otworzyły się nagle i z bloku wyszło czterech mężczyzn.

Zuza szybko pstryknęła telefonem kilka zdjęć. W razie czego ma dowód porwania i twarze sprawców w aparacie. Jednak ku jej zdumieniu Tymoteusz pomachał do niej, przywołując ją ręką. Wstała niepewnie, ale nie ruszyła się z miejsca, gotowa w razie potrzeby uciec i wezwać policję.

– Będę jechał tuż za wami – obiecał starszemu Tymeck i ruszył w stronę parkingu, na którym zostawił auto, dając ręką znak Zuzie, by się pośpieszyła.

– Co się dzieje? Dlaczego pozwoliłeś im go zabrać? – zapytała zdyszana, gdy go dogoniła.

– Lambertowicz nie widział Sroki na oczy. Jedziemy do jego matki, by go rozpoznała.

– Uwierzyłeś mu? Zgubią nas w mieście i...

– Mam adres – przerwał jej.

– Skąd wiesz, że prawdziwy?

– Nie wiem, ale pokémon wie, że ma świadków. Nas oboje. Nic mu nie zrobi. – Miał nadzieję, że mówi to wystarczająco pewnym głosem, by przekonać i ją, i siebie.

– Zrobiłam zdjęcia, jak szliście. W razie czego mamy dowód. Trzeba mu o tym powiedzieć – oświadczyła Zuza.

– Po prostu mu je wyślij – zaproponował Tymeck. Wolał, by nie wdawała się w dyskusję z Lambertowiczem. Wtedy na pewno źle się skończy.

– To dobry pomysł – przyznała. – Niech wiedzą, że coś na nich mamy.

Lambertowicz z niedowierzaniem oglądał zdjęcia, które przesłało mu pyskate chuchro. Zachichotał i pokazał je swoim pomocnikom.

– Ta mała ma ikrę. Aż szkoda, że to takie chude. – Potem zwrócił się do starszuka:

– Nie martw się, dziadek. Nic ci nie będzie. W razie czego przepiszesz na mnie swoje mieszkanie. Mogę poczekać, aż je dostanę w spadku. Nie spieszy mi się. Nieruchomość to zawsze dobra inwestycja.

Czarne bmw stało pod domem przy ulicy Krasickiego dwanaście. Dokładnie tak jak powiedział Lambertowicz. Była to elegancka dzielnica z pięknymi willami i trawnikami. Szerokie chodniki i brukowana ulica.

– Kurczę, jest tak bogaty, że pół miliona w tę czy w tamtą nie powinno mu robić różnicy – powiedziała oszołomiona Zuza. Dom, przed którym stali, wyglądał jak dziewiętnastowieczny dworek z tarasami i szerokimi balustradami. Widoczna część ogrodu zachwyciła dziewczynę. Ogromne klomby z kolorowymi kwiatami, różne krzewy, ozdobne drzewka.

– Właśnie tacy nie darują ani grosza. Wchodzę.

– Ja też – powiedziała podekscytowana, minęła go i przeszła przez furtkę, którą zostawiono dla nich otwartą.

– Miałaś mnie ubezpieczać! – zdenerwował się Tymeck.

– Mam zdjęcia!

– I razem z nimi wejdiesz do paszczy lwa? Zwariowałaś? Zabierze ci telefon, stuknie nas oboje i tyle z tego będzie. – Siłą zaciągnął Zużę z powrotem do samochodu, dał jej kluczyki i powiedział: – Zamknij się od środka i nie wychodź. Daj mi dziesięć minut. Potem dzwoń na policję.

– Dobra – odparła naburmuszona.

Miał rację, a ona dała się ponieść emocjom. No i jeśli komuś ma stać się krzywda, lepiej niech to będzie Tymoteusz. Mężczyzna z bliznami może być atrakcyjny, ale kobieta? Mężczyźni to hipokryci i wzrokowcy.

Patrzyła z żalem, jak się oddalał. Siedzenie na tyłku i czekanie na rozwój wydarzeń było trudniejsze, niż sądziła, ale rozumiała, że w razie potrzeby ktoś musi wkroczyć do akcji i go uratować. Ich, poprawiła się w myślach. Starszy mężczyzna, którego widziała z Lambertowiczem, w niczym nie przypominał Sroki.

Staruszek na widok domu odzyskał werwę. Raźnym krokiem, podpierając się laską, ruszył do salonu, wyprzedzając swoich porywaczy. Czoło Adama przecięła zmarszczka, jego goryle spojrzeli na siebie ze zdziwieniem, wzruszyli ramionami i podążyli za szefem.

– Anielcia! – zawołał Hieronim Sroka na widok siedzącej w fotelu pod oknem kobiety.

Ta odłożyła książkę na parapet i z trudem wstała z miejsca.

– Hiruś – powiedziała drżącym głosem. – Znalazłeś go! – zwróciła się do syna. – Och, Adaś, tak się cieszę! – Gdzieś ty był, niecnoto jeden! – ofuknęła starszego pana, który dokuśtykał do niej z trudem i opadł na zwolniony właśnie fotel.

– W sanatorium, koliberku – odparł, ciężko łapiąc powietrze.

– Czekaj, dam ci mój inhalator. Nie powinieneś wychodzić z domu bez leków. Co ci po sanatorium, jak nic o siebie nie dbasz! – robiła mu wymówki.

Zdumiony Lambertowicz patrzył bez słowa, jak jego matka krząta się wokół Hieronima Sroki. Podała mu własny inhalator. Gdzie oni, do diabła, się poznali? Na kółku astmatycznym?!

– To twój syn? – zapytał po chwili staruszek, już spokojniejszy. Odzyskał oddech, ręce przestały mu się trząść.

– Tak, to mój Adaś – powiedziała z dumą, wskazując na niego.

– Ten łobuz mnie porwał! – zawołał.

– Co takiego? – zdumiała się kobieta. – Adaś! To prawda?!

Dobiegające z jednego z pomieszczeń głosy wskazały drogę Tymkowi. Powiedzieć, że oniemiał, gdy wszedł do salonu, to mało. Cała trójka pokemonów cofała się przed nacierającą na nich kobietą około siedemdziesiątki, ze sporą nadwagą. Starsza pani wymachiwała kulą inwalidzką jak mieczem. Starannie ułożone farbowane loki rozleciały jej się pod wpływem złości.

– Ty łobuzie! Nie tak cię wychowałam!

– Ale, mammo...

– Nie przerywaj, jak do ciebie mówię! Zachowujesz się jak twój ojciec! Chcesz skończyć jak on?! Jak zwykły bandyta? Do szkoły nie chciało ci się chodzić, ale myślałam, że przynajmniej uczciwie pracujesz, a ty mi tu takie rzeczy wyprawiasz?! Co ja ci mówiłam, huncwocie jeden?! Masz szanować ludzi! Masz żyć porządnie! Masz się ożenić z jakąś przyzwoitą dziewczyną i dać mi wnuki! A ty co? Włóczysz się z podejrzanymi typami! Jakieś szemrane interesy robisz! Ludzi porywasz!

– Ależ, mamusiu, ja...

– Myślisz, że ja nie wiem, co ludzie o tobie gadają? Ale zawsze cię broniłam: Adaś

to nie jego ojciec, mówiłam. Biznes legalnie prowadzi, bo uczciwość popłaca! A ty takie rzeczy? Mojego Hieronima? Tak go wystraszyć, że tchu nie mógł złapać?! Przepraszam go natychmiast!

– Ale, mammo...

– Natychmiast! – Uderzyła kulą o marmurową posadzkę.

– Przepraszam pana...

– Wy też! – Wskazała na kryjących się za synem osiłków. – Już!

– Dalej, chłopaki – syknął ich szef.

– Przepraszamy – zawołali chórkami.

– A ten za wami to kto? – Dopiero teraz dostrzegła stojącego w progu Tymoteusza.

– Ten pan chciał mi pomóc – odezwał się Hieronim Sroka. – Przyjechał jako świadek, żeby mi nic nie zrobili, ale nie mam pojęcia, kto to. Pierwszy raz go widzę.

– O, widzisz, Adaś? Nieznajomemu człowiekowi chciał pomóc! Powinieneś brać z niego przykład! Niech pan tak nie stoi w progu, tylko wejdzie! – zawołała do Tymoteusza. – A ty wytłumacz mi się! – Na powrót zwróciła się do syna.

– Mammo, sama powiedziałaś, że ten pan wyłudził od ciebie pieniądze i...

– Tak powiedziałaś, myszko? – zdumiał się Hieronim. – Ale ja...

– Wiem, Hirciu, wiem, ale Adaś to tylko mowę pieniądza rozumie. Nie szukałby cię, gdybym nie skłamała. – Nagle uświadomiła sobie, że zaistniała sytuacja to jej wina. – Och, kochany, co ja narobiłam. Przeze mnie tyle wycierpiałeś, mój ty biedaku.

– Nic się nie stało, Anielciu – uspokoił ją staruszek.

– Ale ten mój Adaś...

– Bronił matki. To zrozumiałe, że trochę mogło chłopca ponieść. Myślał, że jestem złoczyńcą. – Teraz, gdy nic mu nie groziło, Sroka okazał współczucie.

– Oj, Adaś... – Jego matka załamała ręce. – To moja wina. Synku kochany, przeze mnie mogłeś trafić do więzienia!

– Ależ, mamuś, no co ty...

– Usiądź, dziecko drogie. Zrobię ci herbatki, kolegów też zaproszę, a ten miły pan, co chciał pomóc mojemu Hirkowi, niech też z nami się napije.

– Dziękuję. Jest pani bardzo uprzejma – wydukał zaskoczony rozwojem zdarzeń Tymek.

– Widzisz, Adaś, jakie maniery? Nie to co ty, hunc-wocie jeden!

– Ale skoro sytuacja się wyjaśniła, na mnie już pora. Nie chciałbym przeszkadzać.

– Tymoteusz zaczął się wycofywać.

– Co pan mówi? Jakże przeszkadzać! Koniecznie musimy panu podziękować! Prawda, Hirus? Koniecznie!

– Nie ma takiej potrzeby. Jestem pewien, że każdy na moim miejscu zachowałby się tak samo. Moja przyjaciółka czeka na mnie w samochodzie i...

– Przyjaciółka? Dlaczego została sama?

– Nie chciałem jej narażać i...

– Oczywiście, że nie, ale Adaś tylko tak wygląda. Duży jest. Miał pięć kilo, jak go urodziłam. Tłuszcioch był z niego straszny. Dopiero jak zaczął ćwiczyć, to trochę schudł.

– Mammo! – jęknął czerwony jak burak pokemon.

– Idź do kuchni. Niech pani Kasia zrobi dla wszystkich herbatki i ciasto pokroi. No już, Adaś, nie każ mi powtarzać. Pamiętaj, że jestem na ciebie zła!

Na widok wychodzącego z willi Tymoteusza Zuza wyskoczyła z samochodu. Dopadła do niego w dwóch krokach i zawołała:

– Jesteś sam? A gdzie ten starszy pan?

– Nic mu nie jest. Nie uwierzysz, jak ci opowiem. Anielcia i Hiruś to para gołąbków. On zwraca się do niej „koliberku”, a babsko waży ze sto kilo.

– O czym ty mówisz?

– Matka pokemona i starszy pan z Akacjowej to para. Są zakochani. Chyba. I nie ma żadnego długu. Matka Lambertowicza wymyśliła tę historię o wyłudzeniu, żeby Adaś znalazł jej Hirusia, bo ten drapnął do sanatorium – zakpił.

– Jesteś pewien? Nie wierzę!

– Ja też, ale widziałem na własne oczy. I jesteśmy zaproszeni na herbatkę i ciasto. Pani Aniela kazała mi po ciebie przyjść, koniecznie chce cię poznać.

– Zwariowałaś?

– Niestety, nie. – Teraz, gdy nic im nie groziło, sytuacja zaczęła go bawić. – Mówi do niego „Adaś” i nazywa go łobuzem. Koniecznie musisz to usłyszeć.

– To ta dzielna panienka? – zapytała Aniela Lambertowicz, gdy Tymoteusz wraz z Zuzą weszli do salonu.

Pokemon i jego kumple wyglądali trochę śmiesznie, gdy tak siedzieli przy stole, z filiżankami w rączkach w dłoniach. Adam rzucił obojgu wściekłe spojrzenie, ale Zuza uśmiechnęła się do niego niewinnie.

– Nazywam się Zuzanna Cieplik, proszę pani – przedstawiła się grzecznie. – Miło mi panią poznać. I pana także – dodała, spoglądając na Srokę. – Cieszę się, że nic panu nie jest.

– Mnie również, moje dziecko, ja również. Ale skąd wy się tam wzięliście? – zapytał.

– Siadajcie, moi drodzy, siadajcie. Hiruś, nalej państwu herbatki. Jestem pewna, że przez tego mojego łobuza najedli się państwo strachu.

– Jeden z kolegów twojego syna uderzył tego pana w plecy – powiedział Hieronim Sroka. – Nic panu nie jest?

Tymek nie zdążył odpowiedzieć, gdy Aniela Lambertowicz z brzękiem upuściła widelczyk na talerzyk i zawołała oburzona:

– Coś takiego! Adaś! Jak mogłeś na to pozwolić?!

– Ale ja...

– Który to był?! No już! Przyznać się!

Zuza zagryzła wargę, by nie parsknąć śmiechem, gdy jeden z osiłków, wbijając wzrok w talerzyk, nieśmiało podniósł rękę do góry.

– Przepróż pana natychmiast!

– Przepraszam – wydukał tamten.

– I żeby mi się to więcej nie powtórzyło! – Pani Aniela pogroziła mu palcem.

– Obiecuję – mruknął winowajca.

– Adaś, to nie jest towarzystwo dla ciebie. Powinieneś uważniej dobierać sobie

kolegów – powiedziała.

– Dobrze, mam, ale Tolek przeprosił.

– Przepraszam bardzo, że spytam – wtrąciła Zuza. – Ale jak to się stało, że pan zniknął? – zwróciła się do Hieronima Sroki.

– Hm... – zająknął się starszy pan, zerkając niepewnie na Anielę. – To...

– No właśnie, Hirciu, zniknąłeś bez słowa i wyłączyłeś telefon. Jak mogłeś mi to zrobić? – zapytała z żalem w głosie siedemdziesięcioparolatka.

– No bo widzisz, Anielciu, jak zobaczyłem, gdzie mieszkasz, zrozumiałem, że ja z moją skromną emeryturą i małym mieszkankiem nie mogę ci nic zaoferować. Nie stać mnie na takie luksusy. Nie chciałem, żebyś myślała, że ja dla pieniędzy... – Zaczerwienił się mocno speszony poruszaniem tak osobistych tematów przy obcych ludziach.

– No co ty, Hirus... Nigdy bym tak nie pomyślała.

– Ale ludzie...

– A co mi tam ludzie!

– Akurat dostałem skierowanie do sanatorium... Pomyślałem, że pojedę, pomyślę...

– I co ci wyszło z tego myślenia?

– No widzisz, aniele mój... – Odchrząknął. – Pomyślałem, że może nie jestem bogaty, ale moja świętej pamięci żona mówiła, że dobry ze mnie człowiek. I chciałem zapytać, czy to ci wystarczy?

– Och, Hirus. – Wzruszona Anielę przyłożyła rękę do obfitej piersi.

– Zaraz, zaraz... – Adam próbował coś wtrącić.

– Cicho! – Zuza kopnęła go pod stołem, pociągając nosem. Scena była wzruszająca. Zuzanna nie sądziła, że w tym wieku można się jeszcze zakochać, ale właściwie dlaczego nie?

– Kopnęłaś mnie? – zapytał z niedowierzaniem pokemon.

– Kopnęłaś go? – Tymek zamknął oczy. Poleje się krew. Jego. Gdy będzie musiał stanąć w jej obronie.

– Gdzie się poznaliście? – koniecznie chciał wiedzieć Adam, jednocześnie rzucając Zuzie groźne spojrzenie, na wypadek gdyby znów chciała go kopnąć.

– W stowarzyszeniu narządu ruchu. A myślałaś, że gdzie?

– Przez Internet?

– Po co mi Internet? Siedemdziesiąt dwa lata bez tego przeżyłam i dobrze było.

– Siedemdziesiąt? Mówiłaś, że masz sześćdziesiąt osiem...

– Panie Hieronimie, kobiecie lat się nie liczy – zareagowała szybko Zuza.

– Ale ja tylko chciałem powiedzieć, że na te sześćdziesiąt osiem Anielcia też nie wygląda, a tu, proszę, siedemdziesiąt dwa! Wyglądasz wspaniale, koliberku – zapewnił ją uroczyście Hieronim.

– No co ty, Hirciu. – Pani Lambertowicz zachichotała jak nastolatka, szturchnęła go w ramię i powiedziała: – Czarus jesteś.

Adam wyglądał, jakby miał zwymiotować. Tymoteusz nawet go rozumiał. Jego własna matka była znacznie młodsza, ale sam nie wiedział, jak by zareagował, widząc ją z absztyfikantem. Na szczęście ojciec jeszcze się nie zapił, pomyślał z ulgą.

– Gdzie z tymi łapami?! – Aniela pacnęła syna w rękę, którą wepchnął do ust kawał ciasta. – Widelczyk weź!

Zuza omal nie schowała się pod stołem. Prawie płakała ze śmiechu.

– Panie Sroka, mam pytanie. – Tymoteusz wpadł na pewien pomysł. – Czy w pańskiej rodzinie są inne osoby o tym samym imieniu i nazwisku? Kuzyn? Bratanek? Tak koło sześćdziesiątki?

– Nie sędzę. Nie mam bliskiej rodziny. Starszy brat umarł na zapalenie płuc, jak był jeszcze dzieckiem. Dlaczego pan pyta?

– Nasze spotkanie nie było przypadkowe – wyjaśnił Tymek. – Zuzanna i ja poznaliśmy się, gdy kupiliśmy ten sam dom. Padliśmy ofiarą oszusta. Nazywał się Hieronim Sroka. Myśleliśmy, że to pan.

– To nie Hiruś – uroczyście zapewniła ich Aniela.

– Oczywiście, że nie – powiedziała Zuzanna. – Tamten pan był młodszy i w ogóle do pana niepodobny. Ale Tymoteusz ma rację, taka zbieżność imion i nazwisk wydaje się nieprawdopodobna.

– Mam kuzynkę od strony ojca. Miała jakieś dzieci, ale nie mamy kontaktu od lat. I z pewnością noszą inne nazwisko – głośno myślał Hieronim Sroka.

– No tak... – Tymek zmarkotniał.

– Panie Sroka – Zuza uznała, że muszą się przyznać do jeszcze jednej rzeczy. – Bo my nie wiedzieliśmy, że wystąpił taki zbieg okoliczności. Rozmawialiśmy z pana sąsiadami, w nadziei, że ktoś z nich będzie wiedział, gdzie pan jest...

– O mój Boże! – Starszy mężczyzna pobladał. – Czy wy... Czy wy powiedzieliście, dlaczego...

– Obawiam się, że tak – wyznała z poczuciem winy. – Ale, panie Sroka, my jeszcze raz obejdziemy wszystkich i wyjaśnimy, że to była pomyłka, a pan jest uczciwym człowiekiem!

– Nie ma takiej potrzeby – oświadczyła Aniela. – Adaś pojedzie po twoje rzeczy. Zamieszkaś tutaj.

– Ależ, Anielciu! – zaprotestował Hieronim. – Powinniśmy jeszcze to przemyśleć!

– Chcesz ze mną mieszkać?

– Oczywiście, że...

– Czyli postanowione. Adaś! Weźmiesz kolegów i spakujesz wszystkie rzeczy Hircia. Wszystkie, słyszysz?! Mieszkanie ma być puściutkie. Jestem pewna, że masz pamiątki po żonie, które chciałbyś zachować, prawda, mój drogi?

– Jesteś bardzo wyrozumiała, aniele – rozpromienił się Hieronim.

– Ja też kochałam swojego męża, chociaż na to nie zasługiwał. Gdyby nie umarł, w końcu musiałabym się z nim rozwieść. A tak? Na szczęście umarł w samą porę, dzięki czemu mam parę dobrych wspomnień. I Adasia rzecz jasna. – Poglaskała go czule po wygolonej głowie.

Zuza właśnie kończyła poranną kawę, gdy ktoś załomotał do drzwi mieszkania. Westchnęła. Pewnie Rurzycki. Któż inny mógłby ich nachodzić o siódmej rano? A tak dokładnie to ją, bo Tymka już dawno nie było. Musiała przyznać, że jest pracowity. Całą niedzielę spędził, przygotowując jeden z pokoi do remontu. Zuza pomagała, ile mogła,

w końcu taką mieli umowę, ale poza myciem ścian nie przydała się za bardzo, chociaż Tymek twierdził, że wykonała pracę, której on najbardziej nie lubi.

Ku swemu zdumieniu za drzwiami zobaczyła młodą kobietę, w podobnym wieku. Tamta miała jasnoblonde czuprynę i niebieskie oczy Tymoteusza.

– Cześć! – zawołała nieznajoma. – Jestem Ada!

– Czyli kto? – zapytała niepewnie Zuza.

– Jestem twoją bratową! – zapiszczała radośnie przybyła, obejmując ją czule.

Zuza zeszywniała.

– Jesteś siostrą Tymka? – zapytała, gdy kobieta w końcu ją puściła.

– Nie mówił ci, że ma rodzeństwo? – Przybyła wepchnęła się do mieszkania, nie czekając na zaproszenie. – Nie powinniście za bardzo się spieszyć ze ślubem, skoro zupełnie nic o sobie nie wiecie.

– Jakim ślubem?!

– Nie ustaliliście jeszcze daty? I dobrze. Czyli jednak chcecie dać sobie trochę czasu na poznanie się. I dobrze – powiedziała jeszcze raz, wchodząc do kuchni. – Kawa? Super! Jestem w drodze od czwartej rano! Masz coś do jedzenia?

– Co cię sprowadza o tak wczesnej porze? – dopytywała się zdumiona bezceremonialnym zachowaniem młodej kobiety Zuza.

– Tymek jeszcze śpi?

– Nie, poszedł do pracy. Ja też zaraz wychodzę. – Wskazała na kuchenny zegar pokazujący siódmą piętnaście.

– Jasne, mną się nie przejmuj. Sama się ogarnę. – Nalała sobie kawy z dzbanka i usiadła wygodnie za stołem. – Waldiego już poznałaś. Nie myśl sobie, że cała nasza rodzina jest taka. On jest obleśny. Reszta może wypaść już tylko lepiej.

– Na tle Waldiego każdy wypadłby lepiej – mruknęła Zuza.

– No nie? – roześmiała się dziewczyna. – To opowiadaj! Ładna jesteś!

– Dzięki. O czym?

– Jak to było? Poznałaś mojego brata i co? Grom z jasnego nieba?

– Nie. Miałam ochotę go zabić.

– Rozumiem cię. To mój brat, a też miewam takie myśli. Ale teraz już jest OK, co?

– Teraz tylko mam ochotę zrobić mu krzywdę. Nic mi o tobie nie wspomniał.

– Cały Tymon! – roześmiała się jego siostra.

– Słuchaj, Ada, tak? Miło mi, że wpadłaś do nas niespodziewanie o świcie, ale muszę lecieć do pracy, więc rozgość się i...

– Spoko, dam sobie radę. Ja wszędzie czuję się jak u siebie, więc mną się nie przejmuj!

Łatwo powiedzieć, pomyślała Zuza, zbiegając po schodach. Nie dość, że człowiek musi sobie radzić z własną rodziną, to jeszcze z cudzą, gdy wyjdzie za mąż. Kolejny argument przeciwko małżeństwu, pomyślała. Nie licząc ćwierćmilionowego długu w banku.

Dagmara Adamczyk wierciła się niespokojnie na krześle, unikając wzroku komisarza Rurzyckiego.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał.

– Tak, tylko... Nigdy nie byłam przesłuchiwana...

– Rozumiem. Bez obaw. Policja nie gryzie. Mam tylko kilka pytań do pani – powiedział uspokajającym tonem.

Zerknęła na niego niepewnie.

– Poproszę dowód osobisty. Muszę spisać dane. – Uśmiechnął się lekko do kobiety.

Podawała mu bez słowa dokument. Nie odwzajemniła uśmiechu. No cóż, z niektórymi już tak jest. Policja działa na nich deprymująco. Dagmara Adamczyk miała pięćdziesiąt dwa lata. Mieszkała w Kłopotowie. Nowy dowód osobisty zawierał skąpe informacje, ale ważne, że dało się ustalić tożsamość. Spisał jeszcze PESEL, serię i numer i oddał dokument właścicielce.

– Kupiła pani nieruchomość położoną przy ulicy Spokojnej piętnaście w Kłopotowie od niejakiego Hieronima Sroki?

– Zgadza się.

– Czy rozpoznaje pani na zdjęciu tego mężczyznę? – Podał jej ksero fotografii z rejestru.

– Tak, to on. Hieronim Sroka. – Pokiwała twierdząco głową.

– Jak pani poznała pana Srokę?

– Wcale go nie poznałam. – Speszyla się mocno.

– Chodzi mi o to, czy znała go pani wcześniej? Przed nabyciem domu?

– Nie – zaprzeczyła szybko. – Znalazłam ogłoszenie w gazecie. Zadzwoiłam. Ten pan pokazał mi dom. Potem spotkaliśmy się dopiero u notariusza.

– I później nie miała z nim pani kontaktu?

– Nie.

– Pan Hieronim Sroka oprócz pani sprzedał dom dwóm innym osobom – poinformował ją Rurzycki.

Kobieta znów zaczęła się kręcić niespokojnie.

– Nie chce pani wiedzieć, kto jest legalnym właścicielem domu?

– No chyba ja, skoro go kupiłam?

– Owszem. Ma pani to szczęście. Złożyła pani wniosek do sądu osobiście?

– Jaki wniosek?

– O zmianę wpisu w księdze wieczystej?

– A tak... Sama złożyłam.

– Dlaczego? Zwykle robi to notariusz.

– Coś tam mówił, ale ja sama pilnuję swoich spraw – wyjaśniła ostrym tonem.

– Kiedy się pani wprowadza? – zapytał uprzejmie Rurzycki.

– Wcale. Mam własne mieszkanie.

– To po co pani dom?

– Był tani. Sprzedam go drożej – odparła, czerwieniejąc gwałtownie.

– Gdzie pani pracuje?

– A co to pana obchodzi?

– Proszę odpowiedzieć. – Komisarz już nie był uprzejmy. Sprawa śmierdziała jak zgniłe jajo.

– Aktualnie nie pracuję. Jestem na rencie rehabilitacyjnej.

– Stać było panią na taki wydatek?
– Miałam oszczędności. Mąż wykupił polisę na życie – wyjaśniła obronnym tonem.
– Dwie osoby zostały oszukane. Straciły pieniądze.
– To nie moja sprawa – odpowiedziała niepewnie. – Dom jest mój, zgadza się?
– Owszem, zgadza się – potwierdził. – Spiszemy protokół i na dziś to byłoby wszystko – oznajmił, uśmiechając się lekko do kobiety.

Do pracy zdążyła w ostatniej chwili. Joachim Maczek był na rehabilitacji, więc zjawi się dopiero po dziewiątej, ale ona sama źle by się czuła sama ze sobą, gdyby się spóźniła. I zaraz mogła mieć inspekcję któregoś z pozostałych Maczków.

Wykrakałam sobie, pomyślała na widok Anny, która nagle pojawiła się przy jej biurku. Jak zawsze znikąd. Zuzanna nie potrafiła pojąć tego fenomenu. Widziała drzwi gabinetu przyjaciółki, były zamknięte. Spuściła tylko na moment wzrok i drzwi nadal były zamknięte, ale sama Anna stała przed nią. Gdyby był zmierzch, Zuzanna zaczęłaby się zastanawiać, czy tamta aby nie pochodzi z rodziny wampirów.

– Cześć – uśmiechnęła się do szefowej.
– Jak weekend?
– Dziwnie – wyznała Zuza, nie wdając się w szczegóły.
– Tak, wspólne mieszkanie potrafi człowiekowi otworzyć oczy, nie?
– Tymoteusz coś zmalował? – zapytała z westchnieniem.
– Nie, a dlaczego pytasz? – zdziwiła się Anna.
– Nie, tak tylko. W sprawie sufitu, który jest podłogą.
– A, to! – Machnęła ręką lekceważąco. – Dogadaliśmy się. Nie wiem, po co mi większy salon, jak i do tego nikogo nie zapraszam. Masz ochotę na siłkę?
– Dzisiaj?
– Umówiliśmy się – przypomniała jej przyjaciółka.
– Jasne, że tak. – Ku swemu zdumieniu usłyszała w swoim głosie entuzjazm. – Spotkamy się na miejscu? Osiemnasta?

– Osiemnasta – potwierdziła radośnie Anna. – Może wyrwiemy kogoś ciekawego, jak sądzisz?
– No wiesz... – stropiła się Zuza. – Ja...
– Spokojnie, żartowałam. Nie umawiam się z facetami z siłowni. Przelecisz jednego i cała reszta gapi się na ciebie jak na dziwkę, jakby sami byli prawiczkami.
– Mężczyźni! – Zuza się skrzywiła.
– Właśnie, na co komu? – zachichotała Anna, mrugając do niej wesoło, i znikła. Tym razem jednak oko Zuzy zarejestrowało, jak tamta znikła w gabinecie. Gdy tylko za Anną Maczek zamknęły się drzwi, Zuza natychmiast zadzwoniła do Tymka.

– Ada do nas przyjechała.
– Kto?
– Twoja siostra!
– Ada?! – zdziwił się.
– A co? Masz ich więcej? Ile jeszcze czarownic przyleci do nas na miotłach? – zirytowała się. Czasami z Tymoteusza wyłaził taki przygłup, że – jak powiedziała Adzie

– miała ochotę zrobić mu krzywdę.

– Co zrobiła? – zapytał ze zgrozą.

– Poza tym, że wpadła do nas po siódmej rano? Nic. Nie wiem tylko, dlaczego pyta o datę ślubu!

– Czyjego?

– Naszego! – syknęła, rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje.

– To my bierzemy ślub? – spytał ze zdziwieniem Tymek, mocując się z obrazem przyklejonym do ściany.

– Nie! Ona tak myśli i chciałabym wiedzieć dlaczego?!

– A, to o to chodzi! Waldi coś nachlapał! – jęknął, gdy wreszcie udało mu się oderwać przyklejony do ściany obraz. Nie miał pojęcia, kto mocuje obrazy klejem, ale postanowił, że nie zapyta.

– Masz to odkręcić!

– Dobra, zrobię to, jak wrócę. Coś jeszcze?

– Przestań bagatelizować nasze problemy! – zdenerwowała się Zuza.

– Wcale tego nie robię. Zajmę się Adą. Obiecuję. Muszę kończyć. Pa.

– I rozłączył się bezczelnie – powiedziała Zuza do siebie. Zaczęła rozumieć, co miała na myśli tamta starsza pani z sanatorium, gdy jej mąż bezczelnie umarł, nie pytając jej o zdanie.

– Wszystko w porządku?

Ramiona jej opadły. No jasne. Kłótnię z Tymkiem musiał słyszeć włóczyący się za nią młodszy Maczek.

– Tak, dziękuję, że pan pyta. Już wracam do pracy – zapewniła go.

– Praca nie zając, nie ucieknie – powiedział. – Jeśli chce pani porozmawiać, służę uprzejmie – zaproponował.

– Dziękuję, nie ma takiej potrzeby – zapewniła go. – To sprawa prywatna.

– Oczywiście, nie zamierzałem nalegać. Czasami dobrze jest z kimś...

– Nie z szefem – ucięła krótko Zuza. – To znaczy... Przepraszam, panie wiceprezesie, przenoszenie prywatnych spraw do pracy uważam za niedopuszczalne i...

– Ale z moją siostrą pani się przyjaźni – zarzucił jej, czerwieniejąc na twarzy.

– Ona nie próbuje zaprosić mnie na randkę – palnęła z irytacją, po czym zamknęła oczy. Zuza, coś ty narobiła!

Skręcała się w środku, próbując zmusić się do przeprosin, lecz nim to zrobiła, Maczek junior odszedł, o czym się przekonała, gdy wreszcie otworzyła oczy.

Rurzycki jeszcze raz przejrzał protokół z zeznania wezwanego na dziś świadka, czyli pani Dagmary Adamczyk. Miała pięćdziesiąt dwa lata. Agresywny makijaż nie pomagał. Niewysoka, pulchna, o ostro brzmiącym głósie, była dokładnie w typie Sroki.

Ale ona nie została oszukana. Może dlatego, że sama wzięła sprawy w swoje ręce, a może wręcz przeciwnie. Może po prostu jest nieprzyjemną kobietą, która nie znosi policji, a może chodziło o coś innego.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do kolegi z działu operacyjnego.

– Marek, daj chłopaków do obserwacji. Kłopotów, ulica Adamskiego siedemnaście mieszkania dwa. Dagmara Adamczyk, zaraz prześlę ci e-mailem jej dane. Wyślij też

kogoś, żeby o nią popytał. Czym się zajmuje, kto ją odwiedza. I pokazuj ludziom zdjęcie Sroki – dodał. – Ja muszę jechać do sądu w innej sprawie. Potem do was dołączę.

Kilka godzin później siedział w samochodzie razem z dwoma kolegami.

– Mieszka sama. Jest teraz w domu. Bezdzienna. Pracowała jako główna księgowa do czasu wypadku samochodowego. Teraz ma rentę rehabilitacyjną. Wystawiła mieszkanie na sprzedaż – relacjonował mu jeden z nich.

– Dom – poprawił go Rurzycki.

– Nikt nie wspominał o domu. Mieszkanie sprzedaje. Jeden z sąsiadów dał mi namiary na jej ogłoszenie w necie. Sprawdziłem, wszystko się zgadza. Zadzwoń i umówię się na oględziny. Adres też się zgadza.

– Sprzedaje coś jeszcze?

– Nie wiem, nie sprawdzałem, a co?

– To sprawdź – polecił mu. – A ja zajrzę do niej. Mam kilka pytań.

Wszedł do środka, dzwoniąc do sąsiadów i podając się za listonosza. Nie chciał jej uprzedzić. W połowie drogi do mieszkania Adamczyk dostał wiadomość od Marka:

Nieruchomość na sprzedaż, Spokojna 15. Działka w ogrodzie działkowców nr 3. Ten sam numer telefonu.

Sprawdźcie działkę – odpisał koledze.

Ciekawe, gdzie zamierza pani mieszkać, pani Adamczyk, pomyślał; nacisnął dzwonek u drzwi i czekał, aż kobieta je otworzy.

Zuza z biciem serca przemykała się korytarzem w nadziei, że zdoła wyjść niepostrzeżenie i nie wpadnie na Antoniego Maczka, którego spotykała każdego dnia po pracy. A to na korytarzu, a to na parkingu, a to obok budki strażnika, gdzie podpisywała listę obecności. Zaczynała go podejrzewać, że ją śledzi, bo aż w tak częste zbiegi okoliczności nie wierzyła. Co innego, gdyby kończyli o tej samej godzinie. Ale Zuza kilka razy wyszła później, a i tak na niego wpadła.

Liczyła na interwencję istoty najwyższej, która tego dnia zaoszczędzi jej spotkania z młodym Maczkiem. Istota najwyższa jak zwykle zignorowała jej prośby. Antoni właśnie wsiadał do auta na firmowym parkingu, obok którego Zuza przechodziła.

W tym momencie królicza nora, do której wpadła Alicja, byłaby dla Zuzanny najlepszym miejscem, ale, niestety, skąd wziąć norę w otaczającym ją zewsząd betonie? Niemożliwe. Maczek junior na widok Zuzy zarumienił się i błyskawicznie wskoczył do auta, po czym z rykiem silnika ruszył z miejsca.

– I to tyle, jeśli chodzi o kwestię nękania – mruknęła do siebie dziewczyna, nie wiedząc, czy czuje ulgę, czy zmieszanie z powodu swojego zachowania.

– Ile razy można mówić NIE? – usprawiedliwiała się przed sobą.

Mimo skłonności do kłótni Zuza nie lubiła sprawiać nikomu przykrości. Uważała konfrontację za zdroworozsądkowe podejście do rozwiązywania problemów interpersonalnych. Lepiej powiedzieć szczerze, co się myśli, niż obchodzić sprawę z daleka na paluszkach, a napięcie narasta, narasta, aż w końcu bomba eksploduje.

– Tak jak dziś – szepnęła do siebie. Starła się być grzeczna dla Antoniego i co z tego wyszło? Wielkie G. Zmiana pracy nie wchodziła w grę. Nie uzyska lepszych warunków finansowych i, co najważniejsze, jak by w jej CV wyglądał siedmiodniowy

staż pracy? Co najmniej dziwnie, a na pewno podejrzenie.

– Utknęłaś tu na amen, Zuza. Cholerny Sroka! – zaklęła, gdy minęła budkę strażnika i zmierzała na przystanek autobusowy.

Nie dość, że miała problem w pracy, to jeszcze utknęli w martwym punkcie, gdy chodzi o Srokę. Ich aktywność w tej sprawie umarła śmiercią naturalną. Nie mają zielonego pojęcia, gdzie go szukać, a biorąc pod uwagę ich dotychczasowe doświadczenia detektywistyczne, było jasne, że najzwyczajniej w świecie nie nadają się do tego.

Kwadrans później zmierzała do mieszkania, w którym powinien już być Tymon i rozwiązywać problem siostry, a także, z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością, jego siostra. Po porannym spotkaniu Zuzanna miała przeczucie, że Ada pomieszka z nimi jakiś czas.

– Jeszcze pana tu brakowało – jęknęła na widok stojącego przy kamienicy Lambertowicza.

– Dzień dobry – powiedział niepewnie, wbijając wzrok w brukowany chodnik.

– Jak dla kogo – mruknęła. – Do końca tygodnia pewnie wylecę z pracy. A jak panu minął dzień?

– Całkiem znośnie. Do tego... – Widząc kpiącą minę dziewczyny, zapytał: – Nie obchodzi to pani, nie?

– Nie. – Rzuciła mu uśmiech numer dwa – politowanie połączone z rozbawieniem. Po tym, co zaserwowała im pani Aniela, Zuzie trudno było poczuć choćby cień niepokoju. Jak ten facet będzie ją nękał, poskarży się na niego jego mamie. Na tę myśl uśmiechnęła się złośliwie. – A co u pani Anieli?

– Bardzo dobrze.

Przysięgłaby, że usłyszała zgrzytanie zębami.

– To co pana sprowadza pod moje drzwi? – zapytała.

Spojrzał na nią krzywo.

– Chciałbym, żeby ta cała nieszczęsna akcja ze Sroką pozostała między nami.

– Jasne.

– Naprawdę? – Był zdziwiony jej dobrą wolą.

– Pewnie, a niby co miałabym zrobić?

– Iść do psów?

– Z czym? – Teraz to Zuza się zdziwiła. – Zaraz, zaraz, chyba nie zrobił pan krzywdy...

– Nie. – Skrzywił się, wbijając ręce w kieszeń kurtki. – Ale wy macie dziwne pomysły. Chciałem się upewnić, że nie zamierzacie mieszać.

– Nie, nie zamierzamy – zapewniła go. – To wszystko? Bo jak tak, to idę na górę, zanim umrę z głodu.

– A kolega?

– Tymek? Ma to gdzieś. Mogę już iść? Czy jeszcze w czymś panu pomóc? – zapytała zgryźliwie.

– Doigrasz się kiedyś, lalka, za ten ostry języczek – warknął i odszedł, nie dając jej szansy na ripostę.

Dalej, Zuza, wkurz dzisiaj jeszcze kilka osób, pomyślała ze złością. Szef może cię

wywalić, pokemon stuknąć. Ciekawe, kogo mam dziś na liście, westchnęła. Do mieszkania też nie chciało jej się wracać. Nadal śmierdziało w nim sikami. Powoli zaczynała się przyzwyczajać, ale nie na tyle, by nie zapalać w pokoju świec zapachowych.

– Hejka! – Na schodach wpadła na nią Ada w obcisłych dżinsach, czerwonych szpilkach i skórzanej kurtce.

– Hej – odparła. – Wychodzisz?

– Pod klatką kręcił się taki gość w czarnej skórce. Jest jeszcze? – zapytała.

– Nie, poszedł sobie. Możesz bezpiecznie wyjść – zapewniła ją Zuza.

– Rany! Widziałas może, w którą stronę poszedł?! – wykrzyknęła Ada.

– W prawo. A dlaczego...

– Lecę! Może jeszcze go dogonię! Miał obrączkę?

– Co? – zdumiała się.

– Nieważne, sama sprawdzę!

Zuzanna stała chwilę zamyślona, po czym ruszyła się z miejsca i poszła do mieszkania. Tymek siedział w kuchni z głową wciśniętą w ramiona i sądząc z jego pozy, najwyraźniej cierpiał.

– Myślę, że twoja siostra nie pomieszka z nami długo – odezwała się, kładąc torebkę na blacie szafki. – Skręci sobie kark raz-dwa. Wyobraź sobie, że ona w tych czerwonych szpilach przeskakiwała po dwa stopnie!

– Wierzę – odrzekł ponuro.

– Chyba... – zawahała się, nie wiedząc, jak delikatnie powiedzieć to, co chciała, i nie podpaść tego samego dnia trzeciemu z kolei mężczyźnie. – Chyba pokemon wpadł jej w oko.

– Co ty powiesz... – Wreszcie na nią spojrział.

– Co się stało?

– Jutro mamy się stawić na komisariacie – oświadczył.

– To znaczy o której?

– O jedenastej.

– Jasne. A moja praca to co? – zirytowała się.

– Rurzycki dzwonił. Chciał przysłać po nas radiowóz, ale powiedziałem, że sami przyjedziemy. Zapytałem, czy wziąć szczoteczkę do zębów, a ten do mnie, czy mam coś na sumieniu. I szczoteczką nie muszę się martwić, bo jak trzeba, to dają.

– No i?

– Chyba mamy kłopoty – stwierdził żalonym tonem.

– Daj spokój, przecież nas nie zamkną – jęknęła Zuzanna, ale jej też włos się zjeżył pod wsuwkami.

– No nie wiem...

– Po co mieliby czekać do jutra? Najwyżej przedstawią nam zarzuty i do domu...

Albo! – zawołała nagle olśniona. – Lambertowicz! Na pewno chodzi o niego! Czekał na mnie na dole! Ciebie musiał przegapić albo przyszedł, jak ty już byłeś na górze!

– Nic nie rozumiem! – zirytował się Tymek. – Mów po ludzku!

– Chyba po męsku! Kobieta od razu by wiedziała, w czym rzecz! Mówię, że pokemon czekał na nas na dole i chciał wiedzieć, czy mu nie narobimy kłopotów

w związku ze Sroką! Na pewno chodzi o niego!

– Tak sądzisz? – zapytał z nadzieją w głosie.

– No jasne! A o cóż innego? Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności!

– Nie możemy przeciwko niemu zeznawać – zdenerwował się na powrót. –

Dogadaliśmy się z nim i...

– Ale udaremniliśmy przestępstwo. Dopilnowaliśmy, żeby niewinny Sroka był bezpieczny. To się musi liczyć na plus – powiedziała stanowczo Zuza, bardziej w to wierząc, niż na to licząc.

A w ogóle to uważała, że nie zrobili nic złego, zatem nic złego nie może ich spotkać.

– Oby – mruknął, ale mniej ponurym tonem niż kilka minut wcześniej.

– Wiesz... Jak twoja siostra go poderwie, to on chyba nie nagada na jej brata, co?

– dodała jeszcze Zuza po chwili namysłu.

– Ada i... O mój Boże! – Dopiero teraz do niego dotarło, co mówiła na temat Lambertowicza i Adrianny. Musi działać. Natychmiast! – Ja jej dam pokemony z siłki! Po moim trupie! – Chwilę później wybiegł z mieszkania.

– Super, a obiadu nie ma. – Zuza jeszcze pociągnęła nosem dla pewności, ale w mieszkaniu czuć było tylko kocie siki.

Powiedzieć, że pękał z dumy, to mało. Rurzyckiego aż rozsadzało z radości. Dagmara Adamczyk wybuchnęła płaczem w chwili, w której otworzyła drzwi mieszkania i zobaczyła stojącego za nimi komisarza, który przesłuchiwał ją kilka godzin wcześniej.

– To nie był mój pomysł – zapewniała pośród łkań. – Nie mój – zawodziła jeszcze w radiowozie. – Nie chciałam – zapewniała, chlipiąc żałośnie, gdy Wojciech spisywał jej zeznania.

Intryga była prosta. Sprzedać dom kilku osobom. Pierwszą z nich miała być Dagmara, która jako prawowita właścicielka miała na końcu sprzedać dom po raz czwarty. Liczyli na więcej kupujących niż Cieplik i Magnus, ale w tak krótkim czasie nikt inny się nie zgłosił. Zyskali na tej transakcji pół miliona. Potem miało dojść kolejne dwieście pięćdziesiąt tysięcy z finalnej sprzedaży domu przez Dagmarę i około dwustu tysięcy za jej mieszkanie.

– Powiedział, że mnie kocha – łkała rozdierająco. – Mieliśmy żyć jak w raj.

– Niby gdzie? – zapytał z powątpiewaniem Rurzycki.

– W Ekwadorze!

– A jak chcieliście tam dotrzeć?

– Samolotem!

– Sroka jest poszukiwany listem gończym. Zostałby zatrzymany na lotnisku – wyjaśnił jej. – Skąd miała pani pieniądze na kupno domu?

– Mówiłam już, że z polisy męża. I odszkodowanie dostałam za wypadek. To miałam... – płakała. Rozmazany tusz spływał obficie po policzkach.

– Gdzie jest Hieronim Sroka?

– Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem. Miał mieszkać u mnie na działce, dopóki wszystko się nie uspokoi. Zabronił mi tam przychodzić, żebym nie ściągnęła na niego uwagi. Nie wiem, kiedy zniknął. Nie wiem, gdzie teraz jest. Zostawił mnie!

– Nie ustaliliście żadnej formy kontaktu?
– Tylko telefon. W razie problemów miałam zadzwonić.
– Zadzwoniła pani?
– Tak, jak dostałam wezwanie. Powiedział, że mam się nie martwić, bo to standardowa procedura.

– A później?
– Dzwoniłam, jak wróciłam z komisariatu, ale włączała się tylko poczta głosowa.
– Jak pani dała się na to namówić? – Rurzycki szczerze współczuł kobiecie. Niestety, prawo jest prawem, współniczka musi ponieść odpowiedzialność za swoje działania.

– Powiedział, że ma długi i czeka go więzienie, bo nie daje rady ich spłacać. To miał być dla nas nowy start. Te pieniądze zapewniłyby nam przyszłość.

– A gdzie są wyłudzone przez was pieniądze? – zapytał.

Kobieta drgnęła, jakby ją uderzył. Chyba do tej pory nie nazywała tego, co zrobili, wyłudzeniem, lecz pożyczką. Komisarz nie miał pojęcia, co sobie myślała, ale teraz z pewnością dotarła do niej powaga sytuacji.

– Nie wiem. Zamierzał je przelać na jakieś zagraniczne konto, a potem mieliśmy wypłacić je razem. Nie wiem. Nie wiem... Zostawił mnie. – Znów się rozpląkała. – Powiedział, że policja po mnie nie przyjdzie, bo kupiłam dom zgodnie z prawem, więc gdzie i po co mają mnie ciągać?

– Sądzę, że powiedział pani jeszcze sporo innych rzeczy. – Rurzycki westchnął. – Będzie pani odpowiadać za współudział, tak samo jak Hieronim Sroka. Sąd na pewno zdecyduje o naprawie szkody na rzecz pokrzywdzonych przez was oboje. Jeśli Sroka się nie znajdzie, będzie pani musiała sama spłacić wyłudzone pieniądze.

– Ale ja ich nie mam! Mnie też oszukał! Ukradł i to, co było moje! – zawołała.

– To nie były pani pieniądze. Kupiła pani dom, a pan Sroka otrzymał za niego zapłatę. To już były jego pieniądze. Nie może pani domagać się ich zwrotu.

– Z czego więc spłacę tamtych dwoje? – wyszeptwała ze zgrozą.

– Jest pani właścicielką domu i mieszkania – zauważył spokojnie komisarz. Na ogół traktował przestępców z całą surowością, ale ta kobieta stała się ofiarą Sroki, tak samo jak Cieplik i Magnus. Z tą tylko różnicą, że za oszukanie Dagmary Adamczyk ten drań nie odpowie.

– Moje gratulacje! – zawołał jeden z policjantów, Wojciech nie pamiętał jego imienia. Pracował z nimi od niedawna i dotąd nie prowadzili wspólnych spraw.

– Dzięki, ale do zakończenia jeszcze daleko. Nadal nie mam Sroki i pieniędzy – powiedział, siląc się na skromność.

– Kwestia czasu – zapewnił go tamten.

– Dzięki – rzucił jeszcze, nim zniknął w gabinecie.

Na wszelki wypadek kazał obserwować mieszkanie Adamczyk i dom na działce. W środku było trochę rzeczy należących do mężczyzny, a w lodówce resztki jedzenia. Sroka rzeczywiście przebywał tam wcześniej. Komisarz wysłał wywiadowców na dworzec PKP i PKS. Sroka musiał przecież jakoś opuścić miasto. Samochodem nie wyjechał. Obejrzą nagrania z monitoringu, popytają, może ktoś go zapamiętał.

Informatycy zajmują się namierzaniem jego telefonu. Może jeszcze nie wyrzucił komórki i w końcu ją włączy. Uda im się zawęzić obszar poszukiwań.

Nie dane mu jednak było zaznać spokoju ani wypić kawy. Ledwo wstawił wodę, pukanie do drzwi zmusiło go do spojrzenia na zegar. Ośma. Pewnie Magnus i Cieplicki, pomyślał. Mieli przyjść o jedenastej. Wiedział, że oboje pracują, więc zaproponował im przywiezienie do komisariatu, ale nie, musieli się przywlec z samego rana, zżymał się Rurzycki.

– Wejść! – zawołał.

Tymoteusz nie spał całą noc. Ada nie dość, że nie wróciła do mieszkania, to jeszcze nie odbierała telefonu. Co chwila podchodził do okna, by sprawdzić, czy jej nie widać. Zaraz po rozmowie z Zuzą jak ostatni osioł pognął do lombardu, ale Lambertowicza tam nie było. I telefonu też nie odbierał.

– Nie wróciła na noc – oświadczył, gdy zaspana Zuza zajrzała do kuchni.

– Jest dorosła. – Ziewnęła.

– Jest z pokemonem!

– Wiem, że nie spodoba ci się to, co mówię, ale jest tak bezpieczna, jak to tylko możliwe. Nikt mu nie podskoczy – oświadczyła, włączając czajnik z wodą.

– Rany! Ja przez was oszaleję! – wyjęczał z rozpaczą Tymoteusz.

– To znaczy przez kogo?

– Przez kobiety!

– Ada stwarza mniej problemów niż Waldi. Przynajmniej nie pieprzyła się z nikim w moim łóżku.

– Dzięki, Zuza. Dopiero teraz mam o czym myśleć!

– Nie wiem, co ty robisz na randkach, ale ludzie, którzy nie wracają na noc, raczej nie siedzą do rana nad brzegiem rzeki, słuchając rechotania żab. – O świętej naiwności! Gdzie on się uchowal? – Czasami jesteś tak naiwny, że aż żałuję, że mi się nie podobasz – wyznała. – Ogólnie mam jakiś spaczony gust.

– Dzięki. Chyba... – Nie był pewien, jak ma rozumieć jej słowa. Ukryty komplement?

– Podrywa mnie syn szefa. W mojej sytuacji finansowej powinnam skakać do góry z radości? I co? I nic! Zniechęcałam go do siebie, jak się dało, a na końcu uraziłam tak, że pewnie wywalą mnie na zbity pysk z roboty.

– Co to ma wspólnego z moją siostrą?

– Radzi sobie lepiej ode mnie. Upolowała pewnie najbardziej nadzianego faceta w Kłopotowie.

Tymoteusz zbladł. Nie chciał mieć pokemona w rodzinie. Nawet przez moment. Już chybaby wołał, żeby go zamknęli.

– O, cześć. – Rurzycki zdziwił się, widząc wchodzącego do pokoju Marka.

– Mam nagrania z monitoringu – oznajmił kolega, podając mu płytę.

– Coś ciekawego? – zainteresował się komisarz.

– Sam zobacz. – Tamten uśmiechnął się z satysfakcją.

Rurzycki włożył płytę do napędu. Na filmiku był jeden z peronów na dworcu PKP. Stał tam mężczyzna w czapce bejsbolowej i z plecakiem zarzuconym na jedno ramię.

– Czekaj chwilę. Zaraz... Teraz! – Marek spauzował film i wskazał palcem szczurzą twarz Sroki, dobrze widoczną spod bejsbolówki.

– Zapomniał o kamerach?

– Patrz dalej. – Ponownie uruchomił nagranie z kamery. Wcześniej Rurzycki i ekipa śledcza obejrżeli sporo filmików, szukając na nich Sroki, ale ten zamelinował się na działkach i nie wyściubiał stamtąd nosa, póki nie zrobiło się gorąco.

Teraz widzieli, jak oszust wsiada do pociągu.

– Wiadomo, dokąd pojechał?

– Spójrz na datę i godzinę. – Marek popukał palcem w monitor.

– Jaja sobie robisz? – zapytał z niedowierzaniem komisarz.

Nagranie pochodziło sprzed pół godziny. Sroka jest w pociągu. Nie ucieknie.

– Nasz chłopina wybiera się do Warszawy, ale nasi zdejmą go na najbliższej stacji i przywiozą. – Uśmiechał się szeroko. – Po jaką cholere siedział do dziś w Kłopotowie?

– Hm... – zamyślił się komisarz. Czy to możliwe? Czyżby Sroka się zakochał?

– Chyba nie zamierzał czmychnąć z tą Adamczyk? – Ta sama myśl przyszła do głowy Markowi.

– Kto wie? Miłość nie wybiera.

– Jaja sobie robisz?

– A może chciał więcej kasy i czekał, żeby Adamczyk sprzedała dom i mieszkanie? Któż to może wiedzieć? – zapytał filozoficznie Rurzycki.

Zuza dotarła do pracy po ósmej. Tymek pojechał zaraz po ich rozmowie, a jej jak na złość uciekł autobus. Musiała czekać na następny.

– Świat jest piękny – szepnęła do siebie, opadając na fotel za swoim biurkiem. Jak powtórzy to jeszcze kilka razy, to może w to uwierzy.

Jak spod ziemi pojawiła się przed nią Anna.

– O mój Boże! – zawołała z przerażeniem Zuza. – Zupełnie zapomniałam o siłowni. Bardzo cię przepraszam!

– Nie szkodzi. Zdarza się – odparła wspaniałomyślnie tamta, poprawiając włosy.

– Naprawdę? – zdziwiła się Zuza.

– Jasne. – Anna nie patrzyła jej w oczy.

– Jesteś zła. – Zuza zmarkotniała. Nie chciała urazić przyjaciółki. Lubiła ją. Anna była miła. I była jedyną znaną jej osobą w Kłopotowie, z którą ona, Zuza, mogła spędzać czas.

– Nie jestem – zapewniła ją tamta, nadal unikając jej wzroku.

– Wynagrodzę ci to – obiecała Zuza. – Może wyskoczmy razem na...

– Nie trzeba.

– Ale ja chcę! – zapewniła ją Zuza, która ku swemu przerażeniu poczuła, że przyjaźń wymyka jej się z rąk. Uświadomiła sobie właśnie, że Anna nie jest matką Polką traktującą ją, Zuzannę, jak obiekt drugiej kategorii, bo chce mieć psa, a nie dziecko. Nie ma parcia na małżeństwo. I po prostu chce spędzać z nią czas. I to wcale nie na zakupach w galeriach.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Ależ jest.

- Całowałam się z twoim narzeczoną! – wyznała czerwona jak burak Anna.
- Aha... – Zuza wydała z siebie niemądry dźwięk nieprzypominający żadnego, który kiedykolwiek wyartykułowała czy też usłyszała w wykonaniu innej osoby.
- Aha? – powtórzyła z niedowierzaniem tamta. – Tylko tyle?
- To straszne? – Zuza nie była pewna, co Anna chce usłyszeć, i jak ona teraz powinna zareagować na zdradę rzekomego narzeczonego.
- No właśnie! Jestem podła! – Dopiero teraz spojrzała na nią z taką rozpaczą w oczach, że Zuzie zrobiło się jej żal.
- Nie przesadzajmy. Zdarza się – starała się pocieszyć Annę. Sądząc po minie przyjaciółki, nieudolnie.
- Zdarza się? Masz zamiar spędzić z tym człowiekiem życie, a ja go pocałowałam! Zuza westchnęła ciężko.
- Zachowałam się karygodnie, wiem, przepraszam. Ale on dziś był taki jakiś inny, zamyślony, taki silny milczący typ, że nie mogłam się powstrzymać. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. To moja wina. Tymoteusz nic nie zrobił – zarzekała się Anna.
- Aha... – mruknęła ponownie Zuzanna. Czyżby Tymek był taką gapą? Atrakcyjna kobieta rzuca się na niego, a on nic? Niemożliwe.
- Przysięgam, że to się nie powtórzy.
- OK. – Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Najlepiej byłoby wyjawic Annie prawdę.
- Posłuchaj, ja...
- O, znalazła się moja sekretarka! – Z gabinetu wypadł Joachim Maczek.
- Asystentka – poprawiła go odruchowo Zuza.
- Jak zwał, tak zwał. – Jak zwykle zlekceważył jej uwagę. – Niech pani odbiera telefony, kiedy mnie nie będzie.
- Zawsze to robię – zapewniła go Zuza.
- Fakt. – Wycelował w nią palec. – To pa, dziewczyny. Bawcie się dobrze.
- Co to miało znaczyć? – zapytała zdziwiona Zuza.
- To nic nie znaczyło – oświadczyła stanowczo Anna.
- Dokąd on poszedł?
- Nigdzie. Jest w moim mieszkaniu.
- Pytam o twojego ojca, nie o Tymka.
- Aha, nie mam pojęcia. Rehabilitacji dziś nie będzie. Jeżeli chodzi o Tymoteusza, to ja...
- Tymka możesz sobie wziąć – powiedziała wspaniałomyślnie Zuza.
- Wcale tak nie myślisz! – zawołała tamta przerażona.
- Oczywiście, że myślę.
- Nie możesz przekreślić narzeczeństwa z powodu jednego błędu. Mojego. Ja...
- Przepraszam cię, ale Tymoteusz dzwoni. Pozwolisz, że odbiorę?
- Nieszczęśliwa Anna skinęła głową. Zrobiła taki ruch, jakby chciała odejść, ale Zuza dała jej ręką znak, by została.
- Musimy się rozstać – oznajmił zdecydowanym tonem Tymek.
- OK.
- Od zaraz!

– OK.
– To postanowione!
– OK.
– Chyba się zakochałem! – powiadomił ją podekscytowany.
– Też się cieszę – zapewniła go Zuza. – Załatwione – powiedziała do Anny.
– Więc nie jesteś na niego zła? – upewniła się tamta.
– Możesz go sobie wziąć. – Uśmiechnęła się do Anny. – Był naprawdę przejęty.
– Ale ja...
– Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało, że jeszcze przez jakiś czas będziemy razem mieszkać? – zapytała Zuza z niepokojem.
– We trójkę?
– Nie, Tymon i ja.
– Ale ja... Nic nie rozumiem... – wyjąkała przyjaciółka.
Zuza zlitowała się nad nią w końcu.
– Nie jesteśmy parą, tylko współlokatorami. To długa historia i kiedyś ci ją opowiem, ale jak Tymek ci się podoba, to bardzo się cieszę! – zapewniła entuzjastycznym tonem Annę. – To porządny facet.
– Dlaczego wy... Ach, już wiem. Mój brat! – powiedziała z nagłym zrozumieniem.
– Nie masz żalu, że nie powiedziałam ci prawdy? – Teraz do Zuzy dotarło, że jest złym człowiekiem. Okłamywała przyjaciółkę.
– Nie, no co ty. – Anna zaczynała przypominać dawną siebie. – Sama bym się nie umówiła z moim bratem.
– Jest miły. – Nie wiedząc czemu, Zuza zaczęła go bronić.
– Jak bambosze. Ale nie zabieram ich ze sobą do łóżka, tylko zostawiam na dywaniku.
Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy przerwał im męski głos.
– Ojciec jeszcze jest?
– Nie, pan dyrektor wyszedł na spotkanie – odpowiedziała automatycznie, przenosząc wzrok na stojącego przed nią mężczyznę.
Anna mówiła, że ma tylko jednego brata, dlaczego zatem ten przystojniak nazywa Joachima ojcem?
– Trudno. Wpadnę później – powiedział i rzucając jej zbolące spojrzenie, wyszedł równie cicho, jak wszedł.
– O rany! – zawołała Anna. – Od tylu lat nosił brodę, że zupełnie zapomniałam, jak naprawdę wygląda!
– To był... był... Antoni? – wyjąkała zdumiona Zuza.
– A niby kto?
– O rany... – szepnęła do siebie.
– O rany? – Mina Zuzanny wskazywała na oszołomienie, ale żeby aż tak? – O rany!
– Dopiero teraz do Anny dotarło, co ona naprawdę wyraża. – Niemożliwe!
– A jednak. – Zuza pociągnęła nosem. Z całą godnością, na jaką ją było stać. Po tym, jak pójdzie do Antoniego, by zrobić pierwszy krok na drodze do swojego nowego życia, niewiele jej z owej godności zostanie. Dlaczego wcześniej nie widziała jego

przepastnych błękitnych oczu, pięknie wykrojonych ust i wyraźnie zarysowanych kości policzkowych? Dlaczego musiała nachlapać jęzorem, ile się dało? Dlaczego?

– Przechodzę na ateizm – wymamrotała do siebie. – Skoro istota najwyższa ma mnie gdzieś, to ja ją też.

– Szanowni państwo – zaczął z powagą komisarz Rurzycki. – Sprowadziłem was tutaj...

– Ta sprawa z Akacją to była pomyłka. Nie możemy o niej zapomnieć? – wtrąciła proszącym tonem Zuza. – Mamy dość kłopotów i bez tego.

– Proszę państwa...

– Panie komisarzu – przerwał mu Tymoteusz. – Ta akcja z Akacją to moja wina. Zuzka nie miała z tym nic wspólnego.

– Oczywiście, że miałam – oburzyła się natychmiast. – Nie pozwolę ci wziąć winy na siebie! Jak chce nas pan aresztować, to proszę bardzo, tylko niech pan się szybko decyduje, bo uciekłam z pracy, a mam sporo do zrobienia! – Główną sprawą było zlokalizowanie Antoniego, który gdzieś się zawieruszył. Anna też nie wiedziała, gdzie się podział, ale obiecała, że go znajdzie, nim Zuza wróci.

– Zuza chciała powiedzieć, że ta praca jest dla niej ważna.

Ta dziewczyna beze mnie zginie, pomyślał Tymek. I to z ręki policjanta. Nie dowiozą jej nawet do aresztu. Nie zdążą.

– Oczywiście, że jest ważna, chociaż podpadłam na maksa mężczyźnie z żeńskim organem wyhodowanym na twarzy, który teraz mnie unika i nawet go rozumiem. Ale dlatego muszę jak najszybciej wrócić do pracy i...

Komisarz Rurzycki zbaraniał. Co ten mężczyzna ma na twarzy? Czy ona powiedziała, że...? Jego wyobraźnia tego nie ogarniała.

– Zuza! – syknął Tymek. – Może dajmy panu komisarzowi dojść do słowa?

– Oczywiście, a czy ja coś mówię? – Spojrzała na niego gniewnie.

– Wezwałem was tu dzisiaj, ponieważ...

Tym razem przerwało mu pukanie do drzwi. Westchnął z rezygnacją.

– Wejść! – krzyknął.

– Mamy go! Będzie tu za godzinę – ogłosił triumfalnie Marek, unosząc kciuk do góry w geście zwycięstwa. – Stawiasz piwo!

– OK, dzięki. – Dał znak, by kolega zostawił ich samych, i z uśmiechem zwrócił się do obojga wezwanych: – Szanowni państwo...

Dźwięk komórki nie pozwolił mu dokończyć zdania.

– Przepraszam. Muszę odebrać – powiedział zakłopotany Tymek. – Gdzieś ty była, do licha?!

– ...

– Jestem twoim bratem, do cholery! Oczywiście, że mnie obchodzi!

– ...

– Nie wiem, czy w ogóle wrócę! Jestem w komisariacie i zaraz mnie aresztują!

– ...

– Halo? Halo! Rozłączyła się! – oświadczył zdenerwowany.

– Najważniejsze, że się znalazła – pocieszyła go Zuza.

- Nazwała mnie bałwanem i się rozłączyła!
- No cóż... Tak na nią napadłeś, że...
- Nie wróciła na noc!
- Jest starsza ode mnie! Ma prawo sypiać, z kim chce!
- Ale nie z pokemonem!
- Kim jest pokemon? – zapytał Rurzycki, z rozbawieniem przysłuchujący się rozmowie.

– To Lambertowicz – poinformowała go Zuza.

– Pańska siostra spotyka się z Lambertowiczem? – Na twarzy komisarza pojawiła się niechęć.

– No widzisz?! Pan komisarz rozumie, w czym problem!

– To bogaty maminsynek. Mogła trafić gorzej. I na litość boską, Tymon, przecież ona nie wychodzi za niego, tylko z nim sypia! To nic nie znaczy!

– Moja siostra nie jest jakąś latawicą!

– Przypominam ci, że ty sam dziś...

– Dość! – przerwał im stanowczo komisarz, któremu dwójka pokrzywdzonych zepsuła całą przyjemność przekazania dobrej wiadomości. – Żegnam państwa! – Wstał i szeroko otworzył drzwi gabinetu.

Oniemiała Zuza podniosła się i zastygła w bezruchu. Tymek tkwił na krześle jak rażony piorunem.

– Żegnam państwa! – huknął ponownie komisarz, gdy żadne z nich nie ruszyło się z miejsca.

Donośny głos policjanta wyrwał ich z chwilowego oszołomienia.

– Nie jesteśmy aresztowani? – zapytał z głupia frant Tymoteusz.

– Nie!

– To po co nas pan wezwał? – zapytała zaskoczona Zuza.

– Adamczyk aresztowana. Sroka aresztowany. Pie-niądze zabezpieczone – wyrecytował z taką złością, jakby właśnie nie zakończył pomyślnie sprawy dziesięcio----lecia.

Tymek otwierał i zamykał usta jak wyciągnięta z wody ryba. Przed Zuzą za to otworzyły się bramy niebios. Kupi psa. Będzie miała różanecznik. Jej życie się nie skończyło. Spotkała mężczyznę swojego życia, chociaż sprytnie się kamuflował. I w tym momencie poczuła, że to zdecydowanie za dużo jak na jedną małą kobietkę.

Padła zemdlona obu mężczyznom do stóp.

– I dlatego wolę przestępców! – jęknął komisarz Rurzycki.

Kochani Czytelnicy!

Chciałabym powiedzieć Wam o miejscu, które spędza mi sen z powiek – to schronisko dla bezdomnych zwierząt w Gaju.

Przebywają tam porzucone, zaniedbane psy i koty. To ludzie zgotowali im ciężki los, ale dzięki takim ludziom jak Wy udaje się zebrać środki na leczenie, zabiegi czy zaspokojenie ich podstawowych potrzeb. To Wy dajecie im szansę na życie i dom.

W schronisku odbywa się dużo adopcji, jednak im więcej zwierzków ubywa, tym więcej przychodzi nowych. Ja też mam małą znajdę w domu, psa o imieniu Karmelek, ale wszystkich przecież nie przygarne. Zdaję sobie sprawę, że proszę o wiele, ale ktoś musi przemówić w imieniu tych, które same tego zrobić nie mogą. Jeżeli chcielibyście wspomóc mieszkańców schroniska, możecie przelać dowolną kwotę na konto nr 84 1240 6902 1111 0010 6705 8364 lub przekazać 1% na KRS: 0000289538.

Jeśli ktoś nie ma możliwości, aby dać psiakowi czy kotu dom, może to zrobić wirtualnie: <http://schroniskogaj.pl/adopcjawirtualna.html>

I teraz najważniejsze:

NIE KUPUJCIE, ADOPTUJCIE! Uwierzcie mi, te zwierzaki potrafią się odwdzięczyć.

Olga Rudnicka